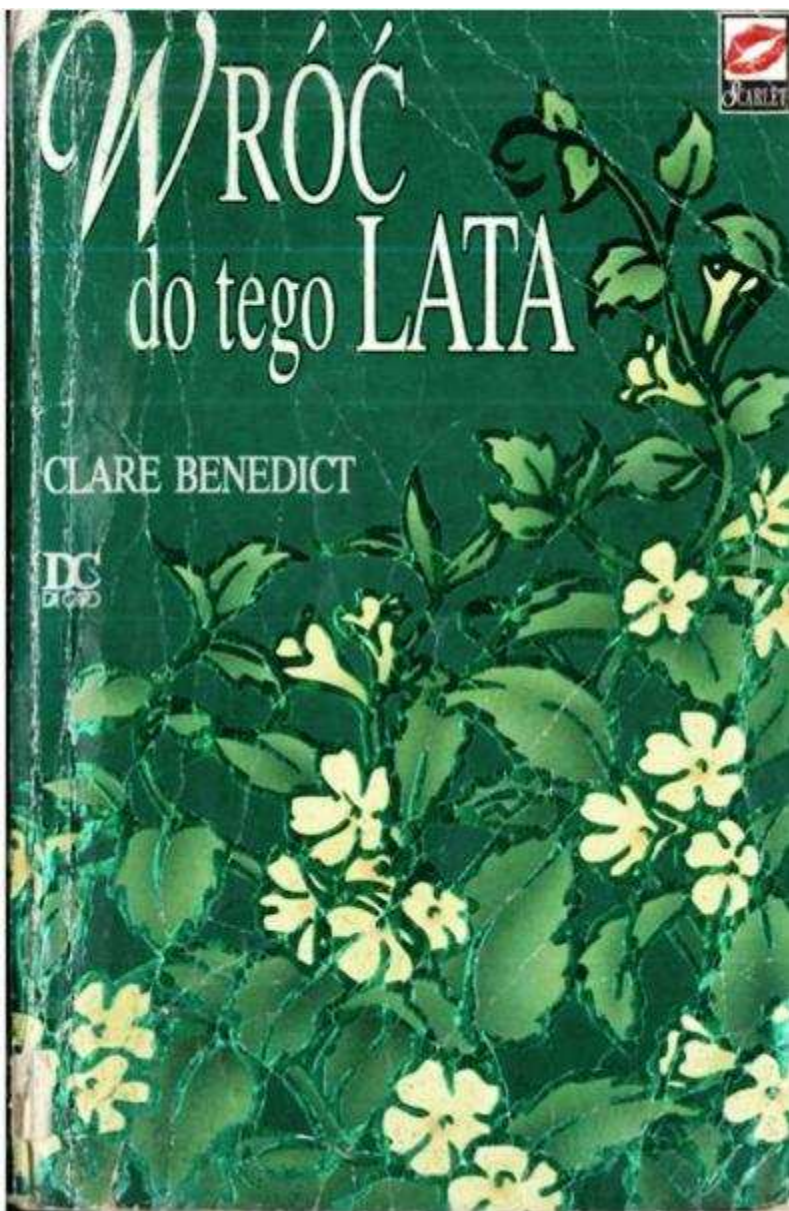


W RÓC do tego LATA

CLARE BENEDICT

DC
D 1999



DC
DIZIJO



Bethany Lyal, architekt wnętrz, stawia właśnie pierwsze kroki na drodze swej kariery, kiedy otrzymuje wiadomość, że babka, z którą od lat nie utrzymywała kontaktów, zostawiła jej w spadku posiadłość w północno-wschodniej Anglii. Testament jest jednak opatrzony pewnym warunkiem – żeby zatrzymać dom, spadkobierczyni musi w nim zamieszkać.

Bethany nie potrafi podjąć decyzji, czy pozostać w Londynie, czy przejąć rodzinną posiadłość; postanawia więc zamieszkać w odziedziczonym domu na próbę.

I nagle zaczynają ożywać wspomnienia pewnego lata, kiedy to zdarzyło się coś, co wpłynęło na Bethany tak mocno, że nie zapamiętała nic z okresu dzieciństwa. Pełna obaw, stara się jednak dotrzeć do prawdy o sobie i własnej rodzinie, wiedząc, że tylko wtedy poradzi sobie z chaosem, jaki nagle zapanował w jej życiu, gdy pojawili się w nim trzej mężczyźni.

Bethany musi wiedzieć, który z nich jest przyjacielem, który wrogiem, a który, być może, zostanie kochankiem, i w tym celu musi rozliczyć się z własną przeszłością.

Clare Benedict, autorka kilku powieści dla kobiet, jest z wykształcenia nauczycielką sztuki aktorskiej. Zanim całkowicie poświęciła się pisarstwu, wychowywała czwórkę dzieci i pisywała do prasy kobiecej. Uwielbia stare czarno-białe filmy, czwórkę swoich zdolnych dzieci, kota... i – a fuji! – męża.

ISBN 83-7157-167-4



CLARE BENEDICT

*WRÓĆ
do tego LATA*

Przełożył
Wojciech Usakiewicz



Wydawnictwo Da Capo
Warszawa 1997

Tytuł oryginału *A DARK LEGACY*

Copyright © 1996 by Clare Benedict Back cover photography by J. Cat

Ilustracja na okładce Robert Pawlicki

Opracowanie okładki Jan Nyka

Skład i łamanie

FONOTYPE

MILANÓWEK

For the Polish translation Copyright © 1997 by Wydawnictwo Da Capo

For the Polish edition Copyright © 1997 by Wydawnictwo Da Capo

ISBN 83-7157-167-4

Printed in Germany by ELSNERDRUCK-Berlin

Ilekróć widzę refleksy kolorowych światel na mokrym chodniku, przypominam sobie pierwszy raz, gdy go zobaczyłam. Ludzie panicznie uciekali z promenady, spłoszeni nagłą ulewą; on jeden stał, wpatrzony w witrynę.

Był bardzo wysoki, ręce trzymał w kieszeniach, a szerokie ramiona nieco stulił, żeby deszcz nie przeszkadzał mu studiować czegoś za szybą. Miał džinsy i elegancki kremowy sweter. Gdy podeszłam bliżej, spostrzegłam, jak mienia się krople, które osiadły na wełnie i na jego włosach.

Obok mnie przemknęła grupka młodzieży i ze śmiechem skryła

się pod rozświetlonymi arkadami. Mocniej zacisnęłam dłonie na walizce i torbie podróźnej; też zaczęło mi się śpieszyć. Na rogu ulicy dojrzałam podświetlony znak postoju taksówek, po drodze musiałam jednak minąć tego mężczyznę.

Nie mogłam się oprzeć pokusie, by przechodząc obok, nie odwrócić głowy. Mam metr siedemdziesiąt dwa wzrostu, musiał więc mieć sporo ponad metr osiemdziesiąt. Właściwie jednak nie zainteresował mnie wyglądem, bardziej chciałam sprawdzić, co przykuło jego uwagę. Okazało się, że wielka mapa tej części wybrzeża Northumbrii w witrynie należącej do punktu informacji turystycznej.

W chwili gdy znalazłam się za jego plecami, mężczyzna nie spodziewanie cofnął się o krok. Wpadliśmy na siebie. Na szczęście miał szybki refleks i zdążył mnie złapać, zanim upadłam. Ja również instynktownie go objęłam. Naturalnie puściłam przez to bagaż i walizka wylądowała mu na stopie. Syknął, zaskoczony.

Krzyknęłam do wtóru, choć nie dlatego, że mu współczułam, lecz dlatego że moja torba podróźna wylądowała w kałuży, a książki i papiery wysypały się z niej na mokry chodnik.

- I co pan zrobił najlepszego? Niech pan spojrzy!

Przez chwilę nie reagował.

- Oto jakie podziękowanie mnie spotyka - powiedział w końcu. Przykucnął, żeby pomóc mi w zbieraniu rzeczy. - Gdybym pani nie złapał, siedziałyby pani w tej samej kałuży, w której teraz leżą rysunki.

Podniosłam głowę i bardzo się zmieszałam; jego twarz była stanowczo za blisko. Wpatrywał się we mnie z rozbawieniem piwnymi oczami. Byłam pewna, że na wargach igra mu uśmiešek. Patrząc na mnie, otwierał oczy coraz szerzej; zmarszczył czoło.

Natychmiast wyobraziłam sobie, jaki widok muszę przedstawiać. Garsonkę i niebieską lnianą sukienkę miałam ochlapane błotem, a mokre kosmyki długich, jasnych włosów kleiły mi się do twarzy.

Odgarnęłam włosy, żeby nie zasłaniały oczu, i z zakłopotania

wyrwałam mu z ręki ostatnią moką kartkę z rysunkiem. Wkładając ją do torby, mruknęłam gniewnie:

- Oczekuje pan wdzięczności, ale trzeba było spojrzeć za siebie, to nic by się nie stało!

Nie odpowiedział. Skubał zamek błyskawiczny mojej torby.

- Obawiam się, że zapięcie nie wytrzymało tej katastrofy - rzekł w końcu.

- Nie, było zepsute już wcześniej. - Za to nie mogłam go winić. Wzięłam od niego torbę.

Oboje wstaliśmy. Poczulałam w kostce znajomy ból, widocznie źle stąpnęłam, chcąc jak najszybciej odsunąć się od mężczyzny. Teraz musiałam uważać, żeby idąc nie utykać. Zdarza mi się to niekiedy, gdy jestem zmęczona.

Zanim zdążyłam cokolwiek zrobić, chwycił za walizkę. Chciałam mu ją odebrać, ale zrobił unik, drugą ręką ujął mnie pod łokieć i lekko popchnął ku najbliższej kafejce. W odpowiedzi na mój sprzeciw rozbrajająco się uśmiechnął.

- Moglibyśmy się czegoś napić. Powiedzmy, że to się pani ode mnie należy.

Naturalnie miał na myśli herbatę, kawę albo jakiś napój z bąbelkami, byliśmy bowiem w Seatoncliffe, małej miejscowości wypoczynkowej na północno-wschodnim wybrzeżu, i kawiarenki przy promenadzie nie miały koncesji na sprzedaż alkoholu.

Otworzył drzwi. Zatrzymaliśmy się na progu, chłonąc kawiarnianą atmosferę. Zmoczeni wczasowicze tłoczyli się wokół stolików i wzdłuż kontuaru, na którym syczał ekspres do kawy.

Gdy zrobiliśmy krok do środka, pod stopami zatrzeszczał nam piasek. Mężczyzna zaprowadził mnie do stolika przy oknie, po czym stanął w kolejce.

Kafejka było bardzo przytulna. Laminowane stoliki zdobiła wesoła, biało-czerwona kratka. Pośrodku każdego z nich stała wysoka staroświecka patera z zielonkawego prążkowanego szkła, a na niej leżały wydłużone trójkąty papierowych serwetek. Wzięłam dwie serwetki i osuszyłam sobie twarz.

Potem, odwróciwszy się do okna, kilkoma ruchami ręki poprawiłam fryzurę. Na dworze zrobiło się ciemno, więc w tym zaimprowizowanym lustrze zobaczyłam całe wnętrze kafejki. Mężczyzna wracał do stolika z tacą w rękę.

Nie patrzył na mnie, więc pierwszy raz mogłam mu się dokładnie przyjrzeć. Przez chwilę jego twarz wydawała mi się znajoma, ale skąd mogłabym go znać? Przecież nie z Londynu, bo bym go nie zapomniała, a z Seatoncliffe też nie, bo gdy ostatni raz tu byłam, bez wątpienia wyglądał inaczej niż teraz.

Kiedy podszedł do stolika, odwróciłam wzrok.

- Kawa z pianką! - Przysunął do mnie filiżankę ze złotym brzeźkiem. Wśród piany w kolorze cynamonowym unosiły się czekoladowe wiórki. Odebrało mi głos. - Oj, pani nie lubi cappuccino! Powinienem był spytać, ale zauroczył mnie ten staromodny ekspres do kawy. Nie mogłem oprzeć się pokusie.

Wydał mi się bardzo zawiedziony.

- Nie, nie... uwielbiam cappuccino, tylko że...

- Że co? - Sprawiał wrażenie zdezorientowanego.

Spojrzałam w jego piwne oczy, ale nie mogłam mu odpowiedzieć. Nie potrafiłabym sensownie tego wyjaśnić.

Jak miałam mu wytłumaczyć, że w chwili gdy powiedział „Kawa z pianką!”, usłyszałam te same słowa wymówione zupełnie innym głosem, też męskim i niskim. Było to jak echo dawnych, szczęśliwszych czasów, o których już zapomniałam.

Wbiłam wzrok w filiżankę i tylko siłą woli powstrzymałam się, by nie wziąć łyżeczki i nie powybierać z kawy czekoladowych wiórków, jak zrobiłoby dziecko.

Wciąż patrzył na mnie zaintrygowany, więc przestałam myśleć o kłopotliwych sprawach i wróciłam do rzeczywistości.

- Chyba jeszcze nie otrząsnęłam się po tym wypadku.

Sięgnęłam po torebkę z cukrem i skupiłam uwagę na brązowych kryształkach, sypiących się do filiżanki. Z ulgą przekonałam się, że mężczyzna poszedł za moim przykładem. Przez chwilę piliśmy kawę w milczeniu i zdaje się, że obojgu było nam z tym dobrze. Po chwili mężczyzna odwrócił się do okna, z którego rozpościerał się widok na morze.

Miał wyrazisty, regularny profil. Kusilo mnie, żeby sięgnąć do torby po ołówek i szkicownik, które zawsze mam pod ręką. Ale w rysunku ołówkiem nijak nie oddałabym gładkości i oliwkowej karnacji jego skóry. Był bardzo przystojny.

Po chwili znowu spojrział na mnie, uśmiechnął się. Nie przesa-
dziłabym wiele, gdybym powiedziała, że serce mi zamarło. Takie
wrażenie wywarł na mnie ten leniwy uśmieszek.

- Pani jest stąd czy przyjechała pani na wakacje? - spytał.

Uniosłam brwi.

- Wie pan, niezupełnie... to znaczy... no, przyjechałam w od-
wiedziny... Tak bym to nazwała.

Wahałam się, sama bowiem nie wiedziałam, co wyniknie z te-
go przyjazdu, a epizod nad zgoła niewinną filiżanką kawy bardzo
mnie zmieszał. Ale nie zamierzałam się z tego tłumaczyć niezna-
jomemu. Prawdopodobnie moje zachowanie wydało mu się nie-
uprzejme, może nawet wrogie.

- Nie chciałem być wścibski.

Zaczerwieniłam się. Uśmiech mu zgasł; odniosłam wrażenie,
że go uraziłam.

- Nic się nie stało - odparłam uspokajająco. - A pan? Spędza
tu pan wakacje?

- Nie.

Wcale nie miał większej ochoty mówić o sobie niż ja, potrak-
towałam więc jego odpowiedź jak stanowczą odprawę. Pewnie
uznał, że jestem wyniosła i nie warto się silić na nawiązanie roz-
mowy.

Znów zapadło milczenie.

Zastanawiałam się, co nieznajomy tu robi. Skoro nie przyje-
chał na wakacje, to dlaczego gapił się na mapę w witrynie jak
turysta?

Czarne chmury odpłynęły dalej i na dworze trochę się przeja-
śniło, a deszcz zelżał. Kawiarenka zaczęła pustoszeć. Część gości
wybiegła w pośpiechu, gdy na przystanek na nabrzeżu, gdzie nie-
dawno wysiadłam, zajeżdżał autobus.

Wkrótce autobus ruszył w powrotną drogę do Newcastle,

chlapiąc na bezludne chodniki fontannami deszczówki. Właściciele sklepików i kawiarenek zaczęli jeden za drugim spuszczać żaluzje. Było już po piątej, więc nie opłacało się dalej czekać na klientów, skoro większość jednodniowych wycieczkowiczów odjechała.

Dziewczyna w kraciastym biało-czerwonym fartuszkuz zaczęła sprzątać i wycierać stoliki. Rozejrzawszy się, stwierdziłam, że zostaliśmy w kafejce sami.

- Powinniśmy już iść - odezwał się. - Pani Bertorelli na pewno chce zamknąć.

- Pani Bertorelli? - zdziwił się.

Uśmiechnęłam się i wskazałam kartę, opartą o paterę z serwetkami.

- Tak, proszę: Lodziarnia Bertorellich.

Wziął menu do ręki i przez chwilę uważnie mu się przyglądał. Potem obrócił je kartą tytułową w moją stronę, żebym również widziała litery, i przeczytał:

- Gondola. Skąd pani przysła do głowy ta lodziarnia? Spojrzałam na niego bezradnie.

- Nie wiem...

Rzeczywiście nie wiedziałam. W każdym razie nie byłam pewna. Istniały dwa możliwe wytłumaczenia. Albo ta kawiarenka należała do pani Bertorelli, gdy byłam dzieckiem, a potem zmieniła właściciela, albo tamta, do której chodziłam z ojcem, była bardzo podobna. Skąd jednak miałam wiedzieć, które z tych przypuszczeń jest słuszne, skoro z pierwszych siedmiu lat życia nie pamiętałam dosłownie nic?

- Przestało padać - zauważył. - Śmiało możemy wyjść na dwór. - Popatrzył w niebo, które tymczasem zrobiło się prawie błękitne. Musiało mu ulżyć, że ma pretekst do skończenia tej kulawej rozmowy, przerywanej długimi okresami milczenia.

Wstając, zawadził o walizkę; wcześniej wsunęliśmy ją pod stół. Przechyliła się na bok, zdążył ją jednak złapać, zanim upadła. I nagle stęzał. Nie, nie przywidziało mi się. Pochyliłam się, żeby sprawdzić, w czym rzecz.

Trzymał przywieszkę z nazwiskiem. Był to zwykły reklamowy bibelot ze skaju, dodawany w sklepach do towaru jako pamiątka. Josie dała mi ją w prezencie po powrocie z Teneryfy. Ale mężczyzny nie interesował dowcipny znak firmowy; patrzył na litery.

Josie nie pozwoliła mi tam wpisać adresu, miała bowiem swoją teorię na temat złodziei: w pociągach dalekobieżnych dokładnie oglądają przywieszki do bagaży, a potem okradają domy właścicieli, korzystając z ich nieobecności. Ponieważ moja współlokatorka spędza mnóstwo czasu w pracy, powiedziała mi jasno, że nie życzy sobie zastać okradzonego mieszkania po powrocie do domu. Na przywieszce były więc tylko moje imię i nazwisko: Bethany Lyall. I to właśnie one przyciągnęły uwagę mężczyzny.

Wyprostował się i przeszył mnie wzrokiem. Otworzył szerzej oczy i wtedy przypomniało mi się spojrzenie, jakim obdarzył mnie na promenadzie.

- No, tak... - Westchnął.

Czyżby tylko mi się zdawało, że nagle zapanował między nami chłód? Sekundę później jego twarz nie wyrażała już jednak nic.

- Wobec tego do widzenia... Bethany?

Zawiesił głos tak, jakby chciał, żebym odparła: „Bethany Lyall to nie ja. Pożyczyłam tę walizkę od przyjaciółki”. Naturalnie, nie powiedziałam tego. Wybąkałam jedynie:

- Do widzenia.

Gdy się odwrócił, omal za nim nie zawołałam. Przez moment zwlekał z odejściem, może chciał, żebym go zapytała o imię? Nie, gdyby chciał, mógł przedstawić się wcześniej...

Zamknąwszy za sobą drzwi, mężczyzna oddalił się opustoszałą promenadą. Bolała mnie głowa, więc oparłam czoło o zimną szybę. Widziałam, jak kieruje się na południe, ku miejscu, gdzie zatoka najgłębiej wrzyna się w ląd. Tam mieści się większość hoteli i pensjonatów.

Mimo to wydawało mi się, że jest miejscowy. Bo jeśli nie, to dlaczego tak zareagował na moje nazwisko? Wiedziałam przecież,

że o moim ojcu, Davidzie Lyallu, wciąż myślano tutaj z niechęcią.

- Hej, hej, to ode mnie! - Dziewczyna, która sprzątała stoliki, przyniosła mi świeżą filiżankę kawy.

Wyglądała na siedemnaście, osiemnaście lat i była zdecydowanie ładna. Miała zdrową cerę, zielononiebieskie oczy i ciemne włosy. Jak wskazywała plakietka przypięta do fartuszka, nazywała się Mandy. Uśmiechnęła się do mnie współczująco.

- Dziękuję, ale dlaczego...?

Nie odpowiedziała wprost, tylko poklepała mnie po ramieniu.

- Usiądź i wypij. I pod żadnym pozorem nie goń za nim! - przestrzegła mnie.

- Nie gonić?

- Pewnie, że nie. Jak się posprzeczaście, to trudno. Nie mówię, oczywiście, że facet nie jest wart zachodu, ale pobiec za nim to najgorsze, co mogłabyś zrobić. Wierz mi.

- Jak to?

Przerzuciła sobie koński ogon przez ramię i uśmiechnęła się jak doświadczona kobieta.

- Sporo się w tej pracy naoglądałam i swoje wiem. Za nic nie wolno dawać do zrozumienia, że mają nas na własność!

Wróciła do swoich zajęć za kontuarem, a ja usiłowałam się oswoić z zaskakującym stwierdzeniem, że kelnerce wydaliśmy się dobrymi znajomymi, może nawet kochankami. Uhm, kochankami... nawet nie wiedziałam, jak ten człowiek ma na imię.

Drzwi się otworzyły i do kafejki wtargnęła grupka młodych ludzi, których przedtem widziałam pod arkadami, gdy chowali się przed deszczem. Wnieśli ze sobą zapach mokrego asfaltu, wysychającego w słońcu, które znowu wyszło zza chmur, ostrą woń smażalni ryb i barków z hamburgerami, a przede wszystkim - słony zapach morza.

Spojrzałam na mapę, którą dostałam od pana Simpsona. Dune

House stał na przylądku, wcinającym się w morze kilka kilometrów na północ od Seatoncliffe. Był czas na następny etap podróży, którą rozpoczęłam rano w Londynie. Może zresztą ten czas nadszedł już kilka tygodni wcześniej, gdy dostałam list od adwokatów mojej babki?

Odziedziczyłaś dom? Nie do wiary! - Josie była niesamowicie podekscytowana. - Tylko pomyśl... tyle czasu mieszkam w jednym mieszkaniu z dziedziczką fortuny... Mogłaś mnie uprzedzić! - Odstawiła kubek z kawą, położyła obie dłonie na stole i pochyliła się ku mnie w oskarżycielskim geście, aczkolwiek szeroko się uśmiechała.

- Przecież sama nie wiedziałam. Słowo ci daję... - Wpatrywałam się w gruby kredowy papier firmowy kancelarii Tompkins, Simpson, Brown & Hathaway, znajdującej się na Dean Street w Newcastle. - Notariusze życzą sobie, żebym złożyła im wizytę...

- Jechać z tobą? - Zerwała się z miejsca, jakbym lada chwila miała wyruszyć w podróż.

- Nie! - Zabrzmiało to zbyt stanowczo i chyba uraziło Josie. - Ale nie chodzi mi o to, że nie życzę sobie twojego towarzystwa, tylko o to, że jeszcze sama nie wiem, czy tam pojedę.

- Musisz, Beth! Przecież babka zostawiła ci w spadku rodziną posiadłość. Nie chcesz chyba, żeby przeszła w cudze ręce?

Wcześniej przy naszym kuchennym stoliku przeczytałam jej list od notariuszy. Sedno sprawy leżało w tym, że aby dom stał się moją własnością, musiałam jasno wyrazić chęć jego przejęcia. W innym wypadku mieli go dostać następni w kolejności spadkobiercy; tak samo byłoby, gdybym umarła bezdzietnie jako kobieta niezamężna.

- Może po prostu go sprzedam...

- Nie... daj popatrzeć. - Josie stanęła za mną i zerknęła mi przez ramię. Nie tałam przed nią treści listu, więc nie było to z jej

strony wścibstwo. - Moim zdaniem, nie możesz tego zrobić. - Wskazała jeden z paragrafów. - To chyba oznacza, że masz tam mieszkać, a przynajmniej aż do śmierci zarządzać tym domem. Poza tym, wprawdzie w liście tego wyraźnie nie napisano, ale wygląda na to, że nie będzie ci tam na niczym zbywało!

Spojrzałam na nią niezdecydowanie, a Josie uściśnęła mi ramię.

- Może jednak skorzystasz z zaproszenia i pojedziesz do Newcastle porozmawiać z panem Simpsonem? - nalegała. - Przy okazji będziesz mogła obejrzeć dom. To na pewno ułatwi ci podjęcie decyzji.

Zaczęła wkładać płaszcz, żeby wyjść do szpitala, gdzie pracowała jako przełożona pielęgniarek. Była drobna i schludna, miała naturalnie kręcone kasztanowe włosy. Jej zadbany wygląd zupełnie nie pasował do pobjowiska, które codziennie rano zostawiała po sobie w mieszkaniu.

Stojąc przy drzwiach, jeszcze odwróciła się do mnie i uśmiechnęła.

- Zadzwonić do ciebie do pracy i powiedzieć, że dziś bierzesz wolne?

- Po co miałabyś to robić?

- Bo wyglądasz, jakbyś była w stanie silnego szoku.

- Nie, nie. Tylko trochę boli mnie głowa.

- Wcale się nie dziwię. Na twoim miejscu wzięłabym wolne.

- Wolę nie. Mam dzisiaj poważnego klienta. Patrick powierzył mojej opiece prawdziwą księżną. Muszę być na miejscu.

- Zgoda, ale postaraj się wcześniej wyjść. Dla uczczenia dzisiejszego wydarzenia zamówimy sobie pizzę i kupimy butelkę wina! - Otworzyła drzwi, ale jeszcze raz się zawahała. Znów spojrzała na mnie. - Wiesz, to dziwne. Nigdy mi nie opowiadałaś o babce, a przecież mieszkałaś u niej z rodzicami przez pierwsze siedem lat życia, prawda?

- Tak.

- Babka musiała często o tobie myśleć, skoro zapisała ci dom. Dobrze ją pamiętasz?

- Nie, słabo.

Prawda była taka, że nie pamiętałam nic.

Po wyjściu Josie dopiłam kawę i pozmywałam. Miałam jeszcze dużo czasu, więc napisałam do notariusza babki, potwierdzając odbiór listu. Obiecałam, że będę z nim w kontakcie.

Po studiach plastycznych dostałam pracę w Kensington, w firmie zajmującej się architekturą wnętrz. Udało mi się, bo Patrick Collings wolał zwykle zatrudniać nieco starszych pracowników. Był zdania, że aby sensownie zaprojektować wnętrze czyjeś domu i dopilnować realizacji projektu, należy najpierw samemu trochę pożyć i pomieszkać.

Na szczęście mojateczka z pracami zrobiła na nim wrażenie, zlecił mi więc zastępstwo za jedną z projektantek, która poszła na urlop macierzyński. Wprawdzie za kilka tygodni kontrakt wygasł, Patrick obiecał mi jednak dobre referencje i pomoc w nawiązaniu różnych cennych kontaktów.

Gdy w końcu zdecydowałam się jechać na spotkanie z notariuszem, powiedziałam pracodawcy o śmierci babki i pokrótce przedstawiłam swoją sytuację. Ucieszył się i obiecał, że gdybym chciała zostać na północy kraju, co w jego ustach brzmiało tak, jakbym wybierała się na inną planetę, to będzie mi od czasu do czasu przysyłał zlecenia.

Aż do ostatniej chwili Josie proponowała, że ze mną pojedzie. Zupełnie nie wiedziałam, jak jej odmówić, bądź co bądź nasza przyjaźń zawiązała się w bardzo dramatycznych okolicznościach.

Gdy kończyłam studia, zachorował mój ojciec. Josie była przełożoną pielęgniarek oddziału, na którym spędził swe ostatnie dni. W pracy wyróżniała się niezwykłą sprawnością i życzliwym stosunkiem do ludzi. Mnie również traktowała bardzo ciepło, także potem, po śmierci ojca. Miałam więc poczucie winy, lecz

jednocześnie doznałam ulgi, gdy okazało się, że Josie nie dostanie urlopu. Przeczynałam, że z tym, co czeka na mnie w Seatoncliffe, muszę poradzić sobie sama.

Któregoś poniedziałkowego ranka, pod koniec sierpnia, wyjechałam z Londynu. Jossie uparła się, że przed pójściem do pracy odprowadzi mnie na dworzec King's Cross. Stała na peronie, póki pociąg nie ruszył, wtedy złożyła dłonie w trąbkę i zawołała za mną:

- Pamiętaj, zadzwoń do mnie wieczorem!

Biegła jeszcze chwilę za pociągiem, więc wychyliłam się z okna i odkrzyknęłam:

- Zadzwonię, nie martw się!

Zaraz potem peron został w tyle, a Josie znikła w tłumie podróżnych śpieszących do innego pociągu.

Słońce świeciło w szyby wagonu, w przedziale było ciepło. Bolała mnie głowa, więc kupiłam w bufecie dużą herbatę i spróbowałam się odprężyć.

Po pewnym czasie ból głowy ustąpił. Wzięłam się do czytania magazynu, który kupiła mi Josie. Potem zaczęłam przeglądać szkice i notatki dotyczące renowacji i wyposażenia pewnego niewielkiego domu w Putney.

Klientką była przyjaciółka Josie. Razem uczyły się w szkole pielęgniarskiej, a teraz dziewczyna brała ślub z lekarzem, którego poznała w szpitalu. Josie specjalnie mnie prosiła o ten projekt i traktowała go tak, jakbym wyświadczała jej przysługę, dlatego bardzo mi zależało na tym, żeby nie zawieść pokładanych we mnie nadziei.

Mniej więcej trzy godziny później wyjrzałam przez okno i dostrzegłam zarysy jednego z sześciu sławnych mostów na rzece Tyne. Przejechaliśmy jednak nad rzeką po innym moście i wkrótce pociąg przystanął na głównym dworcu w Newcastle.

Do kancelarii Tompkins, Simpson, Brown & Hathaway wzięłam taksówkę, choć po drodze przekonałam się, że gdybym znała

miasto, z pewnością poszłabym tam piechotą. Wiktoriański budynek w pobliżu Dog Leap Stairs był niegdyś imponujący, w naszych czasach jednakże wszystkie pokoje poprzedzielano ściankami działowymi, i tak powstał ciąg wąskich, wysokich pomieszczeń, wypełnionych nowoczesnymi sprzętami biurowymi.

Pan Simpson powitał mnie zza biurka, które stanowiło jedyny tradycyjny mebel, jaki dostrzegłam po wejściu do tego budynku. Z rozmiarów biurka wywnioskowałam, że pan Simpson musi tu być najważniejszy. Zatem Tompkins prawdopodobnie już nie żył, jako że mój rozmówca wydawał się stary jak świat.

- Chodziłem do szkoły z pani dziadkiem, Ralphem Templetonem, ale, naturalnie, dziadek zmarł na długo przed pani urodzeniem...

Notariusz otworzył dużą szarą kopertę i z namaszczeniem wyłożył na blat biurka kilka kluczy. Każdy z nich miał przywieszkę z kaligraficznym napisem.

- Przypuszczam, że będzie pani chciała obejrzeć ten dom. Wprawdzie testament jeszcze się nie uprawomocnił, nie widzę jednak powodu, dla którego nie miałyby pani tymczasem objąć domu w posiadanie.

- Objąć w posiadanie...? Ma pan na myśli zamieszkanie w tym domu?

- Tak. - Zerknął w jakieś papierzyska. - Elektryczność i woda są podłączone. Poprosiliśmy też sprzątaczkę, panią Doran, żeby nadal wykonywała swoje obowiązki dwa razy w tygodniu. Pani Doran chętnie zgodzi się przychodzić codziennie, może też dla pani gotować, gdyby pani sobie życzyła.

- Och, jeszcze o tym nie myślałam.

Pomyśl, żeby ktoś dla mnie pracował, wydał mi się dziwny. Musiałam okazać zaskoczenie, pan Simpson zmierzył mnie bowiem przenikliwym spojrzeniem.

- Czy nie ma pani nic przeciwko temu, że zapytam, z jakimi zamiarami wyjechała pani dziś rano z Londynu?

Uświadomiłam sobie, że go intryguję. Widocznie dziedziczki majątków zazwyczaj są śmielsze.

- No... - Zawahałam się. - Miałam zamiar spotkać się z panem... porozmawiać... być może spędzić noc w hotelu w Newcastle...

- Tylko jedną noc?

Zarumieniłam się, gdy zatrzymał wzrok na mojej walizce i torbie podróźnej. Staruszek miał bystre oko. Bagaży było oczywiście za dużo, jak na jednodniowy pobyt.

- No, może dwie. Nie wiedziałam, czy nie będzie się pan chciał ze mną widzieć również jutro...

- Nie, jutro nie, to by było za szybko, ale... Czy pani naprawdę nie jest ciekawa? Nie chce pani nawet obejrzeć swojego domu?

- Chyba chcę...

W tej chwili uświadomiłam sobie, co naprawdę zamierzałam. Josie kazała mi przynajmniej obejrzeć Dune House, zanim zdecyduję się zrezygnować ze spadku, i w zasadzie przyznałam jej rację. Teraz jednak zdałam sobie sprawę, że chodzi mi o coś więcej.

Już wiedziałam, po co przyjechałam na północ. Chciałam poznać historię rodziny, odnaleźć swoje korzenie, jeśli można to tak nazwać. Przez wszystkie lata, które spędziłam z ojcem w wynajmowanych mieszkaniach w Londynie, nigdy nie zainteresowało mnie to, że poza nim nie mam żadnych krewnych.

Wiedziałam, że ojciec był sierotą i że moja matka umarła, gdy miałam siedem lat. Wiedziałam też, że żyje matka matki, na każde urodziny bowiem dostawałam od niej kartkę i drobny upominek. Potem ojciec zawsze kazał mi pisać list z podziękowaniem, nigdy jednak nie dodał w takim liście ani słowa od siebie.

Gdy miałam dwanaście lat, zapytałam ojca, dlaczego nie jeździmy w odwiedziny do babci, jak moi rówieśnicy. Spojrzał na mnie badawczo. Byłam jeszcze mała, lecz mimo to odniosłam wrażenie, że chce wiedzieć, czy jest to całkiem niewinne pytanie,

czy też rodzaj próby. Musiał jednak uznać, że po prostu mnie to ciekawi, odpowiedział bowiem:

- Bo babcia mnie nienawidzi. Oni wszyscy mnie tam nienawidzą. Nie ucieszyłyby ich mój widok.

Zdumiałam się. Jak ktoś mógł nienawidzić mojego ojca? Chciałam poprosić o wytłumaczenie, ale w jego szarych oczach dostrzegłam tyle bólu, że tylko objęłam go za szyję pajęczymi ramionami i mocno uściskałam.

- To ja też jej nienawidzę!

Nie odezwał się. Trzymał mnie mocno przy sobie. Spostrzegłam, że płacze.

Myśl, że ktokolwiek może pałać nienawiścią do mojego ojca, wydawała mi się nieprawdopodobna. Był to uroczy człowiek i nasze życie, choć mało zorganizowane, toczyło się bardzo szczęśliwie. Ojciec zaliczał kolejnie słabo płatne, podrzędne urzędnicze posady, zawsze jednak mieliśmy co jeść i zawsze byłam przyzwyczajona ubrana.

A teraz - ni stąd, ni zowąd - ojciec powiedział mi, że gdzieś na świecie są ludzie, którzy go nienawidzą. Nie chciałam znać nikogo, kto żywił do niego takie uczucie, toteż od tej pory moje listy z podziękowaniami, wysyłane do babki, stały się tak krótkie, że aż prawie niegrzeczne.

Wkrótce moje zainteresowanie osobą babki wygasło. To dziwne, ale wówczas w ogóle nie przyszło mi do głowy, że powinnam się zainteresować również matką. Ojciec zaś z własnej inicjatywy nigdy mi nic o niej nie powiedział. Czyżby czekał, aż sama zapytam?

Dużo później zrozumiałam, że gdzieś w głębi duszy oboje zawiązaliśmy spisek milczenia. Był to jedyny sposób na uniknięcie bólu.

Po śmierci ojca musiałam posortować jego rzeczy. Odniosłam przedziwne wrażenie, że ktoś mnie uprzedził.

Czyżby ojciec w przeczcuciu śmierci uporządkował swoje sprawy? Wszystkie nasze zdjęcia były starannie powklejane do albumów, ale z pierwszych siedmiu lat mojego życia zachowało się tylko jedno. Mam je do dzisiaj.

Babka nigdy nie przysyłała do nas kart na Boże Narodzenie. To są bardzo rodzinne święta, bardzo szybko uświadomiłam sobie więc, że moja babka i ojciec nie są dla siebie rodziną.

Na dwudzieste drugie urodziny nie dostałam ani życzeń, ani podarku. Wkrótce potem przyszedł list z zawiadomieniem o spadku, więc widocznie w dniu moich urodzin babka już nie żyła.

Pan Simpson patrzył na mnie z zaciekawieniem.

- Czy ma pani jakieś pytania, panno Lyall? Może coś chciała-
by mi pani powiedzieć?

- Tak... Jest w testamencie coś takiego... Panie Simpson, kim są pozostali spadkobiercy mojej babki?

Staruszek zmarszczył czoło i westchnął.

- To pani Deirdre Templeton i jej córka Sarah, oczywiście -
odparł.

- Templeton? Ale to znaczy...

- Tak, to są krewne pani dziadka. Po tym, jak pani matka... hm... jak pani matka umarła, pozostała pani jedyną żyjącą krewną pani babki, Frances Templeton. Być może więc babka uznała, że gdyby nie chciała pani objąć Dune House, dom powinien wrócić do rodziny Templetonów.

- Przypuszczam, że Dune House odziedziczą Helen i David. Nie ma sprawiedliwości na świecie. Przecież Templetonowie zawsze tu byli... - Ten głos rozległ się nie wiadomo skąd.

Popatrzyłam przenikliwie na pana Simpsona, ale staruszek mówił dalej, jakby nic nie zaszło. Widocznie ten głos rozległ się tylko w mojej wyobraźni. Nie zdążyłam jednak się zastanowić, dlaczego się tak stało, bo staruszek zadał mi pytanie:

- Z pewnością jako dziecko poznała pani rodzinę Templetonów. Mieszkali przez pewien czas w Dune House. Nie pamięta pani tego faktu?

- Ja...? - Znowu rozboleła mnie głowa. W gabinecie było duszno. Z trudem oddychałam.

- Czy pani dobrze się czuje?

- Tak... tylko jestem zmęczona. Wstałam dzisiaj bardzo wczesnie.

- Moja miła, bardzo panią przepraszam, za to karygodne przeoczenie. Powinienem zaproponować pani coś do picia.

- Nie, nie. Dziękuję.

- Nalegam. Może przynajmniej filiżankę herbaty.

Polecił sekretarce przynieść herbatę i ciasteczka. Uwinęła się z tym bardzo szybko, zanim jednak pan Simpson zdążył dolać mleka do herbaty w kwiecistych filiżankach z eleganckiej porcelany, zapomniał, że nie odpowiedziałam mu na ostatnie pytanie.

- Gdyby pani chciała, mogłaby pani wprowadzić się do Dune House jeszcze dziś. - Uśmiechnął się do mnie znad filiżanki. - Weszłaby pani w posiadanie. Prawnicy lubią stan posiadania.

- Czy dlatego, że zasadza się na nim dziewięćdziesiąt procent prawa?

Spojrzał na mnie badawczo.

- Mniej więcej.

Podjęłam decyzję, przynajmniej dotyczącą najbliższej przyszłości.

- Dobrze, panie Simpson. Chyba teraz pojedę do tego domu. Nie jest za późno, prawda?

- Nie, oczywiście, że nie. Dojedzie tam pani autobusem, a dokładniej mówiąc, dwoma. Jedzie się niewiele ponad godzinę. Zaraz wypiszę na kartce potrzebne informacje i naszkicuję plan. Zanim jednak wyruszy pani w drogę, muszę jeszcze wyjaśnić kilka spraw. Chcę też mieć całkowitą pewność, że dobrze pani rozumie postanowienia testamentu.

Byłam bogata. Gdy pan Simpson skończył klarować mi zawilości ostatniej woli babki, uświadomiłam sobie, że moje życie już nigdy nie będzie takie, jakie było.

Część majątku miałam prawo sprzedać. Tym terenem interesował się zresztą miejscowy biznesmen, Paul Mitchell. Ale by dostać cały spadek, musiałam zobowiązać się do zatrzymania Dune House.

Gdy wyszłam z kawiarenki, świeciło słońce, ale robiło się coraz zimniej. Na własnej skórze przekonałam się, jak chłodne bywa lato na północno-wschodnim wybrzeżu. Fala na morzu była krótka i mocna, widziałam grzywy piany. Wiatr wiał ze wschodu, od Półwyspu Skandynawskiego.

Po niebie przesuwały się jeszcze szare chmury, nad wodą ptaki z przeraźliwym wrzaskiem zataczały kręgi, niczym szybowce wykorzystując prądy powietrza. Przeszył mnie dreszcz. Jak sięgam pamięcią, nigdy nie lubiłam krzyków mew.

Postój taksówek znajdował się na rogu, obok niewielkiego

sklepu ze wszystkim, który wciąż jeszcze był otwarty. Ociekająca markiza w zielono-białe paski chroniła skrzynki z owocami i warzywami, ułożone na drewnianym stojaku przed wejściem. Były tam jabłka, pomarańcze, oczyszczona marchew, ciemnozielone główki kapusty, a obok fioletowe oberżyny i szkarłatna papryka. Jaskrawe barwy wpadły mi w oko. Zawahałam się.

Przez otwarte drzwi zobaczyłam istną grootę Aladyna: pełne półki towarów, a w kącie migotliwą piramidę butelek z winem, od podłogi aż po sufit. Dookoła unosił się dyskretny aromat egzotycznych przypraw. Nagle uprzytomniłam sobie, że jeśli zamierzam pomieszkać w Dune House, muszę kupić coś do jedzenia.

Za ladą stał młody książę w dzinsach i bladoniebieskim bawełnianym podkoszulku. Trudno byłoby określić tego Azjatę innym wyrazem niż piękny, chociaż mimo delikatnych rysów, stanowczo nie wydawał się kobiecy. Zadatki wąsika dowodziły, że wchodzi w wiek męski, a kiedy mnie powitał, w jego głosie pobrzmiewały pewność siebie, zawodowa uprzejmość i, ku mojemu rozczarowaniu, wyraźny miejscowy akcent.

Kupiłam herbatę, kawę, mleko, chleb i inne podstawowe artykuły, jak również parę mniej podstawowych, na przykład herbatniki w czekoladzie i butelkę wina.

Młody człowiek zapakował wszystko do kartonowego pudła, a gdy płaciłam za towar, zmrużył oczy i zaczął mi się przyglądać tak, jakby usiłował skojarzyć mnie z jakimś konkretnym miejscem. Zaraz jednak spostrzegł, że to zauważyłam, i uśmiechnął się.

- Pani daleko? - spytał.

- Do Dune House. Wie pan, gdzie to jest? Parę mil stąd na północ.

Moje słowa niewątpliwie wywołały reakcję, ale młody człowiek usiłował ją za wszelką cenę ukryć. Zdziwiło mnie to, nie zdążyłam się jednak nad tym zastanowić, bo szybko mi odpowiedział:

- Tak, po drodze do latarni morskiej. - Mówiąc, przechylał

głowę na bok, po czym zaraz ją prostował. Zorientowałam się, że ma taki nawyk. - Nasz autobus jeździ tamtędy co dwadzieścia minut, ale z tymi bagażami powinna pani jechać taksówką.

- Właśnie miałam taki zamiar.
- Zaraz sprowadzę taksówkę.
- Dziękuję, nie warto. Tu obok jest postój.
- Wiem, mój brat jest właścicielem firmy, do której należą te taksówki. - Uśmiechnął się i znikł na zapleczu. Usłyszałam, jak otwiera drzwi i woła coś w obcym języku.

Po chwili wrócił.

- Imran zaraz będzie czekał na panią przed sklepem. A ja nazywam się Ahmed. Ahmed Hussain. Dołączę do pani zakupów wizytówkę. Gdyby życzyła sobie pani wezwać taksówkę albo zamówić coś ze sklepu - zatoczył ręką luk - to proszę dzwonić.

Jego starszy brat miał bardziej azjatycki akcent i lepiej pasował do kanonu przystojnego mężczyzny, a poza tym był równie uprzejmy jak Ahmed. Pomógł mi zanieść zakupy i bagaż do samochodu. Patrząc na jego modne kremowe spodnie i koszulkę polo w podobnym kolorze, znów bardzo boleśnie zdałam sobie sprawę ze swego wyglądu. Klasyczny prosty komplet, który wydawał mi się idealny na podróż i wizytę u notariusza, aż się prosił o prasowanie.

Do Dune House dojeżdżało się wąską drogą biegnącą wzdłuż krawędzi klifów, tak że przez cały czas miało się widok na morze.

- To jest Wybrzeże Wikingów... Tam, za morzem są Norwegia i Dania.

Imran przyglądał mi się we wstecznym lusterku, gdy tylko sądził, że nie patrzę. Jednocześnie przez cały czas mówił:

- Nazywa się je też Wybrzeżem Dziedzictwa. Słynie z piękna natury i dlatego bardzo dobrze pani do niego pasuje.

Roześmiałam się.

- Powtarza pan to wszystkim dziewczynom, prawda?
- Tylko ładnym!

Spojrzał na mnie spod przymrużonych powiek i zapewne

podobnie jak brat próbował mnie skojarzyć z jakimś miejscem. Czyżby zdawało mu się, że mnie zna, czy też była to zwykła ma-
lomiasteczkowa ciekawość?

Tak czy owak, po chwili wzruszył ramionami i ponownie wbił wzrok w drogę. Zapadło milczenie, a ja zaczęłam przyglądać się morzu. Przypomniał mi się mężczyzna stojący przed mapą i wpa-
trujący się w nią tak intensywnie, że zdawał się nie zauważać deszczu...

Wtedy Imran odezwał się znowu.

- Proszę spojrzeć, Dune House.

Wyciągnęłam szyję. Dom stał samotnie na przylądku. Od pana Simpsona wiedziałam, że zbudował go w połowie dziewiętnastego
wieku przodek rodziny Templetonów, który zbił majątek na fa-
bryce amunicji nad rzeką Tyne. Wykupił stary klasztor, opusto-
szały po kasacie zakonu, i postawił tam wiktoriańskie gmazysko.

Nie było takie wielkie, jak się obawiałam, wyraźnie jednak
dominowało nad całym przylądkiem. Miało wieżyczki i krenelaż; i
choć nikt nie przypuściłby, że pochodzi z dawnych wieków, nie-
zaprzeczalnie robiło wrażenie.

Na tle pastelowego, pogodnego nieba szary piaskowiec pre-
zentował się znakomicie. Można było wziąć Dune House za jeden
z normańskich zamków, które stoją od wielu stuleci nieco bar-
dziej na północ.

Przed domem nie było parkingu, wypiełgnowanego ogrodu
ani statecznej alei wysadzonej drzewami. Za niskim murem cią-
gnęła się płaska jak stół murawa, a do domu prowadziła od bramy
szeroka żwirowa droga. Podjazd rozwidłał się i jedna odnoga
biegła za dom, poleciłam jednak Imranowi zatrzymać samochód
przed frontowymi drzwiami.

Imran stanął razem ze mną na schodkach przed drzwiami i
przyglądał się, jak wyciągam z torebki pęk kluczy, opatrzonych
schładnie wykonanymi przywieszkami.

- Ma pani klucz?

- Mhm. - Skoncentrowałam się na wyborze właściwego i
przekręceniu go w zamku.

- Będzie pani mieszkać w domu pani Templeton? Znała ją pani? - Ciekawość wreszcie go przemogła, toteż pytania padały teraz jedno za drugim.

Odwrociłam się do niego z uśmiechem.

- Pani Templeton była moją babką.

Zrobił zdziwioną minę.

- Czy coś się stało? - spytałam.

- Nie, nie. Proszę mi wybaczyć, nie powinienem pani tak wy-
pytywać, ale po prostu nie wiedziałem, że pani Templeton miała
jeszcze jedną wnuczkę.

- Znał pan moją babkę?

- O, tak. - Przechylał głowę na bok jeszcze wyraźniej niż jego
brat. - Pani Templeton korzystała z taksówki i czasem prosiła o
przywiezienie czegoś ze sklepu. Zawsze żartowała, że nie prze-
szkadzają jej nasze bandyckie ceny, bo przynajmniej ma pewność,
że usługa jest najwyższej jakości.

Imran ją lubił. Jego pełen sympatii uśmiech był nie do pogo-
dzenia z moim wyobrażeniem o babce, która nie tylko nienawi-
dziła mojego ojca, lecz również, jak mi się zdawało, buntowała
przeciwko niemu innych ludzi. Kobieta ze wspomnień Imrana
zupełnie do tego obrazu nie pasowała.

Zaraz jednak jego uśmiech stopniał.

- To było bardzo smutne... Żeby człowiek umierał w ten spo-
sób...

- No... owszem.

Pierwszy raz przyszło mi do głowy, że nie mam pojęcia, w jaki
sposób zmarła moja babka. Pan Simpson pominął ten temat, a ja
nie zapytałam. Poczulałam się niezręcznie. Imran z pewnością po-
myślał sobie, że jestem bez serca. Rzeczywiście, na jego twarzy
malował się w tej chwili łagodny wyrzut.

- Nigdy jej pani nie odwiedzała?

- Nie. To znaczy od dawna nie...

Odwrociłam się do niego plecami i pchnęłam drzwi, ale zanim
przestąpiłam próg, jeszcze się zawahałam. Czyżby bujna wy-
obraźnia podsunęła mi myśl, że otwarcie drzwi tego domiszcza
wywoła ducha babki?

Sień była pusta.

Po chwili weszliśmy do pomieszczenia stanowiącego pomniejszoną kopię średniowiecznej wielkiej sieni. Ściany były wyłożone dębową boazerią, a dookoła biegła galeria. Światło wpadało przez wysokie witrażowe okno nad podestem schodów; jego barwy mieszały się z kolorami tradycyjnego tureckiego dywanu.

Od śmierci babki nikt w tym domu nie mieszkał, ale nie unosił się w nim zaduch, a wewnątrz wyglądało sucho i czysto. Było jednak zimno, i może dlatego zaczęłam drżeć.

Imran zaniepokoił się.

- Czy dobrze się pani czuje, panno Lyall? - Widocznie i on przeczytał nazwisko na przywieszce mojej walizki.

- Dobrze, ale tu jest zimno. Chyba mi się nie wydaje?

Był zbyt dobrze wychowany, by zaprzeczyć.

- Owszem. Jeśli pani pozwoli, sprawdzę, jak włącza się ogrzewanie.

- Ogrzewanie?

Uśmiechnął się szeroko i wskazał brązową kratę wystającą z jednej ze ścian.

- Tak, proszę spojrzeć na to zgrabne urządzenie. Ma tu pani grzejnik. Musimy tylko znaleźć ogrzewacz.

Był w składziku za kuchnią. Imran go uruchomił i nastawił wyłącznik czasowy. Potem wniósł do środka moje zakupy i położył wszystko na stole w kuchni.

Kiedy zapłaciłam mu za przejazd, ruszył do wyjścia. Na progu przystanął.

- Gdyby pani czegoś potrzebowała, proszę zwyczajnie...

- Wiem, pański brat dał mi wizytówkę.

Wsiadł do samochodu i odjechał. Zamknęłam za nim drzwi i oparłam się o nie, żeby zebrać siły. Wiedziałam, co mnie teraz czeka.

Od chwili gdy wyciągając szyję w taksówce, zobaczyłam Dune House, miałam nadzieję, że widok domu obudzi we mnie wspomnienia lat, które tu spędziłam. Do tej pory nie przypominało mi się nic. Wytłumaczyłam sobie jednak - niezbyt przekonująco - że

w dzieciństwie nigdy nie podjeżdżałam do tego domu samochodem.

Nie pamiętałam nawet, czy mój ojciec miał samochód. Jeśli nie, to możliwe, że nigdy w życiu nie widziałam Dune House z tamtego miejsca.

Czy spodziewałam się nagłego olśnienia po otwarciu drzwi? Hm, nawet jeśli tak, to na próżno. Postanowiłam zatem obejrzeć dom, zbadać wszystkie jego zakamarki, w nadziei znalezienia czegoś, co obudzi moją pamięć.

Dopiero teraz pozwoliłam sobie na myśl, że w przeszłości mogło się stać coś strasznego. I właśnie przez to coś moje wspomnienia z dzieciństwa całkowicie się zataryły.

Pustka.

Dzierżąc klucze, które pan Simpson skrupulatnie opisał, otwierałam jedne drzwi za drugimi. Przechodziłam korytarzami, wspinałam się po schodach, szukałam następnych pokoi. Zapaliłam wszystkie światła, zerknęłam do szaf i komód, wyrzesałam przez wszystkie okna.

Pustka. Nie przypominało mi się nic.

Bez trudu zorientowałam się, w którym z pokoi babka przebywała najczęściej. Wciąż leżały tam jej rzeczy. Do mnie należało je uporządkować, tymczasem jednak po prostu zamknęłam drzwi.

Żaden z pozostałych pokoi nie zdradzał oznak użytkowania na stałe. Nie sposób było odgadnąć, który należał do moich rodziców, a który do mnie.

W pewnej chwili stanęłam u szczytu schodów i zamknęłam oczy z nadzieją, że instynkt popchnie mnie we właściwą stronę, że nogi poniosą mnie tam, gdzie z pewnością często chodziły, gdy tu mieszkalam.

Zauważyłam jednak tylko, że w tym wielkim domu nigdy nie panuje absolutna cisza. Dolatywał mnie pogłos tykania dziadkowego zegara w sieni. Od czasu do czasu do czasu włączał się kocioł, a rozgrzewające się rury wydawały niepokojące trzaski.

Na dworze zerwał się wiatr; zawodził przy narożach domu

i bił w szyby. Postanowiłam przerwać poszukiwania śladów przeszłości.

Wprawdzie nie dowiedziałam się nic o sobie, zdobyłam za to trochę informacji o swoich przodkach. Potem doszła do nich jeszcze ta, że William Templeton, przemysłowiec z czasów wiktoriańskich, który zbudował Dune House, był ciężko pracującym człowiekiem. Samouk, dzięki talentowi wykształcił się na inżyniera i podczas wojny krymskiej zbił majątek na fabryce amunicji.

Pierwszego dnia wydało mi się jednak, że Dune House musi być dziełem nagle wzbogaconego człowieka. Wiedziałam dostatecznie dużo o historii architektury i wnętrz mieszkalnych, żeby natychmiast zauważyć, że autor projektu chciał dodać sobie kilka wieków tradycji rodowej.

Był to pastisz architektury gotyckiej, elżbietańskiej i czegoś jeszcze starszego. Miało się wrażenie, że William Templeton nakazał architektowi zaprojektować dom przypominający średnio-wieczny dwór, który przez stulecia rozbudowano. Podest schodów wyglądał jak miejsce dla minstreli, a witrażowe okno przedstawiało zbroję.

Na szczęście jednak twórca majątku rodziny był człowiekiem praktycznym. Miał zapewne sentymentalne ciągoty do szlachectwa, zarazem jednak jako ciężko pracujący człowiek tęsknił do wygod. Mimo dość ekscentrycznego sztafażu dom zaprojektowano proporcjonalnie i tak, że można było nim zarządzać bez armii służących. Wnętrze miało klimat rodzinnego gniazda.

Babka najwyraźniej odnowiła dom i zmieniła wystrój wszędzie tam, gdzie uznała to za stosowne. Wszystko było solidne, wygodne i praktyczne, a końcowy efekt raził przypadkowością. Był to całkowity melanz barw i stylów.

Rozglądając się po domu, nieustannie miałam ochotę wykorzystać swoje umiejętności. Pozwoliłam więc wyobraźni na szaleństwo i pohamowałam się, dopiero gdy uświadomiłam sobie, że wydałam już kilka tysięcy funtów. Zaraz potem przyszło mi do

głowy, że teraz nie byłby to już dla mnie problem, pod warunkiem że zostałabym w Dune House.

Wreszcie zgłodniałam. Pudło z zakupami wciąż leżało na stole w kuchni, więc musiałam je rozpakować i porozkładać wszystko na półkach. Gdy się z tym uporałam, byłam zmęczona, poprzestałam więc na przygotowaniu przekąski na zimno i zaczęłam się rozglądać za miłym miejscem, gdzie można byłoby ją zjeść.

Podparłszy tacę biodrem, zapaliłam światło i omiotłam spojrzeniem obszerny salon. Wcześniej zauważyłam tam na jednej ścianie troje przeszklonych drzwi.

Odstawiwszy tacę na stolik przy kominku, podeszłam, by je zasłonić. Story były pieczołowicie udrapowane, po bokach przytrzymane sznurowymi pętlami. Mocowałam się chwilę z zaczepami, w końcu uznałam, że story są bardziej na pokaz niż do użytku, i zrezygnowałam. W promieniu wielu mil nie było innego domu. Nikt mnie tu nie mógł podejrzeć.

Za przeszklonymi drzwiami było widać teren za domem. Z kamiennego tarasu schodziło się po schodach do dużego zapuszczonego ogrodu. Mając w pamięci surową monotonię murawy od frontu, bardzo zdziwiłam się tą eksplozją bujnej zieleni.

Nie bałam się o przekąskę, że mi wystygnie, więc poszłam po klucze do ogrodu. Po niedawnym deszczu powietrze tchnęło świeżością. Zapach róż i mokrej ziemi mieszał się ze słoną wonią morza.

Nie znam się na ogrodnictwie, bo mój ojciec nie trzymał w domu ani jednej rośliny, ale mimo to natychmiast spostrzegłam, że tu pan Simpson popełnił niedopatrzenie. Od śmierci babki nikt ani razu nie skosił trawników, a kwiaty wyglądały tak, jakby rosły same sobie. O dziwo, ten obraz zaniedbania bardzo mnie poruszył.

Powoli zmierzchało, więc cienie starych drzew stawały się coraz dłuższe, dostrzegłam jednak między nimi w głębi ogrodu coś,

co wyglądało jak letni domek, przyklejony do muru otaczającego posiadłość.

Drzwi domku kołysały się na zawiasach. Szarpane porywami wiatru, uderzały o futrynę z żalonym skrzypieniem. Postanowiłam je zamknąć, ruszyłam więc w dół po schodach.

Zaskoczyło mnie, że nagle uznałam to za swój obowiązek. Jeszcze chwilę wcześniej było mi absolutnie wszystko jedno, co się dzieje w Dune House. Czyżbym zaczęła się poczuwać do odpowiedzialności za spadek?

W połowie schodów przystanąłam. O zmierzchu zdarza się, że wzrok płata człowiekowi figle. Wydało mi się, że w głębi ogrodu widzę jakiś cień, ciemniejszy niż inne, przesuwany się na ich tle. Drzwi letniego domku trzasnęły raz jeszcze, tym razem jednak pozostały zamknięte.

Mewy krążyły nad domem, a ich krzyki w półmroku brzmiały dość złowieszczo. Spojrzałam z lękiem na ptaki i zobaczyłam światła Dune House, mojego domu. Przyzywały mnie z powrotem trzy świetliste smugi na tarasie. Szybko weszłam do środka i zamknęłam za sobą drzwi. Serce waliło mi jak młotem.

Beth, tak się martwiłam! Czemu dopiero teraz dzwonisz? Czy wszystko w porządku? Masz jakiś taki śmieszny głos... drżący...

- Wszystko dobrze, tylko trochę zimno.

Stałam w sieni ze słuchawką przy uchu. Przeżycie w ogrodzie bardzo mnie wystraszyło, chociaż nie mogłam dociec dlaczego. Ruchome cienie o zmierzchu, drzwi letniego domku miotane wiatrem, wrzask mew - wszystko to wydało mi się dosyć niesamowite. Poza tym byłam zupełnie sama, z dala od domu. Pewnie właśnie dlatego czułam się tak niewyraźnie.

Nadal myślałam o maleńkim mieszkaniu w Fulham jak o swoim domu. Do Josie poszłam zatelefonować natychmiast, gdy zamknęłam za sobą drzwi do ogrodu. Ulga, jaką usłyszałam w jej głosie, była dla mnie jak wyrzut sumienia.

- Słowo daję, że wszystko gra, tylko przemarzałam i jestem zmęczona. Przepraszam, że wcześniej się nie odezwałam, ale nie miałam ani jednej wolnej chwili.

- No, i co? Jaki jest ten dom? - Josie wydała mi się tak podkscytowana i żadna wiadomości, że zrobiło mi się nieprzyjemnie. Wiedziałam, że ją urażę, jeśli nie złożę natychmiast szczegółowej relacji, ale naprawdę byłam zmęczona.

- Och, za dużo by opowiadać. Posłuchaj, Josie. Napiszę do ciebie długi list ze szkicami, obiecuję. Ale tymczasem jestem zmęczona... Rozumiesz mnie chyba, Josie?

- Tak, tak, oczywiście... - Przygaszony głos zdradził jednak, że jest urażona.

Powiedziała mi już tylko, żebym na siebie uważała, a ja podałam jej swój numer i odłożywszy słuchawkę, wróciłam po tacę z przekąską.

Centralne ogrzewanie nie działało jeszcze dostatecznie długo, by w wielkim pokoju zrobiło się ciepło, więc napaliłam w kominiku. Gazowy kominiek był doskonałą imitacją prawdziwego. Nastawiłam wyłącznik na pełną moc i już wkrótce żarzyły się sztuczne bryłki węgla, a płomienie rzucały migotliwe odblaski.

Przysunęłam do kominka wielkie krzesło i postawiłam obok stolik. Przygotowałam sobie na kolację krakersy z masłem, ser, świeże morele, herbatniki w czekoladzie i ciasto z owocami. Był to bardzo obfity posiłek, prawie jak uczta o północy.

W kuchni znalazłam korkociąg, ale nie było kieliszków do wina. Zamiast jakiegoś poszukać, zadowoliliłam się szklaneczką.

Wino kupowała zwykle Josie, gdzieś koło szpitala. Stanąwszy przed zapchaną półką w sklepie Hussaina, w ogóle nie wiedziałam, co wybrać. W oko wpadła mi efektowna nalepka przedstawiająca francuski zamek. Ahmed zapewnił mnie, że to znakomity wybór.

Picie wina w samotności miało miły posmak czegoś zakazanego. Zaczęłam się odprężyć.

Niespodzianie znowu przypomniałam sobie mężczyznę, którego

spotkałam w Seatoncliffe. Być może spowodowała to druga szklaneczka wina, w każdym razie zaczęłam fantazjować, że widzę go naprzeciwko, jak je kolację razem ze mną.

Siedzi na podłodze, beztrudnie wyciągając w moją stronę długie nogi, i rozkoszuje się ciepłem płynącym od kominka. Ciemne włosy już mu wyschły i poskręcały się w niesforne kędziory. Unosi szklaneczkę, a podświetlone wino czerwieni się jak rubin. Potem odstawia szklaneczkę i kładzie dłoń na mojej dłoni... Patrzę mu w oczy...

I na tym, oczywiście, romantyczna wizja się skończyła. Gdy spojrzałam mu w oczy, zobaczyłam tylko chłód i nieufność, które pojawiły się tam, gdy mężczyzna przeczytał na przywieszce, jak się nazywam.

Westchnęłam i przestałam oddawać się marzeniom.

Na dworze wciąż gwizdał wiatr, znowu zaczął padać deszcz. Słyszałam rytmiczne bębnienie o szyby, ale że byłam teraz rozgrzana i syta, doszłam do wniosku, że najważniejszą decyzją w ciągu najbliższych minut jest dla mnie wybór sypialni.

Pożałowałam, że nie zrobiłam tego przed kolacją, bo teraz byłam rozleniwiona, senna, i nie chciało mi się ruszyć. Pomyślałam, że nie zaszkodzi, jeśli na chwilę przymknę powieki.

Ale zanim jeszcze odpłynęłam w krainę snu, przypomniało mi się coś niepokojącego. Coś, co powiedział Imran. Tylko co...?

Wciąż jeszcze usiłowałam to sobie uzmysłowić, gdy wino, ciepło i zmęczenie pokonały mnie ostatecznie. Zasnęłam przed kominkiem.

Patrzyła na mnie...

Miałam mocno zaciśnięte powieki i udawałam, że śpię, ale wyчуłam tę chwilę, w której wślizgnęła się do mojego pokoju i teraz wyraźnie słyszałam jej oddech, gdy stała nade mną.

Ukryłam się tu, żeby się od niej uwolnić, ale wyczekała, aż ułoży się z lalkami przy ogniu, i przyszła mnie tyranizować.

- Beth... Bethany, otwórz oczy. Wiem, że nie śpisz!

Niechętnie usłuchałam. Stała wsparta pod biodra; w niebieskich oczach żarzyły jej się ogniki pogardy. Chociaż była drobna i za niska jak na swój wiek, miała cztery lata więcej niż ja, więc odkąd przyjechałam tu z początkiem wakacji, uznała się za przywódczynię.

- Idź sobie. Jestem zmęczona.

- Czym masz być zmęczona? Jest dopiero druga po południu!

- Jestem zmęczona, bo wczoraj wieczorem nie dałaś mi spać!

Markowałam przez nią pół nocy, a powtarzało się to regularnie, odkąd przyjechała. Co wieczór zjawiała się w moim pokoju pogadać i poopowiadać różne historie. Początkowo bardzo mnie to ekscytowało, uwłaszcza gdy w środku nocy schodziłyśmy na dół pobuszować w spiżarni.

- W internacie zawsze mamy uczty o północy. Zjemy w twoim pokoju. U ciebie jest o wiele wygodniej niż na strychu, tam gdzie mi kazali mieszkać!

Byłam zauroczona Sarą i jej znajomością świata, nie ograniczającą się bynajmniej do domu babki w Seatoncliffe, tego popołudnia jednak czułam się wykończona i nawet zaczęłam się zastanawiać, kiedy Sara z matką wreszcie wyjadą.

- Chodźże, nie możesz tu leżeć cały dzień. Umówiłam się w letnim domku z Cygusem.

Usiadłam z wrażenia.

- Nie nazywaj go tak, on tego nie lubi.

- Będę go nazywać, jak mi się podoba - odparła, zadzierając nosa. - I pośpiesz się, bo przez ciebie Cygus będzie czekał.

Normalnie zrobiłabym tak, jak mi казаła, zwłaszcza że lubiłam naszego nowego kolegę, smukłego, śniadego chłopaka, który zawsze się uśmiechał i traktował Sarę oraz mnie z wielką wyrozumiałością. Miał czternaście lat, więc z mojego punktu widzenia był

prawie dorosły, a jednak wydawał się zadowolony z tego, że pozwala Sarze sobą rządzić. Natomiast ja przeważnie włościłam się za nimi. Tego dnia byłam jednak nie w sosie.

- Nie wolno nam się bawić w letnim domku, to jest niebezpieczne.

- E tam! Gadają tak, bo nie chcą, żebyśmy chodziły do klasztornego ogrodu. No, więc jak? Idziesz do Cygusa czy nie?

- Nie idę. A ty nie powinnaś się tam z nim umawiać. Jak cię złapią, narobisz kłopotów i sobie, i jemu.

- No, to siedź sobie tutaj, dzieciaku! Mała Bethany boi się bawić z cygańskim chłopakiem! - Odwróciła się i odeszła.

W pokoju zawirował podmuch niosący drobinki deszczu i zaraz Sara z trzaskiem zamknęła za sobą drzwi do ogrodu.

Zbudziłam się, wciąż mając w uszach to trzaśnięcie drzwi. Serce biło mi jak szalone, a ja kurczowo zaciskałam dłonie na poręczach krzesła. Natychmiast uprzytomniłam sobie, że śniłam, a jednak ten dźwięk wydawał mi się częścią rzeczywistości, a nie echem sennych wyobrażeń.

Rozejrzałam się. Wszystko wyglądało normalnie. W kominku palił się ogień, taca z resztkami mojej kolacji stała na stoliku, a drzwi do ogrodu... Zmusiłam się, by spojrzeć w tamtą stronę.

Na dworze panował mrok, więc przez pomazane deszczem szyby nic nie widziałam. Wstałam i omal z powrotem nie usiadłam, zaskoczona ostrym bólem w kostce.

Na chwilę zastygłam, póki ból nie ustąpił. Potem podeszłam do drzwi. Klucz z przywieszką wciąż tkwił w dziurce. Pamiętałam, że po powrocie do domu go nie przekreśliłam.

Sięgnęłam do klucza i zatrzymałam rękę w pół gestu. Zauważyłam wodę na parkiecie, zupełnie jakby wiatr naniósł deszczowych kropli, w czasie gdy drzwi były otwarte.

Czyżby deszcz zaczął padać, zanim wróciłam z ogrodu?

Pewnie tak. Próbowałam sobie to przypomnieć, ale moją uwagę zaprzątnęło coś zupełnie innego.

Stałam twarzą do wnętrza pokoju. Zobaczyłam piękne, choć wyblakłe kolory perskiego dywanu na podłodze, dopasowane do niego perkalowe narzuty na fotele, dębową boazerię, sięgającą połowy wysokości ścian, lustro w złożonej ramie, wiszące nad kominkiem, ornament na suficie utrzymany w stylistyce czasów Jakuba I i kandelabr z połączanego brązu. Z upływem lat ten pokój prawie wcale się nie zmienił.

Wiedziałam, że nawet gdybym zamknęła oczy, potrafiłabym go opisać, czułabym jego proporcje. Wreszcie mogłam go zobaczyć oczami dziecka, które kiedyś tu mieszkało. Odzyskałam.

Naturalnie, pamiętałam o wiele więcej niż tylko ten pokój. We śnie pojawiła się przecież także osoba, która mieszkała w tym domu razem ze mną.

Dlaczego to musiała być akurat ona? Dlaczego pierwszą postacią, jaka mi się przypomniała, była Sara, powszechnie uważana za drugą wnuczkę Frances Templeton, choć w rzeczywistości była jej dalszą krewną?

Następnego ranka zbudziły mnie wrzaski mew i szum fal, przetaczających się po kamieniach. Mój pokój miał okna z widokiem na morze. Po pierwszym przeblysku pamięci trafiłam do niego bez wahania. Widocznie coś się w mojej głowie odblokowało, bo teraz pamiętałam już i resztę domu.

Wyglądało to tak, jakbym nagle uzyskała dostęp do brakujących danych w komputerowym programie, zapisanym w podświadomości, a wszystko dzięki temu, że wybrałam na klawiaturze odpowiedni kod. Tylko co było tym kodem? Czy następstwo

czynności, to wszystko, co zrobiłam po wejściu do Dune House, czy po prostu obecność w tym domu? I jak długo potrwa, zanim wróci mi pamięć o innych ludziach i tym, co robili?

Wieczorem, po zamknięciu drzwi do ogrodu, nie zostałam już długo na dole. Zgasilałam gaz w kominku, zaniaosłam tacę do kuchni i z bagażem w rękach poszłam na górę. Do mojej dawnej sypialni przylegała łazienka, a w komodzie leżała czysta pościel.

Odkąd spałam tam ostatni raz, wystrój pokoju się zmienił, mimo to nie miałam poczucia, że jestem w obcym miejscu albo w obcym łóżku. Położyłam się bardzo szybko i nie pamiętam żeby mi się cokolwiek jeszcze śniło.

Oczywiście, scena gniewnego wybuchu Sary nie była tylko grą sennej wyobraźni. Był to rzeczywisty epizod, który nagle przypominał mi się jak obraz ze starego filmu. A rano wróciły do mnie słowa narzekania Sary.

U ciebie jest o wiele wygodniej niż na strychu, tam gdzie mi kazali mieszkać!

Zdawało mi się, że słyszę jej dziecięcy, ostry głos, który, jak teraz sobie uświadomiłam, był echem starszego i bardziej wyrobionego głosu, którym ktoś, również często, wygłaszał zgryźliwe uwagi.

Pora była jeszcze bardzo wczesna, lecz mimo to wstałam z łóżka, włożyłam szlafrok i poszłam schodami na północną wieżę.

Zajrzałam tam, oczywiście, poprzedniego wieczoru, ale teraz, gdy tylko otworzyłam drzwi i weszłam do środka, usłyszałam nosowy głos ciotki, wspomnienie z dnia jej przyjazdu z Sarą...

Na miłość boską, Helen, dlaczego wygoniłaś to biedne dziecko na strych? Odpowiedziała jej moja matka: - Ależ Deirdre, myśleliśmy, że Sarze się spodoba na samym szczycie wieży. Chcieliśmy jej

sprawić przyjemność. Zwłaszcza że mieszkasz tuż pod nią, więc macie jakby prywatny apartament, z osobną łazienką. Zawsze możecie zamknąć na klucz drzwi u podnóża schodów, żeby nikt wam nie przeszkadzał.

- I jeszcze dlatego, żebyśmy nie przeszkadzały tobie. Wiem, jak cię musi irytować, że masz w domu ubogich krewnych, tym bardziej że David właśnie zaczyna odnosić sukcesy, ale nie musisz tego tak podkreślać!

Ciotka była śniada i elegancka, jednak w tej chwili gniew upstrzył jej twarz brzydkimi plamami.

Moja matka, drobna, niebieskooka, z długimi jasnymi włosami, związanymi w koński ogon, wyglądała tak jak na jedynym zdjęciu, którego ojciec chyba nie był w stanie zniszczyć. Z jednym wyjątkiem - fotografia nie pokazywała, że matka jest w ciąży.

Ale w dniu kłótni z ciotką o pokój w wieży ciążę już było widać. W luźnej letniej sukience matka miała wyraźnie zaokrągloną figurę. Stała, trzymając się za krzyż, i przyglądała się kuzynce z nie ukrywanym zniecierpliwieniem.

- No wiesz, Deirdre! Zawsze jesteś tu mile widziana...

- I tak powinno być! - syknęła ciotka.

Odkąd weszliśmy do pokoju, Sara nie odezwała się ani razu, ale nie spuszczała z oczu mojej matki. Słuchała każdego jej słowa w absolutnym skupieniu.

Na scenę weszła nowa postać.

- Czy jest jakiś problem? - To był głos mojej babki. Wszystkie zgodnie odwróciłyśmy się. Babka była o wiele wyższa od mojej matki. Musiała wtedy mieć już swoje lata, mimo to jej włosy nie straciły jeszcze kasztanowego odcienia i wciąż lśniły. Była piękna i władcza; przebywanie z nią ekscytowało, lecz jednocześnie napałowało lękiem. Gdy babka krzyżowała miecze z matką, ojciec i ja uciekaliśmy daleko na wzgórze.

Tego dnia jednak babka z matką były w przymierzu.

- Deirdre jest niezadowolona ze swoich pokoi, mamó. Uważa,

że ukryłyśmy ją w wieży, bo wstyd nam za jej męża łajdaka.

Gdy zobaczyłam, jaki efekt wywarły te słowa na Deirdre i Sarze, pomyślałam, że matka nie powinna dać się sprowokować. W złości całkiem traciła zdrowy rozsądek. Teraz też posunęła się stanowczo za daleko.

Deirdre i jej córka zostały okiełznane. Mileżały w poczuciu klęski. Całkiem niepotrzebnie więc babka dodała:

- Niedorzeczność! Czegokolwiek dopuścił się Raymond. Jest to wyłącznie jego wina i on za to płaci. Nikt tutaj nie będzie traktował was jak pariasów, Deirdre.

Ironia losu polegała na tym, że była to prawda. Ani babka, ani matka nie zwykły odcinać się od ludzi, których jedynym przestępstwem było to, że mają przestępcę za współmałżonka. Tyle że krewna nigdy ich szczególnie nie obchodziła, a Deirdre dobrze o tym wiedziała. Musiało być dla niej głęboko frustrujące, że w nieszczęściu może się zwrócić jedynie do bardziej fortunnych członków rodziny męża, będącego w tej rodzinie czarną owcą. No, i nie mogła im wybaczyć, że są zbyt przyzwoici, by ją odesłać z kwitkiem.

W tej chwili kłótni moja matka wyszła z pokoju, a ja za nią. W połowie schodów spotkała ojca, idącego w przeciwnym kierunku.

- Davidzie, gdzieś ty był, u licha? Przydałby się twój artystyczny wdzięk do rozmów z tą okropną Deirdre! - Jej głos brzmiał wyraźnie i gniewnie. Wiedziała, że słyhać go w pokoju, z którego przed chwilą wyszła. Ojciec zrobił zirytowaną minę, widocznie jednak zauważył moją zmartwioną buźkę, wychylając się zza matczynej spódnicy, bo natychmiast się rozchmurzył i puścił do mnie oko.

- Pst, Helen. Powinnaś trochę odpocząć... stanowczo powinnaś. Bethany, idź na ratunek Sarze. Jak tylko pomogę mamie się uspokoić, wezmę was na długi spacer brzegiem do Seatoncliffe. Pójdziemy do pani Bertorelli na lody.

Otoczył matkę ramieniem i przez resztę krętej drogi z wieży mówił jej same miłe rzeczy.

- Och, Davidzie - usłyszałam jeszcze głos matki z dołu - ta kobieta naprawdę jest nieznośna! Oddałam jej moje ulubione miejsce w domu, a ona nie okazuje nawet cienia wdzięczności.

- Przecież wiesz, że, jej zdaniem, to one mają więcej praw do Dune House niż my. Raymond opowiedział jej jakąś bajkę o moim dziadku, który oszustwem pozbawił swojego brata prawa do spadku, i teraz Deirdre uważa, że gdzieś jest ukryty prawdziwy testament...

Głosy odpłynęły, obrazy zaczęły się zacierać, aż w końcu znikły. Coś ścisnęło mnie w gardle. Chciałam znowu je wszystkie zobaczyć i usłyszeć. Stałam pośrodku pokoju na wieży, mając łzy w oczach.

Pokój opustoszał. Nie było dywanu na podłodze ani obrazów na ścianach. Pamiętałam, że kiedyś wisiały tam obrazy, niepodobne do ciężkich olejnych malowideł, które zdobiły resztę domu budującymi biblijnymi alegoriami i posępnymi krajobrazami szkockich dolin. W pokojach na wieży delikatne akwarele przedstawiały morze, plażę, niebo i ptaki, które zawsze krążyły nad klifami i wydymami.

Rozejrzałam się po gołych ścianach. W każdej z nich było dokładnie jedno okno. Z pokoju na szczycie wieży rozciągał się widok na cztery strony świata. Na północy było widać wydmy, na południu Seatoncliffe, na wschodzie morze, na zachodzie zaś posiadłość Templetonów, a dalej pola i zieleniące się wzgórza.

Rano wpadało tam zawsze mnóstwo światła. Matka miała rację - Sara powinna być zachwycona tym pokojem.

Spojrzałam na wydmy. Z mojego punktu obserwacyjnego porośnięte trawą morską grzbiety, ciągnące się milami ku północy, wydawały się dalekie i milczące.

Nagle coś zwróciło moją uwagę. Słońce odbiło się w czymś szklanym. A może w lśniącym dachu? W głębi ładu, za pasem wydym, u podnóża zielonych wzgórz i tuż za kamiennym murem,

który zapewne wyznaczał granicę naszej posiadłości, ciągnęły się długie rzędy przyczep.

Było to pole kempingowe, o którym wspomniał mi pan. Simpson. Jego właściciel, Paul Mitchell, chciał odkupić ode mnie kawał gruntu, żeby je powiększyć. Proponował mnóstwo pieniędzy, ale za wcześnie było o tym myśleć.

Tymczasem zaczęłam zaludniać ten dom zapomnianymi dotąd członkami rodziny i czułam się wielce zaintrygowana słowami, jakie padały z ich ust. Co miała na myśli ciotka Deirdre, gdy powiedziała, że mój ojciec zaczął odnosić sukcesy? Na ile byłam zorientowana, ojciec nie odniósł żadnego sukcesu w sensie materialnym.

O czym myślała matka, wzmiankując o jego „artystycznym wdzięku”? No, i co z tym człowiekiem, którego przed chwilą widziałam oczami wyobraźni, jak podenerwowany, lecz z uśmiechem na ustach koi rozdrażnienie matki. Zupełnie nie przypominał smutnego, nieśmiałego mężczyzny, z którym przemieszkałam wiele lat w Londynie.

Omiotłam wzrokiem pokój. Ludzi już nie było, ale coś tu zostało... mdląco słodki zapach perfum ciotki Deirdre...

Ze złością przeczesalam włosy ręką. Po co sobie to przypominam? Nie lubiłam perfum ciotki, gdy byłam dzieckiem, i nic się w tym nie zmieniło. Szybko wróciłam po schodach do swojego pokoju. Postanowiłam się ubrać i iść na spacer na wydmy.

Jak mogło mi się zdawać, że ten krajobraz jest niemy? Wydmy były nieodłącznie związane z wiatrem, toteż mimo coraz mocniej grzejącego słońca, nieustannie czuło się bryzę poruszającą morskimi trawami. W powietrzu niosły się krzyki ptaków.

Żyło tu nie tylko ptactwo wodne. Obfita roślinność i bogactwo owadów na wydmach przyciągały też makolągwy, świergotki i skowronki. Pustulka zawisała w powietrzu, wypatrując pechowej myszy albo nornicy.

Przyglądałam się zafascynowana, nie chciałam jednak widzieć, jak sokół zacznie pikować w dół. Aż za dobrze potrafiłam sobie wyobrazić, co z tego wyniknie. Szybko odwróciłam więc głowę w stronę jednej z przerw między wydmami, którą niewątpliwie można było dojść na brzeg morza.

Wyspę przypomniałam sobie, gdy tylko ją ujrzałam, a może nawet odrobinę wcześniej. Ścieżka, którą szłam, stromo opuszczała się po zboczach dwóch kolejnych wydm, u szczytu porośniętych trawą. Ale jeszcze zanim wydostałam się spod baldachimu zieleni na pochyły brzeg, wiedziałam, co zobaczę, gdy spojrzę ku północy.

Właściwie była to tylko skała wystająca z morza. W czasie odpływu dochodziło się do niej suchą stopą po bardzo starej grobli. Wznosiła się ona jakies pół metra nad połyskującym, ułożonym przez pływy piachem. Pamiętałam swą dziecięcą fascynację wyspą. Zawsze chciałam tam iść, ale surowo mi tego zabraniano.

Chmura zakryła słońce, tuż potem ustał wiatr i zapadła cisza. Nawet mewy wiszące nad wodą na moment zamilkły. Morze było gładkie jak szklana tafla, tylko fale przyboju delikatnie pluskały na przybrzeżnych kamieniach.

Zeszłam do grobli i przystanąwszy na samym jej początku, spróbowałam ocenić odległość. Wydało mi się, że do wyspy mam jakieś ćwierć mili, a więc niedużo. Ruszyłam przed siebie.

- Stop!

Byłam już prawie u celu, gdy rozległ się ten krzyk. Odwróciłam się przestraszona.

- Na pani miejscu nie szedłbym dalej!

Słyszałam rozkazujący i nagły głos, ale nie widziałam nikogo. Grobla i plaża były puste. Spojrzałam w górę, ku grzbietom wydm.

Mężczyzna stał w najwyższym punkcie ścieżki, którą przed chwilą przyszedłam. Był wysoki, miał na sobie dżinsy i szarą bawełnianą bluzę. Serce zabiło mi mocniej. Zaraz jednak słońce wyszło

zza chmury i wtedy dostrzegłam u niego jasne i włosy. Nie znalazłam tego człowieka.

- Słyszysz pani?! Niech pani wraca! - Zbiegał na plażę długimi, niezgrabnymi susami, z każdym krokiem spuszczać przed sobą niewielkie lawiny piachu.

- A czemu to? - odrzyknęłam z oburzeniem.

- Na miłość boską, kobieto, nie sprzeczasz się ze mną! I nie stój tam, tylko rób, co mówię!

Złość przydawała jego głosowi urokliwego szkockiego akcentu. Nie wiadomo czemu, bardzo poprawiło mi to nastrój. Gdy mężczyzna dopadł przyczółka grobli, wciąż jeszcze stałam w tym samym miejscu i głupio się uśmiechałam.

- Dlaczego mam nie iść na wyspę? - zawołałam.

- Bez powodu. Chyba że chce pani tam siedzieć i czekać na odpływ. - Z tej odległości nie musiał już krzyżeć, mimo to jego głos brzmiał bardzo donośnie.

Pływy, pomyślałam. Ale przecież trwał odpływ. Czyżbym się myliła?

Mężczyzna jakby czytał w moich myślach.

- Za chwilę zacznie się przypływ.

I wtedy nagle ogarnął mnie lęk. Przypomniałam sobie, dlaczego nie pozwalano mi chodzić na wyspę. Gdy wysoka woda docierała do niej od drugiej strony, zalanie grobli pozostawało kwestią minut. Ktoś, kto przypadkiem nie zdążyłby uciec, ryzykował w najlepszym razie przemoczenie. A pechowca silny północny prąd mógł porwać w głąb morza.

- Spojrzysz wreszcie za siebie, kobieto?

Usłyszałam go. Skalisty czubek znów stał się wyspą, pomost przy nim był już zalany. Fale pienieście nadciągały z obu jego stron, a tam gdzie się zderzały, powstawała groźna kipiela.

- Lepiej niech się pani pośpieszy. - Powiedział to spokojnie, ale w tej samej chwili woda zatańczyła mi wokół stóp.

Puściłam się biegiem. Dopadłam przyczółka grobli w dwie, może trzy minuty, a jednak woda sięgała mi już do kostek.

Skóra mnie piekła, fale niosły bowiem ze sobą żwir i drobne kamienie, boleśnie nimi bombardując.

Wybawca wyszedł mi na spotkanie i stanął z wyciągniętą ręką, gotów wspomóc mnie w ostatnich krokach.

Przed samym celem zawadziłam stopą o duży kamień i omal nie upadłam. Kątem oka zauważyłam, że mężczyzna drgnął, jakby chciał skoczyć mi na ratunek, ale szybko odzyskałam równowagę, więc się powstrzymał. Gdy wreszcie chwyciłam jego wyciągniętą dłoń, byłam zdyszana.

Spojrzelismy na siebie. Coś w jego twarzy bardzo mnie zasta-nowiło. Dlaczego tak się na mnie gapi? Czyżby zainteresowała go szczupła dziewczyna w niebieskich szortach i długiej czerwonej koszulce z bawełny? A może coś go zdziwiło?

Miałam tenisówki włożone na gołe stopy, a włosy rano rozczesałam i rozpuściłam na ramiona. Nie sądziłam, by z tego powodu uznał mnie za piękność, mimo to wpatrywał się we mnie jak sroka w gnat. Miałam wrażenie, że przez moment na jego twarzy maluje się głęboki szok, choć może tylko mi się zdawało.

Wyprostowałam się i chłodno odwzajemniłam jego spojrzenie. Miał regularną twarz z wydatnymi kośćmi policzkowymi i był bardzo pociągający. Wyglądał jak człowiek spędzający dużo czasu na świeżym powietrzu. Wokół kącików czystych, niebieskich oczu tworzyły mu się drobne zmarszczki. Włosy miał proste, aczkolwiek wydawały się zadziwiająco miękkie. Spadały mu na czoło i niemal zakrywały jedno oko. Odgarnął je do tyłu i chyba westchnął.

Ruszyliśmy razem po piachu. Przed wydumą wyprzedził mnie i pomógł mi pokonać stromiznę. Na szczycie, gdy przystanęliśmy, puścił moją rękę i spojrzał mi w oczy. Uśmiechał się zagadkowo.

- Czy pani zrobiła sobie krzywdę?
- Nie. A czemu pan pyta?
- Trochę pani kuleje. Może przy tym potknięciu skrzyła pani prawą nogę?
- Może. - Zmarszczyłam czoło. Przypomniałam sobie chwilę,

gdy omal nie upadłam. Wtedy nie zdawałam sobie sprawy z bólu. Nagle uświadomiłam sobie, że w ogóle nie podziękowałam temu mężczyźnie. Nieśmiało coś bąknęłam, żeby nadrobić zaległość. Roześmiał się.

- Niech pani nie dziękuje. Ratowanie kobiet z opresji należy do moich obowiązków.

- Obowiązków?

- Jestem strażnikiem miejscowego rezerwatu. - Odwrócił się ku wydomom i zakreślił ręką szeroki łuk.

- Nie wiedziałam, że tu jest rezerwat. Czyżbym weszła na niedozwolony teren?

- Ależ nie. - Znów się uśmiechnął. - Może tu chodzić każdy, kto chce. Na tym zresztą polega kłopot. To zupełnie naturalne, że ludzie chcą spacerować w tak pięknej okolicy, ale przy okazji mogą wydeptać duże połacie roślinności na wydmach. Staram się pilnować, żeby była zachowana równowaga... - Urwał. - Ech, nie będę pani zanudzał szczegółami.

- Wcale mnie pan nie nudzi!

- Dziękuję, ale dobrze wiem, że jak znajdę wdzięcznego słuchacza, robię się bardzo gadatliwy. A w ogóle, to nazywam się Duncan. Duncan Alexander. - Wyciągnął do mnie rękę.

Nad głowami zawisł nam skowronek, powietrze zawibrowało od jego słodkiego trylu. Ujęłam dłoń mężczyzny.

- Bethany Lyall.

Oficjalnie wymieniliśmy uścisk dłoni. Stał plecami do słońca, więc nie widziałam wyraźnie jego miny, ale gdy się przedstawiłam, najwyraźniej coś się między nami zmieniło. Miałam wrażenie, że sam się domyślił, z kim ma do czynienia, tylko trudno mu w to było uwierzyć. Niemniej jednak jego westchnienia tym razem na pewno sobie nie wyobraziłam.

- Lepiej pójde już do domu. - Spojrzałam na swoje stopy. - Buty mam mokre i pełne piachu. - Naturalnie tenisówki wyschłyby w słońcu, nagle jednak poczułam się niepewnie, skorzystałam więc z pierwszego lepszego pretekstu.

- Dobrze. Odprowadzę panią do drogi. Tamtędy będzie się wygodniej szło.

Ruszyłam za nim przez wydmy. Ścieżka wiła się i kręciła wśród pasm piaszczystych grzbietów. Tu i ówdzie góry piachu całkiem zasłaniały nam widoczność; wtedy wiatr zamierał i robiło się bardzo ciepło. Nie miałam pojęcia, gdzie jestem. Przedtem nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak łatwo się zgubić na tych wydmach, a przynajmniej na dłuższą chwilę stracić orientację.

Gdy wyszliśmy na drogę, poczułam się, jakbyśmy wrócili do cywilizacji po pobycie w dziwnym, obcym świecie. Wydmowy krajobraz mógłby posłużyć za scenografię filmu science fiction.

Przez jakiś czas prawie nie rozmawialiśmy. Wreszcie Duncan położył mi rękę na ramieniu, a drugą wskazał drogę odbijającą w lewo.

- Tamtędy można się dostać do Seatoncliffe. Przypuszczam, że tam pani mieszka.

Wiedział, że się myli.

- Nie. Mieszkam w Dune House. Ten dom należał... należał do mojej babki. - Jeszcze nie dojrzałam do przyznania się, że jestem jego właścicielką.

- Rozumiem.

Wydał mi się przygnębiony, ale nie zwróciłam na to uwagi. Byłam oszołomiona. Za plecami mieliśmy wydmy, po drugiej stronie drogi ciągnęły się ku wzgórzom pastwiska i pola. Nie widziałam z tego miejsca ani kawałka morza.

Wychodząc z domu ruszyłam drogą na północ i trzymałam się jej, dopóki nie skręciła nagle w głąb łądu. W tym miejscu brzeg wrzynał się w morze, natomiast droga wyraźnie przebiegała skrótem. W ten sposób omijała wydmy, po których spacerowałam.

Uzmysłowiłam sobie, że Duncan wyprowadził mnie na drogę w punkcie leżącym znacznie bardziej na północy niż ten, w którym z niej zeszedłam. Wciąż miałam daleko do domu.

- Tu panią opuszczę, Bethany - powiedział. - Muszę dokończyć płukania filmów.

- Filmów?

- Tak. Dla kogoś, kto lubi fotografować, moja praca jest idealna! - I już oddalał się z powrotem w stronę wydm. Widocznie jednak zdążył jeszcze zauważyć moje zdziwienie.

- Mieszkam w starym domku rybackim przy latarni morskiej - wyjaśnił. - Drogą też się tam w końcu dojdzie, ale tędy jest szybciej. Jeśli przyjechała pani na dłużej, to serdecznie zapraszam na odwiedziny. Opowiem pani wszystko co trzeba o ochronie przyrody i pani obowiązkach jako właścicielki majątku ziemskiego.

- Właścicielki majątku ziemskiego?

- Tak. Przecież jeśli odziedziczy pani Dune House, stanie się pani właścicielką dużego terenu, a do niego należą również różne żywe organizmy, które tam bytują...

Zmieształ się i pierwszy raz, odkąd się poznaliśmy, zabrakło mu słów. Zauważył bowiem swoją nieostrożność. Pokazał, że wie o mnie więcej, niż próbował mi zasugerować. Mnie jednak to nie zaniepokoiło. Seatoncliffe jest małą miejsciną i wszyscy jego mieszkańcy bez wątplenia wiedzieli o śmierci mojej babki. Nie trzeba więc było błyskotliwej inteligencji, by się domyślić, że mogę być dziedziczką, gdy nagle się tam zjawiłam.

Uśmiechnęłam się.

- No, nie wiem, nie wiem. Może skorzystam z tego zaproszenia - powiedziałam, żeby wybawić go z kłopotu.

- A więc do widzenia. - Odwrócił się i odszedł.

Słońce grzało coraz mocniej, znów jednak zerwał się silny wiatr od morza. Prześlizgiwał się po szczytach wydm i świstał wśród traw. Wkrótce miałam we włosach pełno piasku. Bardzo już tęskniłam do domu i prysznic.

Nie zaszłam jeszcze daleko, gdy zauważyłam bitą drogę wśród pól. Prowadziła na pole kempingowe. Przypuszczalnie z pola do Seatoncliffe była również lepsza droga, ta natomiast służyła urlopowiczom, którzy chcieli obejrzeć wydmy albo znaleźć odludny kawałek wybrzeża.

Przystanąłam i spojrzałam w stronę przyczep. Nawet z dużej odległości usłyszałam ryk radioodbiornika nadającego muzykę pop i wyczułam zapach gotowanego śniadania. Przypomniałam sobie, że jestem głodna. Zaczęło mi się śpieszyć.

Wkrótce piaszczysty pas po mojej lewej ręce skurczył się do zaledwie metra, może dwóch. Droga znów zbliżyła się do wybrzeża, a miejsce wydm zajęły klify z piaskowca, początkowo niskie, a w miarę zbliżania się do Dune House - coraz wyższe.

Jakieś pół mili od domu klify były już imponujące. Niecały metr dzielił krawędź drogi od urwiska.

Następne chwile dokładnie wryły mi się w pamięć. Wciąż jeszcze pamiętam ciepły, słony zapach; czuję piasek, kłujący mnie w twarz, a jeśli zamknę oczy, widzę słońce odbijające się w wodzie i wiatr poganiający fale ku podnóżu klifów, gdzie rozbijały się z hukiem.

Przez ten wiatr dopiero w ostatniej chwili usłyszałam chrzęst samochodowych kół, prasujących żwir. Bardziej wyczułam, niż zobaczyłam ciemny kształt, który zamajaczył za moimi plecami. Odruchowo uskokczyłam w bok. Coś uderzyło mnie z ogromnym impetem w prawą nogę; zawylałam z bólu. Wydałam jęk przerażenia i w panice wyciągnęłam przed siebie ręce. Próbowałam chwycić jakąś kępę trawy. Znalazłam się na samej krawędzi klifu.

Usiadłam z wrażenia.

*L*eżałam twarzą do ziemi. Coś zgrzytało mi w ustach... Co to takiego? Piasek?

Całkiem straciłam poczucie czasu i miejsca. Tylko wiatr od morza był ten sam co przedtem.

Zmarszczyłam czoło i spróbowałam się skupić na gorączkowym ruchu tuż przed moimi oczami... Owady, nie większe od ziaren piasku, uciekały przed kataklizmem, który spowodowałam.

Przypomniałam sobie, że upadłam i że kurczowo trzymam się jakiejś kępy trawy.

Odrobinę uniosłam głowę, ale coś się nie zgadzało. Zamiast swoich wyciągniętych ramion, zobaczyłam kościste, opalone ramiona dziecka.

Miałam siedem lat i zrobiłam sobie krzywdę. Noga gdzieś mi utkwiała i czułam promieniujący od kostki silny ból...

Kontakt z przeszłością był bardzo silny, ale zamiast cieszyć się tym, co mogłam sobie przypomnieć, zamknęłam oczy, żeby wrócić do rzeczywistości. Wizja z dawnych lat budziła bowiem we mnie straszliwą trwogę.

Musiałam zapanować nad przerażeniem i poczuciem osamotnienia, którym zaczęłam się poddawać. Jeszcze nie byłam przygotowana do stawienia czoła temu, co nazaczyło mnie piętnem na całe życie.

Minęła chwila.

Rytmiczny huk fal, rozbijających się o ostre skały u podnóża klifu, był aż nadto rzeczywisty. Wiedziałam, że wraz z kulminacją przyływu te skały znikną pod wodą. Gdybym spadła teraz, niewątpliwie skręciłabym kark. Gdybym dotrwała do wysokiej wody, morze porwałoby mnie w głąb.

Tak samo jak ona...

Musiałam się ratować. Prawą nogę miałam do połowy na drodze, czułam żwir wpijający się w ciało, ale lewa noga zwisała nad urwiskiem. Mogłam chyba odepchnąć się lewą ręką i przetoczyć na plecy w bezpieczne miejsce; wydawało się to całkiem łatwe, bałam się jednak puścić kępę trawy.

Wtedy usłyszałam kroki.

Byłam za bardzo oszołomiona, żeby zorientować się, z której strony je słyszeć. Chrząst był bliższy i bliższy, wreszcie uciął.

Nic się nie działo. Za długo. Zaciskałam dłonie na kępach trawy tak mocno, że zaczynały chwytać mnie kurcze. Owładnęła mną panika. Byłam pewna, że nie zdołam unieść głowy i się rozejrzeć.

W końcu rozległ się męski głos.

- Pomogę pani.

Po chwili stałam na drodze i patrzyłam w twarz mojemu wybawicielowi. Był niewiele wyższy ode mnie, ale mocno zbudowany

i muskularny. Miał niebieskie oczy i ciemne włosy, kręcone i odrobinę za długie. Jego cygańskiej urody dopełniała opalenizna.

Czarna sportowa koszula mężczyzny i szare spodnie niewątpliwie były dobrej marki, ale złoty łańcuch na szyi i krzykliwy zegarek na ręce wydały mi się zbyt ostentacyjne.

- Ooo, dzień dobry... - Uniósł brwi, co wydało mi się impertynencie. Pewnie zastanawiał się, czemu zdecydował się pomóc komuś w tak oplakanyam stanie.

Przyjrzał mi się dość zdziwiony i wtedy bardzo się zmieszałam, uświadomiłam sobie bowiem, że odkąd postawił mnie na drodze, nie wydałam z siebie ani jednego słowa.

- Dziękuję - bąknęłam i dopiero wtedy zaczęłam się trząść. W jego niebieskich oczach pojawiło się szczere zatroskanie.

- Czy pani się potknęła?

- Nie, nie potknęłam się. Ktoś chciał mnie zabić. - W ogóle nie zdawałam sobie sprawy z tego, że to powiem. Sprawiałam sobie dużą niespodziankę. Ale bardziej niepokojąca wydała mi się reakcja mężczyzny.

Byłam absolutnie pewna, że się przestraszył. Ale gdy się odezwał, jego głos brzmiał pewnie.

- Zabić panią? W jaki sposób?

- Samochód... nadjechał z tyłu... potracił mnie... specjalnie.

Zmrużył oczy. Przesunął wzrokiem po opustoszałej drodze, a potem znów spojrzał na mnie. Spłonęłam rumieńcem.

- Wcale tego nie wymyśliłam.

- A ja wcale tak nie twierdzę, w każdym razie nie sądzę, by wymyśliła pani sobie ten samochód. Ale może to był jednak wypadek. Wydaje się bardziej prawdopodobny.

- To dlaczego kierowca się nie zatrzymał?

- On?

- Nie wiem, czy on, czy ona. To się działo za szybko. Nawet nie zauważyłam, jakiej marki był samochód...

Urwałam i przygryzłam wargę. Przypomniał mi się cień za plecami. Gdybym się skupiła, z pewnością potrafiłabym coś o nim powiedzieć...

Ale mężczyzna na to nie czekał.

- Łatwo się domyślić - powiedział.

- Czego?

- Dlaczego kierowca się nie zatrzymał. Jakiś młokos ma pewnie teraz pełne portki, że wpakował się w kabałę. Dzięki Bogu, że nic się nie stało.

- Mimo wszystko powinienam zadzwonić na policję.

Jeśli mężczyzna grał, to był w tym naprawdę dobry. Przed chwilą był oburzony, teraz przybrał minę rozsądnego człowieka.

- Hm... Wiem, że ten, kto to zrobił, zasługuje na karę, ale nie sądzę, żeby dzwonienie na policję miało sens.

- Dlaczego nie?

- Czy potrafi pani opisać ten samochód?

- Nie.

- Czy może pani opisać kierowcę?

- Nie.

- Czy może pani dowiedzieć, że coś takiego się stało?

- Co pan mówi?! Znalazł mnie pan na skraju klifu, omal nie spadłam! - Byłam tak wściekła, że znowu zaczęłam się trząść.

- Spokojnie. Proszę się nie obrazić, ale kiedy panią znalazłem, myślałem, że pani się potknęła i upadła. Nie widziałem żadnego samochodu.

- Nie wierzy mi pan?

- Wierzę, ale nie mógłbym potwierdzić pani zeznań, gdyby policja mnie przesłuchała.

- Wielkie dzięki.

- Bardzo mi przykro, ale taka jest prawda.

Miał rację. Zachowywał się całkiem racjonalnie, dlatego więc odniosłam wrażenie, że coś ukrywa? Zupełnie jakby chciał, żebym zapomniała o wypadku i nie sprawiała mu kłopotu.

Uśmiechnęłam się, więc musiał pomyśleć, że mnie przekonał, nie pozwoliłam mu jednak długo trwać w tym pocieszającym złudzeniu.

- Trudno. Ale nie pan nie będzie musiał mówić. Policjanci mają oczy i sami zobaczą, że nie jestem histeryczką.

Znieruchomiał.

- Jak to?

- Niech pan spojrzy.

Wskazałam ręką na pobocze. Żwir rozsypany na drodze niewiele znaczył, ale głębokie ślady opon, które zostały na miękkiej piaszczystej ziemi, były bardzo wymowne, podobnie jak kępy trawy, zgniecione, a tu i ówdzie wyrwane z korzeniami.

- No, tak, dowód chyba jest, ale mimo to nie sądzę, żeby była duża szansa złapania winnego. Zresztą gdyby nawet policji się udało, to o co go oskarżą? O niebezpieczną jazdę? Nikt nie uwierzy, że ten człowiek chciał panią zamordować.

Nie odpowiedziałam. Nawet nie mogłam, bo nie miałam odpowiedzi na jego pytania. Widocznie jednak mężczyzna uznał, że tym razem mnie przekonał, bo wyraźnie się odprężył.

- Powiniennem odprowadzić panią do domu.

- Do domu?

- Tak. Dojdzie pani o własnych siłach? Mógłbym pójść po samochód, ale nie chcę pani w tym stanie zostawiać. Proszę się na mnie wesprzeć. Na szczęście nie trzeba daleko iść.

Wyciągnął ku mnie rękę, ale cofnęłam się zmieszana.

- Co się stało? - spytał.

- Skąd pan wie, że niedaleko?

- Słucham?

Przez chwilę wydawał się tak samo zmieszany jak ja, potem nagle szeroko się uśmiechnął. Z uśmiechem na twarzy wyglądał młodziej i bardziej atrakcyjnie. Mimo woli poczułam zainteresowanie tym mężczyzną. Nie znaczy to jednak, że opuściły mnie podejrzania.

- Zdaje się, że pan wie, dokąd idę.

- Oczywiście, że wiem. Do Dune House. Dorosła pani, Bethany, ale prawie się pani nie zmieniła.

Wlepiłam w niego wzrok, jego uśmiech stał się melancholijny.

- Wiedziałem, że mnie nie poznałaś. Jestem Paul. Paul Mitchell.

- Kemping, przyczepy...

- Czyli pamiętasz?

- Przykro mi, ale nie bardzo... prawdę mówiąc, ani trochę.

- Wobec tego skąd...?

Pan Simpson, notariusz prowadzący sprawy spadkowe mojej babki, powiedział mi, że negocjowałeś kupno części terenu...

- To prawda, ale czuję się szczerze zawiedziony, że mnie nie pamiętasz. Pewnie przemawia przeze mnie próżność. Wiem, że już nie jestem chuderlawym chłopakiem, jak kiedyś. ale poza tym, nie zmieniłem się chyba aż tak bardzo. - Uśmiechnął się, ale nie potrafił do końca ukryć urazy. Wyraźnie nie był przyzwyczajony do tego, że kobieta go zapomina.

Ruszyliśmy w stronę domu. Wolałabym, żeby zwyczajnie dał mi rękę, on jednak uparł się, że mnie obejmie w talii. Owszem, łatwiej się dzięki temu poruszałam, lecz miałam poczucie, że znaleźliśmy się za blisko siebie. Czułam przez bawełnianą koszulkę ciepło jego ciała, a wokół mnie unosiła się woń płynu po goleniu.

- Ja poznałem cię od razu, chociaż tak wyrosłaś. - Wciąż był odrobinę rozdrażniony. - Niby się zmieniłaś, ale rodzinne podobieństwo jeszcze się uwydatniło.

- Rodzinne podobieństwo?

- Tak. Jest wprawdzie różnica wzrostu, ale i tak można by cię wziąć za siostrę Sary.

- Sary... - Ledwie wyszeptalam to słowo.

Sprawy zaczęły nagle toczyć się zbyt szybko. Paul Mitchell z pewnością nie miał pojęcia, że jeszcze poprzedniego wieczoru nie byłam w stanie przywołać żadnych wspomnień związanych z kuzynką ani w ogóle z niczym, co zdarzyło się w czasie pierwszych siedmiu lat mojego życia.

Postanowiłam mu o tym nie mówić. Tłumaczyłam sobie, że to

zbyt skomplikowane i że nie chcę przed nim wyjść na głupią, w rzeczywistości jednak nakazał mi to instynkt. W przeszłości stało się coś strasznego, coś, co mnie przerażało. Byłam przekonana, że dopóki sobie tego nie przypomnę, muszę być ostrożna.

Z drugiej strony przeczuwałam też, że Paul będzie swobodniej mówił, a ja więcej się dowiem, jeśli dam mu do zrozumienia, że moje wspomnienia zatarły się wskutek upływu czasu. Ponieważ jednak przez dłuższą chwilę milczał, odezwałam się:

- Widujesz jeszcze Sarę?
- Trudno byłoby mi jej nie widywać.

Wprowadził mnie w zakłopotanie. Zdobyłam wprawdzie informację, że kuzynka nadal jest w Seatoncliffe, ale piłka ponownie znalazła się po mojej stronie.

Na szczęście Paul nic nie zauważył i mówił dalej:

- Nie wiem, co mnie podkusiło, ale pozwoliłem jej zamieszkać w najlepszej z moich przyczep. Wkrótce po tym, jak twoja babka ją wyrzuciła.

- Wyrzuciła?
- Nie wiedziałaś?

Tak mnie zaskoczył, że nie sposób było tego ukryć.

- Nie. A dlaczego to zrobiła?

- Nie jestem pewien. Najpierw, jak Sara wróciła z Hiszpanii, starsza pani wydawała się całkiem zadowolona. Pewnie ulżyło jej, że nie musi już tłuc się sama po tym wielkim domu. Ale widocznie Sara, chociaż jest cwana, źle rozegrała karty...

- Jak to?

Zawahał się. Gdy podniosłam głowę, uciekł przed moim wzrokiem.

- Wiesz, co mam na myśli. Sara była splukana, więc nie miała szans wrócić do Deirdre. W ogóle nie miała gdzie się podziać. Tymczasem Dune House bez wątpienia jest przytulnym gniazdem, a twoja babka...

- Miała dużo pieniędzy.
- Ano właśnie... Wiesz, jaka czarująca potrafi być twoja kuzynka.

Głupio zrobiła, że tak spaprała tę grę. Mogła opływać w dostatki, zamiast czekać na następny czek z opieki społecznej, żeby nie wychodząc z kempingu wyrzucić pieniądze w błoto.

Zauważył moje zdziwienie i wyciągnął całkiem błędny wniosek.

- Wcale nie chcę powiedzieć, że kemping jest błotnistym slumsem. Co to, to nie. Wynajmuję najnowocześniejsze przyczepy, jakie są. Ale to jednak nie Dune House.

Postanowiłam odkryć przed nim część prawdy.

- Nie, Paul. Zdziwiłam się dlatego, że nie wiedziałam o ich kłótni.

Przez chwilę jego uwodzicielski uśmiech sprawiał wrażenie bardzo wyrachowanego.

- Sara powiedziała mi, że nie utrzymujesz kontaktu z nią ani z jej matką, odkąd ojciec cię stąd zabrał. W gruncie rzeczy, wcale mnie to nie dziwi po tym skandalu, który wybuchł przez Deirdre i... no, przez Deirdre. Ale myślałam, że babka pisała ci o swojej kłótni z Sarą.

- Nie.

Był sprytniejszy, niż sądziłam. Odpowiedziałam mu bardzo lakonicznie, ale z jego spojrzenia wyczytałam, że zna prawdę, wie, że z babką nigdy nie korespondowałyśmy. I miałam niepokojące przeczucie, że to jest ważne.

Czyżby Paul mnie podpuszczał? Może chciał, żebym przyznała się, że nic nie pamiętam sprzed czternastu lat? A może po prostu czuł się niepewnie i próbował zdobyć jakieś informacje? Bądź co bądź, ja robiłam dokładnie to samo.

Czego się dowiedziałam? Że Sara była w Hiszpanii... i że jej matka nie chce z nią mieszkać. To mnie zaskoczyło, bo kiedyś były ze sobą bardzo blisko.

Paul wspomniał też o jakimś skandalu, w który była zamieszana ciotka Deirdre... Zagadkowa sprawa. Przecież ostatnio przypominałam sobie, że to wuj Raymond trafił do więzienia.

Byłam tak skoncentrowana na maskowaniu własnej niewiedzy,

że zupełnie nie zwróciłam uwagi na niepewne zachowanie Paula. Dopiero potem zaczęłam się zastanawiać, dlaczego przyjął taką postawę, jakby miał coś do ukrycia...

- No, jesteśmy w Dune House. - Zatrzymaliśmy się przy bramie. - Wejść z tobą do środka?

- Hm?

- Przecież tylko pytam. Czemu na mnie tak patrzysz?

- Paul... dlaczego spacerowałeś po klifie?

- Nie rozumiem. O co ci chodzi?

- Chcę wiedzieć, jak to się stało, że akurat tamtędy przechodziłeś, kiedy...

- Szczęśliwy zbieg okoliczności!

- To wiem. Ale dokąd szedłeś?

- A nie mogłem po prostu spacerować? Wielu ludzi chodzi codziennie na spacer.

Uśmiechał się, ale postanowiłam, że nie pozwolę się zwiść pozorom.

- Naprawdę? I ty też codziennie chodzisz na spacer?

- Przeważnie tak. Nawet jeśli pogoda jest gorsza niż dzisiaj, to psom jest wszystko jedno.

- Psom?

Cofnęłam się i popatrzyłam mu w oczy. Potem rozejrzałam się ze zdziwieniem.

- Psom?

Paul się roześmiał.

- Dokładniej mówiąc, psu. Ma na imię Benjy.

Zanim zdążyłam zapytać o coś więcej, podszedł do krawędzi klifu i omiótł wzrokiem plażę. Potem przesywająco gwizdnął i stanął w oczekiwaniu, kierując wzrok ku miasteczku, tam gdzie klify się kończyły, a zaczynał z powrotem płaski brzeg.

Parę sekund później dość daleko od nas gwałtownie zaszeleściły trawy porastające krawędź klifu i zaraz potem ukazał się naszemu oczom lśniący, żółto umaszczoney labrador.

- O, jesteś, Benjy. Dobry pies!

Zwierzę w podskokach przybiegło drogą do swego pana.

Paul przykucnął, żeby pogłaskać je po głowie. Musieli się lubić. Po chwili Paul wstał i zauważył, że im się przyglądam.

- Benjy jest młody i ma dwa razy tyle energii co ja, chociaż ja też jeszcze jestem w nie najgorszej formie. - Powiedział to z wyraźną dumą. - Czasem puszczam go samego na plażę. - Wskazał ku północy. - Tam jest ścieżka i stopnie zrobione w klifie. Spaceruję na górze, a jak wydaje mi się, że pies ma dosyć, to go wołam.

Mierzyliśmy się wzrokiem. Nie mogłam mu nie wierzyć. Pies był żywym dowodem, że jego słowa zawierały przynajmniej część prawdy.

A przecież zaledwie kilka sekund wcześniej przypominałam sobie tę chwilę na klifach, gdy wyczułam obecność człowieka, nie wiedząc, czy to przyjaciel, czy wróg.

Znów ogarnęła mnie ta sama trwoga, co wtedy. Nie wiedziałam, czy Paul Mitchell ma wobec mnie złe zamiary; ktoś jednak niewątpliwie je miał i nie mogłam pozbyć się przeczucia, że Paul wie, kto to jest. Odwróciłam się do niego plecami i ruszyłam do drzwi domu.

- Bethany... spotkamy się jeszcze?

- Sądzę, że tak! - odrzyknęłam przez ramię.

- Chętnie oprowadziłbym cię po okolicy. Nie tylko ze względu na wspólną przeszłość. Wydaje mi się, że odnowienie znajomości mogłoby sprawić przyjemność nam obojgu.

- Pożyjemy, zobaczymy.

Nawet wyrazem pełnego uwielbienia nie zdołał mnie skłonić do uśmiechu. Zważywszy, że przed chwilą prawdopodobnie uratował mi życie, zachowałam się, delikatnie mówiąc, niegrzecznie. Ale po prostu musiałam.

Przeszłość zaczęła ożywać, czy tego chciałam, czy nie, a wraz z nią wracały dawne lęki, które nigdy tak naprawdę nie wygasły. Nie wiedziałam, czy zdołam stawić im czoło.

*P*anna Lyall, prawda? Nazywam się Doran. Pan Simpson zapewne wspomniał pani o mnie.

Kobieta, która wyszła mi na spotkanie do sieni, była w średnim wieku. Nie przejmowała się tuszą i miała miłą okrągłą twarz, więc bardzo mnie zakłopotало, że odniosła się do mnie chłodno.

Zanim jeszcze się odezwała, spojrzała znacząco na ślady z piasku, które zostawiłam na kosztownym dywanie. Natychmiast poczułam się jak intruz. Musiałam upomnieć się w myśli, że to jest mój dom, a nie jej.

- Nic się nie stało, panno Lyall. To łatwo posprzątać.

Wcale jej nie przepraszałam. Nie odezwałam się ani słowem. A niech ją!

Przez chwilę czekała, wreszcie jednak zorientowała się, że nie zamierzam prosić jej o wybaczenie. Porażkę przyjęła z filozoficznym spokojem i beznamiętnym tonem poinformowała mnie:

- Miała pani gościa, jak pani nie było.

- Gościa? - Bardzo mnie zaintrygowała. Zastanawiałam się, kogo z Seatoncliffe mogę znać? Kto może znać mnie? Kto wiedział o moim powrocie? Chyba że Sara...

- Powiedział, że nazywa się Greg Randall.

Greg Randall... Coś mi świtało... Już gdzieś słyszałam to nazwisko... Nie, znałam je... Znałam człowieka, który się tak nazywał... A jednak nie mogłam skojarzyć, kto to jest.

- Pani Doran, jak on wygląda?

- Och, wspaniały mężczyzna.

- Słucham?

Spojrzałam na nią zaskoczona. Kobieta zapomniała na chwilę o swej niechęci do mnie i przesłała mi uśmiech, co prawda dość cyniczny.

- Wspaniały mężczyzna. Wie pani, wysoki, śniady i przystojny. Kogoś takiego łatwo się nie zapomina. Ale niech się pani nie martwi, powiedział, że jeszcze wróci.

To musiał być on. Mężczyzna, z którym zderzyłam się w deszczu i którego chłodne spojrzenie tak mnie deprimowało w kafejce. To jego wyobrażałam sobie poprzedniego wieczoru, jak je ze mną kolację w salonie przy kominku. Ale dlaczego miałby mnie odwiedzić dziś rano? I z czym kojarzyło mi się nazwisko Randall? On mi się przecież nie przedstawił.

- Czy powiedział, czego chce?

- Nie. Proponowałam mu, żeby poczekał, jeśli jest pani znajomym, ale powiedział, że nawet się państwo porządnie nie poznali... nie wiem, co miał przy tym na myśli, i że ma pilne zajęcia zawodowe.

Jakie zajęcia zawodowe? - zastanawiałam się. Odniosłam przecież wrażenie, że Greg Randall jest wczasowiczem.

- Panno Lyall, czy chciałaby pani teraz zjeść śniadanie, czy może woli się pani najpierw nieco odświeżyć?

Z wielką przyjemnością poszłabym prosto na górę wziąć prysznic i przebrać się w coś czystego. Miałam taki zamiar w chwili, gdy otwierałam drzwi. Ale sama sugestia tej kobiety, że powinnam to zrobić, zanim jeszcze bardziej napaskudzę w domu, skłoniła mnie do zmiany planów.

- Najpierw zjem śniadanie, ale mogę je przygotować sama.

Zmierzyła mnie wzrokiem, aczkolwiek nie wiem, jaki był skutek tych oględzin. W każdym razie cicho parsknęła i zrobiła minę, która od biedy mogła ująć za powitalny uśmiech.

- Niech pani nie będzie niemądra. Przecież po to przychodzę z samego rana.

Jak na kobietę z taką tuszą, poruszała się zaskakująco zwawo. Ledwie zdążyłam wejść do kuchni, już kładła na patelni plasterki bekonu.

- Może pani usiąść tutaj, jeśli pani chce. - Nie odwracając się od patelni, skinęła głową, wskazując koniec kuchennego stołu.

Nie wiedziałam, czy trochę odtajała, czy po prostu chce mieć mnie na oku, żebym nie nabałagała w pozostałych pomieszczeniach. Tak czy owak, postanowiłam skorzystać z jej propozycji. W kuchni było ciepło, a do tego zaczynały się unosić apetyczne zapachy.

- Noże i widelce są w tej szufladzie, a zastawa jest na kredensie.

Nakryłam dla siebie stół i usiadłam. Tymczasem pani Doran pokroiła pomidory, a potem wbiła dwa jajka do miseczki i przelała je na patelnię.

- Kawa czy herbata?

- Poproszę herbatę, pani Doran.

- Jestem Betty.

- Dobrze.

Naląa gotujacej wody do czajniczka.

- Napije sie herbaty razem z pania. Moze zjem tez grzanke - powiedziala.

- Naturalnie. Aha, chcialam spytac, czy to pani uzupelnila zapasy? Wczoraj chowalam rzeczy do lodowki i nie bylo tam ani jaj, ani bekonu.

- Nie wiedzialam, ze zrobi pani zakupy, a obiecalam panu Simpsonowi zadbać o zaopatrzenie.

- Dziękuję. Niech mi pani wobec tego powie, Betty, ile jestem winna.

- Nic. Dopoki wszystkie sprawy nie beda zalatwione, zajmuje sie tym pan Simpson. - Urwala i spojrzala w moja strone. - Czyli chce pani tu zostac, tak?

- No, przez pewien czas na pewno.

- Nie na stale?

- Jeszcze nie podjalam decyzji. - Ale nawet gdy to mowilam, wiedzialam juz, ze chce zostac, wbrew wszystkiemu, co dotad zaszlo.

- No, to prosze. - Betty Doran postawila przede mna gigantyczny talerz ze sniadaniami.

Z niecheca popatrzylam na bekon, jaja, pomidory i przysmazone chleb.

- Niech pani zajada. Na oko widać, ze powinna sie pani lepiej odzywiac. Zaraz przygotowuje grzanki.

Bylam glodna. Moze sprawilo to nadmorskie powietrze, a moze luksus posiadania sluzby? W kazdym razie jedzenie bardzo mi smakowalo. Nie rozmawialysmy duzo, zanim nie zmiotlam wszystkiego z talerza.

Udalo mi sie jednak wymoc na Betty obietnice, ze gdyby jeszcze kiedyś przyszlo jej robic dla mnie sniadanie, to bedzie ono bardziej odpowiadalo potrzebom kobiety.

- Wiem, wiem. Musli, sok pomarańczowy i takie tam. Dla pani babki wyciskalam codziennie rano sok ze swiezych pomarańczy.

- Naprawde?

Spojrzalysmy na siebie badawczo znad filizanek herbaty

i talerzyków z grzankami. Pierwszy raz padła wzmianka o babce, wiedziałam więc, że dłużej nie zdołam uniknąć rozmowy na jej temat.

Z domowej atmosfery, która panowała, gdy siedziałyśmy przy stole i jadłyśmy, nie zostało już nic. Pani Doran znów przyglądała mi się bardzo nieufnie.

- Przychodziłam tu codziennie. Sprzątałam dla pani babki, prałam, prasowałam i trochę gotowałam, chociaż jadła stanowczo za mało. Ale z aktorkami i modelkami tak to jest.

- Z aktorkami i modelkami? - Zerknęłam na nią zdziwiona. Czy na pewno chodzi o babkę? - O czym my rozmawiamy?

- No tak, pani babka dawno zagrała w ostatnim filmie. Po ślubie chyba tylko raz... - A więc jednak chodziło o babkę Frances. - Ale klasę zachowała do ostatnich dni, nie uważa pani?

- Nie wiem... Tyle czasu minęło...

Nowe informacje zaczęły mnie przytłaczać. Do tej pory usiłowałam sobie stopniowo przypomnieć pierwsze siedem lat życia, które spędziłam tutaj jako dziecko, teraz okazało się, że muszę się dowiedzieć dużo więcej. Na przykład poznać fakty z życia rodziny, które dla innych są po prostu wspomnieniami wspólnie spędzonych dni.

Ja zostałam tych wspomnień pozbawiona. A stało się to czternaście lat temu, gdy z nie znanego mi powodu uciekliśmy z ojcem do Londynu. Moja babka gwiazdą filmową? To ci dopiero. Uwielbiałam stare białe-czarne filmy. Oglądałyśmy je z Josie w telewizji, gdy tylko nadarzała się okazja. Może nawet widziałam jakiś film, w którym grała babka, wcale nie wiedząc, że to właśnie ona.

- Ona była tu bardzo samotna. - Pani Doran spojrzała na mnie oskarżająco.

- Nie wiedziałam... Skąd mogłam wiedzieć?

- Tylko kiedy mieszkała tu Sara, miała trochę urozmaicenia, ale z tego nic nie wyszło. Od samego początku myślałam, że tak będzie.

Nie byłam pewna, czy odważyć się spytać, co zaszło. Ale zanim zdążyłam podjąć decyzję, pani Doran już mówiła dalej:

- Oczywiście, pani Templeton miała znajome w Seatoncliffe. Koleżanki od brydża. Najbliżej była z panią Bradfield, która kiedyś też grała w filmach. To właśnie pani Bradfield zorganizowała pogrzeb...

- Pogrzeb...

Betty Doran wstała i sięgnęła po moje puste talerze.

- Ale znajomi to nie to samo, co rodzina, prawda?

Nie śmiałam jej spojrzeć w oczy.

- Nie.

- Nie winię pani, nie moja to rzecz. Słyszałam, że pani ojciec i babka pokłócili się wiele lat temu. Nie wiem, jak to było, bo nie mieszkałam wtedy w Seatoncliffe. Chciałam tylko pani powiedzieć, że, moim zdaniem, bardzo źle się stało. To wszystko.

Odwróciła się, żeby postawić talerze na blacie, po czym napełniła plastikową miskę gorącą wodą. Wycisnęła jakiś płyn czyszczący do parującej wody, ale zanim zaczęła zmywać, jeszcze się do mnie odwróciła.

- Czy chce pani, żebym przychodziła codziennie?

- Nie, nie, dziękuję. Poradzę sobie bez tego.

- Możliwe, ale proszę pamiętać, że ten dom jest duży, a pan Simpson kazał mi go utrzymywać w porządku, póki nie rozstrzygną się sprawy spadkowe.

Wyobraziłam sobie starego notariusza, który mówi to ze swą staromodną galanterią, przyszło mi jednak też do głowy, że pani Doran potrzebuje pracy, tylko wstydzi się do tego przyznać.

- No cóż... Codziennie raczej nie będę pani potrzebować...

- Czyli dwa razy w tygodniu, tak jak dotąd?

- Powiedzmy, na przykład... trzy razy. Może w poniedziałek, środę i piątek? Ale nie musi pani dla mnie gotować...

- Mogę przygotowywać śniadanie, to mi nie sprawi kłopotu. A pranie proszę zwyczajnie zostawiać...

- Znakomicie, wobec tego jesteśmy umówione. Teraz pójde na górę wziąć prysznic.

Po wzięciu prysznicza wrzuciłam szorty i bawełnianą koszulkę do kosza na brudną bieliznę; włożyłam džinsy i bładoniebieską sportową bluzę z długim rękawem. Wyjrzałam przez okno w sypialni i zauważyłam, że niebo znowu się chmurzy. Już się przekonałam, jak szybko zmienia się tu pogoda.

Suszarkę mogłam włączyć tylko do kontaktu, w którym tkwiła wtyczka nocnej lampki, ale że wiązałyby się to z wpełzaniem pod łóżko, wyszłam z pokoju i wykorzystałam kontakt na podeście schodów. Na szczęście przewód był długi. Stojąc w drzwiach sypialni, jakoś jeszcze mogłam się przejrzeć w lustrze toaletki.

Uśmiechnęłam się, gdy pomyślałam, jak rozbawiłabym tym Josie. Oto stoi wielka pani dziedziczka, a kłopot ma ten sam, co w naszej niewygodnej klitce.

Wysuszywszy włosy, zesłam na dół do telefonu. Paul Mitchell omal mnie nie przekonał, że nie ma sensu zawiadamić policji o „wypadku”, w końcu uznałam jednak, że nie mogę zlekceważyć tego wydarzenia. Czułam, że będzie bezpieczniej, jeśli ktoś przynajmniej spíše moje zeznanie.

Wkrótce przyjechał wóz patrolowy. Dwaj młodzi konstable uprzejmie wysłuchali, co mam do powiedzenia, przy czym jeden z nich skrupulatnie wszystko notował.

Pani Doran wprowadziła ich do przytulnego niewielkiego pomieszczenia, które nazwała „pokojem dziennym”. Przez chwilę kręciła się jeszcze w pobliżu, ale nie powiedziałam przy niej, o co chodzi.

Wyższy z policjantów, którzy przedstawił się jako posterunkowy McKenzie, zapytał:

- Czy odniosła pani jakieś obrażenia? Zauważyłem, że lekko pani utyka.
- Jak pan wie, potrącił mnie samochód...

- Ale...? - Był bystrzejszy, niż na to wyglądał.
- Ale to również ślad po wypadku w dzieciństwie. Już nie pamiętam, co się wtedy stało, to było bardzo dawno, w każdym razie czasami zaczynam utykać. Przeważnie gdy jestem zmęczona. - Albo czymś zaniepokojona, powinnam dodać.

Potem odezwał się jego kolega, posterunkowy Robson. Był niewiele mniejszy od McKenzie'ego, uznałam więc, że w Northumbrii przyjmuje się do policji wyłącznie gigantów. Powiedział, że powinniśmy przeprowadzić wizję lokalną.

Wzięli mnie do samochodu i pojechaliśmy na klify. Byłam pewna, że zatrzymaliśmy się w dobrym miejscu, ale mój dowód znikł. Ktoś starannie zatarł ślady opon, wyrównując pobocze drogi na dość długim odcinku.

Mac i Rob, bo tak policjanci się do siebie zwracali, spojrzeli na mnie z powątpiewaniem.

- Byłoby bardzo trudno czeokolwiek dowieść, panno Lyall - rzekł McKenzie.

Bez słowa wskazałam kępy pogniezionej i powyrywanej z korzeniami trawy. Westchnął.

- To mogły być psy, dzieci albo nie wiadomo co jeszcze. Wiedziałam, że sprawa przedstawia się beznadziejnie.

- Mam rozumieć, że pan mi nie wierzy?
- Tego nie twierdzę.

Rob siedział już w wozie patrolowym i składał meldunek centrali. Potwierdził przyjazd na miejsce zajścia. Usłyszałam, jak mówi:

- Nie, nie ma rysopisu... Żadnego punktu zaczepienia... McKenzie odnosił się do mnie bardzo przyjaźnie, a gdy się uśmiechnął, jego piegowata, grubo ciosana twarz wyglądała całkiem miło.
- Tylko że bez rysopisu i przy braku dowodów mamy bardzo małą szansę znalezienia sprawcy.
- Czyli wierzy pan, że był jakiś sprawca?
- O, tak. Mieliśmy już skargi od mieszkańców kempingu, że

niektórzy zamieniają tę drogę w tor wyścigowy. Ale tym razem nie uda nam się nikogo nakryć.

- Więc sądzi pan, że ten, kto to zrobił, potem wrócił i zatarł ślady opon?

- Nie przypuszczałem, że któryś z nich mógłby być na tyle sprytny, ale tak właśnie musiało być.

Odprowadziłam wzrokiem ich samochód, oddalający się ku Seatoncliffe. Zaproponowali mi odwiezienie do domu, miałam jednak ochotę pospacerować i w spokoju pomyśleć.

Nie powiedziałam policjantom, że ktoś próbował mnie zabić, i bardzo byłam z tego zadowolona.

Zakwalifikowali ten incydent do kategorii „potrącenie pieszego i ucieczka z miejsca wypadku”. Tak miało to zostać zapisane w komputerze. Bardzo chciałam uwierzyć w ich wersję zdarzeń. Byłoby mi z tym o wiele łatwiej niż ze świadomością, że ktoś w Seatoncliffe pragnie mojej śmierci.

Zerwał się orzeźwiający wiatr. Mimo iż świeciło słońce, idąc po klifie zmarzłam, z przyjemnością schroniłam się więc w murach ogrodu, przylegającego do Dune House od południowego zachodu. Dom stanowił w tej chwili zasłonę przed wiatrem, toteż poczułam się nagle tak, jak w innej strefie klimatycznej.

Przecinając trawnik i zbliżając się do domku letniego, miałam wrażenie, że zmieniła się również strefa czasowa. Trawniki, kręte ścieżki między żywopłotami oraz rozarium ze starymi posągami bez wątpienia pamiętały lepsze lata. Wtedy właściciele tej posiadłości było stać na ogrodnika, a może nawet na dwóch ogrodników.

Teraz wszystko przedstawiało jednak smutny obraz zaniedbania. Dookoła widziałam nie przycięte róże, samozwańczo rozrastające się krzewy i nie strzyżoną trawę.

Tata i ja nigdy nie mieliśmy swojego kawałka zieleni, nie znałam się więc na pielęgnowaniu ogrodu. Gdybym spróbowała sama

wziąć się do pracy, byłoby z tego więcej szkody niż pożytku.

Postanowiłam zatelefonować do pana Simpsona. Nieważne, co przyniesie przyszłość, czy zostanę w Seatoncliffe i przejmę Dune House, czy ustąpię dom innym spadkobiercom. Stary notariusz zrozumie, że ogrodu nie wolno zaniedbywać.

Z pewnością znajdzie jakieś pieniądze na ten cel, tym bardziej że terenem od frontu wyraźnie ktoś się zajmował. Ale nie przyszedłam tu na inspekcję ogrodu. Chciałam tylko zajrzeć do letniego domku.

Nawet teraz, gdy słońce stało wysoko, cieni prawie nie było, zadrżałam na wspomnienie poprzedniego wieczoru, gdy mewy przeraźliwie krzyczały, a drzwi domku łomotały w mroku.

Domek wyglądał całkiem zwyczajnie. Był spory, ale drewniany, przyklejony do muru posiadłości. Brudne okna po obu stronach drzwi miały firanki z pajęczyn.

Pochyły dach osłaniał przed słońcem ganek, ciągnący się wzdłuż frontowej ściany. Drewniana balustradka, niegdyś ozdobna, przedstawiała obraz nędzy i rozpacz. Niewątpliwie minęły lata, odkąd babka lub ktokolwiek inny zażywał w tym miejscu wypoczynku.

Obok domku, w wysokim ogrodowym murze, była masywna, drewniana brama. Zauważyłam ją dopiero w tej chwili, więc odwróciłam się i spojrzałam na drogę, którą przyszedłam. Z domu właściwie nie było widać, że jest tu brama.

- Nie wolno nam się bawić w letnim domku, to jest niebezpieczne...

Przypomniałam sobie własne słowa i odpowiedź kuzynki Sary:

- Gadają tak, bo nie chcą, żebyśmy chodziły do klasztornego ogrodu...

Ale kto powiedział, że letni domek jest niebezpieczny?

Nie moja babka i nie rodzice, pamiętałam bowiem, że przed przyjazdem ciotki Deirdre i Sary mogłam się tam bawić do woli.

Czyżby wobec tego ciotka Deirdre? Tak.

- Deski na ganku są przegniłe, Saro.

Wąty, zrzędlawy głos ciotki Deirdre przypomniał mi się bardzo wyraźnie.

- Nie zbliżajcie się do letniego domku. Mogłybyście tam wpaść do jakiejś dziury i bardzo się pokaleczyć.

Po odejściu matki Sara zrobiła naburmuszoną minę.

- Ona tak mówi, bo nie chce jej się nami zajmować. - Była tak zirytowana, że tym razem wykazała krytycyzm wobec Deirdre. - Nie podoba jej się, że twoja matka odpoczywa, a ona ma nas na głowie. Myśli, że jak zamknie nas w domu, to nie zrobimy sobie krzywdy, a ona nie będzie miała kłopotu.

Sara bardzo kochała matkę, ale nie była ślepa na jej wady. Nie ulegało zaś wątpliwości, że Deirdre jest leniwa.

Coś jednak majaczyło mi na peryferiach świadomości... Sara miała rację tylko częściowo... Był jeszcze jakiś inny powód, dla którego Deirdre nie chciała, żebyśmy się wałęsały...

Dwa niskie stopnie prowadziły na ganek. Deski wcale nie były przegniłe, nawet po tylu latach, a i sam domek wyglądał całkiem bezpiecznie. Drzwi były zamknięte na rygielek. Z takim zamknięciem często są kłopoty, jeśli poprzeczna sztabka niedokładnie zaskakuje za zaczep.

To wyjaśniałoby, dlaczego poprzedniego wieczoru drzwi kołysały się, kołysały, aż w końcu zatrzęsnęły. Silny podmuch wiatru mógł przecież pchnąć je z taką siłą, że rygielek trafił na swoje miejsce.

Otworzyłam drzwi i wszłam do środka. Czego właściwie się spodziewałam? Woni stęchlizny? Nie wiem. W każdym razie w środku było ciepło i chociaż unosił się tam wyraźny zapach, to nie wydał mi się przykry. Był trochę korzenny, trochę piżmowy.

Po chwili wzrok przyzwyczaił mi się do ciemności, więc mogłam się rozejrzeć. W domku było dość czysto, jeśli wziąć pod uwagę, jak dawno nikt w nim nie bywał.

Stary, lecz całkiem jeszcze przyzwoity dywan zakrywał większość podłogi. W kącie stały złożone leżaki i parasol przeciwsłoneczny, a w

głębi pod ścianą stolik z dwoma krzesłami.

W innym kącie znajdował się fotel, na którym leżały poduszki i jakieś pledy.

- Mamy kryjówkę w letnim domku. Możesz do nas przyjść, Bethany, jeśli chcesz. Cygus przyniesie wałówkę i coś do picia...

Głos Sary rozległ się całkiem wyraźnie i znów otoczyły mnie wspomnienia tamtego lata w Seatoncliffe. Musiałam chwycić za krawędź stołu, żeby się podeprzeć.

Na stoliku stała butelka po winie, pokryta woskiem ze stopionej świecy. Chyba nie mogła być to ta sama butelka, którą Cygus przyniósł tutaj wiele lat temu. Tamta była wysoka, zielona, ukryta w kartonie razem z puszkami coli, paczkami chipsów, tabliczkami czekolady i kanapkami zawiniętymi w celofan.

- Niesamowita uczta, Cygus. Ale czy nie bałeś się, że cię złapią? - Sara patrzyła na niego z podziwem.

- Nie martw się, nikt nie widział, że to biorę. Poza tym w kawiarni o tej porze roku jest taki ruch, że nawet nie zauważą tej straty.

- Ale wino? Skąd wzięłeś wino?

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Powiedzmy, że wiem, gdzie jest źródło.

Cygus przyniósł też korkociąg. Wywarł wielkie wrażenie na Sarze sprawnością, z jaką otworzył butelkę. Wydawało się, że robił to nie pierwszy raz.

Nalał po trochu ciemnoczerwonego płynu do trzech białozółtych jednorazowych kubków, które wraz z papierowymi serwetkami stanowiły nasz wkład w ucztę.

Miałam wtedy siedem lat i pierwszy łyk wina nie przypadł mi do gustu. Skrzywiłam się, więc już więcej nie dostałam. Sara i chłopak, zwany przez nią Cygusem, wypili resztę sami.

Potem Cygus posprzątał pozostałości naszej sekretnej uczty. Jak na czternastoletniego chłopca był niewiarygodnie porządny

i metodyczny. Sara to wykpiła, ale on stwierdził tylko, że taki już jest i się nie zmieni.

Nie zawsze chodziłam z Sarą na spotkania z Cygusem, bo nie zawsze chciała mnie brać. Czasem bywało tak, że szłyśmy na spotkanie, ale on się nie pokazywał. Sara zawsze udawała w takiej sytuacji, że się tego spodziewała.

W miarę jak ciąża mojej matki była coraz bardziej zaawansowana, opieka nad nami przechodziła coraz bardziej na ciotkę Deirdre. Ciotka nie interesowała się tym, co robimy, póki nie sprawiałśmy jej kłopotów i przychodziliśmy w porę na posiłki, czyste i ładnie ubrane.

Mój ojciec pokazywał się rzadko, dawno jednak przyjechałam do wiadomości, że kiedy pracuje, to musi być sam.

Wspomnienia zaczęły blednąć. Wciąż jednak stałam przy stole, wpatrzona w pokrytą woskiem butelkę, która z pewnością nie stała tutaj od czternastu lat. Bardzo chciałam sobie przypomnieć, co tak pochłaniało mojego ojca.

Od ciepła i zapachu piżma w domku rozboleła mnie głowa, wyprostowałam się i odwróciłam do drzwi. I wtedy nagle głos Sary odezwał się znowu.

- Idziesz ze mną, Bethany, czy nie? Nie mogę czekać cały dzień, aż się zdecydujesz!

- Nie mogę, Saro. A tobie nie wolno!

- Nie psuj zabawy. Nikt nie będzie wiedział, że tam poszliśmy.

- Ale to jest niebezpieczne. - Chciałam z nią iść, oznaczałoby to jednak przekroczenie surowych zakazów.

- Nie ma strachu. Cygus sprawdził, kiedy są przyływy. Mamy mnóstwo czasu. Chodźże! Cygus czeka na plaży!

- No, dobrze. Idę.

Po co zgodziłam się tam z nią iść?!

Niespodziewanie jakaś potężna siła, pewnie pobudzona przez instynkt samozachowawczy, przerwała tę wyprawę w przeszłość. Wiedziałam, że czeka tam na mnie coś strasznego, coś, czego za nic nie chcę sobie przypomnieć.

Przez chwilę miałam jeszcze wrażenie, że przedzieram się przez

wzbierającą wodę, i wróciłam do rzeczywistości. Byłam roztrzęsiona, łzy płynęły mi po policzkach.

Potykaçąc się, wypadłam z letniego domku. Na chwilę oparłam się o zniszczoną balustradkę na ganku, po czym zbiegłam po schodkach do ogrodu.

Musiałam uciec. Nie tylko od wspomnień, ale i od miejsca, które je wywoływało.

Nie chciałam jednak wrócić do domu, skręciłam więc ku bramie prowadzącej do klasztornego ogrodu.

Brama była stara, nabijana potężnymi ćwiekami i pokryta szarzieloną warstwą mchów i porostów, tu i ówdzie odłóżających. Miała wielką dziurkę do klucza, lecz klucza nigdzie w pobliżu nie zauważyłam. Skobel był na swoim miejscu, ale że od jednej połowy bramy odstawał, więc nie trzymał. Dopóki nikt nie zamykał tych wrót na klucz, łatwo je było otworzyć z obu stron.

Bez kłopotu przeszłam na drugą stronę muru i tam ujrzałam ziemię, którą niegdyś uprawiali mnisi z klasztoru Seaton. Klasztorny budynek, z którego pozostało zaledwie kilka łuków, był oddalony od muru jakieś dwieście metrów.

Pan Simpson wyjaśnił mi, że babka przekazała ten zabytek w administrację English Heritage, natomiast otaczający teren wciąż stanowi część posiadłości Templetonów. Zwiedzający mają swobodny dostęp do ruin, muszą jednak iść po wyznaczonym szlaku.

Ruszyłam drogą, która biegła ku ruinom, a dalej dochodziła do innej drogi, prowadzącej po klifach do Seatoncliffe. Z przeciwnika ktoś tamtędy nadchodził.

Niedawno minęło południe i słońce stało wysoko, po niebie goniły jednak chmury, toteż cienie przede mną układały się w coraz to nowe wzory na potarganej murawie.

Wiedziałam, że to musi być on. Jeszcze mnie nie zauważył. Szedł sprężystym krokiem ku skupisku płyt nagrobnych, znajdujących się za kapliczką, która byłaby w znakomitym stanie, gdyby nie brakowało jej dachu.

Miał aparat fotograficzny przewieszony przez ramię. Tym razem

ubrał się w czarną koszulę i ciemną skórzaną kurtkę; jego postać odbijała od zieleni i szarości tła. Nadal nie widziałam wyraźnie twarzy, ale nie musiałam.

Wreszcie mnie spostrzegł. Znieruchomiał, więc i ja przystanąłam. Wiatr odegnał chmury ku wzgórzom w głębi lądu i niebo chwilowo było czyste.

Greg Randall. Któżby inny?

Nagle uprzytomniłam sobie, skąd znam to nazwisko i dlaczego twarz tego człowieka wydała mi się znajoma. Już wiedziałam, kim jest Greg Randall. Nie potrafiłam jednak zgadnąć, czego może chcieć ode mnie.

Greg Randall? Żartujesz!

- Wcale nie. Słowo daję. Właśnie spędziłam z nim cały dzień, a w każdym razie większą jego część.

- Och, Bethany! Opowiedz mi, jak było.

Kiedy zatelefonowałam wieczorem do Josie, moja przyjaciółka ledwie potrafiła opanować podniecenie. Greg Randall był od dawna jej idolem. Miała nagrane na taśmie chyba wszystkie jego programy telewizyjne, nawet te, które przygotował dla uniwersytetu.

To stąd właśnie znalazłam jego twarz. Widziałam ją w domu, oglądając telewizję z Josie.

Na ekranie zawsze był poważny, wydawał się zafascynowany tematem, jego śniadą twarz rozjaśniał płomień entuzjazmu. Tego dnia, gdy stanęliśmy naprzeciwko siebie w ruinach klasztoru Seaton, tylko się uśmiechał.

Nie było ani śladu po chłódzie, którym zawiało od niego, gdy zobaczył, jak się nazywam. Owładnęła mną nadzieja, że uległam kaprysowi wyobraźni.

Zresztą, skąd Greg Randall miałby wiedzieć cokolwiek o moim ojcu albo o historii mojej rodziny? Przecież nie pochodził z Seatoncliffe.

Prawdopodobnie rzeczywiście nie przyjechał tu na wakacje. Był historykiem albo archeologiem - tego nie byłam pewna - w każdym razie zrezygnował z przynależności do świata nauki na rzecz kariery w telewizji, która rozwijała się z coraz większym rozmachem.

Przypomniałam sobie wieczór, gdy Josie wróciła do domu, przynosząc gołąbki w liściach winorośli, fetę, oliwki, chleb z chrupiącą skórką i butelkę greckiego wina - dość podejrzaną, gdyż żadna z nas nie potrafiła odczytać napisu na etykiecie.

- A cóż to takiego? Myślałam, że przyniesiesz coś z chińskiej restauracji - powitałam ją tonem pełnym sprzeciwu.

- Dziś wieczorem jest program Grega Randalla. Pierwszy z serii poświęconej greckim teatrom, wiesz Epidauros i inne, pomyślałam więc, że powinnyśmy się wprowadzić w odpowiedni nastrój.

Wtedy pierwszy raz usłyszałam o Gregu Randallu. Wcześniej Josie nie zdradzała się z zafascynowaniem tym człowiekiem.

- Nie wiedziałam, Josie, że interesuje cię antyczny teatr grecki.

- Ani trochę. Ale Greg Randall potrafiłby zrobić ciekawy program nawet o dzielnicy handlowej w godzinach szczytu. Pamiętasz tę kobietę, o której ci opowiadałam? Dziennikarkę telewizyjną, która odwiedzała brata u mnie na oddziale? No, więc ona

pracowała przy tym cyklu razem z Gregiem. Tylko pomyśl! Spędzić tyle miesięcy w Grecji i na greckich wyspach z takim przy stojnym facetem!

Myśl o Josie i jej kulcie idola, godnym nastolatki, skłoniła mnie do uśmiechu. Greg Randall zauważył, że myślami jestem daleko.

- Co się stało? - spytał.

- Och, nic takiego. Po prostu już wiem, kim pan jest.

Musiało to zabrzmieć idiotycznie, bo zmarszczył czoło.

- Chcę powiedzieć, że nie poznałam pana od razu wczoraj, kiedy... kiedy zderzyliśmy się na nabrzeżu, ale zostawił pan wiadomość w Dune House i teraz, jak pana zobaczyłam i pomyślałam o mojej przyjaciółce... o Boże...

Plątałam się coraz bardziej, z nienawiścią patrząc na uśmiezek, od którego przy kącikach oczu Grega Randalla tworzyły się drobne zmarszczki.

Przez głowę przebiegły mi dwie myśli. Jedna, że robię wrażenie opętanej miłośniczki jego programów, której spotkanie twarzą w twarz odebrało zdolność myślenia, i druga - że on jest z pewnością przyzwyczajony do takich dowodów popularności i zaraz zacznie zachowywać się protekcyjnie. Ta druga była dla niego kompromitująca.

Ale Greg Randall powiedział tylko:

- Przepraszam. Powinienem się przedstawić.

- Bez wątpienia uznał pan, że nie ma potrzeby.

- Słucham? - Wydawał się zdziwiony.

- Przypuszczalnie pomyślał pan, że powinnam wiedzieć, z kim mam do czynienia.

- Wcale nie. - Uśmiech znikł i mimo poirytowania poczułam żal.

Greg Randall nie poprzestał jednak na tym.

- Wprawdzie koledzy z uniwersytetu uważają, że moje programy telewizyjne są rozrywką dla mas, moim zdaniem jednak mają bardzo selektywną publiczność.

No, proszę! Sądziłam, że zadowolony się protekcyjnym tonem,

a on tymczasem zadał miazdzący cios. Zasugerował niedwuznacznie, że brakuje mi inteligencji, by oglądać filmy dokumentalne o tematyce kulturalnej.

Co mogłam na to powiedzieć? Przeciwnie, świetnie wiem, kim pan jest, bo dzięki mojej nawiedzanej przyjaciółce Josie nie opuściłam ani jednego pana programu. A jest nawiedzona, bo wydaje jej się, że pan jest sympatyczny!

Zamiast tego nastąpiło długie milczenie, a potem powiedziałam coś zupełnie innego:

- Czy właśnie po to pan tu przyjechał? Przygotowuje pan następny program?

Chyba mu ulżyło, że postanowiłam jednak być dorosła.

- Tak - odrzekł i uśmiech wrócił mu na twarz.

Nagle wydało mi się, że słońce znowu zaczęło świecić jaśniej. Naprawdę.

Gdy się odezwał, w jego głosie nie było już ani krzty protekcyjnego tonu.

- Program jest jeszcze w fazie przygotowań, ale przynajmniej sprzedałam im pomysł i mam zatwierdzony budżet.

- Im?

- Niezależnemu producentowi, który mnie wspiera.

- Ale dlaczego Seaton? Nie sądziłam, że te ruiny mają jakiegokolwiek znaczenie...

- Usiądzie pani?

- Gdzie?

- A tu, na kamieniu. Chyba że woli pani iść do kaplicy.

Spojrzałam na przewróconą płytę nagrobną wystającą z bujnej trawy. Wiatr i deszcz zniszczyły ją tak, że nie sposób było na niej nic odczytać. Pozostał tylko wryty kształt przypominający czaszkę.

- Wolę iść do kaplicy.

- Dobrze. - Pierwszy ruszył w stronę zabytku. - Dzisiaj przyszedłem tutaj zrobić parę zdjęć. Nie jestem fotografikiem, ale przynajmniej będę mógł pokazać operatorowi, o co mniej więcej mi chodzi. Zwykle chwytam mój pomysł, jak tylko przestaje się śmiać.

Nie mogłam się powstrzymać i uśmiechnęłam się do niego.

- Wobec tego niech pan lepiej zacznie fotografować. Może będę mogła w czymś pomóc. - W college'u odkryłam, że mam smykałkę do fotografii.

- Kamienie nie uciekną. Ale jak przyjdzie co do czego, będę pamiętał o pani propozycji. Tymczasem jednak powinniśmy sobie to i owo wyjaśnić.

Pociągnął za ciężkie drewniane drzwi. To dziwne, że zachowały się takie wrota, mimo iż z dachu nie zostało nic.

Nie zostały też żadne ślady kultu religijnego. Bez ołtarza i ław kaplica była prawie pusta. Ściany były nieotynkowane, a posadzkę tworzyły nierówne gazy, pokryte warstewką piasku naniesionego przez wiatr.

Powiedziałam „prawie pusta”, w głębi znajdowały się jednak dwie kamienne otwarte trumny. Ich wieka stały oparte o ścianę, jedno prawie nietknięte, tylko bez rogu. Trumny były puste.

Czego zresztą się spodziewałam? Że będą w nich leżeć stare kości?

- Wyglądają bardzo staro - zauważyłam.

Greg stanął przy mnie.

- Bo są stare - potwierdził. - Ludzie opowiadają o nich legendę. W jednej podobno spoczywał mnich, w drugiej... tego już nie jestem taki pewien. Próbuję dowiedzieć się czegoś więcej.

- Mnich? Myślałam, że to trumny dzieci, szczególnie ta.

- Nie, w obu chowano dorosłych. Ludzie byli wtedy niżsi.

W tym kącie kaplicy panował cień i nagle przeszył mnie dreszcz. Nie tylko z zimna. Od trumien i chłodnej kamiennej posadzki zdawało się wiać melancholią. Szybko wycofałam się z tego miejsca.

W oknach nie było szyb. Przez łukowate otwory do środka wpadał wiatr. Tego dnia rozświetlało je też słońce, które tworzyło krąg ciepła pośrodku kaplicy i pod jedną ze ścian.

- Tutaj możemy usiąść. - Greg ostrożnie odłożył torbę z aparatem fotograficznym na jeden z głazów posadzki i zdjęwszy marynarkę, rozpostarł ją pośrodku słonecznej plamy. Usiadł tam, poklepał miejsce obok siebie, i odwrócił się do torby. Zauważył, że się waham, więc podniósł głowę i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Zapraszam. Słowo daję, że nie gryzę.

Nie patrząc mu w oczy, usiadłam obok i wlepiłam wzrok w ścianę przed sobą. On tymczasem wyjął z kieszeni torby notes i jakieś luźne kartki.

To było bardzo dziwne wrażenie, prawie intymne, siedzieć w zrujnowanej kaplicy tuż przy mężczyźnie, którego dopiero co poznałam, choć podziwiałam już od dawna.

Bo, oczywiście, go podziwiałam, chociaż nigdy nie zdradziłam się z tym przed Josie. Również ja byłam na najlepszej drodze do poddania się kultowi idola.

- Te ruiny nigdy nie odgrywały tak doniosłej roli jak Lindisfarne czy nawet Tynemouth na południe stąd.

Kartkował notes. Spojrzałam mu przez ramię, litery były duże, lecz kompletnie nieczytelne. Zastanawiałam się, czy celowo nie wyrobił sobie takiego charakteru pisma, żeby nikt nie mógł mu ukraść notatek.

Podniósł głowę, zobaczył moją minę i uśmiechnął się.

- Wiem, że to strasznie wygląda. Na własne usprawiedliwienie mogę powiedzieć, że lata dorastania spędziłem na podróżach po kraju, więc nigdy nie zdobyłem stosownego wykształcenia.

- Ale jakoś to panu nie zaszkodziło?

- Co?

- Podróżowanie. Przecież skończył pan uniwersytet, prawda?

- Tak, w końcu się ustabilizowaliśmy. Nadrobiłem zaległości.

Dostrzegłam na jego twarzy cień smutku i aż pożałowałam, że podjęłam ten temat. Postanowiłam więc wrócić do spraw, od których zaczęliśmy.

- No, i co z pana programem?

- Na początku myślałem, że mogłoby to być coś z początków chrześcijaństwa, wie pani, Czcigodny Beda, ewangeliarze z Lindisfarne... To były fascynujące czasy.

Oczami wyobraźni zobaczyłam go na ekranie telewizora, jak stoi w jakimś łachu nie do zdarcia na tle efektownego pejzażu Northumbrii i przekonuje widzów, że pierwsze lata chrześcijaństwa na tym terenie były wyjątkowo pasjonujące.

- Ale niespodziewanie natknąłem się na pewien manuskrypt. Musiał latami zbierać kurz w katedralnej bibliotece... A właściwie wiekami. Znalazłem coś wspaniałego. Bethany!

Gdy wypowiedział moje imię i spojrzał mi w oczy, serce zabiło mi nagle tak mocno, że chyba musiał to usłyszeć. Siedzieliśmy przecież bardzo blisko siebie.

- Wspaniałego - pisałem. - Dlaczego wspaniałego?

- Bo przez cały czas, gdy biskup Eadfirth spisywał swoją wersję Ewangelii na Holy Island, nieznanymi mnich tutaj, w Seaton, pisał takie cudowności! Niech pani popatrzy, część skopiowałem... - Podsunął mi notes. Bezradnie zerknęłam na zapisaną stronicę.

- Och, przepraszam, wiem, że strasznie bazgrzę, ale jeśli człowiek się skupi, to może się przyzwyczaić.

Skupiałam się jednak na próżno.

- Nie chodzi o charakter pisma - powiedziałam po chwili. - Problem leży w języku. Czy to jest łacina?

- Tak, zresztą dość szczególna. Przepraszam, że nie zwróciłem na to uwagi. - Przeprosiny były całkiem szczere. Wyraźnie dał się ponieść entuzjazmowi i po prostu zapomniał, że nie wszyscy dorównują mu erudycją.

Cofnął notes i znów zaczął go kartkować, marszcząc przy tym czoło.

- Zdaje się, że miałem jakieś tłumaczenia, jedno czy dwa... Ale nie, nie tutaj...

Zamknął notes i spojrzał na niego w zadumie.

- Może po prostu mi pan przetłumaczy.
- Hm? - Uciekł przed moim spojrzeniem.
- Myślałam o tym, żeby przeczytał mi pan od razu po angielsku.

Przez chwilę chyba rozważał tę propozycję, nawet otworzył notes i studiował jakiś tekst.

- To śmieszne - mruknął pod nosem.
- Co jest śmieszne?

Odwrócił się do mnie i uśmiechnął, równocześnie jednak bardzo zdecydowanym ruchem zatrzaskał notes.

- Nie mogę, Bethany. I niech pani nie pyta dlaczego, bo nie wiem. Nigdy dotąd nie czułem takiego zakłopotania.

Pod wpływem jego spojrzenia poczułam nagłe uderzenie gorąca, ale zarumienił się on, nie ja. Pyłki zabytkowego kurzu tańczyły w snopie światła, obejmującym jego głowę, a sposób, w jaki na siebie patrzyliśmy przez długi, bardzo długi czas, był stary jak świat.

- Zakłopotania? - powtórzyłam szeptem.
- Bo widzi pani, to nie są teksty religijne, one należą do sfery profanum.

- Profanum?

- Tak, tylko niech pani nie nazywa ich bluźnierczymi!

Nie miałam takiego zamiaru. Nie bardzo wiedziałam nawet, co miał na myśli, mówiąc o „sferze profanum”. Całkiem odruchowo potrząsnęłam więc głową tak, jakbym się z nim w pełni zgadzała.

- Te teksty są świeckie, ale wspaniałe: pełne życia, radości, przedstawione w nich obrazy zapewne zupełnie odbiegają od ówczesnego życia mieszkańców Seaton.

Znów wcielił się w swoje telewizyjne ja. Wypróbowywał przyszły scenariusz na wdzięcznej słuchaczce. Och, Josie, pomyślałam. Szkoda, że cię tu nie ma.

- Na przykład tekst, który pani pokazałem, to jest wiersz miłosny.

- Mi...łosny? - Zirykowało mnie to załamanie głosu. Greg wrócił do mojego świata. Znów uśmiechał się od ucha do ucha.

- Tak. Napisany bardzo bezpośrednim językiem.
- Chce pan powiedzieć... - Tym razem ja spłonęłam rumieńcem.

- Tak, opis jest poetycki, piękny, ale stanowczo zmysłowy. Mogę przysłać tłumaczenie, żeby się pani sama przekonała, ale stanowczo nie mogę przeczytać tego wiersza tutaj, twarzą w twarz.

- Czy mam rozumieć, że planuje pan program o mnichach, którzy pisali pieprzne wierszyki?

Nie powiedziałam nic szczególnie śmiesznego, ale przełamaliśmy napięcie, jakie między nami powstało, toteż oboje parsknęliśmy śmiechem.

Oparłam się o ciepły kamień, Greg poszedł za moim przykładem. Naturalnym biegiem rzeczy oboje odchylił się w bok, tak że nasze ręce się zetknęły, a ja oparłam głowę na jego ramieniu.

Przestaliśmy się śmiać i przez chwilę siedziałam tam z zamkniętymi oczami, coraz wyraźniej odczuwając fizyczną obecność Grega. Przez jego lnianą koszulę przenikało ciepło ciała, obudziły się we mnie bardzo niezwykle doznania.

Greg poruszył się pierwszy. Odsunął się prawie niezauważalnie, wystarczająco jednak, by zerwać fizyczny kontakt i zakłócić nastrój.

- Można i tak powiedzieć, ale oczywiście to nie wyczerpuje zagadnienia. Tu się działo coś wspaniałego, wcale nie było to ani rozpustne, ani złe. Po prostu ludzie żyli tak, żeby nie pomijać żadnego aspektu życia, doznawać radości istnienia... - Urwał, spostrzegł bowiem moją minę. - Trochę się zagadałem, co?

- Tak, ale mnie to wcale nie przeszkadza. Niech no tylko opowiem o tym Josie.

- Josie?

- Pańskiej miłośniczce. - Chętnie zdradziłam mu tę informację.

Odwrócił się, żeby odłożyć notes, przy okazji zaś zgubił luźną kartkę ze szkicem.

- Czy ten rysunek przedstawia klasztor? - spytałam wskazując ją.

Schylił się i podał mi kartkę.

- Tak, ale jak pani widzi, próbowałem dokonać rekonstrukcji. Tak musiał wyglądać w swym najlepszym okresie, gdy stanowił ośrodek wiedzy. Niestety, nie jestem artystą.

- Ale szkic jest całkiem udany. - Zupełnie nie byłam przygotowana na to, co za chwilę się stanie. - Ani się umywa do tego. - Wyciągnął kartonową teczkę i otworzywszy, pokazał mi inny szkic. - To jest fotokopia. Moja... ktoś, kogo znam, ma oryginał.

Pochylił się ku mnie i znów serce zabiło mi mocniej, choć nie dlatego, że przypadkiem musnął ramieniem moją pierś, i nawet nie dlatego, że jego twarz znalazła się tak blisko, że wyraźnie zobaczyłam długie, ciemne rzęsy.

Nagle w centrum mojej uwagi znalazł się bowiem szkic przedstawiający klasztor. Wlepiałam w niego wzrok. Nigdy przedtem go nie widziałam, a jednak miałam wrażenie, że jest inaczej. Dobrze znałam te wyraziste, zdecydowane pociągnięcia ołówka i harmonijną kompozycję.

- On oczywiście sygnował ten szkic. - Greg powiedział to nieco przyciszonym głosem, nie pojmowałam jednak dlaczego.

- Kto? - Zabrzmiało to jak jęk smutku, zanim bowiem Greg zdążył mi odpowiedzieć, zauważyłam fantazyjny podpis w dolnym rogu kartki.

Właśnie na niego patrzyłam, gdy powiedział:

- Artysta, David Lyall.

- Mój ojciec.

Znacie wyrażenie „ziemia się rozstąpiła”? Właśnie w tej chwili tak się stało. Poczułam gwałtowny wstrząs i obraz, jaki miałam przed oczami, nagle zmętniał. Zalała go ciemna purpura.

Tylko szkic leżący mi na kolanach nadal odbijałienne światło. Nie mogłam oderwać od niego oczu.

Panowała niemal absolutna cisza. Zdawałam sobie sprawę z wiatru szumiącego w trawach przy kaplicy i odległego krzyku

ptactwa wodnego, ale poza tym nie rejestrowałam żadnych innych odgłosów. Przez chwilę nie słyszałam nawet własnego oddechu. Czyżbym przestała oddychać?

- Bethany? Czy dobrze się pani czuje?

To był jego głos. Grega. Po co on tu przyjechał? Co miał wspólnego z tym szkicem i tym, co przypominałam sobie o ojcu?

- Bethany, na miłość boską!

Szkic znikł i ciemna czerwień zalała wszystko. Nie zdążyłam jednak upaść, bo Greg obrócił się i mocno chwycił mnie za ramię.

- Bethany! Odetchnij!

Usłuchałam. Odepchnęłam go i zaczerpnęłam wielki haust powietrza, potem jeszcze jeden i jeszcze, aż wreszcie któryś z kolei nie przeszedł mi przez gardło. Wybuchnęłam szlochem.

- No, tak lepiej.

Nie zaprotestowałam, kiedy mnie objął i przytulił jak dziecko, nie byłam w stanie. Trzymał mnie i pocieszał, delikatnie głaszcząc po plecach... Drugą ręką czule odsuwał mi z twarzy mokre kosmyki.

Stopniowo zapanowałam nad szlochem. Jedną rękę miałam uwięzioną między naszymi ciałami tak, że czułam na niej bicie serca Grega Randalla, wyraźny, równy rytm. Zauważyłam też, że z przodu jego koszuli pojawiła się mokra plama, która wciąż się powiększa.

Odsunęłam się raptownie.

- Przepraszam.

- Za co?

- Pańska koszula...

Pokręcił głową.

- Drobiazg. Ale...

- Ale co?

- Bethany... jeśli nie jest pani zbyt trudno o tym mówić, chciałbym się dowiedzieć, dlaczego pani tak gwałtownie zareagowała na widok jednego z rysunków ojca.

Jeden z rysunków ojca!

Greg nie miał pojęcia, jak dziwnie zabrzmiały w moich uszach te słowa. Dopiero teraz przypomniałam sobie, czym ojciec wypełniał swoje dni. Wciąż zresztą kłębiło mi się w głowie mnóstwo pytań. Na przykład, w jaki sposób Greg odkrył istnienie tego szkicu i kto ma oryginał.

Nie miałam jednak zamiaru obciążać go swoimi kłopotami, postanowiłam więc odkryć przed nim tylko część prawdy.

- Mój ojciec niedawno zmarł. Pewnie pan o tym nie wiedział.
- Oczywiście, że nie. Skąd miałbym wiedzieć?

Na pewno nie skłamał. Widziałam to po jego wstrząśniętej minie. Ale wydmuchując nos w chusteczkę, którą wydobyl z zakamarków torby na aparat, zauważyłam w jego oczach zawzięty błysk.

- Bethany... - Pakował już notatki i resztę papierów. - Przepraszam, że tak panią zdenerwowałem, ale naprawdę nie miałem pojęcia...

- Nic się nie stało. Nie musi pan mieć wyrzutów sumienia. Cieszę się, że pokazał mi pan ten rysunek. Nigdy dotąd go nie widziałam.

Wstał i podał mi rękę.

- Chodźmy, musi pani się czegoś napić. Pewnie zresztą nie tylko napić. Jadła pani coś dzisiaj?

- Tak, śniadanie, ale... Greg, czy musimy już iść? Chciałabym się jeszcze dużo więcej dowiedzieć... o pana programie...

- Na pewno pani powiem. Tylko nie tutaj i nie teraz.
- Ale...

- Nie zmienię zdania. Nawet jeśli pani nie jest głodna, to ja jestem. Marzy mi się dobre jedzenie w jakimś bardziej odprężającym miejscu niż moja hotelowa restauracja. Oczywiście, złego słowa nie można o niej powiedzieć. Ale niestety nowoczesne hotele są dość mało nastrojowe.

W ogóle nie zwróciłam wtedy uwagi, że nie przyznał się, w którym hotelu mieszka.

Włożył marynarkę i przerzucił torbę przez ramię. Zamknął za nami drzwi i poszliśmy w stronę drogi, stopniowo oddalając się od kaplicy i ruin.

- O, tam stoi mój samochód. Jest tu mały parking, chociaż ruiny klasztoru prawie nikt teraz nie zwiedza.

- Po pana programie to się na pewno zmieni.

- Wiem. Między innymi o tym muszę z panią porozmawiać. Oczywiście, mam pozwolenie od English Heritage na przygotowanie tego programu, ale okoliczne grunty należą do pani. Grzeczność nakazuje, żebym poinformował panią o swoich zamiarach.

- Ach, rozumiem. - To dlatego przyszedł wcześniej do Dune House. Wcale nie dlatego, że po wczorajszym dniu chciał mnie znowu zobaczyć...

Greg miał granatowe volvo kombi. Wy tłumaczył mi, że potrzebuje miejsca na sprzęt, który zwykle wozi ze sobą, a poza tym zdarza mu się często spać w namiocie, gdy dokumentuje odległe miejsca.

Och, Josie, na pewno wiele byś dała za to, żeby poobozować z Gregiem w jakimś odległym miejscu!

Nie skrzył do Seatoncliffe, lecz pojechał na północ.

- Dokąd pan mnie wiezie?

- Nie wiem. Mam nadzieję, że gdzieś dojedziemy. Znajdziemy spokojną wioskę ze spokojnym pubem. Odpowiada pani taki pomysł?

- Nawet bardzo.

Niemożliwe, Bethany! Nie zrobił czegoś takiego!

- Zrobił, zrobił. To wcale nie jest tak daleko.

Kiedy tego wieczoru powiedziałam Josie przez telefon, że Greg Randall zawiózł mnie prawie do Szkocji, niewątpliwie przebiegła jej przez głowę myśl o Gretna Green. Zapewniłam ją jednak, że rozmawiał ze mną wyłącznie o konkretnych sprawach i wcale nie zamierzał porywać dziedziczki Dune House, żeby wziąć z nią potajemny ślub.

Oczywiście skłamałam, bo nie rozmawialiśmy o niczym konkretnym. Po prostu dobrze się bawiliśmy.

Bar zajazdu Bluebell mieścił się w podłużnym, niskim pomieszczeniu z wyeksponowanym belkowaniem stropu. Na kominku stał miedziany dzbanek, a w nim bukiet suszonych liści i traw.

- O, to wygląda jak prawdziwy kominek, nie imitacja na gaz - zauważył z aprobatą Greg. - Przyjedziemy tu jeszcze, jak będzie zimniej i właściciele napalą.

Nie odezwałam się. Uznał, że nie mam nic przeciwko ponownym odwiedzinom w Bluebell, i zasugerował, że jeszcze będziemy jeździć razem w różne miejsca. Bardzo mnie tym ucieszył. Nie czułam się tak szczęśliwa, odkąd... Nie, w ogóle jeszcze nigdy nie byłam tak szczęśliwa.

Weszliśmy do baru akurat przed samym końcem pory lunchu, nikt z obsługi jednak na to nie narzekał. Usiedliśmy przy oknie z widokiem na krętą, wąską drogę, ginącą w oddali pośród zielonych wzgórz. Tu i ówdzie ciągnęły się kamienne ogrodzenia, na pastwiskach skubały trawę owce rasy szewiot, tak jak działo się to od stuleci.

Jakże inny był ten krajobraz niż płaska nadmorska nizina, z której tu przyjechaliśmy. Pomyślałam, że Josie byłaby zachwycona tym miejscem, i uświadomiłam sobie, że już zaczynam snuć marzenia, w których zostaję tu na stałe.

Jedząc lunch, rozmawialiśmy o muzyce, książkach i filmie. Kiedy wieczorem streściłam tę rozmowę Josie, była bardzo rozczarowana. Uważała, że ktoś tak nadzwyczajny jak Greg Randall powinien być ponad takie przyziemności jak sympatie dla grupy Simply Red i serialu „Z archiwum X” oraz gotowość do stania w kilometrowej kolejce dla obejrzenia na ekranie Meg Ryan.

- I co, pozwolisz mu zrobić ten program? - spytała.
- Powiedziałam, że się zastanowię.
- Bethany!
- Pamiętaj, Josie, że jeszcze nie zdecydowałam, czy zostanę w

Dune House. Jeśli zrezygnuję, to decyzja będzie należeć do mojej ciotki Deirdre i jej córki Sary.

Po drugiej stronie zapadło milczenie. Oczami wyobraźni widziałam, jak Josie przygryza wargę, żeby opanować wybuch. Moja przyjaciółka niezachwianie wierzyła, że powinnam zatrzymać Dune House. Wreszcie powiedziała:

- W każdym razie mam nadzieję, że jak się zdecydujesz, to będę o tym wiedziała pierwsza.

- Obiecuję.

- Aha, Beth. Czy miałaś trochę czasu, żeby popracować nad projektem dla Toma i Alison?

Całkiem wyleciało mi to z głowy.

- Właśnie dziś wieczorem do niego siadłam.

- To świetnie. Będą mieli wspianą prezent ślubny. Tylko pamiętaj o ich ograniczonych możliwościach finansowych.

- Będę pamiętać. Uważaj na siebie, Josie.

- Ty na siebie też.

Tęskniłam do niej, ale pożegnanie się z nią i odłożenie słuchawki nie było już takie trudne jak poprzedniego wieczoru.

Godzina była jeszcze dość wczesna, więc naprawdę trochę popracowałam, zgodnie z daną obietnicą. Postanowiłam, że pokój na pracownię wybiorę innego dnia, a tymczasem urzęduję sobie stanowisko pracy na stole w kuchni.

Siadając do pracy, znalazłam liścik od pani Doran. Zawiadamała mnie, że będzie przychodzić zgodnie z nową umową od przyszłego tygodnia, a w tym postara się wygospodarować jeden dodatkowy dzień, ale nie potrafi powiedzieć kiedy. Sprawiało to takie wrażenie, jakby wyświadczała mi wielką przysługę. A niech ją.

Z przyjemnością wzięłam się do projektowania. Zawsze chciałam stworzyć wrażenie przestronności i bogactwa światła w domu mającym szerokość zaledwie jednego pokoju, a głębokość dwóch. I tu jakoś mi się to udawało. Może oddziaływały na mnie pejzaże Northumbrii: wielka połać nieba, morze i szerokie zielone równiny.

- Nie cieszysz się, że tu wróciliśmy, Davidzie? - To był głos mojej matki. - Te obrazy są wspaniałe! Nigdy w życiu nie namalowałbyś czegoś takiego w Londynie!

Nie. A kysz! W mojej wyobraźni znowu zaczęli się materializować rodzice, ale nie chciałam ich widzieć w tej chwili. Odgrodziłam się od tej wizji. Wciąż jeszcze mogłam to zrobić, choć wiedziałam, że przyjdzie czas, gdy nie będzie już dla mnie odwrotu. W końcu będę musiała rozliczyć się z przeszłością. Tego wieczoru jednak chciałam jeszcze mieć spokój.

*K*toś postawił świeże kwiaty na grobie mojej babki.

Umarła przed kilkoma miesiącami, spodziewałam się więc raczej rozkładających się resztek ze zbrązowiałymi płatkami i pożółkłymi bilecikami kondolencyjnymi, grób jednak był oczyszczony, a w smukłym wazonie stała wiązanka świeżych goździków i gipsówki.

Kto się o to postarał? Sara?

Kościół stał w samym centrum Seatoncliffe. Na dziedzińcu już od wielu lat nikogo nie chowano.

Pochówków i kremacji zwłok dokonywano teraz na cmentarzu komunalnym, znajdującym się na północnym obrzeżu miasteczka. Gdy jednak zatelefonowałam tego rana do pana Simpsona, żeby powiadomić go o swoich zamiarach, notariusz wytłumaczył mi, że dla Frances Templeton zrobiono wyjątek, ponieważ w rodzinnym grobowcu było jeszcze wolne miejsce. Miałam łatwo znaleźć to miejsce, bo dookoła znajdowały się groby innych Templetonów.

Dzień był pogodny, ale od morza zawiewał lekki wiatr, na bawelnianą sukienkę włożyłam więc obszerny rozpinany sweter. Wcisnęłam ręce do kieszeni i spojrzałam na płytę nagrobną. Potwierdzała fakt, iż Frances Templeton, ukochana żona sir Arthura Templetona, połączyła się znów z mężem. Długo musiał na to czekać.

Pan Simpson powiedział mi, że dziadek, zawodowy żołnierz, miał zaledwie trzydzieści kilka lat, gdy odniósł ciężką ranę podczas walk w Korei. Naturalnie mnie nie było wtedy na świecie. Moja matka była jeszcze dzieckiem, gdy jej ojca odesłano do domu, gdzie wkrótce zmarł.

Z napisów na innych płytach dowiedziałam się, że w każdym grobie leżą co najmniej trzy osoby, w starszych nawet więcej.

Gdzie wobec tego był grób mojej matki?

Kościelny dziedziniec był otoczony niskim murem, wyciszającym całkiem skutecznie gwar targowiska, które odbywało się w środę na deptaku, po drugiej stronie ogrodzenia.

Na cmentarzu, schowanym pod parasolami gałęzi kilku starych drzew, tylko gołębie zakłócały spokój tych, którzy odeszli z tego świata.

- Hej, hej!

Najpierw zlekceważyłam ten okrzyk, gdy jednak usłyszałam za sobą kroki, odwróciłam głowę. Ścieżką śpieszyła w moją stronę młoda dziewczyna.

- Hej, hej, panno Lyall. Dzień dobry!

Stała przy mnie. Chyba musiałam zmarszczyć czoło, bo uniosła

dłonie z rozcapierzonymi palcami, jakby chciała mnie uspokoić.

- Jestem Mandy, z kawiarni.
- Ojej... nie poznałam cię.
- Widzę. W swoich ciuchach wyglądam inaczej, prawda?

Bez wątpienia miała rację. W Gondoli nosiła kelnerski fartuszek, była bez makijażu i ze schludnym końskim ogonem. Teraz włosy miała lśniące i rozpuszczone. Z ładnej dziewczyny zrobiła się modelka.

Mandy miała kwieciste legginsy i długą białą koszulkę z bawełny. Wyglądała bardzo efektownie.

- Co się stało, nie cieszysz się ze spotkania?
- Przepraszam, Mandy. Oczywiście, że się cieszę, tylko... skąd wiesz, jak się nazywam?

Byłam pewna, że się jej nie przedstawiłam. Po co miałabym to robić?

- Ach, o to chodzi? W małym miasteczku wiadomości szybko się rozchodzą. Powinnam się domyślić, kim jesteś, już za pierwszym razem, tylko się niezbyt dokładnie przyjrzałam. Zresztą przypominałaś wtedy zmokłego szczura. I byłaś taka załamana, kiedy on sobie poszedł.

- Dziękuję.
- Tylko się nie obrażaj.
- Nie obraziłam się, ale...
- O, teraz lepiej. Musisz się częściej uśmiechać.
- Mandy, daj mi powiedzieć chociaż słowo! Dlaczego powinnaś wiedzieć, że ja to ja?
- Bo jesteś bardzo podobna do swojej kuzynki Sary.

Uff, rzeczywiście straszna miłośnica, pomyślałam i zatęskniłam do anonimowości Londynu.

- Znasz Sarę?
- Bywa czasem w Gondoli.

Na ten temat Mandy miała wyjątkowo mało do powiedzenia.

- A to cholerne gołębie!

Obie odwróciłyśmy się raptownie. Mandy zaczęła chichotać. Przekleństwo dobyło się z ust nobliwej, siwej pani z twarzą anioła.

Stała przy grobie, trzymając w jednej ręce słoik z nagietkami, a w drugiej laskę. Gdy potrząsała laską, żeby odstraszyć ptaki, ze słoika wylewała się woda.

Spostrzegła, że jej się przyglądamy, i zrobiła groźną minę.

- Mam nadzieję, że wy ich nie dokarmiacie. Przygląpy wysypują im okruszyny, a potem te cholerne gołębie zasrywają groby!

Mandy była bliska głośnego wybuchu śmiechu. Złapałam ją za rękę i odciągnęłam na bok. Pobiegłyśmy ścieżką i opuściwszy cmentarz przez bramę z daszkiem, znalazłyśmy się w samym środku targowego gwaru.

Na targowisku był jak zwykle duży wybór warzyw i owoców, taniej odzieży, biżuterii, sprzętu gospodarstwa domowego, używanych książek, kaset i płyt kompaktowych nagranych przez grupy, o których nikt nigdy nie słyszał.

Mandy wzięła mnie pod ramię i skrupulatnie sprawdziła, czy mam zamkniętą torebkę.

- Łobuzów wszędzie jest pełno - mruknęła.

Włóczyłyśmy się bez celu między straganami. Mandy najwyraźniej uznawała za pewnik, że tę część dnia spędzamy razem, a ja nie miałam nic przeciwko temu.

Musiałam jeszcze wiele załatwić, spotkać się z kilkoma osobami, ale to wszystko mogło poczekać. Postanowiłam, że dla zdrowia ciała i umysłu nie będę się z niczym śpieszyć.

- Nie pracujesz dzisiaj? - spytałam.

- Mam wolne. Przebombluję dzień, a wieczorem jadę do miasta?

- Do miasta?

- Do Newcastle. Pewnie pójdę do kina.

- Z chłopakiem?

- Mooowa. - Roześmiała się, ale nie przyznała, czy ma chłopaka i czy właśnie z nim wybiera się do kina.

Przy końcu jednej z alejek między straganami drogę zablokowały nam otwarte drzwi czerwonego samochodu dostawczego. Mężczyzna ubrany w eleganckie czarne spodnie i piaskowy sweter

z półgolfem podawał sprzedawcy ze stoiska naręcza poliestrowych bluzek.

- Dzień dobry, panie Hussain.

Znieruchomiał.

- Dzień dobry, panno O'Connor. - Wymienili spojrzenia, nawet się do siebie nie uśmiechając.

Pan Hussain nie mógł nie być spokrewniony z Ahmedem i Imranem. Był jednak przystojniejszy niż synowie, naturalnie również bardziej dojrzały. Coś jakby Omar Shariff w swoich najlepszych latach. Wydawał się tak samo pociągający, aczkolwiek brakowało mu nieuchwytnego czaru.

Na Mandy spoglądał wręcz wrogo. Chciałam ją odciągnąć, ale dziewczyna twardo stała w miejscu.

- Panie Hussain, to jest moja przyjaciółka, Bethany. Wie pan, Bethany Lyall z Dune House.

Wytrzeszczyłam oczy na Mandy, ale jeszcze bardziej zdumiała mnie przemiana pana Hussaina. Łód stopniał, kupiec przekształcił się nagle w układnego, by nie powiedzieć, eleganckiego człowieka.

- Bardzo mi miło panią poznać, panno Lyall. Imran na pewno już to pani powiedział, ale jeśli moglibyśmy w czymś być pomocni, to służymy w każdej chwili... - Skłonił przede mną głowę.

- Och, dziękuję... Bardzo jest pan uprzejmy...

Zastanawiało mnie, ile jeszcze osób zwróciło uwagę na mój powrót do Seatoncliffe i jak długo będzie to temat miejscowych plotek.

Niespodziewanie Mandy pociągnęła mnie za ramię.

- Musimy już iść, panie Hussain. Do widzenia.

Obróciła mnie w miejscu i zręcznie wyminęła kupca oraz jego furgonetkę. Znalazłyśmy się w następnej alejce między straganami.

- Snob - mruknęła. - A ja tak się staram być dla niego grzeczna.

- Myślisz, że on tak ze snobizmu?

Staksowała mnie wzrokiem.

- Bystra jesteś. Ale to naprawdę kawał snoba. Hussainowie zaczęli od jednego sklepiku na nabrzeżu, z mieszkaniem na pięterku. Teraz mają kilka sklepów, parę taksówek, fabryczka odzieży i nowy dom z pięcioma sypialniami i wiktoriańską palmiarnią.

- I co z tego?

- Pną się w górę i przez cały czas się zmieniają. Młodzi są w porządku. Z Ahmedem chodziłam do średniej szkoły, ale ich ojcu zdaje się, że są za dobrzy dla jakichś tam O'Connorów. I wyobraż sobie, że wielu ludzi myśli podobnie.

Uśmiechnęła się szeroko, tuszując tym gorycz bijącą ze słów. Uświadomiłam sobie, że z pewnością niewielu ludzi ma szansę przechrzyć Mandy O'Connor. Jej bystrość, cięty język i bezpretensjonalność stanowiły zabójczą kombinację.

Wyszliśmy spomiędzy straganów i przecięliśmy brukowany plac, idąc w stronę szeregu furgonów z lodami, barów na kółkach i samochodów, z których sprzedawano frytki. Doleciał nas apetyczny zapach gorących frytek z solą i octem. Mandy uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Chcesz? Ja stawiam!

- Chcę, ale ja płacę. Moja kolej.

- Jak to twoja?

- Postawiłaś mi kawę, pamiętasz?

- Ach, o to ci chodzi. Kawa mnie nic nie kosztowała, a ty wyglądałaś tak, jakby mogła uratować ci życie. A, właśnie. Pogodziliście się? Ty i ten przystojniacha?

Odpowiedź pożyczylam sobie od Mandy:

- Mooowa!

Atrakcyjna kobieta w średnim wieku, urzędująca w punkcie informacji turystycznej, była ubrana w granatową spódnicę i pachnącą świeżością bluzkę w biało-niebieskie paseczki. Włosy ze złocistymi pasemkami miała zaczesane do tyłu. Wyraźnie lubiła tanią biżuterię. Pierścionki połyskiwały jej na wszystkich palcach, była wśród nich również obrączka. Kobieta nosiła plakietkę z

nazwiskiem, z której wyczytałam, że nazywa się Kate Sorensen.

Wydawała się o wiele za elegancka jak na to miejsce, ale że deptak był bezлюдny, bo widocznie wszyscy turyści włączyli się po targowisku, pani Sorensen potraktowała mnie bardzo życzliwie. Miała jednak tylko kilka ulotek z podstawowymi informacjami o klasztorze Seaton.

Przejrzałam je, w czasie gdy pani Sorensen szukała w szafie następnych. Ze zdziwieniem dowiedziałam się, że istniejące do dziś ruiny są stosunkowo młodej daty, pochodzą bowiem z dwunastego wieku! Ale już w siódmym stuleciu stanął tu klasztor, a właściwie dwa, jeden męski i jeden żeński. Łączyła je wspólna kaplica.

Dowiedziałam się również, że mężczyźni i kobiety, którzy spędzali tu swoje dni, miesiali niekiedy szlacheckie, a nawet królewskie rodowody. Postanowili jednak odciąć się od rozkoszy tego świata i poświęcić życie Bogu.

Klasztor stał się ośrodkiem nauki, chociaż w ulotce była też intrygująca wzmianka sugerująca, że wspólnota religijna w Seaton „usiłowała stworzyć mniej restrykcyjny, bardziej ludzki model życia klasztornego”.

Zaczęłam pojmować w ogólnych zarysach, jakim tropem zamierza podążyć Greg. Obiecał, że wkrótce się ze mną skontaktuje, więc przed rozmową o jego planach chciałam dowiedzieć się jak najwięcej na własną rękę.

- Przykro mi, ale to wszystko, co mamy. Było jeszcze kilka kopii tej pięknej mapy z witryny, na której zaznaczono wszystkie kościelne budowle w okolicy, ale właśnie przed chwilą sprzedałam ostatnią bardzo sympatycznemu panu.

Na pewno mówiła o Gregu. A błysk w jej oczach dowiódł mi, że Greg wywiera takie samo wrażenie na kobietach w średnim wieku, do których zaliczała się przecież i Betty Doran, jak na bezkrytycznych młodych pielęgniarkach.

Przypomniało mi się, jak w dzień mojego przyjazdu do Seatoncliffe wlepiął wzrok w tę witrynę, w ogóle nie zwracając uwagi na deszcz. Myśl, że dziś minęłam się z nim o minuty, była bardzo

rozstrajająca. Niespodziewanie przeżyłam z tego powodu bolesne rozczarowanie.

- Wie pani, chyba go skądś znam... - Kate Sorensen miała w tej chwili całkiem błędny wzrok.

Oczywiście mogłam ją oświecić, zrezygnowałam jednak z tego. Gdyby Greg chciał się przedstawić, na pewno by to zrobił.

- Ten egzemplarz stanowi, niestety, własność naszego punktu. - Rozłożyła wielką płachtę na kontuarze. - Mapa nie jest dokładna, ale zdaje się, że tego pana bardziej interesowała kobieta, która ją sporządziła.

Poczułam niemile ukłucie zazdrości, chociaż zdawałam sobie sprawę, że Greg może szukać kontaktu z autorką mapy w związku z zamierzonym programem.

Mapa naprawdę robiła duże wrażenie. Była uproszczona i wyglądała trochę tak, jakby narysowano ją za pomocą komputera. Szare plamy kościelnych zabudowań wyrastały z zielonego otoczenia i majaczyły na tle niebieskiego nieba. Na wschodzie widniało wzburzone morze. Wyobraziłam sobie, jak świetnie można by wykorzystać tę mapę, włączając ją do telewizyjnej czołówki.

Pochyliłam się nad kontuarem i przyjrzałam się jej dokładniej, ale nie dowiedziałam się wiele. Nawet to, co zostało mi w pamięci ze szkicu ojca, który tak mną wstrząsnął, dowodziło, że autorka oparła się raczej na artystycznej wizji niż konkretnej wiedzy. Zaintrygował mnie jednak malutki budynek na wyspie, coś jakby komórka.

- Co to jest? - spytałam panią Sorensen.

- Och, tam była kiedyś cela eremity, należąca do klasztoru, ale nic już z niej nie zostało. No, może parę kamieni. Krążą jednak plotki, że w grocie pod dawną celą rozpoczyna się tunel, który prowadzi do klasztoru pod dnem morza.

- Naprawdę?

- Nie sądzę, żeby to była prawda. Sama grota jest dość

nieciekawa. W każdym razie nie powstrzymuje to dzieciaków, które nieustannie próbują odnaleźć tunel. Zawsze. trzeba je potem ratować. Właśnie, o wilku mowa...!

Nie zrozumiałam, co miała na myśli, i nie mogłam się na tym skupić. Działo się ze mną coś dziwnego...

- Gdzie jest Cygus? Powiedział, że będzie na nas czekał przy grobli.

- Wracajmy, Saro.

- Nie. Chcę zobaczyć tę jaskinię. Cygus na pewno poszedł pierwszy. A ty obiecałaś, że ze mną pójdziesz.

Dość tego! Miałam ochotę krzyknąć. Znów niespodziewanie usłyszałam głosy z dawnych lat, mój i kuzynki Sary. Pamięć włączała mi się i wyłączała jak zdezelowany projektor filmowy, który rusza nagle bez względu na to, czy ktokolwiek chce oglądać film.

Zacisnęłam dłonie na kontuarze. Co powiedziała pani Sorensen chwilę wcześniej? „Właśnie, o wilku mowa...”?

Włożyłam tak wiele wysiłku w powrót do rzeczywistego świata, że zrobiło mi się słabo. Bez wątpienia było to po mnie widać.

- Czy nic pani nie jest? Strasznie pani zbladła.

Kate Sorensen pochyliła się w moją stronę nad kontuarem, jednocześnie ktoś chwycił mnie za ramiona od tyłu.

- Nie łam się, dziewczyno!... Wygląda na to, że znowu zjawiam się w porę. Proszę, wesprzyj się na mnie.

- Nie, dziękuję. Już mi lepiej. - Była to prawda. Chwila słabości minęła i natychmiast wyrwałam się z objęć. Z uśmiechem odwróciłam się do mężczyzny, który uratował mnie przed upadkiem. Był nim Duncan Alexander.

- Czy pan naprawdę to powiedział?

- Co takiego?

- „Nie łam się, dziewczyno”, z takim pięknym szkockim akcentem.

- Ależ tak - potwierdził, znów demonstrując ten sam akcent. Pokręciłam głową, a on się roześmiał. - To brzmi strasznie stereotypowo, prawda?

- Och, mnie się podoba. - Nie kłamałam. Melodia jego głosu była bardzo przyjemna dla ucha, zdecydowanie kojąca.

Miał na sobie dzinsy, koszulę w biało-niebieską kratkę i pikowaną kamizelkę fotografa, z niezliczonymi kieszeniami i kieszonkami. Kamizelka była ciemnoniebieska i wspaniale podkreślała jego nordycką urodę z jasnymi włosami.

Sprawił wrażenie człowieka, na którym można polegać. Miło byłoby się zakochać w kimś podobnym do Duncana Alexandra, pomyślałam, usiłując odpędzić od siebie wyobrażenie mężczyzny, do którego zaczęłam Duncana porównywać.

Pani Sorensen się uśmiechała.

- Potrafisz być czarujący, jeśli tylko chcesz, Duncan, ale czy przywiołeś mi nowe plakaty?

- Mam plakaty i mam ulotki. Zostawiłem w samochodzie. Ale zaparkowałem pod zakazem zatrzymywania, więc jeśli ci to nie przeszkadza, to już po nie biegnę.

- Biegnij, biegnij. - Skinęła głową i Duncan ruszył do drzwi.

Zanim znikł, podparł je jeszcze klinem, żeby się nie zamknęły.

- Pan Alexander jest strażnikiem w rezerwacie - poinformowała mnie Kate Sorensen, choć, oczywiście, już to wiedziałam. - To on ratuje dzieciaki z groty na wyspie.

I kobiety, które znalazły się w opresji z powodu nadchodzącego przypływu, pomyślałam.

Gdy Duncan wyładował i przyniósł już wszystko, zaproponował mi odwiezienie do domu.

Wyszliśmy razem na ulicę. Stał tam ciemnozielony samochód z napędem na cztery koła. Niewątpliwie był to idealny pojazd dla kogoś takiego jak Duncan.

Przez chwilę się wahałam. Właściwie zamierzałam odwiedzić jeszcze jedną osobę w Seatoncliffe.

- Wie pan, dziękuję, przecież jest autobus - powiedziałam.

- Prawdę mówiąc, chciałem panią zaprosić do siebie. Obiecałem

opowiedzieć o rezerwacie, więc mógłbym to zrobić teraz, jeśli nie ma pani innych planów.

Przystąpiłam na tę propozycję. Czemu nie? Duncan był ciekawym człowiekiem i wdzięcznym towarzyszem, pomyślałam więc, że będę miała okazję na trochę oderwać się od kłopotów.

- Proszę wsiąść do samochodu. Gdyby pojawił się policjant, niech mu pani powie, że będę za pół minuty.

- Dobrze, ale dlaczego?

- Chcę jeszcze kupić u Hussaina coś do jedzenia. Przyrządźmy sobie spóźniony lunch.

- Naprawdę nie trzeba... - Ale Duncana już nie było. Zostawił mnie w głębokim żalu, że dałam się namówić Mandy na podwójne frytki.

Po chwili wrócił z kartonowym pudłem pełnym artykułów spożywczych. Rzucił to wszystko na tylne siedzenie i odjechaliśmy.

Opuściliśmy miasteczko tą samą drogą, którą wiozł mnie Imran w dzień przyjazdu. Minęliśmy Dune House i po pewnym czasie przystanęliśmy przed zabudowaniami złożonymi z trzech parterowych domów.

- Te dwa są jak jeden - wyjaśnił Duncan, wyładowując paczkę z prowiantem. - Jest tam coś w rodzaju muzeum i moja ciemnia. A w tamtym trzecim mieszkam.

Poszłam za nim do najdalszego domu, stojącego najbliżej morza.

- Tylko tyle zostało z bogatej wsi rybackiej. Inne domy się zawaliły, a materiał budowlany rozgrabili ludzie z okolicy.

- A co się stało?

- Z rybakami? Łowili tylko przy brzegu. Najpierw przyszła konkurencja ze strony parowych kutrów. To było jeszcze w dziewiętnastym wieku. A potem Szkoci z Eyemouth przyplynie tu łowić śledzie i wykończyli miejscowych ostatecznie.

- Dziwię się, że może pan tu spokojnie spać. Uśmiechnął się przez ramię i przekręcił klucz w zamku.

- Rzeczywiście. To ironia losu, że w tym, co zostało ze wsi, mieszka teraz Szkot. Gdybym wierzył w duchy, na pewno nie miałbym ochoty spędzać w samotności długich zimowych nocy.

Idąc za nim, mimo woli próbowałam się domyślić, czy zawsze bywa tu nocą sam. Nie zachowywał się jak żonaty człowiek, ale bardzo bym się zdziwiła, gdyby w życiu tak atrakcyjnego mężczyzny nie było kobiety.

Wystawił z domu drewniany stolik z salonu i dopiero wtedy wniósł do kuchni pudło z jedzeniem.

- Staram się jeść na świeżym powietrzu, kiedy tylko można. Na dworze człowiek czuje się swobodniej, nie sądzi pani? - Przysunął stolik do długiej drewnianej ławy, ciągnącej się wzdłuż frontowej ściany domu.

- Niech pani usiądzie, Bethany - zaprosił. - Trzeba korzystać ze słońca, póki czas.

- Może pomóc coś przyrządzić?

- Nie, dziękuję. To mi nie zajmie dużo czasu. - Znikł w domu. Zauważyłam, że musiał się schylić, żeby nie zawadzić głową o framugę. Wkrótce wrócił, trzymając sztuce i kieliszek czerwonego wina. - Proszę - rzekł podając mi go. - Niech pani teraz myśli o niczym smutnym.

Oparłam się plecami o ścianę domu i zaczęłam popijać wino. W tym miejscu brzeg zakręcał i wrzynał się w morze, front domu był więc zwrócony na południe. Widziałam stąd wyspę, Dune House na przylądku, a dalej Seatoncliffe z plażą, na którą chodziła większość wczasowiczów.

Ale między domem, przed którym siedziałam, a Dune House, za pasem wydm było też widać dużą część drogi biegnącej po klifach. Miałam wrażenie, że poznaję miejsce, gdzie samochód omal nie zepchnął mnie z urwiska.

- Proszę, niech pani obejrzy. - Duncan wrócił z kilkoma ulotkami, takimi jak te, które zostawił u pani Sorensen. - Może będzie też pani chciała poobserwować okolicę. - Położył na stoliku lornetkę i wrócił do domu.

Ulotki nie różniły się niczym od podobnych, rozdawanych w

innych rezerwatach i ciekawych turystycznie miejscach. Wyróżniały się tylko wspaniałymi zdjęciami. Domyśliłam się, kto jest ich autorem, zanim jeszcze przeczytałam na dole strony mały napis, rezerwujący prawa autorskie dla Duncana Alexandra.

Dzikię kwiaty, motyle, muszle, ptaki... fotografie nie tylko dowodziły talentu Duncana, lecz i jego cierpliwości. Ta praca musiała wiele dla niego znaczyć.

Wzięłam ze stolika lornetkę i spozjrzałam na brzeg. Po piachu biegały tam i z powrotem ptaki. Wyglądały dziwnie, jak nakręcane zabawki. Z ulotki dowiedziałam się, że są to biegusy.

Moją uwagę przykuła ciemna plama w powietrzu, opadająca lotem nurkowym. Zdążyłam skorygować ostrość widzenia w porę, by zobaczyć wielkiego białego ptaka z czarnymi końcami skrzydeł, rozcinającego morską tafłę. Był pod wodą około dwudziestu sekund i dopiero wtedy ukazał się ponownie.

- To jest głuptak. Jak wypływa na powierzchnię, to połyka złowioną rybę w całości. Dolać pani wina? - Duncan stał w drzwiach, za moimi plecami.

Nie odpowiedziałam mu jednak od razu. Siedząc lot głuptaka, wzbijającego się nad klify, zwróciłam uwagę na coś zupełnie innego.

Wydało mi się, że zauważyłam ruch w oknie na piętrze Dune House. Przez chwilę nie odrywałam lornetki od oczu, ale nic więcej nie zobaczyłam.

Pomyślałam, że może po prostu błysnął promień słońca odbity od szyby. A może już po moim wyjściu na cmentarz przyszła pani Doran?

Duncan podszedł do stolika i nie pytając mnie o zdanie, znów napełnił mój kieliszek. Odłożyłam lornetkę i uśmiechnęłam się.

- Dziękuję, ale nie powinnam tyle pić na pusty żołądek. - Zrazem będzie coś do jedzenia. - Odstawił butelkę na stolik i wrócił do domu, zabierając lornetkę.

Wkrótce zjawiał się znowu, niosąc dwa talerze i dużą żółtoniebieską miskę z makaronem polanym gęstym, czerwonym sosem, roztrzaskującym winny aromat.

- Duncan, to wygląda rewelacyjnie! Jak pan się z tym tak uwinął?

- Oszukałem. Cebulę, paprykę i pieczarki pokroiłem tymi rękami, ale reszta to tylko butelka wina i słoik gotowego sosu!

Przez chwilę delektowaliśmy się w milczeniu smakiem potrawy, wkrótce jednak Duncan, całkiem bez zachęt z mojej strony, zaczął opowiadać o swojej pracy.

Dowiedziałam się od niego, jak piach, zatrzymywany przez rośliny, przez tysiąclecia tworzy wydmy. Usłyszałam, jakie rośliny porastają wydmy, jakim owadom dają schronienie i jakie ptaki zjadają te owady.

Bez przerwy zaś podkreślał, jak chwiejna jest równowaga w tym środowisku. Odsunął talerz i oparł się łokciami na stole, nachylając się w moją stronę.

- Chodzenie po wydmach może doprowadzić do wydeptania roślinności na dużym obszarze, a to z kolei powoduje silną erozję.

- To dlaczego zachęca pan ludzi do odwiedzania tego miejsca?
- spytałam. - Lepiej byłoby utrzymywać istnienie tego rezerwatu w tajemnicy, a pan jeszcze zanoszą ulotki do punktu informacji turystycznej.

- Moja praca polega na utrzymywaniu równowagi między potrzebami natury a jak najbardziej uzasadnionymi żądaniem, żeby udostępnić ten teren zwiedzającym. O wiele lepiej jest uczyć ludzi niż stawiać im zakazy. Jeśli chodzi o mnie, jestem w tym samym stopniu zdany na dobrą wolę miejscowych władz co przyjezdnych gości.

Miałam wrażenie, że w tej chwili mówi już o bardzo osobistych sprawach, specjalnie do mnie. Nie mogłam jednak zrozumieć, dlaczego.

Czyżbym popełniła jakieś fatalne wykroczenie w dniu, w którym usiłowałam się dostać na wyspę? Może Duncan przyglądał mi się skądś przez lornetkę i przybiegł nie tylko uratować mnie

przed przyplywem, lecz również surowo zganić za niszczenie środowiska naturalnego. Nie przestawał mówić:

- Ale nie wszyscy ludzie, którzy tu mieszkają, i nie wszyscy przyjezdni odnoszą się życzliwie do moich celów.

No, teraz powie, co trzeba, pomyślałam. Koniec kielkującej przyjaźni.

- Mam kłopoty na przykład z niektórymi mieszkańcami kempingu. Palą ogniska na wydmach, pieką kielbaski, a przy okazji niszczą rośliny i płoszą gniazdujące ptaki. Jeżdżą jak wariaci po klifach sportowymi samochodami, bezmyślnie mordując wszystko, co przy okazji dostanie im się pod koła...

Czy właśnie to mi się zdarzyło? Czyżbym padła ofiarą beztroskiego młodziana, wczasującego na kempingu Paula Mitchella? Ta myśl odwróciła na chwilę moją uwagę od słów Duncana. Gdy oprzytomniałam, zobaczyłam, że mi się przypatruje.

- Mam nadzieję, że pani nie nudzę - rzekł chłodno.

- Nie, nie. Zamyśliłam się nad tym, co pan powiedział. Ale nie bardzo rozumiem, dlaczego...

- Dlaczego to wszystko mówię, tak? - Uśmiechnął się.

- Pamiętaj, jak żartem zaproponowałam pani wykład o obowiązkach właściciela ziemskiego?

Żartem? Nie odniosłam takiego wrażenia. Zdawało mi się, że do obowiązków wszelkiego rodzaju Duncan odnosi się ze śmiertelną powagą. Mimo to odwzajemniłam uśmiech i skinęłam głową.

- Bethany, nie wspominałbym o tym, gdyby nie to, o czym wszyscy wiedzą... - Nie miałam pojęcia, co za chwilę powie.

- Paul Mitchell chce powiększyć obszar kempingu. Złożył w tej sprawie ofertę pani babce. Nie wiem, co postanowiła pani Templeton, i nie wie tego... nie wie tego także nikt inny. Ale decyzja należy teraz do pani. Bardzo proszę, żeby z powagą rozważyć moje argumenty, zanim cokolwiek pani zdecyduje.

- Ach, rozumiem. - Wbiłam wzrok w stolik. Przysłałam tu z

myślą, że oderwę się na chwilę od kłopotów, a tymczasem zrzucono mi na barki następny.

Do tej pory nie zastanawiałam się w ogóle nad ofertą Paula, bo nie zdecydowałam jeszcze, czy chcę zostać w Seatoncliffe. Westchnęłam.

Duncan wyciągnął rękę i ujął moją dłoń.

- Przepraszam, Bethany.

- Za co?

- Za to, że wyrwałem się nie w porę.

- Nie ma sprawy. Cieszę się, że pan mi to wszystko powiedział. Jeszcze wrócimy do tej rozmowy, ale na razie mogę obiecać tylko tyle.

- W porządku. A teraz lepiej schowajmy się, zanim deszcz łunie jak z cebra.

- Deszcz?

- Tak, proszę spojrzeć. - Podniósł ze stolika butelkę po winie. Perlily się na niej kropelki.

Całkiem zniecka o stół zabębniły większe krople. Resztki sosu w misce zaczęły mieszać się z wodą.

Porwaliśmy zastawę i wbiegliśmy do domu. Duncan wrócił jeszcze po stolik.

- Czy tutaj zawsze jest taka zmienna pogoda? - spytałam, gdy znów znalazł się w domu.

- Tak, ale nauczy się pani cieszyć chwilami słońca, zapewniam panią. Oczywiście, jeśli zamierza pani tu zostać...

*D*uncan i ja mierzyliśmy się spojrzeniami nad stolikiem. Czyżby chciał mnie spytać, czy zamierzam tu zostać i przyjąć spadek? Czy w ogóle wiedział, że mam wybór? Nie, niemożliwe...

A jednak patrzył na mnie tak, jakby moja odpowiedź miała dla niego duże znaczenie.

- Rozpalę ogień - powiedział, gdy milczenie się przedłużało. - Napijemy się kawy.

Usiadłam w fotelu, on tymczasem przykląkł obok kominka. Na kracie leżały już papier i torf na rozpalkę, więc wystarczyło przytknąć

do nich zapałkę, a potem ostrożnie dołożyć kilka polan z koszyka. Niektóre kawałki drewna wyglądały tak, jakby wyrzuciło je morze.

Niebo zakryła deszczowa chmura, więc przez dwa okienka wpadało niewiele światła. Wkrótce jednak dosięgnął nas żar ognia.

Duncan oczyścił palenisko pogrzebaczem. Ruchy miał zdecydowane i oszczędne. Gdy poszedł do kuchni nastawić wodę, rozejrzałam się z zainteresowaniem.

Podłoga była przykryta prostym, ciemnoszarym dywanem, ściany pomalowano na białą. Za moimi plecami stał drewniany stół z krzesłami, a przy kominku dwa fotele, przedzielone niskim, prostokątnym stolikiem. Fotele miały spłowiałe niebieskoszare pokrycia, ten sam materiał posłużył na zasłony. Dom Duncana był wygodny, ale dość ascetyczny.

Po obu stronach kominka znajdowały się alkozy z wbudowanymi półkami. Książki, które je zajmowały, nie wyglądały jednak jak powieści. Duncan nie lubił więc spędzać spokojnych wieczorów z kryminałem w dłoni, siedząc w zaciszu przy ogniu, podczas gdy na dworze wyje wichry.

Co jednak wobec tego robił, gdy nie pracował i nie fotografował? Pobieżne spojrzenie przekonało mnie, że wśród książek znajdują się przede wszystkim dzieła naukowe. Miało się wrażenie, że jest to jedyna własność Duncana, jeśli nie liczyć radia i lampki stojącej na jednej z półek. Natomiast na drugiej ze zdziwieniem zauważyłam dwie szklane karafki z długimi rurkami do picia.

Zdziwiłam się, bo coś takiego ludzie przywożą do domu z wakacji, tymczasem nic innego w tym pokoju nie wskazywało, by Duncan Alexander zbierał błahe pamiątki bądź jeździł na wakacje!

Może zachował te karafki ze względu na piękny złotawy kolor szkła. Bez wątplenia znakomicie się prezentowały na tle białej ściany, zwłaszcza gdy zaczynały odbijać blask ognia.

Z niefunkcjonalnych rzeczy w pokoju były jeszcze tylko oprawione

fotografie, wiszące na ścianach. Nawet z daleka widziałam, że wszystkie są autorstwa Duncana.

Wstałam i zaczęłam przyglądać się z bliska dużej fotografii nad kominkiem. Przedstawiała stado ptaków podobnych do mew. Leciwały w głąb łądu nad jakimś bagnem. Kompozycja urzekła kształtami skrzydeł, błyskami wody wśród trzciny, białymi gwiazdzistymi kwiatami.

Inne fotografie były mniejsze, ale wyglądały tak, jakby zrobiono je w tym samym miejscu. Jeszcze zanim dostrzegłam wspaniałe ujęcie czterech flamingów w locie, uznałam, że nie może to być Anglia. Nie pasowały mi barwy ani oświetlenie...

- Usiądzie pani?

- Podziwiałam pańskie prace. Bo to pan fotografował, prawda?

Zaskoczył mnie. Nie potrafiłabym zgadnąć, jak długo stał w drzwiach prowadzących z kuchni. Pokój był pogrążony w półmroku, a za plecami Duncan miał płamę światła, nie widziałam więc dokładnie jego twarzy.

- Tak, ja. To co, napijemy się kawy? - Postawił tacę na stoliku. Oprócz kawy stały na niej butelka brandy i dwa kieliszki.

Duncan zaczął nalewać napoje, a ja postanowiłam skorzystać z łazienki. Spytałam, dokąd mam iść. Wskazał jedyne drzwi, których przeznaczenia jeszcze nie znałam. Otworzyłam je i znalazłam się w korytarzyku z dwiema dalszymi parami drzwi.

- Po lewej! - zawołał, gdy się zawahałam.

Drugie drzwi musiały prowadzić do sypialni, jakoś oparłam się jednak pokusie, by je uchylić i zajrzeć do środka. Wiedziałam, co bym zobaczyła. Celę mnicha.

Gdy wróciłam do stolika, Duncan zapalił lampkę w alkowie i znaleźliśmy się nagle w oazie ciepła i spokoju.

Może to jest właśnie sposób na życie, pomyślałam. Czasochłonna, satysfakcjonująca praca i nieskomplikowane przyjemności, takie jak dobre jedzenie i ogień, przy którym można posiedzieć.

Duncan opowiedział mi trochę o muzeum w sąsiednim budynku i o swojej klienteli, składającej się przede wszystkim z młodzieży szkolnej i studentów. Potem zapadło milczenie i przez chwilę słychać było jedynie trzaski płonących drew.

Dopiswszy kawę, zaczęłam sączyć brandy, przyglądając się Duncanowi, który obracał kieliszek w dużej, zgrabnej dłoni. Nie mogłam powstrzymać się od domysłów, czy rzeczywiście jest tak samowystarczalny, jak się wydaje, czy też tęskni za kimś, z kim mógłby dzielić swą namiętność.

Naturalnie, miałam na myśli namiętność do pracy. A jednak coś mnie głęboko poruszyło. Może była to wina brandy, ale poczułam się nagle bardzo dziwnie. Od tego mężczyzny promieniowała wielka siła. Aż zadrżała mi ręka trzymająca kieliszek. Szkło zgrzytnęło o zęby.

Szybko dokończyłam drinka i odstawiłam kieliszek na stolik.

- Powinam już chyba iść.

Duncanowi się nie śpieszyło. Zerknął do swojego kieliszka i zakręcił pozostającym w nim płynem. Dopiero potem wypił wszystko do dna.

- Deszcz przestał padać.

- Deszcz? - Zapomniałam już, dlaczego musieliśmy schronić się pod dachem. Teraz nagle spojrzałam w okno i stwierdziłam, że na dworze się przejaśniło. Mój zegarek wskazywał piątą. Nie zamierzałam siedzieć tu tak długo.

Duncan już stał przede mną.

- Odprowadzę panią do domu. Po winie i brandy nie powinienem siadać za kierownicą. Czy to pani nie przeszkadza?

- Ani trochę. Zresztą sama trafię. Nie ma potrzeby...

- I tak muszę zrobić obchód, Dune House jest po drodze.

Poszliśmy skrótem przez wydmy. Nigdy w życiu nie znalazłabym tej drogi sama. Po chwili jednak miejsce wydało mi się znajome. Zobaczyłam prześwit między grzbietami wydm i początek ścieżki, którą zesłałam na brzeg pierwszego ranka, który tu spędziłam.

Przejęta nagłym niepokojem, skręciłam w stronę ścieżki na brzeg.

- Nie ma pan nic przeciwko temu?
- Nie. - Duncan podszedł do mnie.

Stanęliśmy na szczycie stromizny, która opadała ku plaży. Popatrzyłam na wyspę.

- Czy naprawdę ratuje pan dzieci z grot?
- Z grot. Teraz jest tylko jedna, chociaż kiedyś skała, która się osunęła, prawdopodobnie zablokowała wejścia do innych. W każdym razie zdarza mi się rzeczywiście wyciągać stamtąd dzieciaki. Wabią je opowieści o tajnych korytarzach i kufrach przemytników, wypełnionych złotem. Czasem któreś się założy, że tam przenocuje. Wie pani, jak to jest z dziećmiakami.

Z zadowoleniem stwierdziłam, że się uśmiecha. Już prawie zapomniałam, że ma poczucie humoru.

- Dlaczego nie ma tablic ostrzegawczych?
- Władze bez przerwy je stawiają, ale łobuzeria, miejscowa i przyjezdna, niszczy je i wyrzuca do morza.
- Czy wobec tego grota jest niebezpieczna?
- Sama grota nie. Kłopoty zaczynają się wraz z przyływem.

Nie możesz jej tu zostawić... utonie!

W moich uszach zadźwięczał krzyk sprzed lat. Tym razem nie było obrazu, tylko sam głos. Ale czyj? Brzmiał histerycznie, wysoko i nienaturalnie.

- Nie zostawiajcie jej !
- Zamknij się! Nie mamy wyboru...

To był drugi głos, cichy, prawie jak szept, zagłuszany wrzaskiem mew.

A w tle huczały fale, wielkie masy zimnej, szarej wody, przetaczały się, grzmiały coraz bliżej i bliżej...

- Au! - krzyknęłam nagle. Poczulałam silny ból w prawej kostce. Krzyknęłam jeszcze raz. Potem zaczęłam zsuwać się po piachu, po

stromiźnie. Sypkie podłoże usunęło mi się spod nóg...

Nabierałam prędkości w alarmującym tempie. Czułam piach pod sobą, nad sobą i dookoła siebie, cała wydma zdawała się na mnie zsypywać. Szeroko rozrzuciłam ręce jak tonący człowiek.

- Ej, co się tam dzieje?! - odezwał się nowy głos, zdecydowanie należący do terażniejszości. Chyba go poznałam.

- Wszystko w porządku. Już ją mam. - Duncan chwycił mnie za ręce i pociągnął do góry. Oboje upadliśmy na piach, na grzbiecie wydmy.

Leżałam, ciężko oddychając. Piasek zgrzytał mi między zębami. Poczułam się jak bezradne dziecko, chciało mi się płakać. Cieszyłam się tylko, że torebka nie spadła mi z ramienia.

Gdy otarłam piach z twarzy, skupiłam wzrok na stopach tuż przede mną. Były to wielkie stopy w lśniących, czarnych butach, a powyżej zaczynały się długie nogi w mundurowych spodniach.

Podniosłam głowę i po dłuższej, jak mi się zdawało, chwili ujrzałam twarz posterunkowego McKenzie.

Duncan podniósł się, a posterunkowy wyciągnął do mnie dłoń.

- Niech pani mnie złapie za rękę.

- Nic pani nie jest, Bethany? - spytał Duncan.

- Nic, ale co się właściwie stało?

- To ja chciałem o to spytać - odezwał się policjant, spoglądając na Duncana.

Ten pokręcił głową.

- Nie wiem. Staliśmy tutaj i patrzyliśmy na wyspę, i nagle panna Lyall straciła równowagę. Wyglądało to tak, jakby noga odmówiła jej posłuszeństwa. Panna Lyall próbowała utrzymać równowagę, ale zaczęła się zsuwać.

- Czy pani pamięta to tak samo?

- Tak, chyba tak...

- Ale? - Posterunkowy McKenzie znów wykazał się spostrzegawczością.

Uśmiechnęłam się, bo przypomniałam sobie, kiedy zrobił to pierwszy raz.

- Nie, nie takiego. Nogę w kostce...
- Uszkodziła sobie pani jeszcze w dzieciństwie, wiem.

Duncan bardzo się zdziwił.

- Państwo się znają?
- Poznaliśmy się wczoraj.

Czy naprawdę było to zaledwie wczoraj? Tak czy owak, posterunkowy McKenzie nie powiedział już na ten temat nic więcej, toteż byłam mu wdzięczna za dyskrecję. Nie opowiedziałam Duncanowi o wypadku, jaki miałam po drodze do domu, i wcale nie zamierzałam tego zrobić. Dość miałam komplikacji w życiu. Zauważyłam jednak, że Duncan trochę się zdenerwował.

- Dobrze się stało, że pan Alexander szybko panią złapał - podjął policjant. - Takie obsunięcie się z wydmy może być niebezpieczne. Znane są przypadki, kiedy skończyło się śmiercią ofiary po kilku minutach.

- Śmiercią? - Byłam wstrząśnięta i przerażona.
- Tak, wskutek zmiżdżenia albo uduszenia. Bywa, że nie zdążymy na czas odkopać ofiary, nawet jeśli bardzo się staramy.

- Odprowadzić panią do domu, Bethany? - Duncan wydał mi się zatroskany i bardzo mnie tym wzruszył.

Zamrugałam, żeby powstrzymać łzy.

- Tak, proszę.

Ruszyliśmy we troje przez wydmy, posterunkowy McKenzie pierwszy. Cieszyłam się, że żaden z nich nie chce na siłę dociekać, dlaczego potknęłam się i zaczęłam spadać. Mój znajomy policjant chyba zaakceptował wyjaśnienie, że nagle noga odmówiła mi posłuszeństwa, choć, oczywiście, nie było to takie proste.

Co zdążyłam sobie przypomnieć na temat wyspy? Czy naprawdę coś się tam kiedyś stało, czy też tylko wrócił do mnie

dziecięcy lęk przed porzuceniem? Mewy krzyczały... Nigdy nie lubiłam głosu mew...

Zorientowałam się, że zaraz wyjdziemy na drogę biegnącą po klifach.

- A, właśnie - odezwał się posterunkowy McKenzie przez ramię. - Rozumiem, że nie widzieli państwo na wydmach młodego chłopaka.

- Nie - przyznał Duncan. - Ani chłopaka, ani nikogo innego.

- Za dobrze by było. Na pewno już dawno się ulotnił. - Policjant nie wyjaśnił nam jednak, w czym rzecz. Stanąwszy na drodze, zobaczyliśmy posterunkowego Robsona, który wracał do wozu patrolowego od strony drogi na kemping.

- Coś znalazłeś? - spytał kolegę.

- Szukaj wiatru w polu - burknął McKenzie z silnym miejscowym akcentem. Zauważył nasze zdziwione miny.

- Były małe kłopoty na kempingu.

- Nic nowego pod słońcem. - Duncan wydawał się poirytowany. - Chodźmy, Bethany, odprowadzę panią do domu.

- Nie, nie - włączył się policjant. - Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, odwieziemy panią Lyall do domu naszym samochodem.

- Ale... - zaczęłam protestować.

McKenzie jednak po prostu otworzył drzwi samochodu i pokazał, żebym wsiadła.

- Proszę się nie sprzeciwiać. Przeżyła pani silny wstrząs. Widzę, że znowu pani utyka. Czy chce pani, żeby pan Alexander pani towarzyszył?

- Nie, dziękuję. Nie chcę go odciągać od pracy. Ma swoje obowiązki.

Duncan nie nalegał. Czyżbym w duchu chciała jednak, żeby odłożył obchód? Odjeżdżając policyjnym wozem, widziałam jeszcze przez chwilę, jak stoi i patrzy za nami. Potem odwrócił się i znikł między wydmami.

Posterunkowy McKenzie uparł się, że odprowadzi mnie na sam

próg. Nawet wyjął mi z ręki klucze i otworzył za mnie drzwi.

- A teraz niech pani idzie do siebie i zaparzy sobie herbatę.

Ujął mnie swoją życzliwością.

- Tak zrobię. Dziękuję za podwiezienie.

- No, to jadę dalej. Aha, panno Lyall?

- Słucham.

- Niech pani to nie wejdzie w nawyk!

Uśmiechał się, ale w jego bystrych oczach zauważyłam ślad czegoś innego. Zakłopotania? Czujności? Ostrożności?

Prawdopodobnie widzi we mnie kompletną niedorajdę, pomyślałam, zamykając za sobą drzwi. Pewnie sądzi, że skaczę z klifów i turlam się po wydmach, żeby zwrócić na siebie uwagę, może na przykład po to, by zrekompensować sobie jakiś uraz z dzieciństwa.

Przeszłam przez sień, zostawiając za sobą piaszczysty szlak. Przypomniał mi zboląły wyraz twarzy Betty Doran. Zaczęłam się cicho śmiać.

Potem zgodnie z poleceniem znajomego policjanta, zaparzyłam sobie herbatę.

Byłam poza domem dużo dłużej, niż zamierzyłam. Rano planowałam iść na grób babki i odwiedzić panią Bradfield, jej przyjaciółkę, która zajęła się pogrzebem.

Spytałam pana Simpsona o adres pani Bradfield. Gdy zaofiarował się, że zorganizuje nam spotkanie, uprzejmie mu podziękowałam. Nie chciałam stwarzać zbyt oficjalnej sytuacji. Wtedy, oczywiście, nie mogłam przewidzieć, że natknę się na Mandy, a potem na Duncana Alexandra i spędzę z nimi tyle czasu.

Niepokoilo mnie jeszcze jedno. Kiedy Greg zapowiedział, że będzie ze mną w kontakcie, dałam mu swój numer telefonu. Nie wiedziałam, czy nie zadzwonił podczas mojej nieobecności, a nie chciałam, by pomyślał, że go unikam.

Dużo go to obchodzi, złałam się w duchu.

Herbata postawiła mnie na nogi, wzięłam się więc do sprzątnięcia piachu, który naniosłam do sieni. Próbowałam przy okazji

zorientować się, czy nie było pani Doran. Wszystko wyglądało czysto, ale przecież wyszłam z czystego domu. To, że jeszcze niedawno dzieliłam mieszkanie z Josie, nie oznaczało, że jestem flejtuchem.

Betty Doran mogła tu być i wyjść przed moim powrotem, miała przecież swój klucz, nie wydawało mi się jednak, by tego dnia zajrzała do Dune House. Jako uporządkowana osoba na pewno zostawiłaby mi liścik. Jak wobec tego miałam wyjaśnić ruch, który zauważyłam w oknie na piętrze?

Z bardzo niewyraźną miną przespacerowałam się po domu. Czyżby był tu ktoś obcy? Ale kto?

Wyjrzałam przez okno w sypialni i przez wszystkie inne frontowe okna w domu. Oczywiście nic się w ten sposób nie dowiedziałam.

Za to bez trudu wypatrzyłam na północy zabudowania Dunca-
na. Pamiętałam, jaką ma mocną lornetkę. Gdyby stał teraz przed domem i skierował ją w stronę Dune House, na pewno zauważył-
by, że stoję w oknie, pod warunkiem że stałabym dostatecznie
długo.

Koniec końców uznałam, że musiało mi się przywidzieć. Prawdopodobnie dostrzegłam przypadkowy odbłask promieni słonecznych w szkłe, a może nawet odbicie wielkiego ptaka.

Przez chwilę szukałam jeszcze w oddali wyspy, stwierdziłam jednak, że klify i wydmy ją zasłaniają. Można było się domyślić jej istnienia tylko wtedy, gdy dokładnie się wiedziało, w które miejsce spojrzeć.

Podeszłam do jednego z okien na tyłach domu, z widokiem na ruiny. Podświadomie liczyłam chyba, że zobaczę Grega. Wciąż jeszcze było dość jasno, by coś sfotografować.

Ale Grega nie było. Przy ruinach w ogóle nikogo nie było. Już miałam się odwrócić, gdy moją uwagę zwróciło coś znajdującego się dużo bliżej, w ogrodzie. Drzwi letniego domku kołysały się lekko tam i z powrotem.

Wiedziałam, że rygielek jest źle dopasowany, ale byłam absolutnie pewna, że zabezpieczyłam te drzwi jak należy, więc zbiegłam

do sieni, stamtąd do salonu i dopadłam drzwi do ogrodu.

W tej chwili przypomniałam sobie jednak, że pozwoliłam pani Doran powiesić wszystkie klucze na specjalnym wieszaku w spiżarni. Musiałam zawrócić i straciłam na to sporo czasu.

Co właściwie spodziewałam się znaleźć? Spiesząc przez ogród, nie czułam lęku. Duchy nie mogą zrobić człowiekowi krzywdy, podobnie jak wspomnienia... w każdym razie nie mogą fizycznie zranić.

Wyobrażenia niewątpliwie mnie ponosiła, ale tłumaczyłam sobie, że ani duchy, ani wspomnienia z przeszłości nie mogą otworzyć drzwi domku.

Kiedy wspięłam się na ganek, wciąż jeszcze lekko się bujały. Zawahałam się, po czym ujęłam klamkę i otworzyłam je na oścież. Zrobiłam krok naprzód i zatrzymałam się na progu.

Stałam w półmroku, serce biło mi jak szalone, a oczy usiłowały przyzwyczać się do ciemności. Domek był pusty. Nikogo w nim nie było, nie zauważyłam też widocznych śladów niczyjej obecności. A jednak...

Wciągnęłam powietrze do płuc. Korzenny aromat unosił się nadal. Był nawet silniejszy niż przedtem. A domek wyglądał czystszej... Znikła też butelka ze stołu.

Czy to możliwe, że pani Doran tu dzisiaj posprzątała? Zapach mógłby pochodzić od jakiegoś środka czyszczącego. Nie należało wykluczać, że pani Doran regularnie tu sprząta. Postanowiłam ją o to zapytać.

Dokładnie zaniknęłam drzwi i wróciłam przez ogród do domu. Mury zatrzymywały w ogrodzie ciepło, róże i kwitnące krzewy pachniały wręcz oszałamiająco.

Zdażyłam zamknąć ogrodowe drzwi, gdy przenikliwy dźwięk wezwał mnie do telefonu. Do sieni prawie biegłam.

To Greg, pomyślałam. Kto inny dzwoniłby do mnie o tej porze? Była siódma wieczorem. Josie w ogóle nie wzięłam pod uwagę.

Ale nie była to ani Josie, ani Greg.

- Panna Lyall?
- Och, dobry wieczór, pani Doran.
- Mogłaby pani bardziej się ucieszyć.
- Cieszę się, Betty, naprawdę. Czy była pani dzisiaj w Dune House?

- Nie, właśnie dlatego dzwonię. Czy pasuje pani piątek? Umówiliśmy się na dodatkowy dzień w tym tygodniu.

- Tak, w porządku.

- No, to dobrze. - Już chciała odłożyć słuchawkę. Są na świecie kobiety, które korzystają z telefonu tylko w razie konieczności, a i wtedy rozmawiają tylko tyle, ile potrzeba, żeby załatwić sprawę.

- Betty! Jest pani tam jeszcze?

- Tak.

- Czy ktoś ma klucz do domu? - Zabrzmiało to głupio, ale nie wiedziałam, jak to inaczej wyrazić.

- Nie. A dlaczego pani pyta?

- Och, tak się zastanawiałam.

W słuchawce rozległo się jakieś mruknięcie, a potem pani Doran powiedziała:

- Jeśli chce pani spytać, czy jeszcze ktoś z krewnych ma klucze, to odpowiedź brzmi „nie”. Pani babka nie pozwoliłaby, żeby Sara miała własny klucz. Nie pozwalała na to nawet wtedy, gdy pani kuzynka tu mieszkała. Stąd między innymi wzięły się kłopoty.

- Kłopoty?

- Często kłóciły się o klucz. Sarze nie podobało się, że musi wychodzić i przychodzić w godzinach, które odpowiadają babce.

- Rozumiem. Ale dlaczego babka nie chciała dać jej klucza?

Czy pani to wie?

- No... tak.

- To proszę mi powiedzieć.

- Słyszałam, jak pani babka mówi swojej przyjaciółce, pani Bradfield, że chyba popełniła wielki błąd wpuszczając Sarę do domu. Chciała mieć absolutną pewność, że nie wejdzie tu jej matka.

- Matka? Czy chodzi o ciotkę Deirdre?
- A o kogóż by?
- Ale myślałam... Ktoś mi powiedział, że ciotka jest w Hiszpanii.

- Nic o tym nie wiem.

Musiało tak być, bo skoro zdradziła mi już tyle, to powiedziałyby i więcej.

Zostawiła mi jeszcze swój numer telefonu na wypadek, gdybym zmieniła zdanie w sprawie dodatkowego dnia. Zapewniłam ją, że nie zmienię, i tym się pożegnałyśmy. Wciąż trzymałam w dłoni klucz do ogrodowych drzwi, więc odłożywszy słuchawkę, poszłam do staroświeckiej spiżarni powiesić go na wieszaku.

Przy sobie nosiłam tylko ten od drzwi wejściowych, wszystkie inne klucze, które dostałam od pana Simpsona, były właśnie w spiżarni. Pani Doran powiedziała, że póki tu mieszkam, mogą wisieć tam, gdzie powinny. To bezpieczniejsze niż chodzenie z wielkim, brzęczącym pękiem, z którego zawsze coś można zgubić. Teraz przyjrzałam się wiszącym kluczom z wielką uwagą.

Każdy z nich miał osobny, podpisany haczyk: kuchenne wyjście, ogród, piwnica... Którędy się wchodzi do piwnicy? Przecież pierwszego wieczoru otwierałam wszystkie możliwe drzwi! Garaż... Do garażu też jeszcze nie zajrzałam...

Jak Scarlett O'Hara, postanowiłam odłożyć tę sprawę na inny dzień. Tymczasem czułam się zmęczona, poza tym sumienie nakazywało mi popracować nad projektem dla przyjaciół Josie.

Czy jednak bezpiecznie było trzymać klucze w spiżarni? Zaczęłam się nad tym zastanawiać. Ktoś mieszkający w okolicy łatwo mógł któryś z nich dorobić. Betty Doran nie była w stanie tego dopilnować.

Przypomniałam sobie pierwszą noc w tym domu, gdy zasnąłam przed kominkiem... Zbudził mnie nagły hałas. Nie byłam wtedy pewna, czy stanowił on część snu. Potem zauważyłam krople na parkiecie... nie umiałam sobie przypomnieć, czy po powrocie

do domu zamknęłam ogrodowe drzwi na klucz.

Należało spytać panią Doran o letni domek! Głupio było mi teraz dzwonić tylko po to, żeby dowiedzieć się, czy ostatnio tam sprzątała, ale pokusa była silna. Tłumaczyłam sobie, że pani Doran przyjdzie za dwa dni, ale piątek wydawał mi się bardzo odległy.

Wciąż jeszcze nie wybrałam miejsca na pracownię, znów usiadłam więc do projektowania przy stole w kuchni. W ciągu dnia tak się najadłam, że postanowiłam nie przerywać pracy na kolację, ale i tak zrobiłam niewiele.

Stanowczo za dużo miałam na głowie. W końcu znalazłam więc nieużywany notes i zaczęłam zestawiać listę.

Ojciec nigdy mi nie opowiadał o tym, jak żyliśmy, zanim uciekliśmy do Londynu. Tego, że uciekliśmy, byłam pewna, wciąż jednak musiałam odkryć dlaczego. Ojciec starał się wymazać przeszłość z mojej pamięci.

Już dobrze, kochanie, to nie była twoja wina... spróbuj teraz zapomnieć...

Musiałam pogrzebać wszystkie wspomnienia bardzo głęboko, bo choć regularnie dostawałam karty urodzinowe, babka pozostawała trudną do wyobrażenia, niematerialną postacią.

Odkąd jednak wróciłam do Dune House, zaczęłam sobie przypominać rodzinę.

Sara.

Napisałam jej imię na początku listy, ją bowiem przypomniałam sobie pierwszą. Ale kto był następny?

Rano przypomniałam sobie ciotkę Deirdre, matkę, babkę i ojca.

Lista się wydłużała. Wpatrywałam się w imiona.

Matka nie dożyła porodu. Babka mieszkała tu potem sama, straciwszy wszystkich, których kochała. A ojciec? Pod koniec życia był już tylko bladym cieniem przystojnego, beztróskiego człowieka z dawnych lat.

Jeszcze było jakieś inne imię.

Paul?

Dodałam znak zapytania, bo to Paul sobie mnie przypomniał. Ja, tymczasem, jeszcze nie widziałam go w przeszłości.

Ale kim był Cygus?

Chłopak, z którym zaprzyjaźniła się Sara, miał wówczas, czternaście lat. Siedmioletniemu dziecku wydawał się prawie dorosły. Jak wyglądał teraz?

Wpatrując się w imiona, usiłowałam nadać sens strzępkom przeszłości, które dotąd zamajaczyły mi w wyobraźni. Byłam przekonana, że są to obrazy dawnych zdarzeń, a nie senny koszmar.

Nagle z przerażającą jasnością uświadomiłam sobie, że jeśli mam kiedykolwiek dowiedzieć się, co tak drastycznie odmieniło moje życie, to muszę zrobić coś określonego, choć jeszcze nie wiem co.

Przyszła czas na spotkanie z Sarą.

“**W**itajcie Prior's Park!”

Wejście na kemping było zdominowane przez ogromną tablicę reklamową, a po obu stronach bramy sterczały dwa maszty. Na jednym wisiała brytyjska flaga, na drugim jaskrawy proporczyk ze znakiem firmowym, przedstawiającym przyczepę samochodową i wesołego mnicha.

Flagi powinny łopotać, ale były za ciężkie, bo przez całą noc padało. Gdy zasypiałam, deszcz bębnił o szyby sypialni, a gdy przebudziłam się w czwartek rano, usłyszałam ten sam odgłos. Mimo to postanowiłam odnaleźć Sarę.

Zjadłszy więc grzanekę i napiwszy się herbaty, dokonałam re-wizji w składziku pod schodami. Znalazłam tam płaszcz przeciw-deszczowy i kalosze. Płaszcz był stary, ale w niezłym stanie. Miał kaptur, raglanowe rękawy i przykrywane kieszenie.

Musiał kiedyś należeć do mojej babki, bo idealnie na mnie pa-sował, pamiętałam zaś, że babka była od mamy wyższa. Kalosze okazały się trochę za ciasne, ale włożyłam je bez skarpet, które znalazłam w środku.

Mimo deszczu wybrałam okreźną drogę. Jakoś nie miałam ochoty iść po klifach i potem wśród pól, dotarłam więc prawie do Seatoncliffe, zanim mogłam zawrócić i ruszyć jedną z dróg wylo-towych z miasteczka.

Za terenem zabudowanym skończył się chodnik, musiałam więc chronić się w ociekającym wodą żywopłocie za każdym ra-zem, gdy nadjeżdżał samochód albo autobus, rozpryskujący wodę z kałuż, tworzących się przy krawędzi drogi.

Ludzi prawie nie spotykałam, bo godzina była jeszcze bardzo wczesna. Z kempingu dopiero co wyjechał czerwony furgon pocz-towy. Mimo to w nozdrza uderzył mnie zapach czegoś smażone-go.

Owszem, można w takich warunkach pichcić różne doskona-łości, ale wakacje są stanowczo za krótkie, żeby warto się było z tym męczyć.

Po lewej widziałam niekończące się rzędy przyczep, które lśni-ły czystością, gdy tylko nieśmiało wyglądało słońce. Wokół nie-kórych urządzono „ogródki”, płotki otaczały tam skupiska doni-czek z kwiatami. Te przyczepy należały prawdopodobnie do ich mieszkańców, a nie do Paula.

Na początku każdego rzędu przyczep był znak orientacyjny, ale kombinacje liter i cyfr wydały mi się zupełnie przypadkowe. Jeśli listonosz musiał tu przynosić korespondencję, to zapewne potrzebował specjalnego przewodnika.

Może zresztą zostawiał wszystkie przesyłki w recepcji, którą zobaczyłam z drugiej strony obozowiska, po mojej prawej ręce. Za szybą w jasno oświetlonym pomieszczeniu poruszał się ktoś ubrany w jaskrawą czerwień.

Obok recepcji znajdowały się sklepik i kawiarnia. Ich szyby były zaparowane, ale widziałam, że w kawiarni już panuje ruch. Niektórzy ludzie wołają, żeby smażyli dla nich inni.

Wszystkie domki były parterowe, na końcu rzędu stał jednak dom z piętrem, bez okien, przynajmniej od frontu. Prowadziły do niego duże podwójne drzwi, chwilowo zamknięte. Neon głosił, że w środku znajduje się „Klub, bar & dyskoteka”.

Placyk przed kawiarnią wyłożono kolorowymi kamiennymi płytami, tworzącymi geometryczne wzory. Stało tam kilka stolików z krzesłami, ustawionych w ten sposób, żeby było z nich widać plac zabaw i basen.

Młody człowiek w żółtym płaszczu przeciwdeszczowym z kapturem czyścił basen ze śmieci. Łowił je siatką na długiej tyce i odkładał do plastikowego worka.

W drugim końcu basenu dwoje dzieci się kąpało, nie zważając na deszcz, siekający powierzchnię wody. Matka przyglądała się temu cierpliwie spod parasola i od czasu do czasu coś do nich wołała.

Spodziewałam się... właściwie trudno powiedzieć czego. Czy wysypiska śmieci, pełnego zardzewiałych samochodów i brudu? Niechęć Duncana do tego miejsca popychała moją wyobraźnię w tym kierunku, okazało się jednak, że kemping wygląda całkiem atrakcyjnie.

Prior's Park było czyste i sprawiało wrażenie idealnego miejsca rodzinnego wypoczynku. A jedynym hałasem w tej chwili były zupełnie nieszkodliwe pokrzykiwania dwojga bawiących się dzieci.

Za basenem, na wydzielonym i wyjątkowo starannie utrzymanym terenie, stała przyczepa dwukrotnie większa od pozostałych. Nie miałam jednak czasu się nad tym zastanowić, bo kątem oka zauważyłam jakiś ruch.

Odwróciłam się w tamtą stronę. Patrzyła na mnie recepcjonistka. Podeszła do okna i nawet z oddali widziałam, że przytknęła twarz do szyby. Daszkiem z dłoni osłoniła oczy przed dość jasnym światłem w budynku recepcji, żeby bez przeszkód

obserwować, co dzieje się na dworze w ten pochmurny ranek. Nie miałam najmniejszej wątpliwości, kto tak ją zainteresował.

Musiałam wyglądać dziwnie. Płaszcz miałam wprawdzie ściągnięty paskiem, ale i tak był długi, opadał na podbicie kaloszy, a kaptur dokładnie zasłaniał mi włosy i twarz. Okrycie było kiedyś zielone, ale czas naznaczył je brązem. Z rękami w kieszeniach mogłam sprawiać wrażenie upiornego mnicha z komiksu.

Ruszyłam do recepcji, więc kobieta cofnęła się od okna i zanim pchnęłam drzwi, stała już za kontuarem, gotowa na przyjęcie tego, co los jej zgotował na początek dnia. Była mniej więcej moją rówieśniczką, miała długie włosy, ciemnoblonde, niebieskie oczy i dużo piegów. Stanowczo widać było u niej nadwagę, ale w czerwonej bluzie sportowej i džinsach wyglądała pogodnie i całkiem do rzeczy. Na bluzie miała ozdobny biały napis „Prior's Park”, a przy szyi wystawał spod niej kołnierzyk kraciastej białoczerwonej bluzki.

Zsunęłam kaptur z głowy, obserwując, jak zmienia się jej mina. Miejsce rozweselenia przemieszanego z konsternacją zajęło zdziwienie, a potem zaciekawienie. Szybko jednak się opanowała.

- Dzień dobry, nazywam się Liz Davison. Czym mogę służyć?

- Szukam pani Templeton, Sary Templeton. Chciałabym wiedzieć, w której przyczepie mieszka.

- Czy ona pani oczekuje? Chyba nie zostawiła mi wiadomości... - Odwróciła się ku jednej z wielu identycznych przegródek, znajdujących się na ścianie za jej plecami.

Zauważyłam, że paczuszka, wyglądająca jak dzisiejsza poczta, leży nierozłożona na stoliku.

- Nie, nie. Na pewno nie zostawiła. Ona nie wie, że przyjechałam.

- W takim razie nie mogę pani pomóc. Nie wolno nam podawać numerów przyczep mieszkańcom kempingu, jeśli sami nie wyrażą takiego życzenia. Ale można zostawić liścik. Pani Templeton

przyjdzie tu później sprawdzić, czy jest dla niej poczta. Podsunęła mi notes i długopis.

- Nie, dziękuję.

Nie chciałam nic pisać do Sary. Chciałam ją zaraz zobaczyć. Nie po to wlokłam się tu w deszczu, żeby uzależnić to spotkanie od kaprysu kuzynki, pamiętałam, że jest bardzo kapryśna.

Szybko zorientowałam się jednak, że tą drogą z Liz Davison do niczego nie dojdę. Była zdecydowana trzymać się regulaminu kempingu, który pod tym względem udawał dobry hotel. Nie zamierzała odstępować od zasady dla dziwnej, zmokniętej zjawy, nawet jeśli ta zjawy miałaby być spokrewniona z poszukiwaną osobą, co na oko wydawało się prawdopodobne.

Stała więc i uśmiechała się do mnie życzliwie, chociaż prawdopodobnie najbardziej chciała, żebym sobie poszła i przestała jej kapać na dywan.

Zmieniłam taktykę.

- Czy wobec tego można porozmawiać z Paulem?

- Czy ma pani na myśli pana Mitchella? - Teraz ja ją zaskoczyłam.

- Tak. - Nie mogłam się powstrzymać, żeby nie dodać: - On na pewno będzie chciał mnie zobaczyć. - Uśmiechnęłam się z dużą pewnością siebie. - Proszę mu powiedzieć, że przyszła Bethany.

Leciutko uniosła brwi, ale cofnęła się do biurka i podniosła słuchawkę aparatu telefonicznego. Rozmawiała bardzo cicho, zapewne żeby mnie nie obrazić.

Przyszło mi do głowy, że Liz Davison jest przyzwyczajona do strzeżenia swego szefa przed zakusami niewygodnych kobiet. Zaraz potem zaczęłam się zastanawiać, czy to Paul mieszka w tej luksusowej przyczepie, odizolowanej od reszty.

Po chwili recepcjonistka przesłała mi uśmiech.

- Paul jest w barze Wiking. Proszę tam do niego iść.

- W barze?

- Bar jest w domku klubowym, na końcu tego rzędu domków.

Proszę się nie martwić, trafi pani. Pan Mitchell będzie czekał przy drzwiach.

Wyraźnie jej ulżyło, że wbrew pozorom okazałam się przyjazną duszą, a nie źródłem kłopotów. Dzięki temu udało jej się zachować uśmiech na twarzy aż do chwili, gdy wyszłam z jej królestwa, zamykając za sobą drzwi.

Deszcz ustał i w basenie pluskało się teraz więcej dzieci. Ktoś śpieszył do sklepika. Młode matki, i te nieco starsze również, nosiły bez wyjątku identyczne stroje, złożone z jaskrawego dresu i drogiego obuwia sportowego. Dwie z nich spojrzały na mnie z jawną pogardą.

Nawet jeśli „pogarda” jest zbyt mocnym słowem, to niewątpliwie bardzo je rozbawiłam, minęły mnie więc z chichotem, niosąc swoje zakupy: chleb, mleko, jajka i bekon.

Po niecałej minucie stanęłam przed paskudnym sześciennej domkiem. Czekając przed drzwiami, pomyślałam, że wygląda on bardziej jak forteca niż klub.

Wkrótce drzwi nieznacznie się uchyliły i w szparze ukazał się Paul. Na twarzy miał uśmiech.

- Wejdz, Bethany. Cieszę się, że tu wpadłaś. - Zerknął na moje kalosze, ale trzeba mu policzyć na plus, że nie powiedział na ich temat ani słowa.

Weszłam do środka i Paul zamknął za mną drzwi. Staliśmy w kwadratowej, słabo oświetlonej sieni. Mimo ciasnoty wszystkie miejsca pod ścianami były zajęte przez automaty do gry. Następne drzwi prowadziły do szatni, a szerokie schody na górę ginęły w nieprzeniknionej ciemności.

- Na piętrze jest dyskoteka. - Paul wskazał schody, prowadząc mnie w głąb budynku. - A tutaj mamy zaciszny kącik, bez parkietu do tańca. Przeszedł przez dwie pary wahadłowych drzwi. - Witaj w barze Wiking.

Owionął nas duszący tytoniowy opar z domieszką woni rozlanego piwa. Z kilku niebieskawych kinkietów sączyło się bardzo mdłe światło, jaśniej było tylko w otoczeniu barku z lustrami, gdzie za pomocą reflektorków wyeksponowano półki pełne alkoholi.

Kobieta w roboczym kombinezonie wycierała stoliki i opróżniała popielniczki do wielkiej torby na śmiecie. Jej pomocnica szurała krzesłami i stołkami, które przeszkadzały jej w odkurzeniu.

Dywan był poprzecierany, a wokół nóg stolików widać było jedynie błyszczące czarne placki bez jakiegokolwiek wzoru.

Paul zatrzymał się przy jednym ze stolików i odsunął dla mnie krzesło.

- Poczekaj tutaj, zaraz przyjdę i będziemy mogli porozmawiać o interesach.

Oddalił się, zanim zdążyłam mu powiedzieć, że nie przyszłam rozmawiać o sprzedaży ziemi Templetonów. Wszedł za barowy kontuar.

Wkrótce nachylał się nad grubą księgą, przypuszczalnie z rachunkami. Pochłonęła go cicha rozmowa ze starszym i bardzo wychudzonym mężczyzną, którego zauważyłam dopiero w tej chwili.

Musiał to być barman. Nie nosił fraka ani nawet marynarki, ale koszulę miał czystą, a pod szyją czerwieniła mu się elegancka mucha. Ilekroć spoglądał na Paula, widziałam, że na jego zniszczonej twarzy maluje się głęboki niepokój.

Wreszcie Paul zatrzaskał księgę.

- Dobra, Geoff. Mimo wszystko nadal nie rozumiem, jak mogłeś wczoraj tak się wygłupić. - Był zły, więc odrobinę podniósł głos.

- To strasznie szybko poszło, panie Mitchell. Zapłacił mi za drinka i poprosił o papierosy. Schyliłem się, żeby je podać, a on wtedy...

- Zgarnął wszystko, co miał w zasięgu ręki! Należało zamknąć szufladę. Ten numer jest stary jak świat.

- Wiem. Ale on nie wyglądał...

- Oni wszyscy wyglądają!

- Taki przystojny chłopak... Następnym razem go poznam.

- Następnym razem przyjdzie nie on, tylko jego kumpel. Już wiedzą, że jesteś głupek.

- To się nie powtórzy.

- Jeśli się powtórzy, to możesz szukać innej pracy.

Przypomniałam sobie znajomych policjantów. Wczoraj wezwano ich na kemping. Już wiedziałam po co.

- Czemu się tak zasepilaś? - Paul stanął nade mną.

- Właściwie bez powodu. Usłyszałam, o czym rozmawiasz, i...

- Posłuchaj, Bethany. Takie kłopoty zdarzają się wszędzie, na całym świecie. Nie chcę, żebyś pomyślała, że Prior's Park przyciąga różne podejrzane typy.

- Zwłaszcza że potrzebujesz mojej zgody na powiększenie terenu.

Uśmiechną się.

- Nie wiem, ile zobaczyłaś dziś rano, ale kemping jest prowadzony bardzo porządnie.

- Czekaj, czekaj, Paul. Nie przyszłam tu na rozmowę o interesach. Chcę zobaczyć się z Sarą.

- Wiem. Liz powtórzyła mi, o kogo pytałaś. Ale o tej porze Sara jeszcze nie wstała z łóżka, możesz mi wierzyć. Zwykle widuję ją dopiero koło południa. Możemy więc tymczasem wypić po drinku, to opowiem ci o moich planach.

Zanim zdążyłam zaprotestować, wrócił za kontuar. Sprzątaczką z odkurzaczem dotarła do sąsiedniego stolika i Paul musiał prawie krzyknąć:

- Co chcesz? Gin z tonikiem? Whisky?

- Nic. Za wcześniej.

- A może kawę?

Skinęłam głową i Paul się uśmiechnął.

- Irene, wyłącz to świństwo!

Kobieta z odkurzaczem posłusznie przerwała pracę i spojrzała na szefa, podczas gdy on mówił dalej:

- Na razie daj sobie z tym spokój. Idźcie z Val na kawę i przy okazji przynieście, proszę, filiżankę dla panny Lyall.

Irene odsunęła odkurzacz na bok i uśmiechnęła się do mnie.

- Z mlekiem i z cukrem?

- Nie, dziękuję. Czarną, gorzką. - Czułam się tak, jakby samo siedzenie w tym miejscu przyprawiało mnie o kaca.

- Geoff, drinka przygotuję sobie sam. Masz tu mój klucz, idź tymczasem wypuścić Benjy'ego. Weź go na plażę, a jak będziesz go z powrotem zamykał, upewnij się, czy ma wodę w misce.

- Jasne, panie Mitchell. - Geoff wydawał się zadowolony, że może na chwilę zniknąć.

Paul wrócił do mnie i usiadł przy stoliku. Przyniósł sobie whisky. W oczach laika drink wyglądał na podwójny. Nie bardzo rozumiałam, jak Paul może wlać w siebie coś takiego z samego rana.

- Zaprowadziłbym cię do mnie, do przyczepy, ale dziewczyny zaczęłyby gadać! - Uśmiechnął się szeroko.

Nie sądziłam jednak, żeby chodziło mu o reputację.

- Czy to znaczy, że mieszkasz na kempingu?

- Zawsze tak było. Tu się urodziłem. Matka nie przeżyła tego doświadczenia.

- Przykro mi. Nie wiedziałam.

- A skąd miałabyś wiedzieć? Nie pamiętam, żebym opowiadał tobie i Sarze o sobie nawet wtedy, gdy byliśmy dziećmi. Poza tym, oczywiście, surowo zakazano wam mnie tutaj odwiedzać. Ciotka Deirdre bardzo tego pilnowała.

Wiedziałam, że właśnie usłyszałam coś bardzo ważnego, nie bardzo wiedziałam jednak co.

- Paul, czy ciotka Deirdre wiedziała o tobie... To znaczy... - Prawdę mówiąc, miałam jedynie bardzo mgliste wyobrażenie, o co chciałam spytać.

Paul wyciągnął rękę i ujął moją dłoń.

- Bethany, wciąż mnie nie pamiętasz, prawda?

- Chyba pamiętam. - Czyżby ten smukły, atrakcyjny i bardzo poważny chłopak, którego przeżywałyśmy Cygusem, wyrósł na przystojnego, ale bardzo pospolitego mężczyznę? - Ale nie jestem pewna...

- Może lepiej byłoby dla ciebie, gdybyś nie wysilała pamięci.

- Co masz na myśli?

- Wiesz, mógł być powód... Byłaś biednym dzieckiem, miałaś takie straszne przeżycia.

- Straszne przejścia?

Spojrzałam mu w oczy, a on pochylił się w moją stronę. No, tak. Zaczynał mi mówić coś ważnego o przeszłości, a ja czułam kompletne odretwienie.

Nie słyszałam głosów, nie widziałam obrazów z dawnych lat, w głowie miałam pustkę. W tej chwili byłam tą samą osobą, która właściwie zawsze mieszkała w Londynie. Kimś, komu całkiem zatarło się kilka lat życia.

Uświadomiłam sobie, że Paul wpatruje się we mnie z takim samym skupieniem, jak ja w niego. Nie wiem, co zobaczył w moich oczach - czy też: czego nie zobaczył - w każdym razie nagle wyraźnie się odprężył.

- Mam na myśli śmierć twojej matki. Żeby w taki sposób... Byłaś przerażona, każde dziecko by było. Twój ojciec słusznie zrobił, że cię stąd zabrał.

Irene przyniosła mi kawę.

- O, dziękuję. Postaw tutaj - rzekł Paul.

Upiłam kilka łyków. Mogłam poprosić, żeby opowiedział mi coś więcej, ale mimo iż zdolność przywoływania obrazów z przeszłości nagle jakby mnie opuściła, wciąż miałam to samo poczucie silnego zagrożenia, co w dniu, gdy Paul znalazł mnie na klifach.

Byłam przekonana, że niedobrze by się stało, gdyby odkrył, ile pamiętam z dawnych lat. Nie miałam pojęcia, dlaczego tak uważam, nie mogłam jednak dłużej odsuwać od siebie myśli, iż musiał być zamieszany w to, co napawało mnie trwogą. Bo jeśli nie, to skąd wzięłoby się u mnie poczucie, że rozmowa, którą toczymy, ma dla niego tak samo duże znaczenie jak dla mnie.

- Tego terenu oczywiście nie niszczyć, mam nadzieję, że to wiesz.

- Słucham? - Przez chwilę nie potrafiłam skojarzyć, o co chodzi, szybko jednak uświadomiłam sobie, że Paul zmienił temat i mówi o swoich planach powiększenia kempingu.

- Chcę... Nie wiem tyłko, co właściwie powiedział ci notariusz.

- Niewiele. Tylko tyle, że złożyłeś poważną ofertę w sprawie kupna ziemi.

- No, tak. Możesz się z nim skonsultować, jeśli chcesz, ale na pewno ci powie, że zdobycie pozwolenia na zagospodarowanie tego terenu nie będzie przedstawiało problemu. Zamierzam...

- ...postawić jeszcze więcej przyczep w bezpośrednim sąsiedztwie rezerwatu? To ma być zagospodarowanie?

- Nie mów tak. Mam wrażenie, że słyszę tego szalonego Szkota. - Nawet w przyćmionym świetle zauważyłam, że nagle szeroko otwiera oczy. - Chyba mi nie powiesz, że już cię przekabacił?!

- Jeśli masz na myśli Duncana Alexandra, to owszem. Już go poznałam. Ale dlaczego nazywasz go szalonym? Czy dlatego, że jest przeciwny twoim planom?

- Posłuchaj. Nie zamierzam tu stawiać nowych przyczep. - Uniknął odpowiedzi na moje pytanie. - Chcę zbudować parę chat z sosnowych bali. Będą gustowne, modne, przyciągną lepszą klientelę...

- Przestań, Paul.

- Dlaczego? Nie chcesz się nawet nad tym zastanowić?

- Nie... To znaczy tak, chcę, ale nie teraz. Wrócimy do tego tematu, obiecuję, ale chwilowo po prostu tracisz czas. Bo widzisz, ja jeszcze nie...

- Nie zdecydowałaś, czy chcesz tu zostać. Prawda, Bethany?

Oboje odwróciliśmy się i zobaczyliśmy przed sobą kobietę, która właśnie weszła do baru. Była to Sara.

*B*yla piękna. Niższa ode mnie, ale szczupła i elegancka nawet w dżinsach i bladoniebieskiej bawełnianej koszulce. Długie jasne włosy miała ostrzyżone i ułożone tak, że wyglądały jak lwia grzywa. Srebrna lwia grzywa, a przynajmniej tak się zdawało w niebieskawym oświetleniu baru Wiking.

Natychmiast zrozumiałam, dlaczego ludzie uważają, że jesteśmy podobne. Miałyśmy identyczną karnację skóry i twarz tego samego kształtu, o charakterystycznych dla rodziny rysach. Mimo to Sara wydała mi się jak twardy, lśniący kryształ, z ostrymi

krawędziami. Musiałam wyglądać przy niej blade i niezdecydowanie. Być może roztrwoiłam swój potencjał genetyczny na wzrost, wszystko bowiem miałam za chude, tymczasem Sara wydawała się ucieleśnieniem ideału.

Jeśli chodzi o pewność siebie i wrażenie czysto zewnętrzne, zawsze była mnie na głowę. Kiedy przyjechały z matką zamieszkać w Dune House, byłam pajęczakowatym, chudym dzieciakiem, ona zaś wchodziła w wiek dojrzewania bez najmniejszej skazy.

Nic dziwnego, że Cygus... czy to był Paul?... włączył się za nią jak niewolnik.

Sara podeszła bliżej i poczułam tę samą mdłą woń perfum, która się unosiła w pokoju na wieży drugiego dnia mojego pobytu w Dune House. Nawet po tylu latach pamiętałam, że tak pachniały perfumy ciotki Deirdre. Teraz widocznie używała ich również Sara.

Nie zdziwiło mnie to. Zawsze podziwiała matkę i za wszelką cenę starała jej się dorównać, mimo iż widziała jej wady.

Moja matka też miała swoje wady...

Pobudzona pamięć podsunęła mi przed oczy następną scenę z przeszłości.

Helen, musisz odpocząć, masz za wysokie ciśnienie. Narażasz dziecko i siebie, kiedy tak się gorączkujesz.

- A dziwisz się, mamó? Widziałaś Davida? Znowu gdzieś się zapodział!

Stałam na podeście, przed drzwiami sypialni rodziców. Słyszałam głosy matki i babki.

- Na miłość boską, Helen, ten człowiek jest artystą. Zostaw go, niech w spokoju pracuje.

- Ale on gdzie chodzi. Gdzie? I co tam robi? Mówi, że szkicuje... zbiera materiały... ale godzinami nie ma go w domu...

- Za co go winić, skoro w domu czeka na niego zrzędliva żona?

- Wcale nie zrzędzę... Chcę tylko, żeby poświęcił mi odrobinę uwagi... Ta ciąża jest dużo gorsza od poprzedniej... Fatalnie się czuję... I gdzie jest Deirdre? Powinna się zajmować Bethany i Sarą, a one tymczasem ciągle szaleją bez opieki.

- Helen, kocham cię i Bóg mi świadkiem, że za bardzo cię rozpieściłam, ale z tym człowiekiem, którego poślubiłaś, musisz być ostrożna... inaczej go stracisz.

- Nie podsłuchuj, Bethany. Nieladnie jest szpiegować innych.
- To był głos Sary.

Gdy się odwróciłam, spostrzegłam, że stanęła za mną zniemacka. Rozbawiło ją moje zmieszanie.

Początkowo, gdy Sara zamieszkała w Dune House, bardzo się ucieszyłam. Szybko jednak zaczęły mi przeszkadzać jej przywódcze ciągoty. Znienawidziłam ją.

- Nie szpieguję. To ty zawsze chodzisz tam, gdzie ci nie wolno! Po co w ogóle tu jesteś? Chciałabym, żebyś wyjechała!

Wtedy patrzyła na mnie dokładnie tak samo jak teraz, była opanowana, ważniejsza, taksowała mnie wzrokiem. Wstałam od stolika, ale mimo iż byłam wyższa, zachowała nade mną przewagę.

- Jejku, Bethany. Jak ty wyglądasz? - Uniosła brwi. Zachowywała się tak, jakby od naszego ostatniego spotkania wydorosłała, a ja nie.

Rozzłościła mnie. Wciąż była przeświadczona, że może mnie do woli krytykować.

- Nie masz się czym przejmować? - odpaliłam. I natychmiast poczułam, że jestem też wściekła na siebie, bo tak łatwo pozwoliłam sprowokować się do utarczki, tak samo jak za dziecięcych lat.

- Och, mam. Jeśli chcesz się nosić ekscentrycznie, to mnie nie do tego. Dziwi mnie tylko, że ty się tym nie przejmujesz. - Zupełnie

jakbym słyszała jej matkę. Najstraszniejszą bronią ciotki Deirdre był sarkazm.

Nie odpowiedziałam, nagle uświadomiłam sobie bowiem, że dawniej jej władza nade mną - i nie tylko nade mną - brała się z umiejętności manipulowania ludźmi. Ale teraz nie byłam już dzieckiem. Sara powinna zastosować bardziej subtelne metody.

Paul również wstał. Wydawał się mocno skrępowany.

- Saro, nie powinnaś w ten sposób witać krewnej, zwłaszcza że Bethany nie pamięta niczego z...

- Siedź cicho, Paul. - Nawet nie usiłowała stworzyć pozorów uprzejmości. - A Bethany nie jest moją krewną, przecież wiesz, że nasze pokrewieństwo to dziesiąta woda po kisielu.

Ja też to wiedziałam. Rano gdy rozmawiałam z panem Simpsonem, wyjaśnił mi, że moja matka i ojciec Sary, Raymond Templeton byli ciotecznym rodzeństwem.

- Jeśli się nie mylę, Saro, to twojej matce wydawało się wystarczająco bliskie, żeby przypomnieć sobie o nim, kiedy twojego ojca wsadzili do więzienia. Prawda?

W tej samej chwili uświadomiłam sobie, że tak właśnie zachowałyby się moja matka. Zobaczyłam, że oczy Sary stają się wielkie jak spodki.

- Pamiętasz to? - spytała ochryple. - Myślałam...

Nie odpowiedziałam jej. Irene znów zaczęła odkurzać, a Val wróciła do wycierania stolików. Geoff ustawiał na kontuarze miseczki z orzechami i herbatnikami. Prawdopodobnie wkrótce bar miał zostać otwarty dla gości.

Sara milczała, zamiast niej odezwał się Paul.

- Bethany, chyba powinienem ci powiedzieć, że wuj Raymond...

Sara głośno zaczerpnęła tchu. W oczach zabłysły jej łzy. Paul natychmiast dokończył:

- Wuj Raymond umarł w więzieniu.

Czy sądził, że coś w związku z tym powiem? Na przykład, że mi przykro i że przepraszam? Nie zareagowałam na jego niewyraźną

wprost prośbę. W oczach Sary kryła się złość, a nie smutek. Wreszcie wzruszyła ramionami. Już odzyskała wigor.

- Liz Davison powiedziała mi, że przyszłaś się ze mną spotkać. Chciałaś mnie tylko obrazić, czy masz do mnie coś ważnego?

Znów zapędziła mnie do rogu. Musiałam bardzo się starać, żeby nie zacząć się bronić.

- Nie, Saro, nic ważnego.

Przyszłam na kemping z nadzieją, że gdy zobaczę Sarę, następne kawałki łamigłówki sprzed lat wskoczą na swoje miejsce. Tak też się stało.

Do tej pory sądziłam, że gdy Sara zamieszkała w Dune House, niechęć między nami narastała stopniowo, przynajmniej jeśli chodzi o mnie. Ale gdy patrzyłyśmy na siebie w zatęchłej atmosferze baru Wiking, uświadomiłam sobie, że ona zawsze mnie nie nawidziła. Musiało to mieć coś wspólnego z przeświadczeniem jej matki, że Dune House należy do ich gałęzi rodziny. Ale w tej chwili Sarą kierowała nie tylko zwykła chciwość, lecz jeszcze jakieś inne, silniejsze uczucie.

Bała się. Czyżby mnie? A może czegoś, co mogłabym sobie przypomnieć? Tego nie wiedziałam. Wiedziała tylko, że na jedną chwilę Sara się odsłoniła, i wtedy ujrzałam w jej oczach czystą trwożę.

Cokolwiek kiedyś się stało, miało to wpływ na terażniejszość. Obawiałam się, że gdy wreszcie uświadomię sobie, co to takiego, moje życie i życie innych ludzi nieodwołalnie się odmieni.

- Więc po co przyszłaś?

Nie miałam dla niej odpowiedzi. Nie mogłam jej zdradzić, że oczekiwałam pomocy w odnajdywaniu strzępków przeszłości, obrazów z dnia, w którym odeszła moja matka. W tej chwili byłam już pewna, że śmierć mojej matki jest kluczem do sprawy. Z zachowania Sary wyczytałam jednak, że nie mam co liczyć na dobrowolną pomoc.

- Może Bethany chciała po prostu być uprzejma?

- Nie mów bzdur, Paul. - Nastąpiła długa pauza. - No. Bethany?

Odwrociłam się na pięcie i odeszłam.

Przepraszam cię za Sarę.

- Nie ma sprawy, Paul, to przecież nie twoja wina. Staliśmy przy wejściu na kemping. Wybiegł za mną z baru. Wydawał się bardzo zakłopotany z powodu przebiegu mojego spotkania z Sarą, nagle jednak wyszczerzył zęby w uśmiechu i rzekł:

- A ja uważam, że wyglądasz świetnie, choć rzeczywiście dość ekscentrycznie!

Osiągnął swój cel, uśmiechnęłam się. Natychmiast poczuł się swobodniej.

- Odwiozę cię do domu, jeśli sobie życzysz.

- Nie, dziękuję. Muszę odetchnąć świeżym powietrzem. Ale wiesz co, Paul...

- Tak, słucham.

- Nie wiedziałam, że ojciec Sary umarł.

- Ale wiedziałaś, że był w więzieniu i dlatego Sara z matką zamieszkały w Dune House?

- Tak.

- Skąd? Czy powiedział ci o tym ojciec? A może sobie przypomniałaś?

- Dlaczego to jest takie ważne, ile pamiętam?

Nagle zaczął unikać mojego spojrzenia.

- Nie wiem, o co ci chodzi... To wcale nie jest ważne... Miałas tylko siedem lat, kiedy ojciec cię stąd zabrał, więc przypuszczam, że nie pamiętasz tego wszystkiego zbyt dokładnie.

Wciąż miałam przekonanie, że nie powinnam być z nim zbyt otwarta. Coś podpowiadało mi, że lepiej - może nawet bezpieczniej - będzie pozostawić go w niepewności.

- To prawda. - Uśmiechnęłam się z nadzieją, że wypadło to szczerze i niewinnie. W każdym razie Paul się odprężył. A więc

domysły mnie nie omyliły. - Ale Seatoncliffe jest małym miasteczkiem i zdążyłam już usłyszeć sporo plotek...

Paul znowu się uśmiechał.

- Ech, plotki były, są i będą. I na pewno znajdziesz życzliwych ludzi, którzy zechcą ci wszystko opowiedzieć, więc lepiej, żebyś usłyszała tę historię ode mnie.

Raymond Templeton był księgowym, ale nie pracował uczciwie. Kiedy wyszło na jaw, że popełnił malwersację na wielką skalę, poszedł do paki. Sędziowie nie lubią ludzi, którzy nadużywają pokładanego w nich zaufania. Twoja babka pożałowała Deirdre i Sary i zaprosiła je do siebie.

- A wuj Raymond umarł w więzieniu.
- Nie mógł tego znieść, popełnił samobójstwo.
- Przykro mi, naprawdę.

Byłam wstrząśnięta i chyba to okazałam. Nic dziwnego, że tamtego lata Deirdre i Sara zachowywały się tak paskudnie. Stowarzyszenie pomocy dla rodzin więźniów powinno im wówczas zaoferować wsparcie. Tymczasem z poczucia obowiązku zrobiły to moja matka i babka. Obie oczekiwały, że Deirdre i Sara spróbują sobie ułożyć życie od nowa.

- Nie myśl o ciotce z przesadną sympatią. - Paul jakby odgadł moje myśli. - Raymond pewnie nie zdobyłby się na ten ostateczny krok, gdyby Deirdre nie... no, gdyby bardziej starała się mu pomóc. - Jego uśmiech był cyniczny. Nie, nie cyniczny, zgorzkniały, zupełnie jakby Paul mówił o ważnych dla siebie sprawach.

Ciekawe.

- Wobec tego biedna Sara.

- Tak, ona naprawdę przez dłuższy czas nie mogła się odnaleźć. - Przez chwilę wydawał się głęboko zakłopotany, szybko jednak doszedł do siebie. - Bethany... jeszcze porozmawiamy, prawda? Na temat moich planów.

- Już ci powiedziałam, że musisz mi dać trochę czasu. Ale jedno chciałabym wiedzieć.

- Słucham. - Pewnie spodziewał się pytania o wielkość terenu,

który chce dokupić, albo o to, ile zamierza tam postawić domów.

- Czy znasz warunki testamentu mojej babki?

- Nie, skąd miałbym je znać? - Znowu bał się spojrzeć mi w oczy.

- A tak, po prostu. No, dobrze, muszę iść.

Nie odwróciłam się już, nie mam więc pojęcia, jak długo jeszcze stał i za mną spoglądał.

Paul nie umiał kłamać. Z jego miny wyczytałam, że prawdopodobnie wie co nieco o testamencie. Musiał zdawać sobie sprawę, że jeśli odrzucę spadek, przejmą go żyjący Templetonowie.

A Paul wiedział stąd, że wiedziała Sara. Tych dwojga coś łączyło, choć mogło to być tylko jednostronne uwielbienie. Pan Simpson powiedział mi w swoim czasie, że o warunkach testamentu poinformował wszystkie zainteresowane strony.

Powinien mi też wspomnieć o wuju Raymondzie, ale skoro nie zainteresował mnie fakt, iż alternatywnymi spadkobiercami są tylko Deirdre i Sara, widocznie założył, że znam sytuację. Może sądził, że ojciec powiedział mi wystarczająco dużo o historii rodziny.

Ale ojciec nie powiedział mi nic. Miał swoje powody, żeby wymazać przeszłość z mojej pamięci. Zaczynałam podejrzewać, że chciał oszczędzić mi troski. W każdym razie, ukrywając przede mną okoliczności śmierci matki, nie pozwolił mi też uporać się z okresem żałoby.

Dlaczego przestał malować?

Dzieciństwo w Londynie miałam całkiem szczęśliwe, teraz jednak, patrząc na nie z perspektywy, zdawałam sobie sprawę, że była to jedynie namiastka życia. Ojciec zmieniał swoje beznaudzienne posady jak rękawiczki i zajmował się właściwie tylko mną.

Mimo to czegoś mnie pozbawił. Wiedziałam, że nie poczuję się naprawdę sobą, dopóki nie rozliczę się ze wspomnieniami o matce, nie uciszę dręczącego mnie żalu.

Wracając, musiałam przystawać i nurkować w żywopłot jeszcze

częściej niż w drodze na kemping. Powinnam iść prawą stroną, żeby widzieć nadjeżdżające samochody, tam jednak w ogóle nie było ścieżki, do jezdni przylegał bowiem wysoki mur cmentarza komunalnego.

Szłam więc ścieżyną po lewej stronie, której istnienia kierowcy nadjeżdżający z tyłu w ogóle nie uznawali. Przemykali obok mnie, nie zwalniając ani odrobinę, toteż ociekałam wodą z licznych kałuż. Kalosze babki zaczęły obcierać mi pięty, znowu rozboląła mnie kontuzjowana w dzieciństwie kostka.

Czy zdarzyło wam się kiedyś kuśtykać w kaloszach? Otarta skóra stóp piekła mnie z każdą minutą coraz bardziej. Człapałam tak niezdarnie, że musiałam wyglądać jak strach na wróble.

Było mi gorąco, źle na duszy, czułam, że twarz mam czerwoną z wysiłku. Gdy odwróciłam się, słysząc hamujący za moimi plecami samochód, byłam gotowa ze skrucną wyrazić Paulowi wdzięczność, że jednak za mną pojechał.

Ale to był Greg.

- Dobrze się czujesz, Bethany? - Wysiadł z samochodu, podszedł do mnie i wziął mnie pod łokieć.

- Dobrze.

- Mocno kulejesz. Chyba nie upadłaś?

- Nie, to przez kalosze. Nie są moje i... Nie śmieję się.

- Ani mi to w głowie, Bethany. Nawet nie zamierzam pytać, po co tędy człapiesz w cudzych kaloszach i płaszczu, który, mam nadzieję, też nie należy do ciebie. Po prostu zapraszam cię do samochodu. Wsiadaj, odwiozę cię do domu.

Uśmiechał się tak samo jak wtedy, gdy się poznaliśmy. Tym razem jednak nie miałam siły się burmuszyć. Bez dyskusji skorzystałam z zaproszenia.

Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu. Wreszcie Greg spytał, nie odrywając wzroku od drogi:

- Byłaś na kempingu?

- Zdaje się, że obiecałeś o nic nie pytać.

- Przepraszam, ciekawość wzięła górę. Zresztą za Prior's Park

są już tylko pola, więc wygląda na to, że musiałaś tam być.

- A ty gdzie byłeś?

Zignorował wojowniczą nutę w moim głosie i odpowiedział całkiem normalnie:

- W Krainie Jezior.

- W Krainie Jezior? - Przecież wczoraj był w Seatoncliffe. To na pewno on zrobił takie wrażenie na Kate Sorensen z punktu informacji turystycznej.

- Stąd jest całkiem niedaleko. - Nie omylił się wiele w interpretacji mojej zmieszanej miny. - Musiałem znaleźć artystkę, której chciałbym zaproponować wystąpienie w moim programie...

A więc odgadłam bez pudła.

- Dowiedziałem się, że mieszka w Keswick, więc zamiast telefonować, pojechałem do niej w odwiedziny. Z Seatoncliffe jedzie się zaledwie półtorej godziny. A potem pojechałem jeszcze kawałek i mogłem spędzić noc w domu.

- W domu? Mieszkasz w Krainie Jezior?

- Rzadko tam bywam, pewnie nawet za rzadko.

Nagle zapragnęłam usłyszeć, kto tam chce częściej go widywać. Greg jednak szybko zmienił temat.

- Prior's Park wygląda o wiele lepiej niż kiedyś.

- „Kiedyś” to znaczy kiedy? - spytałam.

- Wiele lat temu było tam tylko kilka rozwalonych przyczep tonących w błocie. Aha, jeszcze był prysznic i drewniany barak z wielkimi szparami, który służył jako kawiarnia.

- Czyżbyś spędzał wakacje w Prior's Park?

- Byłem tam raz, razem z matką. O, dojechaliśmy do Dune House.

Samochód się zatrzymał, ale mój świat wciąż szaleńczo wirował. Dotąd sądziłam, że jedyne, co łączy Grega Randalla z Seatoncliffe, to jego zainteresowanie wczesnym chrześcijaństwem i ruinami klasztoru. Teraz powiedział mi, że dawno temu spędził tu z matką wakacje... Musiał być wtedy chłopcem... wysokim, śniadym chłopcem...

Wysiadł z samochodu i otworzył drzwi po mojej stronie. Trzymał w ręce kartonową teczkę.

- Mam coś dla ciebie. Obiecałem ci tłumaczenia, pamiętasz? Znalazłem ich w domu całkiem sporo.

Wysunęłam nogi z samochodu i oparłam na zwirowym podjeździe. Zrobiłam to bardzo ostrożnie, okazało się jednak, że krótki odpoczynek bardzo mi pomógł. Na schodach utykałam już prawie niezauważalnie.

- Wejdiesz? Poczęstuję cię kawą.

- Chętnie. Właśnie do ciebie jechałem.

Zdjąwszy kalosze, cisnęłam je na najwyższy stopień schodków i dopiero wtedy zamknęłam drzwi. Zaczęłam rozpinąć płaszcz. Greg odłożył teczkę i wyciągnął rękę, żeby mi pomóc.

- Daj mi to чудо. Czy jesteś pewna, że nie chcesz go zostawić na dworze obok kaloszy?

- Wcale nie jest taki zły. Podoba mi się. Powieszę go gdzieś, żeby wysechł.

Greg poszedł za mną do kuchni. Zdjął skórzaną kurtkę i powiesił ją na oparciu krzesła. Potem napełnił wodą czajnik i wziął z kredensu dwa kubki.

- Pokaż mi, gdzie wszystko jest, to zaparzę kawę. Ty pewnie chcesz iść na górę trochę się wysuszyć.

- Wysuszyć?

Spojrzałam na siebie z niezadowoleniem. Przekonałam się, że stary płaszcz przeciwdeszczowy nie jest doskonały. Na sukience miałam mokre smugi, pokrywające się ze szwami raglanowych rękawów płaszcza. Także przód musiał być nieszczelny, bo kwiecisty wzór przykrywała plama mokrego błota.

Na szczęście przynajmniej kaptur spał się bez zarzutu, włosy miałam więc suche. Tym razem nie kleiły mi się do twarzy. Podniosłam głowę i stwierdziłam, że Greg przygląda mi się bardzo uważnie.

- Co się stało?

- Twoje włosy...

- Co z włosami?

- Są piękne. Co z nimi zrobiłaś?
- Nic. W powietrzu jest wilgoć, więc trochę się zakreśliły... Ale nie na długo.

Zobaczyłam, jak unosi ramię, lecz nie byłam w stanie się poruszyć. Musnął mój policzek, a potem ujął gruby kosmyk włosów i przeczesał go palcami. Zawędrował dłonią na tył głowy i zaczął mnie głaskać po karku. Czułam, jak przebiegają mnie dreszcze.

Patrzył mi prosto w oczy. Jego twarz była coraz bliżej. Wreszcie oparłam mu ręce na klatce piersiowej, ale nie po to, by go odepchnąć. Przesunęłam je na ramiona i przyciągnęłam go, choć wcale nie trzeba go było specjalnie zapraszać.

Jednym ramieniemtrzymał mnie tuż przy sobie, tak że dosłownie odbierało mi dech. Drugą rękę wsunął mi za głowę, żeby miała wygodne oparcie.

W pocałunku nie było siły, niepoohamowanej namiętności, a jednak ostrożna, powolna wędrówka jego warg głęboko poruszyła nas oboje. Gdy rozłączyliśmy usta, bezsilnie do niego przywarłam.

Z zadowoleniem stwierdziłam, że jest tak samo oszołomiony jak ja. Przez chwilę żadne z nas nie odezwało się ani słowem.

Uciekłam na górę do sypialni. Na podeście zawsze było ciemno, chciałam więc włączyć światło, ale widocznie przepaliła się żarówka. Ruszyłam do drzwi; miałam do nich ledwie parę kroków.

Suszarka leżała na podłodze, wciąż włączona do kontaktu. Po drodze przypadkiem zawadziłam o nią nogą, ale chyba jej nie uszkodziłam. Na wszelki wypadek odsunęłam ją bardziej na bok i poszłam się przebrać]

Zanim wrzuciłam sukienkę do kosza z brudną bielizną i włożyłam dżinsy oraz bawełnianą koszulkę, Greg zdążył zrobić kawę i zanieść ją na tacy do salonu. Kiedy wróciłam, wyglądał przez oszklone drzwi do ogrodu.

- Jest uroczy, ale zaniedbany - powiedział, nie odwracając się.
- Wiem. Muszę coś z nim zrobić, ale zupełnie się nie znam na

pielęgnacji ogrodów. Moja przyjaciółka Josie nazywa mnie „morderczynią roślin”. Widocznie mam to po ojcu.

- Po ojcu? Ale on...

Stałem koło niego, więc się odwrócił. Minę miał zdziwioną.

- Co on?

- Myślałem, że twój ojciec lubił swój ogród... ten ogród. Przecież powstał według jego projektu.

- Skąd wiesz?

Popatrzył mi w oczy, ale zamiast odpowiedzieć, spytał:

- Bethany, jak wiele wiesz o swoim ojcu?

- Wygląda na to, że nie za wiele. - Zrobiło mi się przykro, więc odwróciłam się i poszłam usiąść w jednym z foteli przy kominku. Taca z kawą stała obok na stoliku. Wzięłam z niej kubek i oplo-
tłam go dłońmi.

Po chwili Greg usiadł naprzeciwko mnie. Przypomniałam sobie marzenie z pierwszego wieczoru, który spędziłam w tym domu. Urwało się, gdy zerknęłam w twarz wysnionego mężczyzny i zobaczyłam ostrożne, nieufne spojrzenie. Właśnie w ten sposób patrzył na mnie teraz Greg.

- Byłabym wdzięczna, gdybyś odpowiedział mi na pytanie - przynagliłam.

Nie zrobił tego, w każdym razie nie wprost.

- Wiem, że twój ojciec był artystą...

- To już wiesz więcej niż ja.

- Widziałem kilka jego prac.

- To z kolei więcej niż mam.

- Tak właśnie pomyślałem wtedy, w ruinach. Zareagowałaś na ten rysunek bardzo... bardzo gwałtownie. W każdym razie, by odpowiedzieć na twoje pytanie: widziałem szkice tego ogrodu wykonane jego ręką i plany z naniesionymi uwagami dla wykonawców.

- Gdzie to widziałeś?

- W galerii.

- Prace mojego ojca w galerii? Dlaczego nigdy żadnej nie widziałam?

- Prawdopodobnie dlatego, że gdy cię stąd zabrał, przestał tworzyć. Wszystkie jego prace, które są w obiegu, nawiasem mówiąc nieliczne, pochodzą z dawnych lat.

- Greg, czy wiedziałeś, że tu będę, kiedy postanowiłeś przygotować program o klasztorze Seaton.

- Skądże! Nie miałem pojęcia, kto jest obecnym mieszkańcem Dune House.

- Obecnym?

Uśmiechnął się, słysząc mój podejrzliwy ton.

- Obecnym, więc nie dawnym, tak? Przecież już ci powiedziałem, że we wczesnej młodości spędziłem tu wakacje. Twój ojciec był wtedy świetnie zapowiadającym się artystą, a w Seatoncliffe zawsze krąży mnóstwo plotek o mieszkańcach Dune House.

- Czy wiedziałeś, że dopiero co tu przyjechałam?

- Domyśliłem się, kiedy przypomniałem sobie, co odpowiedziałeś mi na pytanie o wakacje. Sam zresztą przyjechałem zaledwie kilka dni przed tobą i bardzo wątpię, czy kiedykolwiek by do tego doszło, gdybym nie znalazł manuskryptu, o którym ci wspominałem.

- Tym razem nie mieszkasz na kempingu?

Uśmiechnął się. Czyżby w tym uśmiechu kryło się wyzwanie?

- Przecież wiesz, że nie.

Nie chciałam pytać go wprost, gdzie mieszka. Niech sobie prowadzi swoje głupie gierki, jeśli ma na to ochotę. Wróciłam do poprzedniego tematu.

- Przyjechałam tutaj, bo babka zostawiła mi dom w spadku. Jest mój, pod warunkiem że go zechcę.

- A zechcesz?

- Sądzę, że tak.

- To dobrze. Nie będę musiał od początku wyjaśniać swoich planów komu innemu! A teraz tłumaczenia, które ci obiecałem.

Dopił kawę i wyszedł na chwilę do sieni.

- Już mam. Zostawię je i pójdę. Za bardzo się krępuję, żebym

miał tu siedzieć gdy je czytasz. - Położył kartonową teczkę na stoliku. - Włożyłem tam również informacje o programie. Chcę, żebyś poznała zarys scenariusza.

Stałam na progu i patrzyłam, jak odjeżdża. Zadałabym mu jeszcze wiele pytań, ale chociaż wydawało mi się, że odpowiada chętnie, to granice niewątpliwie zakreślał on. Co do mnie, nie byłam nawet pewna, czy mówi mi całą prawdę.

Uznałam, że przynajmniej wyjaśniając powody swego powrotu do Seatoncliffe, był szczery. Nie mogłam jednak pozbyć się wrażenia, że jak na kogoś, kto przypadkiem spędził tu z matką jedno lato w przyczepie, stanowczo za dobrze zna moją rodzinę. I skąd wiedział, że ojciec mnie stąd zabrał?

Nasuwało się logiczne przypuszczenie, że Greg spędził tu lato w roku śmierci mojej matki.

*T*ej nocy nie było księżycy ani gwiazd. Nad morzem zaległa mgła, miejscami tak gęsta, że nie było niczego widać na kilka kroków.

Nie mogłam zasnąć. Leżałam w łóżku coraz bardziej rozdrażniona i rozgorączkowana, aż w końcu wstałam i podeszłam do okna. Uchyliłam je, żeby wpuścić trochę orzeźwiającego powietrza.

Tłumaczenia wierszy, które zostawił mi Greg, bardzo mnie poruszyły. Były proste i pełne wigoru, sławiły życie, które mężczyźni i kobiety znają na co dzień, i zajmowały się niepewną naturą życia wiecznego.

Nawet jeśli ci mnisi byli pobożni, to stanowczo nie bigoteryjni. Niektóre wiersze opiewały miłość mężczyzny do kobiety i to, co mężczyzna z kobietą robią razem. Nie były jednak wulgarne ani sugestywne. Pulsowały radością życia i nawet można by je nazwać niewinnymi. Mimo to gdy przypominałam sobie, kto je tłumaczył, wprawiały mnie w zakłopotanie.

Notatki Grega dołączone do tłumaczeń dały mi wyobrażenie o jego pomysły na program. Chciał pokazać, jak mnisi i zakonnice mieszkali i pracowali w osobnych klasztorach, spotykając się tylko na modlitwie we wspólnym kościółku, który służył obu grupom.

Była też w tym wszystkim tajemnica. Grega zainteresowała stara opowieść o pannie, która została zakonnica wbrew swej woli, i młodym mnichu, natchnionym jej młodością i urodą do tego stopnia, że zaczął pisać wiersze. Spotykali się na wyspie, gdzie mnich miał budować celę pustelnika.

Spojrzałam w stronę wyspy, ale choć nie mogłam jej zobaczyć, wyobraziłam sobie postrzępiony kształt na tle nieba, kamienną groblę, bezpieczną, póki przyplów jej nie zaleje, a potem wąski pasek srebrzystego piasku na brzegu, po którym obchodziło się wyspę dookoła, aż do miejsca niewidocznego z lądu, gdzie znajdowało się wejście do jaskini. Idealne miejsce schadzki dla ukrywających się kochanków.

Lekko zadrżałam. Nie wiem, dlaczego skrzyżowałam ręce na piersi w obronnym geście i zacisnęłam dłonie na ramionach. Było mi zimno i ogarniało mnie znużenie.

Stałam tam jeszcze przez chwilę, nasłuchując fal i grzechoczących kamieni, w końcu jednak zabrakło mi sił, wróciłam więc do łóżka. Zasnęłam, nadal jednak męczyły mnie złe sny.

Gdy zbudziłam się po kilku godzinach, mogłam sobie z nich przypominieć jedynie głowę topielicy z napuchniętą twarzą i wodorostami wplątanymi w jasne włosy...

Nie bardzo wiem, co przywiodło mnie z powrotem do kamiennych trumien. Stałam w zniszczonej kaplicy i wpatrywałam się w nie rozmyślając, czy potrafię odgadnąć, w jakim kierunku podąży wyobraźnia Grega. Dzieje zakazanej miłości i tragedii, jaką się skończyła, stanowiłyby dramatyczny akcent programu.

Było jeszcze bardzo wcześnie, dopiero wpół do siódmej, ale mgła się już podniosła i zapowiadał się pogodny letni dzień. Ptaki śpiewały, słońce wpadało do kaplicy przez dziurę po dachu. Ale gdy podeszłam do trumien, panował tam ten sam melancholijny nastrój, jaki ogarnął mnie tu poprzednim razem.

W drodze powrotnej spotkałam psa Paula. Akurat zatrzasnęłam za sobą drzwi kaplicy, gdy wyskoczył spomiędzy poprzewracanych kamieni nagrobnych, radośnie merdając ogonem. Na mój widok przystanął, a po chwili ruszył naprzód znacznie ostrożniej. Wydawał się tak samo zaskoczony jak ja.

- Cześć, Benjy. Gdzie jest twój pan? Gdzie jest Paul?

Pies przekrzywił głowę i spojrzał na mnie bystro, ale, oczywiście, nie odpowiedział.

Spojrzałam w stronę, z której nadbiegł. Paula nie zauważyłam, za to pośpiesznie zbliżała się ku mnie Liz Davison. Nie mogła równać się sprawnością z młodym labradorem, więc zanim wymięła wszystkie stare groby, była czerwona na twarzy i zdyszana. Wyglądała tak, jakby nie zdążyła się uczesać.

- O, dzień dobry, panno Lyall. - Chciwie zaczerpnęła powietrza. - Dziękuję, że zatrzymała pani Benjy'ego.

- To nie ja. On sam wybrał to miejsca na postój.

- W każdym razie dziękuję, że nie pozwoliła mu się pani stąd oddalić! - Uśmiechała się do mnie bardzo przyjaźnie.

Wyraźnie uznała, że jestem swoja, skoro Paul tak powiedział. Zresztą mimo iż byłam blada i zmęczona, to i tak w dżinsach i swetrze, z włosami związanymi w koński ogon wyglądałam bardziej normalnie, niż wtedy, gdy stałam w recepcji na kempingu, ociekając wodą.

Przyklękła, żeby wziąć Benjy'ego na smycz. Pies nie protestował,

przeciwnie, zaczął lizać ją po twarzy. Kobieta prychnęła i roześmiała się.

- Przestań, ty głupolu. Zaraz zaprowadzę cię do pana.

Nagle jednak uśmiech znikł jej z twarzy, ustępując miejsca wyrazowi zatroskania.

- Czy coś się stało? - spytałam.

- Nie... a właściwie tak... Och, nie powinnam o tym mówić...

- Czy coś jest nie tak z Paulem?

- Nie bardziej niż zwykle.

Sprawiała wrażenie tak bardzo zmartwionej, że zaproponowałam:

- Jeśli pani chce, kawalek panią odprowadzę. Może mi pani opowiedzieć, co panią gnębi, ale niekoniecznie.

Ruszyliśmy na przelaj w stronę klifów. Dune House został za nami, na południu. Początkowo Liz szła w milczeniu, jednak gdy spytałam, jak to się stało, że Benjy wyrwał się na swobodę, i dlaczego musiała go ścigać, wyjaśniła z wahaniem, że pies zbudził ją drapaniem w drzwi przyczepy.

- Nie pierwszy raz się to zdarzyło, więc od razu włożyłam dzinsy. Jak otworzyłam drzwi, zobaczyłam już tylko ogon tego diablika. Pognał drogą, a ja zaczęłam go gonić.

Westchnęła ciężko. Wydało mi się, że nie usłyszę od niej nic więcej, spytałam więc:

- Mieszka pani na kempingu?

- Tylko latem, zwykle od początku czerwca do początku września. W przyszłym tygodniu, gdy dzieci wrócą do szkoły, liczba rezerwacji gwałtownie zmaleje. Wystarczy mi wtedy część etatu.

- I nie będzie pani musiała mieszkać na kempingu.

- Tak. Wrócę do rodziców i będę dojeżdżać.

- Czy pani rodzice mieszkają daleko?

- W Newcastle.

- A dzisiaj miała pani psią pobudkę. - Okrężną drogą wróciłam do nurtującej ją sprawy. Już trochę się do mnie przyzwyczaiła.

- Tak. - Urwała. - Bo widzi pani, Paul czasem nie sprawdza, czy zamknął na noc drzwi swojej przyczepy... Chcę powiedzieć, że nie zwraca na to uwagi, bo...

- Bo za dużo pije?

Przeszła mnie wzrokiem, ale skinęła głową.

- Obawiam się, że tak.

Domyśliłam się, co chciała mi powiedzieć. Każdy, kto zaczyna dzień od podwójnej whisky, może go skończyć ze znacznie lepszym wynikiem. Nie wiem jednak, co mnie podkusiło do następnego pytania.

- Czy zawsze miał z tym problem?

- Och, nie wiem, czy można nazwać to problemem. To by znaczyło, że jest alko... chciałam powiedzieć... - Spłonęła rumieńcem i natychmiast straciła ochotę do rozmowy.

- Proszę się nie przejmować. Widzę, że pani lubi Paulu i chce pani zachować lojalność wobec szefa, ale ja wcale nic sugeruję, że Paul jest pijakiem.

Zerknęłam kątem oka i stwierdziłam, że na dźwięk tego słowa Liz się wzdrygnęła, nie odezwała się jednak.

- Zastanawiałam się tylko, czy ostatnio nie zaszło coś takiego, przez co Paul piłby więcej niż zwykle - dodałam szybko.

Tym razem milczenie było bardzo długie. Sądziłam już, że Liz Davison mi nie odpowie, ale gdy doszliśmy do drogi na klifie, przystanęła i spojrzała mi w oczy.

- Paul zawsze lubił pić, tak samo jak jego ojciec. Wystarczy posłuchać opowieści ludzi, którzy długo tu pracują, żeby się przekonać. Ale Paul jakoś sobie z tym radził, aż do... no, jeszcze kilka miesięcy temu sobie radził.

- Jak pani myśli, dlaczego to się zmieniło?

- Na początku myślałam, że to przez chorobę ojca. Pan Mitchell nie mieszka tu od wielu lat, ale niedawno wrócił i zaraz trafił do szpitala. Paul musiał bardzo się tym zmartwić chociaż nie byli ze sobą blisko.

- I dlatego, pani zdaniem, pije teraz za du... pije teraz więcej niż zwykle?

Uśmiechnęła się.

- Och, może pani powiedziec „za dużo”. Nie pozostaje mi nic innego jak potwierdzić. Rzeczywiście, pije za dużo. Możliwe, że przez chorobę ojca, ale możliwe też, że przez coś zupełnie innego.

- Na przykład?

- Nie wiem.

Na pewno wiedziała. Byłam przekonana, że ma własną teorię wyjaśniającą, dlaczego Paul się rozpił. Ale nie chciała mi tego zdradzić.

- Lepiej już pójdę. Do widzenia, panno Lyall.

Szybko odeszła z Benjym, wykonującym u jej boku entuzjastyczne susy.

- Bethany... Proszę mówić do mnie po imieniu! - zawołałam za nią, ale już się nie odwróciła.

Wyciągnęłam ją na zwierzenia w chwili słabości, gdy była zmęczona i bardzo stropiona zachowaniem szefa, w którym się podkochiwała. Teraz na pewno gorzko żałowała, że tyle mi naopowiadała.

Postanowiłam wrócić drogą po klifach. Wiedziałam, że do miejsca, w którym ktoś chciał mnie zepchnąć z urwiska, musi być bardzo niedaleko, nic już jednak nie wskazywało na to, że omal tam nie zginęłam.

Ślady opon znikły z miękkiego pobocza, prawdopodobnie celowo przez kogoś starte, a wiatr zwił kępy trawy, które powyrywałam, usiłując się czegoś chwycić.

Przede mną ciągnęła się bezludna droga. Na plaży spacerowało tylko parę osób z psami. Było jeszcze za wcześnie na wczasowiczów.

Już prawie doszłam do domu, gdy usłyszałam, że ktoś mnie woła. Odwróciwszy się, ujrzałam Duncana Alexandra, biegnącego w moją stronę. Przystanąłam, żeby na niego zaczekać.

W odróżnieniu od Liz Davison, miał znakomitą kondycję. Dogonił mnie bez większych kłopotów i wcale nie stracił przy tym tchu.

- Dzień dobry, Bethany. Wcześniej wstałaś. - Miał na sobie

kraciatą koszulę z podkasanymi rękawami i rozpiętym kornie-
rzykiem. Widoczny kawałek torsu i ramiona pokrywało mu złoci-
ste owłosienie.

- To samo mogę powiedzieć o tobie.

- Ja jestem w pracy. Ale ty mogłabyś spokojnie poleniucha-
wać.

Uśmiechnęłam się.

- Wiesz, Duncan, doszłam do wniosku, że robisz to celowo.

- Co, jeśli można spytać?

- To. Właśnie to, co w tej chwili. Mówisz z akcentem.

- Rany boskie, kobieto! Jestem Szkotem. Jak mogę mówić in-
aczej?

- Myślę, że możesz, bo normalnie ten szkocki akcent nie jest u
ciebie taki wyraźny. Pewnie przypominasz sobie o nim, kiedy
chcesz kogoś oczarować.

- A kogóż to miałbym czarować?

Uśmiechnął się szeroko, a ja, o zgrozo, spiekłam raka.

- No, mnie, na przykład, chociaż nie mam pojęcia dlaczego. I
Kate Sorensen z punktu informacji turystycznej. Widziałam na
własne oczy, jakie robisz na niej wrażenie, i to mimo że cię roz-
pracowała.

- Rozpracowała?

- Powiedziała mi, że potrafisz być czarujący, pod warunkiem
że tego chcesz.

- Nie miałem pojęcia, że wszystko po mnie widać.

- Wcale nie, Duncan. Nic po tobie nie widać.

To była prawda. W dniu, gdy złożyłam mu wizytę, przekona-
łam się, jakim jest skomplikowanym człowiekiem. Mieszkał jak
mnich, nie zauważyłam u niego nic, co nie miałoby związku z
pracą, a mimo to lubił dobre jedzenie, alkohole i wygrzewanie się
w słońcu.

Był jednocześnie ascetą i hedonistą, człowiekiem, który wiele
sobie odmawia, lecz jednocześnie potrafi sobie na wiele pozwolić,
pustelnikiem, który pociąga kobiety, gdy tylko nie siedzi w swej
celi.

Niezaprzeczalnie miał seksapil. Gdybym nie spotkała Grega

Randalla, to kto wie, czy nie stałabym się bardziej podatna na jego magnetyzm.

Znów zaczęłam się zastanawiać, czy w życiu Duncana Alexandra jest kobieta, a jeśli tak, to jak może znieść jego ślepe oddanie pracy. A może namiętność do kobiety, jeśli w ogóle było coś takiego, wysuwała się u niego na pierwszy plan?

- Tak czy owak, cieszę się, że cię spotkałem z samego rana.
- Czemu?

Szliśmy już w stronę domu. W oddali na brzegu zatoki rysowały się przed nami domy, sklepy i hotele Seatoncliffe. Autobus właśnie opuścił granice miasteczka i jechał na północ po klifach, był jednak jeszcze bardzo daleko od nas.

- Martwiłem się o ciebie... martwię się od czasu tego upadku na wydmach.

- Bardzo się przestraszyłam. Ale już wszystko jest w porządku.

- Zauważyłem, że dzisiaj nie kulejesz. Wydobrzała ci noga?
- Chwilowo tak.
- Nie rozumiem.

- Mam z nią kłopoty dość często, szczególnie gdy jestem zmęczona. Uszkodziłam ją sobie w wypadku, jak byłam dzieckiem, przynajmniej tak powiedział mi ojciec.

- Nie pamiętasz tego wypadku?
- Nie.
- Nic a nic?
- Nic a nic.

Przystanęliśmy przed bramą Dune House.

- Bethany...?
- Tak?

- Tego wieczoru, gdy upadłaś na wydmach, powiedziałaś mi, że znasz tego młodego policjanta. Zastanawiałem się...

- Dlaczego jestem znana stróżom prawa? - Roześmiałam się, ale na twarzy Duncana wciąż malowała się powaga.

Wcześniej postanowiłam mu nie mówić o wypadku na klifach. Niepotrzebnie skomplikowałabym tym sprawy. Poza tym,

gdyby okazało się, że omal nie rozjechał mnie jakiś wyrostek z kempingu, Duncan miałby dodatkowy argument przeciwko planom ekspansji Paula.

W każdym razie nie chciałam teraz o tym rozmawiać. Za dużo było wokół mnie niewyjaśnionych spraw. Opowiadając o nich, plątałam się bez końca, a miałam inne plany na najbliższe godziny.

- Nie martw się, Duncan - rzuciłam więc. - Nie jestem przestępczynią.

Nie zadowoliliam go tą odpowiedzią. Zaciekawilo mnie, dlaczego moja znajomość z policjantem wydaje mu się ważna, ale nie zdążyłam nic wymyślić, bo przed bramą zatrzymał się autobus i wysiadła z niego pani Doran.

Duncan wzruszył ramionami.

- No, to czas na mnie. Do widzenia.

Patrzyłam za nim, jak odchodzi, a tymczasem stanęła przy mnie Betty.

- O, już pani poznała Szalonego Szkota.

- Jest pani drugą osobą, która tak go nazywa w mojej obecności. Dlaczego pani uważa, że jest szalony?

- Nie powinnam tak mówić, ale on jest bardzo dziwny... w kółko pracuje i z tego, co wiem, nie ma żadnych przyjaciół. Cały czas siedzi u siebie w domu.

- To nie świadczy o szaleństwie, tylko o oddaniu pracy. A rozmawia się z nim bardzo miło.

- Niech pani tylko poczeka, aż go pani czymś rozzłości.

- Jak to?

- Niejednemu młodemu człowiekowi z kempingu dał się już we znaki.

- Może nie bez powodu...

- Może, ale i tak stanowczo przesadza.

Duncan odszedł już spory kawałek, lecz nawet z tej odległości sprawiał wrażenie zdecydowanego człowieka. Nie było mi trudno wyobrazić sobie, że może przesadnie zareagować, jeśli ktoś mu się narazi.

Betty uśmiechała się do mnie.

- Widzę, że dzisiaj jest pani od świtu jak skowronek. Szkoda. Myślałam, że przyniosę pani śniadanie do łóżka i trochę panią porozpieszczam.

- Prawdę mówiąc, śniadania jeszcze nie jadłam. Ale dlaczego chce mnie pani rozpieszczać?

- Pewnie z przyzwyczajenia. Starszą panią bardzo dobrze się rozpieszczało.

- Czyli to wcale nie chodzi o mnie.

Uniosła brwi i spojrzała na mnie koso, zaraz jednak wybuchnęła śmiechem.

- Chodźmy do środka. Chce pani musli i soku pomarańczowego czy jajka na bekonie?

Wybrałam sok pomarańczowy. Wypiliśmy go razem, ponieważ Betty postanowiła mi towarzyszyć. Potem zjadliśmy jednak również jajka na bekonie, a do tego grzanek i trochę pieczarek, które przyniosła Betty.

Po jedzeniu usiadliśmy napić się herbaty. Czułam skutki złej przespanej nocy i w ogóle nie chciało mi się wyjść z ciepłej kuchni, mimo że zamierzałam wiele dokonać. Siedziałam więc w półśnie i próbowałam w myśli ułożyć sobie plan dnia, i wtedy Betty zmienacka zaatakowała.

- Ci młodzi policjanci, którzy tu byli...

Gdybym poświęciła więcej uwagi temu zagajeniu, zorientowałabym się, że Betty nie próbuje poddać mnie przesłuchaniu, lecz chce mi coś powiedzieć. Ale że myśłami byłam daleko, zupełnie niewłaściwie odczytałam jej intencję.

- Ach, Rob i Mac ! - wpadłam jej w słowo. - Przepraszam, że nie powiedziałam pani od razu, ale nie byłam pewna, czy nie marnuję ich czasu bez potrzeby...

Zrobiła zdumioną minę, więc wyciągnęłam rękę nad stołem ucisnęłam jej dłoń.

- Powinam pani powiedzieć, Betty, ale kto inny usiłował mi wmówić, że mam przywidzenia.

- O czym pani mówi?

- O kim. O Paulu Mitchellu... Lepiej zacznę od początku.

Opowiedziałam jej o moim pierwszym spacerze po klifach i o tym, co zaszło potem. W pewien sposób mi to pomogło. Wciąż bowiem próbowałam jakoś usystematyzować wydarzenia.

Czy umiecie sobie wyobrazić pracę z olbrzymią bazą danych? Macie mnóstwo informacji, ale nie bardzo potraficie sobie uzmysłowić ich rzeczywiste znaczenie i, co gorsza, nie bardzo wiecie, czego szukacie.

Miałam właśnie takie poczucie i nawet nie wiedziałam, w jakim kierunku zacząć poszukiwania. Ale byłam też przekonana, że wiem więcej, niż mi się zdaje, a nie mogę dojść do jasnych wniosków tylko dlatego, że nie potrafię odpowiednio uporządkować informacji.

Na tym etapie pozostawało mi jedynie rozmyślanie nad różnymi wydarzeniami z przeszłości.

Ale Betty opowiedziałam jedynie o faktach. Odzyskane wspomnienia o ludziach i zdarzeniach sprzed lat zachowałam dla siebie. I tak nic by dla niej nie znaczyły, bo nie mieszkała wtedy w Seatoncliffe.

Nie zdradziłam jej więc, że gdy nie zważając na ból nogi, za wszelką cenę usiłowałam utrzymać równowagę na krawędzi klifu, mając poniżej ryczące fale i ostre skały, odniosłam bardzo dziwne wrażenie, że coś podobnego przeżyłam w dzieciństwie.

Nie powiedziałam jej też, że ten, kto mnie potrącił samochodem, zrobił to - moim zdaniem - celowo. O tym nie wspomniałam nawet patrolowemu McKenzie.

Gdy skończyłam, Betty przez chwilę siedziała w głębokiej zadumie. Wreszcie się odezwała:

- Czyli, według policjantów, chciał panią przejechać jakiś młodzieniaszek z kempingu i nie zatrzymał się na miejscu wypadku?

- Powiedzieli tylko, że jest taka możliwość.

- A co pani myśli?

- Jest taka możliwość.

Wstała i dołała herbaty. Wypiliśmy po jeszcze jednej filiżance w przyjaznym milczeniu, choć obie byłyśmy nieco przybite.

- Gdzie są drzwi do piwnicy? - spytałam w końcu.

- W korytarzu, przy drzwiach do składziku. A czemu pani pyta?

- Chciałam tam zajrzeć. I do garażu też.

- Nic dziwnego, ale prawie nic tam pani nie znajdzie. Kiedy zaczęłam tu pracować, pani babka zarządziła wielkie sprzątanie. Mnóstwo rzeczy poszło do organizacji dobroczynnych i na wyprzedaż. Pewnie postanowiła pozbyć się tego, czego nie zamierzała już używać. Starzy ludzie często to robią, zwłaszcza jeśli nie mają nikogo bliskiego, komu by się coś przydało.

Po tych słowach Betty przyniosła ze spiżarni klucze. Wzięłam je od niej i wyszłam z kuchni. Chciało mi się płakać.

Wszystko jedno, o co pokłóciła się babka z ojcem. Pierwszy raz poczułam, że była dla mnie rodziną, matką mojej matki, i darzyła mnie miłością. Kochała mnie dostatecznie, by zapisać mi ten dom, chociaż nie widziała mnie, odkąd byłam dzieckiem.

Obie coś bezpowrotnie straciłyśmy. To, co się tutaj stało, pozabawiło babkę rodziny, a mnie jej towarzystwa. Wiedziałam, że to się już nie odstanie. Nie można wrócić do przeszłości, żeby naprawić własne błędy. Ale przynajmniej mogłam tu zostać i spróbować rozliczyć się z przeszłością.

Betty miała rację. W piwnicy nie było nic szczególnie ciekawego. Kamienne schodki, zaczynające się za drzwiami, prowadziły do kilku pomieszczeń, znajdujących się w ciągu, niepoprzedzielanych drzwiami. Wszystkie były w zasadzie puste, we wszystkich ćmiły się gołe żarówki, zapalane jednym wspólnym przyciskiem przy wejściu.

Kamienie, które posłużyły do budowy fundamentów Dune House, pochodziły niewątpliwie z rozbiórki klasztornych

zabudowań. Budowniczy z rodu Templetonów, jak wielu ludzi w czasach wiktoriańskich, podporządkował przeszłość własnej przyszłości, nie przejmując się duchami, których spoczynek mógł zakłócić.

Większą część ścian zbudowano jednak z cegły, a pomieszczenia były suche i czyste. Jedynymi żywymi istotami, które niepokoiłam przechodząc, były pająki, w panice uciekające do zaklejo-nych pajęczynami kątów.

Tu i ówdzie poniewierały się puste skrzynki po herbacie. W jednym pomieszczeniu zgromadzono zniszczone meble. Stół chwiejnie stał na nierównych nogach niczym pijak; najwięcej miejsca zajmowały jednak krzesła, z pozoru jeszcze całkiem nie najgorsze.

Być może babka nie chciała rozdawać sprzętów, które wymagały drobnych napraw, i zamierzała zrobić z nimi porządek, zanim zostaną komuś przekazane. Postanowiłam spytać o to Betty i w razie potrzeby dopilnować, by tę pracę dokończono.

Nie sądziłam, bym w dzieciństwie była w piwnicy. Nic mi się nie przypomniało aż do chwili, gdy wkroczyłam do starej celi, w której trzymano wino...

Trzymaj pochodnię nieruchomo, Bethany. Zobaczmy, czy uda nam się znaleźć butelki z winem.

Byłyśmy w piwnicy z Sarą. Babka pojechała z mamą do kliniki dla przyszłych matek, ojciec gdzieś się zapodział, a ciotka Deirdre jak zwykle była nieuchwytna. Mimo moich oporów Sara zmusiła mnie do współudziału w tej ekspedycji badawczej.

- Tu nie ma wina, Saro. Skończyło się wiele lat temu.
- Wiem, ale może jakaś butelka przypadkiem została. Poza tym możemy znaleźć coś innego.

- Co innego?

- Och, nie wiem. Książki, stare papierzyska, cokolwiek.

Obejrzałyśmy wszystko z największą dokładnością, ale potem Sara i tak nie chciała wyjść z piwnicy.

- Cygus mówi, że ludzie gadają o tajnym przejściu z wyspy do klasztoru. Podobno kiedyś było, a wylot jest gdzieś tutaj. Chodź, poszukamy.

Zmusiła mnie do pozostania i zaczęła opukiwać wszystkie podejrzane wyglądające kamienie, żeby przekonać się, czy nie usłyszy pustego odgłosu. Próbowiła też obracać i przekreślać wszystko, co wystawało i mogłoby okazać się klamką.

Minęło mnóstwo czasu, tak w każdym razie mi się zdawało, ale wciąż nie znajdowałyśmy nic, co przypominałoby drzwi do tajnego przejścia. W końcu podniosłam bunt. Ruszyłam z powrotem do schodów, przechodząc wśród dziesiątków kufrów, puszek i starych skrzyń.

Sara wołała za mną gniewnie, ale nie zwracałam na nią uwagi. Minęłam pomieszczenie pełne sprzętu sportowego. Były tam buty łyżwiarskie, wiszące na hakach na sznurowadłach, dziwne rakietki tenisowe o drewnianych ramach, z pozrywanyymi naciągami, kilka kompletów kijów golfowych, stół pingpongowy, złożony i oparty o ścianę.

W następnym pokoju zaczęłam o stół i strąciłam na ziemię stertę nut. Niektóre miały okładki z eleganckimi parami wirującymi w tańcu. Był też stary gramofon ze stertą płyt. Na podłodze w pobliżu leżała para srebrnych pantofelków...

Gdy po tylu latach przystanęłam i zamknęłam oczy, wciąż widziałam kokardy z cekinami, zdobiące noski tych pantofelków.

Weszłam na schody i zgasiłam za sobą światło. Piwnica pograżyła się w mroku, a ja próbowałam uspokoić rozbudzoną pamięć.

Było to bardzo przykre doznanie. Ponieważ w garażu mogły na mnie czyhać kolejne strzępki historii rodziny, postanowiłam poczekać z ich ewentualnym odkryciem na inny dzień.

Panno Lyall, to znaczy Bethany... chciałabym zamienić z panią kilka słów. - Pani Doran stała na progu kuchni. Była blada jak ściana.

- Co się stało?

- Pani suszarka do włosów... Poszłam na górę sprzątnąć sypialnię i znalazłam suszarkę na podeście...

- I co z tego?

- Bardzo niebezpieczne jest ją tam kłaść. Sznur był przeciągnięty przez cały podest. Mogłaby pani się potknąć i spaść ze schodów...

- Dziękuję. Będę uważać, żeby nie kłaść jej pod nogami. Aha, Betty, miałam pani powiedzieć, że na górze jest przepalona żarówka.

- Już to zauważyłam. Wkręcę nową. Ale niech pani nie bagatelizuje sprawy.

- Sprawy?

- Wolałabym, żeby pani w ogóle nie wynosiła suszarki na podest. I proszę tak na mnie nie patrzeć. Mówię to dla pani dobra.

- Zgoda. Jeśli tak to panią niepokoi...

Była bardzo zdenerwowana; aż drżała.

- Betty, co się stało? Nie chodzi tylko o moje niedbalstwo, prawda?

Nagle westchnęła bardzo głośno.

- To ja ją znalazłam, pani wie...

- Kogo pani znalazła? - Oczywiście z góry znałam odpowiedź. Przypomniało mi się coś, co powiedział Imran Hussain. Coś o sposobie, w jaki zmarła moja babka...

- Kiedy przyszłam tamtego dnia do pracy, znalazłam pani babkę przy schodach. - Głos Betty był cichy i pełen napięcia. - Lekarz powiedział, że prawdopodobnie potknęła się i spadła poprzedniego wieczoru. Bóg jeden wie, jak długo umierała.

*P*ředtem chciałam pani powiedzieć, że ci sami dwaj policjanci przyszli tu tego dnia, gdy znalazłam pani babkę.

Betty wstała i wyszła do sieni. Podążyłam za nią.

- O, tutaj leżała. - Wskazała miejsce, gdzie światło wpadające przez witrażowe okno znaczyło turecki dywan jaskrawymi plamami, wyglądającymi jak krew. - Głowę miała biedaczka wykręconą, ręce i nogi zgięte jak połamana lalka.

Opis wydał mi się aż za plastyczny. Głośno zaczerpnęłam powietrze.

Betty spojrzała na mnie ze śmiertelnie poważną miną.

- Spadła chyba tylko z półpiętra, ale lekarz powiedział, że te kilka stopni wystarczy, bo są bardzo strome.

Zaczęła wspinać się na schody jak stara kobieta, trzymając za mahoniową poręcz. Poszłam za nią. Całkiem machinalnie usiadłyśmy na ostatnim stopniu przed podestem.

Betty długo wpatrywała się w podłogę na dole, jakby wciąż jeszcze widziała leżące tam ciało. Potem opowiedziała mi, co się działo po przyjeździe policji.

- Było całkiem jak w telewizji. Wie pani, miejsce zbrodni, obcy ludzie kręcą się po całym domu... mnóstwo policjantów, lekarz, fotograf...

- Miejsce zbrodni?

- No, przecież musieli tu przyjechać. Mówili coś o „śmierci w niewyjaśnionych okolicznościach”. Ale szybko uznali, że to zwykły wypadek.

- Dlaczego?

- Bo obrażenia były takie, jakby pani babka rzeczywiście spadła ze schodów. Słyszałam, jak to mówili. Nie miała innych zadrapań ani siniaków i nie wyglądało na to, żeby ktoś jeszcze był wtedy w domu...

- Jak to się stało, pani zdaniem, Betty?

- Pewnie spadła ze schodów. Ostrzegałam ją parę razy przed tymi głupimi pantoflami na wysokim obcasie. W dodatku miała przy nich puchate ozdóbki, które się majtały. Trudno to w czymś takim się potknąć...?

- Ale dlaczego babka schodziła po schodach w środku nocy?

- Bóg jeden wie. Policja pozwoliła ją pochować, ale najpierw miała być sekcja zwłok i przesłuchanie u koronera. Nie wiem, jak się to skończyło i co tam stwierdzili, w każdym razie panu Simpsonowi można zaufać, że wszystko odbyło się zgodnie z prawem.

- Dlaczego pan Simpson mi o tym wszystkim nie opowiedział?

- Pewnie czeka na pani decyzję. Wspominał mi, że gdyby pani

postanowiła zrezygnować ze spadku i wrócić do Londynu, to nie ma sensu obciążać pani szczegółami śmierci babki. No, chyba że pani sama by go o to spytała. Wtedy pan Simpson na pewno nic by przed panią nie ukrywał.

Nie spytałam. W dniu, gdy go odwiedziłam, powoli wczuwając się w rolę dziedziczki, dał mi nawet na to szansę. Upewnił się, czy nie chcę jeszcze czegoś wiedzieć.

Nie wykazałam nawet tyle zainteresowania własną babką, żeby spytać, jak umarła. Było mi wstyd.

- Pan Simpson powiedział, że w swoim czasie pokaże pani papiery - ciągnęła Betty Doran. - Świadcstwo zgonu i inne dokumenty... Tak powiedział, w swoim czasie. I tu właśnie jest kłopot...

- Jaki?

- Miałam nic o tym nie mówić i zostawić te sprawy panu Simpsonowi. Ale kiedy usłyszałam o pani wypadku na drodze i znalazłam suszarkę na podeście, wszystko mi się przypomniało... Pomyślałam...

- Co?! Co pani pomyślała? - Nagle poczułam, że się boję.

Betty odwróciła głowę i przesunęła wzrokiem po następnym odcinku schodów.

- Pomyślałam, że to byłoby okropne, gdyby i pani zdarzył się wypadek. Musiałam powiedzieć... powiedzieć, żeby pani uważała na siebie.

Zapewne nie posunęła się w domysłach dalej. Uznała, że jej chlebodawczyni, którą bardzo lubiła, zmarła wskutek tragicznego wypadku. A teraz wnuczka chlebodawczyni, którą też powoli zaczęła lubić, dowiodła, że i jej nie omijają wypadki.

Ciekawe, co by się stało, gdybym opowiedziała Betty, jak chciałam pogrzebać się żywcem pod tonami piasku. Czy zdradziłyby mi coś więcej?

Nie sprawdziłam tego. A jeśli Betty dręczyły jeszcze jakieś niepokoje, to nic mi o nich nie powiedziała. W każdym razie nie tego dnia.

Wciąż siedzieliśmy na schodach, gdy zadzwonił telefon.

Może to wstyd, ale nawet po tym wszystkim, czego się dowiedziałam, poczułam radosne podniecenie. Greg, pomyślałam schodząc do sieni, gdzie był najbliższy aparat. Niech to będzie Greg. I był.

- Przeczytałaś tłumaczenia i konspekt programu?

- Tak.

Betty wolno podniosła się ze stopnia i zaczęła wdrapywać na piętro, by wrócić do swych obowiązków.

- I co sądzisz? - W głosie Grega usłyszałam rozbawienie, lecz również szczerze zainteresowanie.

- O wierszach czy o konspekcie?

- O jednym i drugim.

- Wiersze są... ciekawe. Uczciwie ci powiem, że nigdy jeszcze czegoś podobnego nie czytałam... i muszę przyznać, że nie wszystko rozumiem...

- Czego, na przykład? Powiedz, spróbuję ci wytłumaczyć.

- Och, nie mogę! Nie przez telefon.

- To wpadnę do ciebie i powiesz mi osobiście. Albo zademonstruję...

- Tego tylko by brakowało!

- Naprawdę?

- Greg...?

- Słucham, Bethany.

- Czy ty ze mną flirtujesz? - Skąd wzięłam śmiałość, żeby o to spytać? Pożałowałam swoich słów, jeszcze zanim przebrzmiały.

Nie odpowiedział natychmiast, więc poczułam się upokorzona... wręcz zdruzgotana.

Czekałam na taktowną odprawę, ale nagle usłyszałam:

- Na to wygląda.

Potem trudno już mi się było skoncentrować. Greg powiedział, że bardzo go interesuje, w jaki sposób rozwinęłabym jego pomysł scenariusza, ale musimy z tym poczekać, bo na kilka dni wyjeżdża.

Chciał obejrzeć w telewizyjnych archiwach jakiś program o klasztorach, jeszcze z lat pięćdziesiątych. Zdawało mu się, że

nakręcił go znany archeolog i dziennikarz telewizyjny, sir Mortimer Wheeler. W każdym razie był pewien, że koledzy z BBC pomogą mu znaleźć to, czego potrzebuje.

- Czyli jesteśmy umówieni?
- Och, przepraszam...
- Skup się, Bethany. Powiedziałem, że zadzwonię do ciebie zaraz po powrocie i zjemy gdzieś razem kolację.

- Ale nie u ciebie w hotelu?
- Nie...
- Mniejsza o to... Chętnie się z tobą spotkam.
- To do widzenia...
- Do widzenia, Greg.

Byłam pewna, że odłożył słuchawkę z nie mniejszą niechęcią niż ja.

Betty, nie mogę podjąć w tej sprawie żadnej decyzji. Nie mam prawa, dopóki... dopóki nie powiem panu Simpsonowi, że zamierzam osiąść w Seatoncliffe.

- Ale chce pani tu zostać, prawda?

Nie odpowiedziałam jej. Stałyśmy w dawnej sypialni babki. Betty otworzyła drzwi garderoby zajmującej całą ścianę, wypełnionej eleganckimi strojami.

Myśl o tym zadaniu mnie przerażała. Musiałam posortować odzież babki. Wiedziałam jednak, że w końcu i tak tego nie uniknę.

- Tu też są rzeczy starszej pani, dużo jedwabi. - Betty otwierała kolejno kilka szuflad solidnej komody.

Bezradnie wlepiłam wzrok w równo poskładane koszule nocne i bieliznę.

- Oczywiście, biżuterię wziął w depozyt pan Simpson, ale ubraniami polecił mi się zająć, dopóki spadkobiercy nie postanowią, co z nimi zrobić.

- A co zwykle ludzie robią? - spytałam.
- Co pani zrobiła z ubraniami po ojcu?

Myśl o tym wciąż była dla mnie bolesna.

- Ojciec nie miał dużo ubrań... Wszystko, co się nadawało, moja przyjaciółka wzięła do pracy, na zbiórkę dla uchodźców.

- Pani ojciec na pewno byłby z tego zadowolony.

- To samo twierdziła Josie. Dobre rzeczy spakowała, a zniszczonych się pozbyła.

Nigdy jej nie spytałam, co zrobiła z dwiema pękatymi plastikowymi torbami, wyniesionymi z mieszkania, które zajmowałam z ojcem. Niedługo potem Josie namówiła mnie, żebym z nią zamieszkała.

- Nie ma rady, znowu panią to czeka. Moje znajome po stracie rodziców albo męża brały to, co było potrzebne im albo komuś z rodziny, a resztę oddawały. Można zanieść takie rzeczy do Armii Zbawienia albo do innych organizacji charytatywnych, na przykład do Oxfamu albo Save the Children. - Betty urwała i powątpiewająco zmarszczyła czoło. - Tylko niech pani najpierw popatrzy, starsza pani miała sporo bardzo eleganckich strojów...

- Dobrze. Kiedy... to znaczy, jeśli się do tego wezmę, musi mi pani powiedzieć, czy chce pani coś dla siebie.

Miałam nadzieję, że jej nie urażę. Ta rozmowa o rzeczach babki wydawała mi się z jednej strony bardzo cyniczna, z drugiej zaś żalсна. Ale Betty była praktyczną i doświadczoną osobą i nie widziała w tym, co robimy, nic złego.

- Och, nic nie będzie na mnie pasować. - Uśmiechnęła się wątle. - Pani babka do ostatnich dni zachowała figurę gwiazdy filmowej. Chociaż coś...

- Proszę powiedzieć. Co tylko pani chce.

- Starsza pani miała ładne jedwabne chusty...

- Gdyby miało to ode mnie zależeć, może pani wybierać bez ograniczeń. Chusty, torebki, rękawiczki...

Betty uznała już za pewnik, że zostanę, choć jeszcze nie dojrzałam, by to otwarcie powiedzieć.

- Dziękuję, chętnie - powiedziała. - A może pani chciałaby coś z tego wziąć dla siebie?

- Och, nie. Chyba nie powinnam.

- Czemu nie? Niepotrzebnie ma pani wyrzuty sumienia.

Przecież gdyby babka winiła panią za coś, co stało się wiele lat temu, to nie zostawiłaby pani tego domu. A pani była wtedy małym dzieckiem...

To tylko dziecko, Davidzie! Nie wolno jej winić. Ale tobie nie wybaczę nigdy!

Musiałam się oprzeć na krawędzi komody, żeby nie upaść. Głos babki zabrzmiał tak czysto i mocno, że aż zdziwiło mnie, dlaczego Betty go nie słyszy.

Miałam wrażenie, że gdybym się odwróciła, zobaczyłabym babkę przed sobą. Stałaby z palającymi oczami i twarzą ściągniętą smutkiem, jak niegdyś przed moim ojcem.

A ojciec trzymałby mnie na rękach...

Było mi zimno i mokro. Zgubiłam bucik i bardzo bolała mnie noga...

Prawie natychmiast jednak wizja się rozmyła. Gdy się odwróciłam, zobaczyłam tylko Betty Doran.

- Nic pani nie jest? - spytała.

- Jestem zmęczona. Źle spałam wczoraj w nocy.

- Wie pani, coś mi wpadło do głowy.

- Co takiego?

- Warto poprosić o pomoc panią Bradfield, przyjaciółkę starszej pani. Może zechciałaby przejrzeć te rzeczy.

- Naprawdę?

- Tak. Razem chodziły po zakupy, miały podobny gust. Pani Bradfield będzie wiedziała, co z tym wszystkim zrobić.

- Słusznie. - Wdzięczna za tę radę, zaczęłam zamykać szuflady. Podeszłam do garderoby. - Miałam iść z wizytą do pani Bradfield, i to nawet dzisiaj, więc...

- Chwileczkę. - Betty energicznie powstrzymała mnie przed zamknięciem drzwi garderoby. - Jest tu coś dla pani bez względu na to, czy pani zamieszka w Dune House na stałe.

- Co takiego?

Wspięła się na palce i zaczęła ściągać z górnej półki duże kartonowe pudło.

- Niech mi pani pomoże postawić to na ziemi. Prawdę mówiąc, właśnie po to tu panią przyprowadziłam.

- Co tam jest w środku?

- Pamiątki. Pani babka chciała się ich pozbyć już wiele lat temu, ale jej nie pozwoliłam.

- Dlaczego?

- Miałam nadzieję, że któregoś dnia znajdzie się ktoś, kogo zainteresują.

Ktoś interesował się pamiątkami przede mną. Przeglądałam zawartość pudła z tym samym dziwnym przeświadczeniem, z jakim sortowałam rzeczy ojca.

Na papierach zauważyłam ślad po zardzewiałym spinaczu, który zapewne niedawno usunięto. Był to przejaw nieporządku, niepasujący do reszty.

Mój ojciec wiedział, że umrze. Miał dość czasu, by uporządkować swoje papiery, zostawić mi wszystko w porządku i, być może, zniszczyć to, czego nie chciał nikomu pokazać.

Babka nie mogła spodziewać się takiej śmierci, jaka ją spotkała, ale niewykluczone, że - jak wielu starych ludzi - chciała zostawić po sobie porządek potomkom, którzy odziedziczą te drobiazgi zgromadzone przez lata. Skoro dała się namówić do zatrzymania pamiątek, to może liczyła, że któregoś dnia wnuczka wróci i będzie je chciała obejrzeć?

Betty poradziła mi, żebym usiadła z tym skarbami przy wielkim stole w jadalni. Przyniosła mi kubek herbaty i pieczołowicie ustawiła go na tekturowej podstawie, po czym zostawiła mnie sam na sam z przeszłością.

Spojrzałam na rzeczy rozłożone przede mną. Dokumentowały życie, jakie babka wiodła przed ślubem i jeszcze przez krótki czas po ślubie. Była aktorką, początkowo występowała na scenie, potem również w filmach.

Znalazłam w pudle programy teatralne, pożółkłe albumy z wycinkami i zdjęcia.

Babka była bardzo piękna i efektowna. Niektóre z jej lśniących czarno-białych fotografii wyglądały jak portrety utrwalające kadry z filmów, w których grała. Przedstawiły ją w różnych pozach, wśród partnerów, z których część wydawała mi się mgliście znajoma.

W pewnej chwili mój wzrok przykuło wycięte z gazety zdjęcie panny młodej z bardzo przystojnym oblubieńcem, oficerem. Moi dziadkowie. Gdy zaczęłam czytać podpis, oczy zaszyły mi mgłą.

Uświadomiłam sobie, że za nic nie wyrzuciłabym tego pudła. Postanowiłam zatrzymać rodzinne pamiątki, nawet gdybym miała zrezygnować z Dune House. Ojciec pozbawił mnie wszelkiej wiedzy o życiu swoim i matki, ale mogłam przynajmniej zachować to, co przetrwało.

Niespodziewanie blisko dna - wśród artykułów i zdjęć - znalazłam dawną własność mojej matki.

Początkowo sądziłam, że wszystkie listy, związane wstążeczkami w małe pakieciki, są adresowane do babki. Znaczki pocztowe i stemple wskazywały, że pisał je dziadek, gdy służył za granicą.

Wtedy nie mogłam się jeszcze zdobyć na to, żeby je przeczytać.

Odkrycie było zbyt świeże, miałabym wrażenie, że jestem wścibska. Wiedziałam jednak, że któregoś dnia do nich zajrzę. Ułożyłam więc pakieciki chronologicznie, według dat stempla na wierzchniej kopercie. Jeden pakiecik różnił się jednak od pozostałych.

Wzięłam go do ręki jeszcze raz. Zawierał tylko trzy listy. Kopertry były nieco większe niż pozostałe, charakter pisma nadawcy także wyglądał inaczej. Stemple wskazywały, że listy wysłano z Londynu, a ich adresatką była pani Helen Lyall.

Przyjrzałam się stemplom dokładniej. Okazało się, że listy wysłano latem, ostatniego roku życia mojej matki.

Gdy drzwi letniego domku były otwarte, a smugi słonecznego światła docierały po podłodze do zakurzonych kątów, nie było tam miejsca dla duchów.

Na wszelki wypadek odsunęłam jednak stary fotel od ściany i wystawiłam na dwór. Potem ułożyłam na podłodze stertę koców i poduch, żeby było mi wygodnie. Listy do matki chciałam przeczytać w samotności i spokoju.

Zaraz po tym, jak je znalazłam, Betty weszła do jadalni z wiadomością, że lunch jest gotowy. Wcisnęłam więc listy do kieszeni dzinsów i poszłam za nią do kuchni, gdzie wspólnie zjadłyśmy

pieczone ziemniaki z ziarnistym serkiem i sałatką.

Byłam dość przygnębiona, Betty niewątpliwie jednak przypisała mój stan znaleziskom z pudła i wcale się nie obraziła, gdy powiedziałam, że kawę wypiję sama w ogrodzie.

Teraz z namaszczeniem raczyłam się kawą i mówiłam sobie w duchu, że najpierw dokończę ją pić, a dopiero potem wezmę się do lektury. Przeczynałam, że przeczytam coś ważnego, i chciałam odwlec to odkrycie, które mogło okazać się przykre. W pewnej chwili pożałowałam nawet, że zjadłam lunch, zrobiło mi się bowiem niedobrze ze zdenerwowania.

W końcu jednak odstawiłam kubek po kawie na podłogę, wyjęłam koperty z kieszeni i położyłam je sobie na kolanie.

Stemple wciąż były czytelne, nie miałam więc kłopotu z wyborem koperty, od której należało zacząć. Na pierwszej stronie każdego listu była u góry nalepka z nazwiskiem, adresem i numerem telefonu nadawczyni. Czternaście lat temu pani Jane Frears mieszkała pod Londynem, w Ealing, w domu niezbyt odległym od tego, w którym przez pewien czas mieszkaliśmy z ojcem.

Przez chwilę zastanawiałam się, czy mogłam kiedyś przejść obok niej ulicą, nie wiedząc, że mijam znajomą moich rodziców. I czy pani Frears nadal mieszka w tym samym miejscu.

Potem zaczęłam czytać.

Droga Helen,

na pewno się mylisz! Po naszej rozmowie telefonicznej myślałam i myślałam o tym, co mi powiedziałaś, i naprawdę nie widzę w tym sensu.

David zawsze Cię uwielbiał... nie mów, że tego nie wykorzystałaś! Nie uwierz, że byłby zdolny do zrobienia czegoś, co mogłoby zagrozić waszemu małżeństwu w takiej chwili.

Owszem, wiem aż za dobrze, że gdy żona źle znosi ciężę, niektórzy mężczyźni lubią szukać pociechy gdzie indziej (by wyrazić

rzecz delikatnie). Bardzo mi zresztą przykro, że moja sytuacja jest najlepszym tego przykładem.

Ale wierz mi, Helen, nawet gdyby założyć, że David miał jakieś pokusy, w co absolutnie nie mogę uwierzyć, to na pewno nie wobec NIEJ!

Przypuszczam, że David czuje się w tej chwili dość przygnębiony i potrzebuje samotności, chce od czasu do czasu побыć parę godzin z dala od ciebie i Twojej matki.

Bądź co bądź, rezygnując z pracy, podjął bardzo znaczącą decyzję. Znam uprawdzie jego oglądę, nie sądzę jednak, by był człowiekiem, który godzi się z tym, że utrzymuje go rodzina żony, nawet jeśli ma zadatki geniuszu!

David potrzebuje Cię, żebyś podtrzymywała go na duchu, pokazała mu, że wierzy w jego talent i w to, że może wyrobić sobie nazwisko jako artysta. Nie chce, żebyś wciąż utyskiwała i na siłę trzymała go przy sobie w czasie, gdy powinien pracować. Raz w życiu musisz postarać się zrozumieć czyjeś uczucia.

Jeśli doczytałaś tak daleko i jeszcze nie podarłaś tego listu, to wybacz mi, proszę, brutalną szczerłość, ale naprawdę musiałam Ci wyjawic, co myślę. Nikt inny tak by z Tobą nie porozmawiał, nawet Twoja matka, która pod każdym innym względem jest bardzo rozsądną osobą.

Rozumiesz teraz, dlaczego piszę Ci to wszystko w liście, a nie mówię przez telefon. Jak Cię znam, trzasnęłabyś słuchawką, zanim zdążyłabym powiedzieć połowę tego, co chciałam.

Mam nadzieję, że nie jest to koniec naszej przyjaźni, która dla mnie bardzo wiele znaczy. Twoja obecność zawsze skutecznie chroni mnie przed nudą. Poza tym jesteś jedyną osobą, która powiedziała mi, że sama jestem winna temu, co zrobiłam ze swoim życiem.

Błagam, wykorzystaj swoją inteligencję i wielką siłę osobowości w pozytywny sposób. Nie niszczonego swojego życia w chwili, gdy spodziewasz się dziecka i wszystko idzie ku lepszemu.

Napisz albo zadzwoń. Chcę z Tobą porozmawiać, słowo daję, nawet gdybyś miała na mnie krzyżeć w złości!

Kochająca Jane

Złożyłam list i wsunęłam go z powrotem do koperty. Słyszałam, jak wiatr znęca się nad niepielęgowanymi drzewami i krzewami w ogrodzie. Mewy wrzeszczały rozdzierająco, jakby były złe na wiatr, a ja starałam się nie zwracać uwagi na ich wrzaski i skupić na tym, co przed chwilą przeczytałam. Nawet nie było to trudne.

Czułam się tak, jakbym nagle stała się żywym świadkiem burzliwego życia matki. Przeczytałam ten list wiele razy i jeszcze teraz, gdy go czytam, zawsze mnie porusza.

Ale nawet po pierwszym czytaniu, mimo iż byłam oszołomiona tym, co wynikało z inteligentnej rady Jane Frears, miałam dość egoizmu, by zwrócić uwagę, że w liście nie ma ani słowa na mój temat.

Przyjaciółka błagała matkę, żeby pomyślała o ojcu, jego pracy i dziecku, które ma się urodzić. Twierdziła, że wszystko ma się ku lepszemu. Ale co ze mną? Czy ja nikogo nie interesowałam?

Nigdy nie wątpiłam w to, że ojciec mnie kocha. Z dziecięcą ufnością zakładałam również, że matka, której do niedawna wcale nie pamiętałam, też mnie kochała. Teraz nie byłam już tego taka pewna.

Domyślałam się, co podejrzewała moja matka. Pasowało mi to do wspomnień, które wróciły do mnie w Dune House. A że bardzo chciałam się przekonać, jak matka zareagowała na list przyjaciółki, wzięłam do ręki następną kopertę.

Droga Helen,

gdy do mnie zatelefonowałaś, przeżyłam wielką ulgę. Wiele razy przez ostatnie trzy tygodnie chwytalam za słuchawkę, żeby do Ciebie zadzwonić, ale obawiałam się, że nie zechcesz ze mną rozmawiać ani teraz, ani w przyszłości.

Mówiłaś tak szybko, że być może coś umknęło mojej uwagi, w każdym razie przepraszam Cię, że nie dość poważnie potraktowałam zamiary, które mi wyjawiałaś.

Od czasu naszej rozmowy zastanowiłam się nad nimi bardzo

dokładnie, tak jak obiecałam, i wciąż uważam, że nie wpadłaś na szczęśliwy pomysł.

Najmowanie prywatnego detektywa wydaje mi się, prawdę mówicie, ohydne. Czy zaznasz jeszcze kiedyś spokoju, jeśli opłacisz obcego człowieka, żeby śledził mężczyznę, którego powinnaś kochać, i jeśli okaże się, że Twój mąż jest jednak całkiem niewinny?

Z tą tajemnicą będziesz musiała żyć do końca waszych wspólnych dni, a wydaje mi się, że jesteś za bardzo otwarta, by to udźwignąć.

Myśl o tym, co zrobiłaś, będzie Cię dręczyć, mącić spokój Twojego umysłu, aż w końcu któregoś dnia powiesz Davidowi prawdę. Nie sądzę zaś, by David miał Ci to kiedyś wybaczyć. Teraz zdaje Ci się, że jesteś w niebezpieczeństwie, ale wtedy także naraziłabyś się na niebezpieczeństwo utraty wszystkiego.

Nadal uważam, że musi istnieć bardzo proste wyjaśnienie postępowania Davida. Przypuszczalnie ma ono związek z Twoim zachowaniem w ostatnim czasie.

Wiem, wiem! Ciągłe masz mdłości i bóle głowy, a palce tak ci spuchły, że nawet nie możesz nosić obrączki. Chcesz tylko odrobiny sympatii od człowieka, którego kochasz. Ale sposób, w jaki starasz się osiągnąć wyrazy sympatii, oddala go od Ciebie i jeszcze pogarsza sytuację. Błędne koło, nie sądzisz?

Bardzo, bardzo, bardzo Cię proszę: nie rób nic takiego, czego miałabyś potem żałować przez całe życie.

Przelalam swoje myśli na papier, bo chcę, żebyś czytała ten list i czytała tyle razy, ile potrzeba, żeby Cię przekonać. I dzwoń do mnie, kiedy tylko przyjdzie Ci na to ochota, w dzień i w nocy. Jestem w domu prawie bez przerwy.

Znasz moją sytuację: siedzę tu, skazana na dwoje dzieci, kochanych, lecz, szczerze mówiąc, niechcianych. Teraz możesz powiedzieć: „A nie mówiłam!”.

Zawsze chętnie przyjdę Ci z pomocą.

Kochająca Jane

Moja matka była adresatką tych listów, a jednak to jej osobowość rysowała się w nich znacznie wyraźniej niż osobowość autorki. Wręcz biła w oczy.

Matka źle znosiła ciężę. Prawdopodobnie nawet w normalnych okolicznościach nie było łatwo dojść z nią do ładu. Jane Frears ceniła sobie tę przyjaźń dostatecznie, by wypowiedzieć parę gorzkich prawd, zdawała sobie jednak sprawę, że ryzykuje zerwanie stosunków.

Czyżby moja matka była trudnym człowiekiem?

Mimo kaprysów pogody letni domek zatrzymał trochę ciepła, a w promieniach słońca tańczyły drobinki kurzu. Słoneczne światło było już jednak bledsze. Zaniknęłam oczy i przez chwilę próbowałam coś sobie przypomnieć, niestety, nie zobaczyłam żadnego obrazu.

Gdyby matka była dla mnie szorstka albo zbyt surowa, musiałyby to chyba zostawić w mojej pamięci jakiś ślad. Ale nie. Wspomnienia związane z matką, które do mnie wracały, nie były przykre.

Tylko czy były przyjemne? Jane Frears lubiła żywiołowy humor mojej matki, był on jednak zarezerwowany dla dorosłych. Czy zaś matka z córką dzieliły jakieś chwile radości? Skupiłam się, ale nie mogłam przywołać żadnego momentu, gdy obie się śmiałyśmy.

W drugim liście znów nie było o mnie ani jednej wzmianki. Zaczęłam się zastanawiać, czy w ogóle istniałam. A może ci wszyscy ludzie żyli w jakimś równoległym świecie, a ja byłam duchem, intruzem, przybyszem z obcej planety, który nie miał prawa mieszać się do ich życia?

Przeczytałam ostatni list.

Helen,

na miłość boską, o czym Ty myślisz? W Twoim stanie nie wolno Ci się włóczyć po ruinach i po klifach! Pomyśl o swoim dziecku, pomyśl, że gdyby coś Ci się stało, zламаłabyś matce serce!

Bardzo mi przykro, że Ci nie uwierzyłam, że nie potraktowałam Twoich obaw poważnie. A mimo to nie możesz być przecież stuprocentowo pewna tego, co zobaczyłaś z okna na wieży, prawda?

Mężczyzna wyglądał jak David, to prawda, i prawdą jest, że powinnaś poznać męża nawet z dużej odległości. Ale przecież sama mi mówiłaś, że ostatnio miewasz kłopoty z widzeniem, że z powodu Twojego stanu mgła czasem zasnuwa Ci oczy. A więc zdawało Ci się, że mężczyzna, który wygląda jak David, obejmuje ciemnowłosą kobietę.

Nie próbuję Ci wmawiać, że było inaczej. Skoro jesteś przekonana, że to widziałaś, to jako Twoja przyjaciółka chcę cię wesprzeć w trudnej chwili.

Co do dzieci kręcących się po domu i ogrodzie, jestem pewna, że po prostu w coś się bawią. David za nic nie kazałby własnej córce szpiegować matki i donosić mu, kiedy może bezpiecznie spotykać się z kochanką.

Zresztą nadal bardzo trudno mi uwierzyć, że David mógłby mieć romans.

Czy chcesz, żebym do Ciebie przyjechała i spędziła z Tobą trochę czasu? Roger musiałby się z tym pogodzić. To przynajmniej jest mi winien.

Proszę Cię, nie próbuj więcej udawać detektywa. Odpoczywaj i pilnuj, żeby ciśnienie Ci nie skakało. Zrób to dla mnie, jeśli nie chcesz dla nikogo innego.

Jak zawsze kochająca Jane

Chyba jeszcze nigdy nie czułam takiej trwogi. Bo ta jedna jedyna wzmianka poświęcona mojej osobie, mimo iż bardzo pobieżna, nagle przypomniała mi, jak bardzo kochałam matkę.

Aż do tego ostatniego lata zawsze była wesoła, ożywiona, kochająca. Umiała zdobyć się na krytycyzm i czasem stawiała wysokie wymagania, ale jednocześnie była kryształowo uczciwa i rozumiała, szczególnie dla tych, których kochała.

A mnie kochała. Wprawdzie byłam wtedy małym dzieckiem,

ale dobrze rozumiałam, że jej nasilająca się podatność na irytację jest spowodowana ciążą. Babka zapewniała mnie zresztą, że po urodzeniu dziecka znów wszystko będzie dobrze.

I mogłoby być, gdyby wuja Raymonda nie zamknięto w więzieniu. A tak, ciotka Deirdre i Sara znalazły się bez dachu nad głową.

Jeszcze przed ich przyjazdem mój ojciec zszedł z rodzinnej sceny. Babka wyjaśniła mi, że ciężko pracuje i że to dobrze. Obiecała mi, że będziemy za to spędzały więcej czasu we dwie. I początkowo istotnie tak było.

Ale w miarę upływu czasu moja matka coraz gorzej radziła sobie z ciążą i zabierała coraz więcej czasu i uwagi swojej matki, a mojej babki, dlatego opieka nade mną spadła na ciotkę Deirdre, która i tak musiała zajmować się Sarą.

Biedna matka. Czyżby naprawdę sądziła, że ją z Sarą szpiegujemy...?

Popatr, Bethany.

Sara przystanąła i chwyciła mnie za ramię. Szliśmy drogą po klifach w stronę odgałęzienia prowadzącego na kemping, gdy zauważyliśmy przed sobą moją matkę, która dokądś się śpieszyła.

Już miałam za nią pobiec, ale Sara mnie przytrzymała.

- Co ty robisz? - syknęła. - Przecież nie wolno nam wychodzić z domu, zapomniałaś?

Miała rację. Ciotka Deirdre kazała nam się bawić w domu; powiedziała, że idzie na górę odpocząć, i znikła. Wiedziałyśmy, że prawdopodobnie dokądś polazła i nie zjawi się z powrotem szybciej niż za kilka godzin. Ponieważ mojego ojca również nie było, a babka pojechała w odwiedziny do swojej przyjaciółki, pani Bradford, Sara wyciągnęła mnie na poszukiwania Cygusa.

- Ale jej coś jest. Popatr, jak idzie. Puść mnie. Ja chcę do niej.

- Poczekaj! Idzie tak, bo ma dziecko w brzuchu. Kobiety, które spodziewają się dziecka, zawsze tak chodzą.

Sara powiedziała to jak osoba, która swoje wie. A że była cztery lata starsza ode mnie, omal jej nie uwierzyłam. Ale nagle moja matka zachwiała się i potknęła, jakby nie bardzo widziała, dokąd idzie. Wtedy wyrwałam się Sarze i popędziłam do niej.

- Bethany! Stój!

Sara zaczęła mnie gonić. Złapała mnie za sweter i pociągnęła tak silnie, że szwy wpiły mi się w ciało. Krzyknęłam z bólu, matka odwróciła się i nas spostrzegła.

Zobaczyłam, że marszczy czoło i mruga. Twarz miała brudną i zapuchniętą, oczy czerwone.

- Co tu robicie?! - Była zła. - Bez przerwy myszkujecie po domu i mnie szpiegujecie!

Zrobiła kilka chwiejnych kroków w naszą stronę, widziałam jednak, że przez cały czas patrzy przez ramię, na plażę w dole.

- Nie! Wcale nie! - Tak bardzo zaboląla mnie ta niesprawiedliwość, że krzyknęłam na matkę.

To ją jeszcze bardziej rozeźliło.

- Właśnie że tak! Widziałam któregoś dnia, jak podsłuchujecie u mnie pod drzwiami, na pewno nie pierwszy raz. - Jej uwaga przeniosła się na Sarę, która stanęła za mną. - Czy to twoja matka was podpuszcza?

Przysięgłabym, że szczerze zdumiała Sarę tym pytaniem.

- Do czego nas podpuszcza?

- Do tego, żebyście mnie szpiegowali... wszędzie się za mną włóczyły. Donosicie jej?

- Co za głupoty - obruszyła się Sara.

- Nie mów do mnie w ten sposób! I powiem ci więcej. Nie ma sensu szukać po całym domu drugiego testamentu. On istnieje tylko w wyobraźni twojej matki.

Wybuchnęłam płaczem. Sara jednakże patrzyła na nią z miną, w której - choć miałam zaledwie siedem lat - wyczytałam pogardę.

- Nie patrz tak na moją mamę! Ona jest chora, nie widzisz?!

Co stało się potem? Usłyszałam, że matka syczy z bólu, odwróciłam się i zobaczyłam, jak trzyma się za brzuch. Znów

jednak kierowała wzrok ku plaży. Spojrzałam w to samo miejsce.

Na co tak patrzyła? Po piachu biegały jakieś dzieci, uciekające przed przybrzeżnymi falami. Słyszałyśmy ich radosne piski. Pies, który należał nie wiadomo do kogo, gonił za nimi i z zapalem szczekał.

Matka jednak patrzyła dalej. Bardziej na północ, za groblą męczyzna i kobieta spacerowali po brzegu wyspy. Szli w naszą stronę, ale z tej odległości nie można ich było rozpoznać.

Moja matka znów syknęła z bólu i natychmiast zapomniałam o ludziach na brzegu. Zauważyłam nową postać na klifach. Chłopak przypatrywał się dwojgu ludzi na wyspie. Był starszy od nas, wysoki, smukły, miał czarne włosy.

Czyżby Cygus? Nagle jednak przestało to mieć znaczenie. Zapomniałam o nim i o wszystkim dookoła, moja matka bowiem chwyciła się za brzuch i głośno beknęła. W chwilę później opadła na kolana, pochyliła się i zaczęła wymiotować na poboczne drogi.

Byłam przerażona. Chyba krzyknęłam, bo matka spojrzała mi w oczy. Musiała zdobyć się na wielki wysiłek, bo nagle znowu stała się sobą. Łzy płynęły jej po policzkach, ale otarła je wierzchem dłoni i wątle się uśmiechnęła.

- Wszystko dobrze - uspokoiła mnie. - Nie bój się, kochanie. Daj mi rękę. - Wyciągnęła do mnie dłoń. Uścisk był mocny, dawał otuchy, ale matka wyglądała bardzo źle.

- Co ci jest, mamó? Co się stało?

- Boli mnie... ale nic się nie martw. Dziecko jeszcze nie wyjdzie. Jeszcze trochę. Muszę dojść do domu, żeby się położyć. - Spróbowała wstać, ale zaczęła drżeć. - Posłuchaj, Bethany, zostań tutaj ze mną. Saro, ty musisz iść do domu i zatelefonować do pani Bradfield. Jej numer znajdziesz w kalendarzyku, na stoliku w sieni. Tam jest moja matka. Powiedz jej, co się stało, mama zaraz przyjedzie do domu. - Tyle słów na raz bardzo ją wyczerpało.

Sara bez słowa odbiegła, a matka pociągnęła mnie za rękę,

żebym usiadła obok niej w trawie. Oparłam się o nią, czerpiąc pocieszenie z tego, jaka jest miękka i ciepła. Trzymałyśmy się za ręce i czekałyśmy.

Wtedy ostatni raz byłam tak blisko matki. Siedząc teraz w letnim domku z listami, które przypomniały mi tamten dzień, zorientowałam się nagle, że płaczę.

Czułam nadchodzący smutek i zgryzotę. Ale zarazem cieszyłam się, że udało mi się to przypomnieć. Już wiedziałam, że matka mnie kochała.

Nie musiałyśmy wtedy czekać długo. Zanim jeszcze babka dojechała do domu, znalazł nas ojciec. Skąd się wziął? Stanął zniechęcony nad nami, sprawiając wrażenie wstrząśniętego.

- Helen, co ty tutaj robisz?! Co się stało?

- Byłam na spacerze, Davidzie. Spacerowałyśmy z Beth. Zaprowadź mnie do domu.

Nie zdradziłam jej, że skłamała...

Czemu babka zachowała te trzy listy? Mała była szansa, że nie wiedziała o ich istnieniu, że po prostu przeleżały niezauważone wśród innych papierów przez wiele lat, odkąd babka przeglądała rzeczy po matce.

Nie, to było mało prawdopodobne. Czyżby babka zachowała te listy, żeby móc pielęgnować nienawiść do mojego ojca? Chciała, żebym któregoś dnia je znalazła i dowiedziała się, jakim był człowiekiem?

Wciąż jednak nie mogłam uwierzyć, by ojciec zawinił czymś więcej niż tylko tym, że nie chciał być na każde skinienie matki. A matka, która czuła się chora i nieszczęśliwa, musiała sobie wymyślić jego niewierność.

Przypominałam sobie, jak podsłuchiwałam babkę, mówiącą do niej, żeby była ostrożna, nie zrędziła bez przerwy, bo jeśli tego

nie zmieni, może stracić męża. Czy babka uważała, że to po prostu kwestia charakteru artysty, czy też i ona podejrzewała go o romans?

Przez tyle lat ojciec samotnie mnie wychowywał i nigdy nie zauważyłam, by spojrzął na kobietę. Nigdy mnie to nie zastanowiło, choć powinno. Ale gdy jest się dzieckiem, a nawet i potem, już w dorosłym życiu, nie myśli się o rodzicach jak o istotach uprawiających seks.

Dopiero więc po przeczytaniu tych listów zaczęłam myśleć o ojcu jak o mężczyźnie, a nie po prostu rodzicu.

Ojciec był wysoki, jasnowłosy, miał długie ręce, był przystojny. W chwili śmierci mojej matki musiał mieć jakieś trzydzieści pięć lat. Czemu nie ożenił się ponownie? Z szacunku dla pamięci o matce? Ze smutku? Z poczucia winy?

Jeśli tak, to nic dziwnego, że uciekł do Londynu...

Z powrotem wstawiłam fotel do kąta i odsunęłam moje legowisko. Gdy przesuwalam poduszki, coś upadło na podłogę. Pochyliłam się i podniosłam kolczyk.

Stanąwszy na progu, przyjrzałam mu się dokładniej. Był ładny, ale niedrogi: bursztynowe oczko w geometrycznej kompozycji ze srebrnego drutu. Ciekawe, czyj był i jak długo tu leżał.

Nagle przypomniały mi się słowa Sary...

Mamy kryjówkę w letnim domku... Cygus przyniesie walówkę i coś do picia...

Czyżby była to kryjówka Sary? Przypomniałam sobie butelkę po winie, która niedawno tutaj stała, a potem znikła. Przypomniałam sobie niezwykle piżmowy zapach. Czyżby używała takich perfum? Nie byłam przekonana.

Zresztą po co miałyby tu teraz przychodzić? Czy nadal spotyka się z Cygusem? Z Cygusem, czyli z kim? A może wciąż prowadzi jakieś zagadkowe gry, tym razem obserwując Dune House i mnie? Powodów mogłam tylko się domyślać.

Betty znalazła mnie, gdy szłam już przez trawnik do domu. Miała na sobie płaszcz i była gotowa do wyjścia.

- Myślałam, że pani tam zasnęła. Przyszedł do pani z wizytą pewien dżentelmen.

- Kto?

- Nie, nie on. - Uśmiechnęła się. Czyżby moje myśli były takie przejrzyste? - Pan Mitchell, właściciel kempingu.

Zdecydowałaś się już, Bethany?

- W jakiej sprawie?

Stał przy storach, zdobiących ścianę z ogrodowymi drzwiami. Prawdopodobnie przyglądał się naszemu powrotowi z ogrodu.

- Czy zamierzasz tu zostać, czy nie. - Starał się zachować swobodę, chciał sprawić wrażenie, że pyta jedynie z uprzejmości, ale uśmiech nie bardzo kleił mu się do twarzy. Paul był zdenerwowany.

- Skąd wiesz, że mam wybór?

- Myślałem, że twoja babka... - Urwał, bo nagle wytrzeszczyłam na niego oczy. - Och... - Roześmiał się z własnej niezręczności.

Odszedł od okna i usiadł w fotelu. Zajął miejsce naprzeciwko niego.

- A więc jednak znasz warunki testamentu?

- Oczywiście.

- I, oczywiście, powiedziała ci o nich Sara?

- Dlaczego „oczywiście”? Każdy może się zgłosić do notariusza i zapoznać z treścią testamentu.

Nie miałam pojęcia, czy powiedział prawdę. Mogłam sprawdzić, pytając o to pana Simpsona, ale w gruncie rzeczy było to bez znaczenia. Paul wiedział, że mam wybór, i przywiązywał do tego wagę.

- Czy opóźnienie naraża cię na straty?

- Co masz na myśli?

- Opóźnienie w planach rozbudowy kempingu. Czy naprawdę pilnie potrzebujesz ode mnie decyzji?

- Nie, Bethany, to nie jest tak. To znaczy, owszem, wydałem

już mnóstwo pieniędzy w związku z tymi planami i chciałbym postawić domki do przyszłego sezonu, ale w tej chwili chodziło mi przede wszystkim o ciebie.

- O mnie? Niby jak?

- No, czy sądzisz, że mądrze byłoby tu wracać po tylu latach? Chcę powiedzieć, że razem z ojcem urządziliście sobie życie w Londynie od nowa...

- Mój ojciec nie żyje.

- Wiem, ale na pewno masz tam przyjaciół... i karierę zawodową. Gdybyś postanowiła jednak nie wracać do Seatoncliffe, Sara na pewno okazałaby hojność i nie zostawiła cię z pustymi rękami...

Spostrzegł, w jaki sposób na niego patrzę, i tym razem wytrzymał moje spojrzenie, muszę mu to przyznać. Ale widziałam, że mimo opalenizny jest blady, a na czole perlą mu się kropelki potu. Czulałam zapach drogiego płynu po goleniu, lecz miał on jakąś kwaśną domieszkę. Czy był to skutek nadużycia alkoholu poprzedniego wieczoru, czy też zaniepokojenia?

- To twój pomysł czy jej?

- Sary.

Minęła jednak długa chwila, zanim odpowiedział, i tym podsycał moje podejrzenia.

- Nie sądzę, Paul. I nie wiem, skąd ci przyszło do głowy, że kiedykolwiek uda ci się przekonać Sarę i jej matkę, by podzieliły się czymś, co do nich należy. Poza tym nie rozumiem, dlaczego miałbyś to robić.

Nie dopuściłam go do głosu.

- Dlaczego tak bardzo interesuje cię moje dobro? - ciągnęłam.

- Może po prostu śpieszy ci się do zrealizowania swoich planów?

- Nie... Sara naprawdę obiecała... Chcę powiedzieć, że prawdopodobnie zgodziłaby się, gdyby...

Wpadłam w złość. Zerwałam się z fotela i spiorunowałam go wzrokiem.

- Lepiej już idź!

Wstał i spojrzał na mnie.

- Bethany, zawsze cię lubiłem...
- Paul, proszę cię!
- Nie, posłuchaj. Wiem, że tego nie pamiętasz, ale byłeś uroczym dzieckiem. Naprawdę było mi przykro, kiedy...
- Nie chcę tego słyszeć.
- Dobrze, dobrze. Przepraszam. - Wzruszył ramionami i odwrócił się do drzwi.

Odprowadziłam Paula do sieni. Nie zatrzymałam go, bo byłam na niego bardzo zła. Bałam się też, że jeśli powie za dużo o przeszłości, to wyczyta w moich oczach, że zaczęłam sobie coś przypominać. Byłam zaś święcie przekonana, że powinnam zachować tę wiedzę dla siebie.

Gdy stanęliśmy przy drzwiach, Paul dotknął mojego ramienia. Dłoń lekko mu drżała, a gdy mu się przyjrzałam, przekonałam się, że i jego uśmiech jest bardzo niepewny.

- Mam nadzieję, że nie spaliłem za sobą mostów - powiedział.
- Próżna nadzieja.
- Czy nadal jesteśmy przyjaciółmi?
- A czy kiedyś byliśmy? - Otworzyłam drzwi.

Był już za progiem, gdy nagle się odwrócił.

- Wiesz, Bethany, kiedy jesteś zła, wyglądasz zupełnie jak Sara.

*I*mrana Hussaina spotkałam w pół drogi do miasteczka. Dotarłam właśnie do skrzyżowania drogi na klifach z główną drogą wylotową, gdy przystanęła obok mnie taksówka.

- Może podwieźć, panno Lyall?
- Nie, dziękuję. Idę na spacer.

Spojrzał na mnie podejrzliwie, prawdopodobnie dlatego że nie byłam ubrana spacerowo. Po wyjściu Paula odbyłam kilka rozmów telefonicznych i postanowiłam elegancko się ubrać. Miałam więc na sobie beżową spódnicę do ziemi, z rozcięciem na całej

długości, i oliwkowozieloną bluzkę. Włosy ściągnęłam z tyłu do pasowanej kolorystycznie gumką, a do tego włożyłam beżowe czółenka na słupku, stanowiące całość z torebką.

Nawet przypięłam sobie perłowe klipsy, chociaż zwykle nie ozdabiałam uszu, bo mimo regularnych namów Josie nie mogłam się odważyć na ich przekłucie, a klipsy szybko zaczynały mnie uwierać.

Imran wychylił się z samochodu i uśmiechnął.

- Nie chodzi mi o zarobek. Proponuję z uprzejmości.

Czułam, że odmawiając, zachowałam się bardzo niestosownie. Przyjęłam więc zaproszenie i usiadłam obok kierowcy. Nie wiem, czy o to chodziło Imranowi, w każdym razie nie zaprotestował.

- Właśnie odwiozłem na kemping pani kuzynkę, pannę Templeton. Dlatego tędy wracam.

- Aha.

Nic innego nie przyszło mi do głowy, więc po chwili znów odezwał się Imran:

- To bardzo dobra klientka.

- Tak? - To było już trochę lepsze, bo pytająca intonacja przynajmniej zachęcała do dalszej rozmowy.

- O, tak. Korzysta z naszych usług, odkąd wróciła z Hiszpanii. Najpierw mieszkała u pani babki, a potem przeniosła się na kemping, do przyczepy.

Milczałam, ale odwróciłam się do niego i ciepło uśmiechnęłam.

- Pani kuzynka nie ma samochodu, nawet nie wiem, czy umie prowadzić, a jej przyjaciel, pan Mitchell, nie zawsze może ją wozić.

- Pewnie nie.

- Jej matka też nie.

- Słucham? - Wreszcie Imran wyrwał mnie z rytmu nic nieznaczącego przytakiwania.

Musiał się ucieszyć, że tak mnie zaskoczył.

- Pani Templeton jest chyba pani ciotką, prawda? Mieszka w

apartamencie nad zatoką, wożę ją do męża, do szpitala. Ale pani na pewno to wie...

- Prawdę mówiąc, nie wiedziałam. Nie jesteśmy... nie jesteśmy bliską rodziną. - Nie umiałam zdobyć się na zgrabniejszą odpowiedź, za to najwidoczniej potwierdziłam podejrzenia Imrana.

Bardzo szybko zorientowałam się, że jego uprzejmy gest wynikał z zaciekawienia moją osobą. Zresztą wcale mi to nie przeszkadzało. Nie było w tym nic złego, a przysługa pozostaje przysługą.

Nikt dotąd nie poinformował mnie, że ciotka Deirdre jest w Anglii, chociaż przypuszczam, że gdybym zachowała się rozsądniej i postawiła panu Simpsonowi więcej pytań, powiedziała by mi wszystko, co chce.

Czyli ciotka Deirdre ponownie wyszła za mąż. Nie powinno mnie to dziwić. Pamiętałam, że była atrakcyjna. Trochę brakowało jej wdzięku, ale można to tłumaczyć ówczesnymi okolicznościami. Poza tym niektórych mężczyzn bardziej interesuje wygląd zewnętrzny niż osobowość.

Z pewnością jednak nie należał do nich mój ojciec!

Natychmiast oddaliłam tę myśl. Nie chciałam w tej chwili jej rozważać. Postanowiłam najpierw dowiedzieć się jeszcze czegoś o tamtym okresie z innych źródeł, a problemy rozwiązywać kolejno. Musiałam narzucić sobie jakiś porządek, żeby nie zwariować.

W każdym razie dowiedziałam się, że jakiś biedny dureń skusił się na ciotkę Deirdre, aczkolwiek nie miałam pojęcia, czy to cokolwiek zmienia w mojej sytuacji.

- Podoba się pani w Seatoncliffe, panno Lyall?

- Tak.

Zaskoczyło mnie, że to powiedziałam. Byłam tu dopiero cztery dni, które obfitowały w wydarzenia. Wycieczki w przeszłość nastrojały mnie nie najlepiej, w teraźniejszości czyhało jakieś nieokreślone zagrożenie, a mimo to gdy Paul podsunął mi myśl, że lepiej czułabym się w Londynie, natychmiast uświadomiłam sobie, że jest w błędzie.

Widocznie odziedziczyłam, zapewne po matce, siłę charakteru, i dlatego nie zamierzałam pozwolić, by oderwano mnie od domu.

Musiałam też oczywiście uwzględnić w planach Grega. Gdybym wróciła teraz do Londynu, mogłabym nigdy więcej go nie zobaczyć. Przecież byłam dla niego tylko dodatkiem do ruin klasztoru i programu telewizyjnego, który sobie wymyślił. Wprawdzie ze mną flirtował, lecz nie wydawało mi się, żeby zadał sobie trud szukania mnie, gdybym nagle wyjechała.

Z pewnością jednak nie z jego powodu postanowiłam zostać. Nie byłam w Gregu zakochana po uszy, więc gdybym uznała, że mi tutaj źle, nie musiałabym się męczyć tylko po to, by jeszcze raz lub dwa go zobaczyć. Przynajmniej tak sobie mówiłam.

- Mojej żonie też się tu bardzo podoba, chociaż, oczywiście, jest zupełnie inaczej niż w Lahore.

- Hm? - Coś uknęło mojej uwagi, ale Imran nie zareagował na to potknięcie.

- Moja żona, Tahira. Sprowadziłem ją tu po ślubie. Nigdy wcześniej nie była w Anglii.

- Czy żonę wybrała panu rodzina? - Nie potrafiłam ukryć zdziwienia. Imran mówił wprawdzie ze śpiewnym akcentem, poza tym wydawał się na wskroś przesiąknięty cywilizacją Zachodu.

- Oczywiście. Jesteśmy bardzo szczęśliwi. - Zmarszczył czoło.

Spłoszyłam się, że mogłam go obrazić.

- Och, na pewno. Wcale nie chciałam sugerować, że... Spojrzał na moją zmartwioną twarz i szeroko się uśmiechnął.

- Nie, nie, wcale mnie pani nie uraziła. Ale niektórych głupich żółtodziobów czasem jest trudno przekonać, że rodzina wie najlepiej.

Intuicyjnie wyczułam, że ma na myśli jednego tylko głupiego żółtodzioba, swojego brata Ahmeda.

Dziwna była ta rozmowa. Imran podwiózł mnie, żeby dowiedzieć

się czegoś o mnie i mojej rodzinie. Bez wątpienia wypadliśmy bardzo niekorzystnie w porównaniu z jego bliskimi, którzy zawsze trzymali się razem. A że Imran nie zamierzał zdradzić o sobie nic poza tym, że jego żonie dobrze się tutaj mieszka, prawdopodobnie z ulgą powitał domy miasteczka. Dojechaliśmy do promenady.

- Czy tutaj chciała pani wysiąść, panno Lyall?

Zerknęłam na ulicę i zobaczyłam neon firmy Imrana.

- Może być tutaj.

- Czy wybiera się pani do naszego sklepu? Mogła pani po prostu podać bratu przez telefon listę potrzebnych artykułów. Który z nas przywiózłby je do Dune House.

- Nie, dziękuję. Idę do Gondoli. Umówiłam się - dodałam przewrotnie, wiedząc że nawet gdyby Imran umierał z ciekawości, nie ośmieli się złamać zasad grzeczności i spytać wprost, z kim.

Mimo to spróbował.

- Miło czasem spotkać się z przyjaciółmi.

- To prawda. Dziękuję za podwiezienie. Do widzenia.

Idąc do Gondoli wiedziałam, że Imran nie spuszcza mnie z oka. Odwróciłam się. Pomachał do mnie tak, jakby specjalnie czekał, żeby móc to zrobić. Potem cofnął samochód za róg i skręcił w przecznicę za sklepem, przy której parkowały jego taksówki.

Cześć, akurat skończyłam. W samą porę mnie złapałaś.

Mandy była ujmująca. Powitała mnie tak, jakbym przyszła do Gondoli specjalnie po to, żeby się z nią spotkać. Naturalnie, nie myliła się.

- Masz czas na kawę przed wyjściem? Chciałam cię spytać o to i owo.

- Jasne, tylko poczekaj, aż zdejmę fartuszek. Usiądź sobie.

Gości było mało, a ci nieliczni wchodzili i wychodzili w rytmie przejeżdżających autobusów. Nie dostrzegłam nikogo, kto wyglądałby jak

wczasowicz, i zaraz przypomniałam sobie, co powiedziała Liz Davison o kończącym się sezonie.

Bezmyślnie spojrzałam przez okno na promenadę. Nie do wiary, że minęły zaledwie cztery dni, odkąd przyglądałam się przez tę samą szybę odejściu Grega. Wtedy nawet nie wiedziałam, jak ma na imię...

Mandy, już ubrana do wyjścia, zjawiała się wkrótce z dwiema filiżankami kawy i zestawem kanapek zawiniętych w folię.

- Wcinaj. Nie będziesz musiała robić lunchu po powrocie do domu.

- Dziękuję, ale...

- Nie ma sprawy. Nie ja za to płacę. Poczestunek na koszt pani Alvini. - Z tymi słowy wskazała ciemnowłosą kobietę w średnim wieku, stojącą za kontuarem.

Kobieta uśmiechnęła się i skinęła mi głową.

- Dziękuję, bardzo jest pani miła! - zawołałam do niej, a ona wrzuciła ramionami i machnięciem ręki dała znak, że to nie takiego.

- Pani Alvini koniecznie chciała, żebym przyniosła ci cappuccino. Powiedziała, że zawsze lubiłaś.

- Co?

- Powiedziała, że kiedy byłaś mała i przychodziłaś tutaj z tatą, zawsze prosiłaś o kawę z pianką! A fe, Bethany!

- Czemu mnie rugasz?

- Po pierwsze mówisz „co” zamiast „słucham”, a po drugie masz buzię otwartą jak świeżo złowiony pstrąg.

- Bardzo... bardzo przepraszam.

A więc pierwszego wieczoru wrażenie mnie nie omyliło. Już tu kiedyś byłam.

- Och, to ja przepraszam za wyglupy - powiedziała Mandy. - Masz do mnie coś ważnego, prawda? - Wstała, obeszła stół i usiadła na ławie obok mnie.

- Nie, nic poważnego. Po prostu przypomniały mi się szczęśliwe dni... W każdym razie szczęśliwe do czasu...

- Wbiłam wzrok w wiórki czekolady unoszące się wśród piany

na powierzchni kawy. I widocznie musiałam się uśmiechnąć.

- Tak lepiej - oświadczyła Mandy. - Pani Alvini specjalnie przydzieliła ci dodatkową porcję czekolady. Powiedziała, że w dawnych czasach szefowa zawsze kazała jej tak robić.

- Szefowa, to znaczy pani Bertorelli.

- Tak. Frank Alvini był jej kuzynem. Pomagał w kawiarence razem z żoną, a po śmierci pani Bertorelli przejął interes. Naturalnie, o mnie jeszcze wtedy nikt nie słyszał.

- Frank Alvini zmienił nazwę.

- Tak?

- Na pewno. Z ojcem chodziłam po prostu do „Lodziarni Bertorellich”. Ojciec przyprowadzał mnie tutaj z Sarą.

- A tak, pani Alvini wspominała o tym. - Znów w jej głosie zabrzmiał ten sam brak entuzjazmu co wtedy, gdy spotkałyśmy się na cmentarzu.

- Mandy...?

- Tak?

- Co sądzisz o Sarze?

- Jest twoją kuzynką.

- Wiem. Ale jesteś moją przyjaciółką... prawda?

Mandy wróciła na drugą stronę stolika i skupiła całą uwagę na wsypywaniu cukru i mieszaniu kawy. Potem spojrzała na mnie i uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Właściwie nic do niej nie mam. Bo to należy do zawodu, że ktoś traktuje kelnerkę jak niższą formę życia.

- Ale? - Nagle przypomniał mi się posterunkowy McKenzie i jego subtelne metody przesłuchiwania.

- Och, nie powinnam powtarzać plotek...

- Ale powtórzysz.

Wybuchnęła śmiechem.

- Fajna jesteś, Bethany. Mam nadzieję, że tu zostaniesz.

Przez moment zastanawiałam się, czy Mandy też była u notariusza obejrzyć testament babki Templeton, ale szybko przerwałam te rozważania. Wpadałam w obsesję. To była bez wątpienia całkiem niewinna uwaga.

- Mówiłaś przedtem... - naprowadziłam ją na temat.
- Chodzi o Paula Mitchella. Ludzie go lubią, i to nie tylko dlatego, że daje im pracę i napędza handel w mieście. To jest naprawdę przyzwoity facet. Szkoda, że idzie w ślady ojca. Podobno z powodu kobiety.
- Co to znaczy, że idzie w ślady ojca?
- Pije. Za dużo pije.
- I ludzie uważają, że winna jest Sara?
- Phi, Paul zawsze lubił wypić, ale dopiero odkąd jej wysokość wróciła z Hiszpanii, zupełnie stracił umiar. Jest teraz jej chłopcem na posyłki, zupełnie jakby miała na niego jakiegoś haka.
- Na przykład jakiego?
- Liz Davison, która pracuje na kempingu...
- Wiem, znam ją.
- No, więc Liz Davison czasem tu wpada, jak czeka na autobus. I ona twierdzi, że Paul jest do szaleństwa zakochany w Sarze. Krótko mówiąc, ma fioła na jej punkcie.
- A czy Sara też go kocha?
- Tego Liz nie wie. Ale mam nadzieję, że Sara też kogoś kocha.
- Dlaczego?
- Bo jest w ciąży.
- Skąd wiesz?
- Liz mi powiedziała... Żeby oszczędzić ci pytania, powiem jeszcze, że Liz też nie jest pewna. Ale widuje Sarę codziennie i kilka razy słyszała rano, jak Sara wymiotuje w łazience. Poza tym twierdzi, że ona wygląda tak, jakby się spodziewała.
- Och, daj spokój, Mandy. Co to znaczy „wygląda tak, jakby się spodziewała”?
- Wiem, że to drętwo brzmi. Ale jeśli ktoś się na tym zna, to właśnie Liz. Ma sześcioro młodszego rodzeństwa, a jej matka znowu jest przy nadziei. To dlatego Liz tak lubi swoją pracę. Wreszcie może pobyć z dala od domu.
- Nie sądzę, żeby to był jedyny powód, dla którego lubi swoją pracę.

Mandy spojrzała na mnie i radośnie wyszczerzyła zęby.

- O, też zauważyłaś? Tak, tak, wariuje na punkcie Paula. Dlatego trzyma rękę na pulsie. Boi się, że jak Sara mu powie o dziecku, to się pobiorą, a jej nadzieje diabli wezmą raz na zawsze.

- Więc ona sądzi, że Paul o tym nie wie?

- Tego jest pewna. Nie potrafiłby się maskować tak jak Sara.

Zamilkłam na dłużej, a tymczasem Mandy wzięła się do odwijania kanapek. Wyłożyła je na talerzyk i postawiła go przede mną.

- Masz, Ta serowa jest najlepsza, a w ogóle... - pochyliła się nad stolikiem i zniżyła głos - ...nie ma się co rozpyływać nad hojnością mamy Alvini, bo i tak by tego dzisiaj nie sprzedała. Wieczorem musiałaby je po prostu wywalić.

Skubnęłam nieufnie kanapkę i przekonałam się, że jest całkiem niezła. Zaczęłam jeść z większym entuzjazmem. Wkrótce sięgnęłam po następną.

- Jest jeszcze jedna serowa, chyba że chcesz zaryzykować bułeczkę z nadzieniem drobiowym.

- Dlaczego zaryzykować? Taka okropna?

- Nie, ale jest tylko jedna, a ja je najbardziej lubię!

Zachichotałyśmy jak nastolatki. Mandy podeszła do kontuaru po nóż i przecięła bułeczkę, po czym dała mi połowę. Skończywszy jeść, spojrzała na mnie bystro i wydała mocno przesadzone westchnienie ulgi.

- Uff!

- Co się stało?

- Przez chwilę bałam się, że mnie zniełubisz.

- Dlaczego?

- No, wiesz: uwielbiam ploty, jak większość kobiet, ale wcale nie jestem z tego dumna!

- Mandy, przecież to ja spytałam cię o Sarę. Inaczej byś mi nie powiedziała, prawda?

- Pewnie nie.

- To dajmy już temu spokój, dobrze?

- Dobrze. A o co jeszcze chciałaś mnie spytać?
- Ach, już mi powiedziałaś. Chciałam wiedzieć, kto prowadził tę kawiarnię, jak byłam dzieckiem.

Nie była to stuprocentowa prawda, ale na tyle tylko mogłam sobie pozwolić, bez tłumaczenia się ze szwankującej pamięci.

Mandy zaniosiła talerzyki i filiżanki do kuchni, po czym opuściliśmy Gondolę i spacerem ruszyliśmy przez miasteczko. Mandy szybko dotarła do celu i powiedziała mi, że ja też mam blisko.

Notes babki wciąż leżał w szufladzie w sieni. Zawierał sporo smutnych skreśleń, opatrzonych dopiskiem „nie żyje”. Ten numer telefonu i adres pozostały jednak nietknięte. Uznałam więc, że panią Bradfield należy uprzedzić o mojej wizycie.

Jej dom był w lepszej części miasteczka, tak przynajmniej twierdziła Mandy. Miałam przejść koło dworca i potem kładką nad peronami.

- Tak, tak. W Elm Grove życie biegnie innym torem. To nie dla O'Connorów i im podobnych śmiertelników. - Mandy roześmiała się kpiąco. Przystanęliśmy na rogu ulicy. - To co, spotkamy się niedługo?

- O, bardzo niedługo.
- Wiesz, w niedzielę mam wolne, a zawsze chciałam zobaczyć, jak wygląda w środku Dune House.
- To niemożliwe.
- Och, rozumiem.
- Nie wyciągaj pochopnych wniosków i nie burmusz się na mnie, Mandy. Niemożliwe, bo mnie tutaj nie będzie. Postanowiłam jutro jechać do Londynu. Muszę spotkać się z Josie, moją współlokatorką, i pozatwierać różne sprawy. Spakuję więcej ubrań i takie tam. Pewnie pobędę w Londynie jakieś dwa dni, ale po powrocie przyjdę cię odwiedzić.

- Fajnie. Do zobaczenia.

Mandy szybko odeszła do swojego domu, a ja zawróciłam i ruszyłam w drogę do dawnej przyjaciółki mojej babki.

Po reakcji Mandy spodziewałam się czegoś znacznie bardziej okazałego niż skupiska międzywojennych domów dwurodzinnych. Ale wysadzone drzewami ulice Elm Grove sprawiały wrażenie, że jest to dzielnica zamożnych, godnych szacunku ludzi.

Powoli zaczynało zmierzchać, wciąż jednak było widać na ulicy kilkoro starszych, pewnych siebie dzieciaków, jeżdżących na drogich rowerach i deskorolkach.

Ogrody były wypielęgnowane i schludne, chociaż w większości rosły w nich na grządkach typowe i nieciekawe rośliny. Uśmiechnęłam się, uzmysłowiwszy sobie pogardę, z jaką na nie patrzę.

Jak to się stało, że nagle tak się odnoszę do cudzych ogródków? - pomyślałam. Ja, Bethany Lyall, która nigdy nie potrafiła utrzymać przy życiu najmniejszej roślinki. Najwyraźniej upoiła mnie świadomość, że mój ojciec zaprojektował ogród w Dune House. Przypomniało mi się, że koniecznie muszę coś z nim zrobić.

Większość domów miała wykuszowe okna, a niektóre również przybudówki, wznoszące się nad garażami. Część właścicieli miała na podjeździe dodatkowy samochód, a nawet dwa.

Dom pani Bradfield był bez garażu. W jego miejscu wznosił się wysoki płot z drewnianą furtką, która niewątpliwie wiodła do ogrodu na tyłach domu. Pomyślałam, że kiedyś wszystkie te domy musiały tak wyglądać.

Drzwi otworzyły się niemal natychmiast, gdy zadzwoniłam.

- Wejź, kochana! - Głos kobiety był jeszcze bardziej charakterystyczny niż przez telefon. Brzmiał tak, jakby od najdawniejszych lat rujnowano go papierosami i pielęgnowano ginem.

Pani Bradfield była wysoka, zadbana i elegancka. Jej srebrnosiwe włosy, które po trwałej nabrały różowawego odcienia, okalały anielską twarzyczkę. Kobieta musiała być mniej więcej rówieśniczką mojej babki, czyli była po siedemdziesiątce, mimo to wyglądała na pięćdziesiąt lat.

Była ubrana w obcisłą czarną suknię, uszytą z czegoś miękkiego i jedwabistego. Jedyne jej ustępstwo na rzecz wieku stanowiły dość niskie obcasy czarnych czólenek.

- Boże, cóż za podobieństwo! - Cofnęła się o krok i wykonała zapraszający gest ku drzwiom do frontowego pokoju. Jeśli tam właśnie dotąd siedziała, musiała obserwować moje nadejście.

W obiciach mebli i zasłonach przeważały pastelowy róż i jabłkowa zieleń. Elegancki puchaty dywan był kremowy. Na stolikach ze szklanymi blatami i wąskim mosiężnym otokiem stały kosztowne ozdóbki i bibeloty.

Ale pokój był zdominowany przez portret nad kominkiem. Przedstawiał niewątpliwie panią Bradfield w znacznie młodszym wieku. Stała na wietrze nad jakimś urwiskiem, spowita w zwiewne szyfony. W blasku księżycowej poświaty wyglądała pięknie i romantycznie.

Podeszłam dokładniej przyjrzeć się temu wizerunkowi. Odpowiednio ułożone włosy do ramion i krój wieczorowej sukni wskazywały na lata czterdzieste. Kompozycja wyglądała jak kadr z filmu. Okazało się, że wrażenie mnie nie omyliło.

Pani Bradfield stanęła obok mnie i z rozmarzeniem spojrzała na swoje dawne wcielenie.

- *Doczekać świtu* - powiedziała. - To był ostatni film, w którym występowałyśmy razem z pani babką. Grałam główną rolę pod filmowym pseudonimem Laura Lenore. Może pani pamięta. - Spojrzała na mnie z nadzieją, ale zaraz pokręciła głową. - No, nie. Pani jest za młoda. W każdym razie mimo że pani babka grała tam drugie skrzypce, to ona właśnie zdobyła męczyznę, a właściwie obu.

Zanim zdążyłam poprosić o wyjaśnienie, podjęła skwapliwie:

- Ten portret dostałam w prezencie od reżysera. Po pewnym czasie uległam mu i wzięłam z nim ślub. Ale pani nie po to przyszła, żeby tego wysłuchiwać.

- Och, nie, chętnie posłucham. Chcę wiedzieć, co pani miała na myśli mówiąc, że babka zdobyła obu męczyzn... Widzi pani, ja

dopiero niedawno odkryłam, że babka była aktorką...

- O, tak. Frances była prawdziwą aktorką. A ja byłam tak zwaną gwiazdą filmową. Ale musi pani usiąść, kochana. Najlepiej o tam, na sofie, żebym mogła zmieścić się obok. Podać sherry czy coś mniej kobiecego?

Przekonałam ją, że mam ochotę jedynie na kawę, wieczorem bowiem zamierzałam dokończyć projekt wnętrza dla przyjaciół Josie. Rano wyjeżdżałam do Londynu i bez gotowego projektu nie śmiałabym spojrzeć przyjaciółce w oczy.

Do snucia wspomnień pani Bradfield nie trzeba było szczególnie zachęcać. Dowiedziałam się, że moja babka, Frances Browne, bo tak nazywała się z domu, przeszła tradycyjną aktorską drogę: skończyła szkołę dramatyczną, potem grała na prowincji i wreszcie trafiła do teatrów West Endu. Dopiero potem zaproponowano jej role w filmie.

- Ja umiałam tylko trochę tańczyć, trochę śpiewać i ładnie mówić, ale uwielbiałam kino i chciałam się jakoś przebić - ciągnęła. - Na szczęście kamery mnie lubiły.

- Niech mi pani opowie o tym ostatnim filmie, w którym grałyście razem, *Doczekać świtu*.

- Och, to było o ucieczce w czasie wojny. Wie pani, dzielni brytyjscy piloci, kobiety zostające w domach i nieustraszeni francuscy bojownicy z ruchu oporu. Ja miałam męża pilota, który poszedł na wojnę. Czekałam na niego, wierna jak pies, gdy zestrzelili go nad Francją. A on mężnie odrzucił propozycje różnych kobiet, ale na nieszczęście zakochał się we Francuzce, która go uratowała.

- I którą grała moja babka.

- Oczywiście. Z jej śniadą karnacją i delikatnością rysów znakomicie nadawała się do tej roli.

- Więc w filmie pani, wiedzona szlachetnymi uczuciami, dała swojemu pilotowi wolną rękę...

- A w życiu babka również podbiła serce bohatera i wyszła za niego za mąż.

- Nie rozumiem. Przecież nie miała męża aktora, zanim wzięła ślub z dziadkiem, prawda?

- Nie. Miałam na myśli właśnie pani dziadka. On był oficerem wywiadu. Przydzielono go do produkcji tego filmu jako konsultanta, miał pomóc w tej części scenariusza, która dotyczyła ruchu oporu. Musiał pilnować, żeby przypadkiem nie wyszły na jaw jakieś tajemnice.

- Rozumiem. - Wsunęłam się głębiej między poduchy, usiłując jakoś usystematyzować zdobyte informacje. To wszystko były dawne dzieje, ale pani Bradfield opowiadała o nich z wielką swadą. Bardzo niesprawiedliwie się oceniła. Wcale nie była złą aktorką.

- Niech pani to wypije. Potrzebuje pani czegoś mocniejszego niż kawa. - Naląła mi do kieliszka sporą porcję brandy, a gdy zaczęłam protestować, uniosła dłoń i powiedziała: - Rób dziecko, jak mówią dorośli.

Posłusznie wzięłam kieliszek.

- Oczywiście wybaczyłam Frances, że sprzątnęła mi Arthura Templetona sprzed nosa, i pozostałyśmy najlepszymi przyjaciółkami. Kiedy stała się tragedia i mój George zginął bardzo młodo, wydało mi się całkiem naturalne, że przyjadę zamieszkać w Setoncliffe, żeby być blisko Frances.

Urwała na chwilę, a gdy odezwała się znowu, była już mniej ożywiona.

- Ale nie przysłała pani do mnie, żeby rozmawiać tylko o babce, prawda?

- Prawda.

- Niestety, nie mogę pani powiedzieć. - Jej ochryple głos nagle zmatowiał, twarz spowaźniała.

- Słucham?

- Wiem, że nie pamięta pani dnia śmierci pani matki...

- Nie tylko tego dnia. Nie pamiętam pierwszych siedmiu lat życia!

- Frances zawsze była pewna, że prędzej czy później sobie pani przypomni. Kazała przysiąc pani ojcu, że wtedy wszystko pani opowie. Niekiedy do siebie pisywali.

Przypomniałam sobie porządkowanie papierów ojca i wrażenie, że ktoś przeglądał je przede mną. Ojciec zdążył dużo wyrzucić...

- Babka miała nadzieję, że gdy pani sobie przypomni tamten dzień - podjęła Laura Bradfield - zechce pani wrócić do Seatonscliffe i będziecie mogły razem uporać się z przeszłością.
- Ale dlaczego? Z czym miałabym się uporać?
- Frances nie chciała, żeby pani miała poczucie winy...

To tylko dziecko, Davidzie! Nie wolno jej winić. Ale tobie nie wybaczę nigdy!

Usłyszałam głos babki, całkiem wyraźny, dochodzący gdzieś z zakamarków pamięci...

A potem głos ojca, jeszcze głośniejszy, bardziej donośny, żądający ode mnie posłuszeństwa:

- Już dobrze, kochanie, to nie była twoja wina... spróbuj teraz zapomnieć... zapomnieć... zapomnieć...

I zapomniałam. Cokolwiek stało się tego dnia, wciąż było przede mną głęboko ukryte. Miałam wrażenie, że jestem w siłkach czasu, uwięziona między przeszłością a przyszłością. Wiedziałam, że jeśli nie zdołam znaleźć klucza, na zawsze pozostanę więźniem czasu.

Spojrzałam na panią Bradfield. Przyglądała mi się z z troską.

- A dlaczego nie może mi pani powiedzieć?
- Bo nie wiem. Naprawdę nie wiem. Po tym strasznym dniu pani babka nie chciała z nikim o tym rozmawiać. Nawet ze mną. Jedyłą osobą, która bez wątplenia wiedziała, co zaszło, był pani ojciec.

Rozmawialiśmy z Laurą Bradfield jeszcze chwilę. Zdobyłam od niej bardzo niepokojące informacje. Najwyraźniej gdy ojciec zorientował się, że nie pożyje już długo, napisał list do babki.

Nastąpił okres krótkiej, lecz intensywnej korespondencji. Bóg jeden wie, jak ojciec musiał się gimnastykować, żeby to przede mną ukryć. Gdy listy przestały przychodzić, babka z pewnością zorientowała się, że ojciec umarł. Wtedy postanowiła napisać do mnie i zaprosić mnie do Dune House.

- Ale nie napisała do mnie - powiedziałam.

- Nie, kochana. Bo umarła, zanim zdążyła to zrobić.

Wychodziłam po zmroku, więc pani Bradfield uparła się, że wezwie taksówkę. Na progu przypomniałam sobie, że jeszcze o coś miałam ją spytać.

- Czy to pani zajęła się grobem babki?

- Tak, oczywiście. Nie sądzi pani chyba, że Sara albo Deirdre zaprzętałyby sobie głowę takimi sprawami?

- Nie... I dziękuję.

- Nie musi mi pani dziękować, kochana. Robię to dla siebie.

- Ale moja matka...? - Nie chciało mi to przejść przez gardło.

Na szczęście pani Bradfield dokładnie mnie zrozumiała.

- W kościele jest tablica pamiątkowa. To chyba normalne w sytuacji, gdy nie ma... gdy człowieka zabiera morze.

Nagle rozłożyła ramiona i zamknęła mnie w miękkim, pachnącym uścisku.

- Bethany, kochana, niech pani się tak nie smuci. Proszę mnie odwiedzać tak często, jak ma pani ochotę, zgoda?

Byłam w stanie jedynie skinąć głową.

- Grzeczna dziewczynka. - Odprowadziła mnie do taksówki i jeszcze zajrzała do środka, gdy wsiadłam. - I niech się pani odzwie zaraz po powrocie z Londynu.

Taksówka należała do Hussainów, ale kierowca, na szczęście, był mniej gadatliwy od szefa. Przemknęliśmy przez miasto w miłym milczeniu i wyjechaliśmy na drogę nad zatoką. Sklepy były już pozamykane, a pora barów i klubów nocnych jeszcze nie nadeszła.

Między słupami latarni wisały sznury kolorowych żarówek. Zrobiło się chłodniej, więc wokół świateł zbierały się opary mgiełki, przez co promenada wyglądała dość niesamowicie, trochę jakby opuszczony plan filmu Stevena Spielberga.

Gdy wjechaliśmy na klify, film okazał się horrorem. Jedynym źródłem światła był księżyc, który jaśniał z przerwami, gdyż raz po raz wiatr przywiewał chmury. Zarys Dune House majaczył na horyzoncie jak dom Batesa w *Psychozie*.

Obiecałam sobie, że następnym razem, gdy zaplanuję powrót

po zmierzchu, zostawię w domu jak najwięcej zapalonych świateł.

Nie poprosiłabym kierowcy o taką przysługę, ale byłam mu wdzięczna jak głupia, gdy wysiadł z samochodu i odprowadził mnie do frontowych drzwi.

- Dziękuję, ale niepotrzebnie się pan fatygował - wybąkałam.

- Szef kazał mi na panią uważać. Sam by panią tu przywiózł, ale akurat skończył pracę. Nie chciał, żeby żona czekała z obiadem.

Zapłaciłam mu i zamówiłam taksówkę na rano. Postanowiłam jechać prosto na dworzec w Newcastle. Co tam wydatek, stać mnie było na to.

Tego wieczoru skończyłam projekt wnętrza domu w Putney. Udało mi się nawet wykonać kilka bardzo surowych szkiców Dune House dla Josie, tak jak obiecałam. Nie wysilałam się jednak na opisy. Bądź co bądź, nazajutrz miałyśmy się zobaczyć.

Pracę rozłożyłam na stole w kuchni i posuwałam się naprzód dzięki kawie, czekoladzie domowej roboty, którą zostawiła mi Betty, i silnej woli. Na szczęście nie miałam już dużo do dokończenia. Wystarczyło wykonać parę rysunków na czysto.

Zanim zrobiło się całkiem późno, przerwałam pracę i poszłam do sieni zatelefonować do Josie. Należało ją uprzedzić, że przyjeżdżam. Liczyłam się nawet z tym, że przyjaciółka trochę posprząta w mieszkaniu!

Wybrałam numer i czekałam bez końca. Wreszcie uznałam, że Josie musi mieć nocny dyżur. Wolno odłożyłam słuchawkę. Poczulałam zawód. Bardzo chciałam usłyszeć jej głos. Zanim jednak zdążyłam wrócić do kuchni, telefon sam się odezwał.

Uśmiechnęłam się. Wyobraziłam sobie, że Josie właśnie wróciła z pracy. Przed drzwiami usłyszała dzwonek telefonu, więc rzuciła wielką torbę na próg i zaczęła wykopywać klucze. Wreszcie otworzyła drzwi. Wbiegła do środka, jak zwykle objijając się o

wszystko co możliwe w wąskim przedpokoju, i dopadła telefonu, który jak na złość w ostatniej chwili przestał dzwonić.

Wyraźnie widziałam, jak stoi nad naszym małym stolikiem pod telefon, zaczerwieniona od biegu, i w ekwilibrystyczny sposób zsuwa z ramion płaszcz, czekając aż odbiorę.

- Cześć! - zawołałam, gdy tylko poderwałam słuchawkę z wیدهlek. - Gdzie się szwendasz?

Milczenie po drugiej stronie było wystarczająco długie, bym pojęła, że palnęłam gafę. Zrobiło mi się głupio, wiedziałam bowiem, czyj głos za chwilę usłyszę.

- Zdawało mi się, że ci powiedziałem. Jestem w Londynie.

Greg!

- Och... myślałam, że to kto inny... Przepraszam!

Czy zdarzyło wam się kiedyś stać ze słuchawką w dłoni i marzyć, żeby rozstała się pod wami ziemia?

Jego niczym niezakłócony spokój bynajmniej mi nie pomógł.

- Rozumiem.

Nie rób mi tego, Greg. Nie bądź taki obojętny. Miałam ochotę mu to wykrzyknąć, ale oczywiście tego nie zrobiłam.

- Myślałam, że to Josie - bąkałam - przyjaciółka, z którą mieszkam w Londynie... To dlatego...

- Chcesz, żebym odłożył słuchawkę?

- Dlaczego miałabym tego chcieć?

- No, bo jeśli czekasz na telefon...

- Wcale nie czekam.

- Przecież powiedziałaś...

Cholera jasna! Z każdą sekundą plątałam się bardziej i bardziej.

- Nie, nie czekam na jej telefon. Tylko miałam nadzieję, że to ona.

- Aha.

W tej chwili mogłabym go uderzyć. Zabrzmiało to tak lekceważąco, że właściwie nie wiadomo było, po co w ogóle dzwoni.

Nagle poczułam, jak hardzieję. Odkąd przyjechałam do Seatoncliffe, przychodziło mi to z coraz większą łatwością.

- Mniejsza o to. Dlaczego dzwonisz tak późno? - Miałam nadzieję, że mój głos brzmi równie chłodno jak jego.

- Późno? Przepraszam, kiedy pracuję, tracę poczucie czasu.

- Pracujesz? Gdzie jesteś?

- Mieszkam u przyjaciela.

Głupio zrobiłam, że zapytałam. Łatwo było przewidzieć, że odpowie wymijająco.

- Ale pożyczylem kilka kaset z archiwum - ciągnął. - Stare reportaże radiowe. Posłuchałem sobie i przy okazji znalazłem coś, co mogłoby cię zainteresować.

- Na temat klasztoru?

- Tak. O legendarnych historiach miłosnych. Wiesz, o kochankach, dla których nie ma nadziei. Lancelot i Ginewra, Abelard i Heloiza, Edric i Alveva...

- Czy Edric i Alveva to...?

- Tak, młody mnich z Seaton, piszący wiersze, i dziewczyna, która go inspirowała.

- Była zakonnicą.

- Nie wybrała sobie tego życia sama. Ojciec nie dał jej wyboru.

- Biedna dziewczyna. Jak to było?

- Za długo by teraz opowiadać. Pokażę ci notatki po powrocie. W każdym razie zaczęli się spotykać na wyspie, gdzie Edric budował celę pustelnika. Alveva powinna w tym czasie zbierać opał na plaży. Gdy wszystko się wydało, w obliczu rozstania wybrali wspólną śmierć.

- Jaką?

- Edric kazał Alvevie przywiązać się do skały, a potem Alveva przywiązała się do niego i razem poczekali na przypływ.

- To straszne. A trumny? Te kamienne trumny w ruinach kaplicy?

- Owszem, włączę je do programu, ale nie będę twierdził, że to są ich trumny.

- Dlaczego?

- Przede wszystkim, jako samobójcy nie mieliby prawa spoczywać w poświęconej ziemi. Ludzie chętnie opowiadają, że to są trumny kochanków, ale, moim zdaniem, ta część legendy powstała później. Oczywiście, mogę zrobić w kaplicy kilka nastrojowych ujęć przy świetle księżyca, dorobić jakąś błyskawicę... Trochę dramatyzmu nie zaszkodzi, dopóki... Bethany, jesteś tam?

- Przepraszam, zamyśliłam się nad tym, jak zginęli...

- Mocne, prawda?

- Tak. - Tak mocne, że prawie odebrało mi mowę. Ledwie zdołałam się zmusić, żeby cokolwiek powiedzieć.

- Czy to jedyny powód, dla którego zadzwoniłeś?

- Chcę, żebyśmy byli w kontakcie. Muszę przegrać tę taśmę i skopiować pewien archiwalny film o klasztorach, więc nie jestem pewien, kiedy wrócę i będę mógł cię zobaczyć.

- Rozumiem... Ale wiesz, Greg, jadę jutro rano do Londynu.

- Naprawdę?

- Tak, muszę załatwić parę spraw. Bo...

- W porządku. Zobaczymy się, jak oboje wrócimy do Seatons-liffe, zgoda?

- Zgoda. Cześć.

Odłożył słuchawkę. A niech go szlag trafi! Czy on w ogóle myśli? Telefonuje do mnie późną nocą, żeby opowiedzieć mi historię przeklętych kochanków, a potem nagle udaje bryłę lodu, kiedy mówię mu, że jadę do Londynu!

Przypomniałam sobie naszą poprzednią rozmowę telefoniczną. Greg przyznał wtedy, że ze mną flirtuje. Ładne rzeczy. Nawet nie chce się ze mną spotkać w Londynie.

Wróciłam do stołu i próbowałam się skupić na pracy, ale nie mogłam przestać o nim myśleć. Szukałam dla niego usprawiedliwień. Był przecież człowiekiem, dla którego praca oznacza wszystko... Miał zbyt ciasny rozkład zajęć na cokolwiek poza pracą...

Ale wtedy przypomniałam sobie, jak mnie obejmował w tej

samej kuchni, w której teraz siedziałam. Nasz pocałunek wstrząsnął nim tak samo jak mną, tego byłam pewna.

Czy teraz tego żałował? I czy gdy odebrałam telefon, pomyślał, że to jednak z nim się tak spoufalam, a nie z Josie i że roszczę sobie do niego niczym nieuzasadnione prawa? Czyżbym go tym spłoszyła? Może stara się teraz jak najszybciej wycofać?

Wkrótce uświadomiłam sobie, że te domysły do niczego nie prowadzą. Zmusiłam się do dokończenia pracy.

Po północy spakowałam rzeczy i zrobiłam sobie filizankę czekolady, żeby wziąć ją na górę, do łóżka. Nastawiłam budzik na siódmą rano.

Niestety, nie mogłam zasnąć. Gdy cztery dni temu, a właściwie pięć, bo było po północy, przyjechałam do Seatoncliffe, mój umysł był jak pusta dyskietka komputerowa. Z pierwszych siedmiu lat życia nie pamiętałam nic.

Potem wspomnienia zaczęły do mnie wracać, choć wciąż nie bardzo wiedziałam, co je wyzwała. Czasem pojawiały się, gdy ktoś podsunął mi nową informację, innym razem nie było wyraźnej przyczyny.

Ale ludzie i zdarzenia wciąż szukali swoich miejsc w mojej pamięci. Wiedziałam, że elementy nie złożą się w sensowną całość, dopóki nie odkryję najważniejszej informacji, która spaja pozostałe.

Musiłam sobie przypomnieć, co się stało w dzień śmierci matki. Kłopot zaś polegał na tym, że właśnie z tego powodu pamięć kiedyś odmówiła mi posłuszeństwa. To wiedziałam już na pewno. I zaczynałam podejrzewać, że wiem też, dlaczego tak było.

Niepostrzeżenie przepłynęłam granicę między jawą a snem. W jednej chwili zdawało mi się, że nie mogę zasnąć, a w następnej stałam na skałach, nad głębokim stawem.

Otoczała mnie ciemność, mroząca krew w żyłach ciemność,

która uniemożliwiała mi ruch. Mogłam jedynie wejść do stawu. Spojrzałam w wodę.

Początkowo była ciemna, potem zaczęła jaśnieć, najpierw na powierzchni, potem coraz głębiej, aż stała się przejrzysta.

W głębi wody zamajaczył jakiś kształt. Zbliżał się w moją stronę, wijąc i zygzakując w szarzielonej wodzie. Chciałam się odwrócić i uciec, ale nie mogłam.

Im bliżej był powierzchni, tym wyraźniej się rysował. Właśnie gdy wyrzucił ramiona nad wodę, żeby mnie wciągnąć w toń, woda zaczęła się podnosić. Gigantyczna fala załazał mnie, porwała i poniosła z ciemności na otwarte morze.

Teraz, zamiast czerni, miałam dookoła szare niebo nad bezkresnym oceanem. Widziałam je jednak tylko przez chwilę, póki nie zaczęłam tonąć.

Potem usłyszałam jeszcze przeciągły wrzask mew...

Josie wcale nie miała nocnego dyżuru, gdy dzwoniłam do niej poprzedniego wieczoru. Była na pożegnalnym przyjęciu, urządzonym przez Alison. Powiedziała mi to później, ale gdy przyjechałam wczesnym popołudniem, wciąż jeszcze odsypiała zabawę.

Nie było mnie w Londynie mniej niż tydzień, a mimo to mieszkanie wydało mi się obce. Tylko bałagan był znajomy. Gdyby Josie posprzątała, wrażenie byłoby jeszcze dziwniejsze.

Cichutko, żeby nie budzić przyjaciółki, wzięłam się do pracy. Pozbierałam wszystko ze stołu, pozmywałam i ułożyłam gazety oraz magazyny w równą stertę na stoliku.

Przed telewizorem na podłodze leżały porozrzucane kasety wideo. Powkladałam je do odpowiednich pudełek i ułożyłam na dolnej półce niewielkiego regału na książki.

Nawet wytarłam to i owo z kurzu i przywróciłam połysk kilku przedmiotom, powstrzymałam się jednak przed wyciągnięciem odkurzacza, nie chciałam bowiem zrywać Josie zbyt gwałtownie.

Zrobiwszy, co się dało, poszłam do swojego pokoju wybrać

stroje, które powinnam zawieźć do Seatoncliffe. W pewnej chwili usłyszałam głos Josie:

- Ja chyba śnię!

Szybko przeszłam do drugiego pokoju. Moja współlokatorka stała w piżamie i z wytrzeszczonymi oczami przyglądała się skutkom mojej działalności. Była na wpół zdumiona, na wpół przestraszona.

Nagle mnie spostrzegła i zawołała:

- Bethany!

Wyraźnie się ucieszyła. Uświadomiłam sobie, jak bardzo będę do niej tęsknić. Wiedziałam jednak, że nie zerwiemy kontaktu. Zawsze będziemy mieć dla siebie czas, podobnie jak moja matka i Jane Frears.

Josie szybko wzięła prysznic i ubrała się, ja tymczasem przygotowałam grzanki i zaparzyłam herbatę. Razem usiadłyśmy przy stole.

- Zostaniesz tam, prawda?

- Na to wygląda.

Josie upiła łyk herbaty i skinęła głową.

- Byłaś szalona, gdybyś zdecydowała inaczej. No, to teraz opowiadaj.

Powiedziałam jej wszystko, co chciała wiedzieć o Seatoncliffe i o domu. O Gregu usłyszała wcześniej przez telefon, teraz opisałam jej również panią Doran, Mandy, rodzinę Hussainów i nawet Duncana, nie ukrywając bynajmniej wrażenia, jakie na mnie zrobił.

Ale gdy rozmowa zeszała na innych ludzi, tych, których powinnam znać, uświadomiłam sobie, że będę musiała wtajemniczyć Josie w moją amnezję.

Gdy wyznałam jej prawdę, spojrzała na mnie z wielką powagą.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że w ogóle nie pamiętasz dzieciństwa w Seatoncliffe?

- Nigdy nie rozmawialiśmy na ten temat, więc nie było takiej potrzeby. Prawdę mówiąc, nieszczególnie się tym przejmowałam. Udało mi się o tym zapomnieć do tego stopnia, że właściwie nie

widziałam w tym problemu. Rozumiesz mnie?

- Doskonale. Znalazłaś sposób na przetrwanie.
- Zgadza się.

Josie wstała i naląła wody do czajnika, żeby jeszcze zaparzyć herbatę.

- Wiesz, Bethany, lepiej zacznij od samego początku. To znaczy od dnia przyjazdu do Seatoncliffe.

Nie musiałam długo opowiadać. Josie umie słuchać i nie przerywa człowiekowi co dwa zdania. Wkrótce więc usłyszała nie tylko co nieco o Paulu i mojej rodzinie, lecz również o tym, co mi się przytrafiło.

Musiałam wspomnieć jej o przebłyskach pamięci i o tym, że niektóre wydarzenia widzę tak, jakbym przeżywała je ponownie. Nie powiedziałam jej jednak wszystkiego, co sobie przypomniałam, nie zdradziłam się też ze wszystkimi podejrzeniami.

Miałam nadzieję, że rozmowa na ten temat pomoże mi trochę uporządkować myśli. I nie myliłam się. Liczyłam też, że zrobi mi się lżej na duszy. Ale pierwszy rzut oka na minę Josie przekonał mnie, że moje złe przeczucia nie były bezpodstawne.

- Na miłość boską, Bethany, dlaczego od razu nie zatelefonowałaś do mnie i nie powiedziałaś, co tam się dzieje?
- Nie było takiej potrzeby.
- Nie było potrzeby? Omal nie pozwoliłaś się zabić i...
- To mógł być wypadek...
- Ktoś obserwuje cię z letniego domku i prawdopodobnie przechadza się po domu, kiedy przyjdzie mu na to ochota...
- Tego nie wiem na pewno.
- Bez wątplenia robi to twoja kuzynka. Ta Sara. Przecież to ona i jej matka dziedziczą wszystko, jeśli coś ci się stanie, prawda?
- Tak. Myślę, że masz rację, jeśli chodzi o letni domek i łązenie po domu. Ale Sara chyba święcie wierzy w istnienie drugiego testamentu, korzystnego dla niej i Deirdre.

- Tylko że jeśli ten drugi testament nie istnieje, będzie musiała cię zabić.

- Po co miałyby mnie zabijać? Raczej spróbuje mnie przestraszyć, żebym wyjechała.

- Posłuchaj, Bethany, przed chwilą powiedziałaś, że babka chciała do ciebie napisać i namówić cię do powrotu...

- Tak.

- Nie wydaje ci się dziwne, że zabiła się, spadając ze schodów, zanim zdążyła to zrobić?

- To był wypadek.

- Na pewno? Wiem, że starsza pani nosiła dziwne obuwie, ale po co w środku nocy schodziła na dół?

- Owszem, zastanawiałam się nad tym...

- I słusznie! Sama powiedziałaś, że, twoim zdaniem, Sara ma klucz. A były najróżniejsze sposoby, żeby zwabić babkę na schody i lekko ją popchnąć.

- Ale skąd mogła wiedzieć, że babka umrze?

- To byłby cud, gdyby nie umarła. Stara kobieta, leżąca całą noc bez pomocy po takim upadku?

- Przecież policja przeprowadziła drobiazgowo śledztwo. Pani Bradfield powiedziała mi, że przesłuchiowano Sarę i wszystkie pozostałe osoby, które mogłyby skorzystać na śmierci babki. Sara miała alibi.

- Od Paula?

- To możliwe. A czemu pytasz?

- Bo z tego, co mi powiedziałaś, wynika, że Paul zrobiłby dla niej wszystko. A co sądzisz o swoim tak zwanym wypadku?

- Nad tym też się zastanawiałam. Sara nie ma samochodu...

- Mogła pożyczyć.

- Nie wiem nawet, czy umie prowadzić.

- Paul umie.

Siedziałyśmy naprzeciwko siebie i krzyżowałyśmy spojrzenia. Nie mogłam sprzeczać się z Josie, bo sama rozważałam taką ewentualność. Jeśli Sara istotnie była na tyle przesiąknięta złem, żeby zabić moją babkę, a teraz zwróciła się przeciwko mnie, to

potrzebowała współnika. Być może nie tylko po to, żeby dostarczyć alibi.

Nie dopuszczałam myśli, że jej współnikiem może być Paul. Uwierzyłam mu, gdy powiedział, że mnie lubi. Poza tym, jeśli to on był Cygusem - a w tej chwili byłam tego prawie pewna - to ja też go kiedyś lubiłam.

Ale Cygus był tak samo oddany Sarze, jak Paul w tej chwili.

- Wiesz, Bethany, powinnam chyba wziąć parę dni urlopu i jechać tam z tobą.

- I nie iść na ślub Toma z Alison?

- Nic mnie to nie obchodzi.

- Przecież masz być świadkiem na ślubie.

- Powiem Alison. Ona zrozumie.

- Nie pozwolę ci, bo Alison nie zrozumie i stracisz przyjaciółkę.

- Dlaczego miałaby nie zrozumieć? Wszystko wydaje mi się jasne jak słońce...

- Wcale takie nie jest. Alison pomyśli, że twoja przyjaciółka, Bethany, jest histeryczką. Wciąż podejrzewam, że to właśnie stwierdziła policja, gdy złożyłam doniesienie o wypadku.

- Nie mogę pozwolić, żebyś tam sama wróciła.

- Nie będę sama. W razie czego mam do kogo zwrócić się o pomoc, słowo ci daję.

- Do kogo?

- Do pani Bradfield i do Betty Doran, i do Mandy O'Connor...

Josie nagle wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- I do łowczego Duncana!

- Duncan nie jest łowczym, Josie. On nie dba o ptactwo i zwierzyne po to, żeby nadziani faceci mogli sobie postrzelać. Ma za zadanie ochronę flory, fauny i środowiska naturalnego.

- Z tego, co mówisz, Flora i Fauna są bardzo szczęśliwymi dziewczynami!

Jęknęłam na znak udawanej rozpacz i sprzątnęłam naczynia ze stołu.

- Ja to zrobię - powiedziała Josie. - Siedziałyśmy tu tak długo, że znowu zgłodniałam.

- Wiesz co, Josie? Może zamówimy sobie dwie pizze i butelkę wina? Ja stawiam. Będzie nawet ciasto czekoladowe!

- Och, przepraszam cię, Bethany. Powinłam ci powiedzieć... Wychodzę wieczorem... - Josie posmutniała.

- Z kim?

- Z Matthew. Nie znasz go. Poznałam go wczoraj wieczorem na przyjęciu u Alison. Jest inżynierem elektronikiem, kuzynem Toma. Ale wiesz co? Zadzwońię do niego i powiem, że dziś nie mogę.

- Jaki on jest?

- Właściwie całkiem zwyczajny. Tylko odrobinę wyższy ode mnie, ma ciemne włosy w trudnym do opisania kolorze, schludny, szczupły. Ani trochę niepodobny do tych przystojniaków, którzy przewijają się przez twoje życie.

- Ale?

- Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć...

- Nie musisz. Już rozumiem.

- Jak to?

- Widzę twoje oczy i słyszę twój głos. No, i masz się z nim spotkać dziś wieczorem. Nie chcę stawać na drodze miłości szczerzej i jedynej.

- Daj spokój, Bethany... - zaczęła, ale parsknęła śmiechem i wyraźnie poczuła ulgę, że nie zamierzam podchwycić jej propozycji.

W czasie gdy Josie szykowała się do wyjścia, co zajęło jej resztę popołudnia, gawędziłyśmy jakby nigdy nic. Obie jednak zdawałyśmy sobie sprawę, że może to być dla nas ostatnie takie popołudnie.

Gdy makijaż Josie osiągnął stan doskonałości, usiadłam w fotelu przed telewizorem, z pilotem w dłoni, i zaczęłam przełączać kanały.

- Nie wiesz, co ma być dziś wieczorem? - zawołałam do Josie.

- Nie. Ale mam coś, co powinnaś obejrzeć. Było dotąd w domu, u mojej mamy, więc jeszcze tego nie widziałaś.

Uklękała przed regałem, na którym stał telewizor, i zaczęła wyciągać wszystkie kasety, które przedtem starannie pozbierałam i ustawiłam. Wreszcie z triumfalną miną uniosła jedną z nich.

- Jest!

- Co takiego?

- Poczekaj, sama zobaczysz. - Wsunęła kasetę do odtwarzacza i już, już miała włączyć urządzenie, nagle jednak z powrotem usiadła na piętach i szeroko się do mnie uśmiechnęła.

- Nie, obejrzyś sobie w samotności, żebym cię nie rozpraszała. Czasem kobieta powinna pobyć sama.

- Josie, przestań mnie irytować. Powiedz mi, co tam jest.

Całkiem zignorowała moje życzenie i zaczęła przekopywać stertę gazet i magazynów na stoliku. Większość papierów pozlaatywała na podłogę, tam gdzie leżały, zanim je posprzątałam.

Josie znalazła jednak to, czego szukała. Był to bardzo stary i nieaktualny magazyn telewizyjny.

- Masz i to.

- Dziękuję bardzo. Teraz mi wyjaśnij, o co chodzi.

- Informacje o programie i inne ciekawe szczegóły znajdziesz w magazynie. Film, który masz na kasecie, zrobiła jedyna osoba, o której postarałaś się dotąd nie wspomnieć ani słowem. Niezawodny i niepowtarzalny Greg Randall.

*P*ielgrzymi, którzy wędrowali tym szlakiem w średniowieczu, trzymali się w grupach, na wypadek gdyby zaatakowali ich zbrojcy...

Greg stał na górskiej drodze, zalanej słońcem, i mówił prosto do kamery. Miękkie rondo jego kapelusza khaki, chroniącego przed słońcem, było fantazyjnie podwinięte, podejrzewam jednak, że chodziło o to, by twarz nie znalazła się w cieniu podczas filmowania.

Był ubrany w szorty i luźną bawełnianą koszulkę. Koszulę z długim rękawem obwiązał się w pasie. Do tego miał wysokie

traperskie buty. Widać było paski plecaka. Z szyi zwisały mu na rzemyku okulary przeciwsłoneczne.

Włączyłam wideo w tej samej chwili, w której Josie zamknęła za sobą drzwi. Okazało się, że zostawiła mi film dokumentalny. Greg pokonywał w nim tradycyjny szlak pielgrzymów w północnej Hiszpanii, Camino de Santiago. Idąc, opowiadał zaś jego historię.

Nagle zerwał ze swym typowym, nieco profesorskim stylem i uśmiechnął się szeroko.

- Wprawdzie mam nadzieję, że nie spotkam na szlaku żadnych bandytów, ale nie będę też udawał, że podróżuję całkiem sam. Jest ze mną moja ekipa, dźwiękowiec i operator.

Skinął głową i kamera zatoczyła łuk, by zatrzymać się na zaskoczonym realizatorze dźwięku i jego narzędziach pracy, a potem na zakurzonej furgonetce z resztą sprzętu.

Na ekranie znów pojawił się roześmiany Greg.

- Operatora muszą sobie państwo wyobrazić, jest nieśmiały i nie chce się pokazać. W każdym razie proszę wierzyć, że naprawdę idę krok za krokiem tym samym szlakiem co pielgrzymi i w tym nie ma żadnego oszukaństwa.

Moi dwaj towarzysze wloką się za- mną, czasem któryś z nich rusza przodem, żeby zarezerwować nam miejsca w następnym hotelu, ale, niestety, nawet gdy droga staje się trudna, żaden z nich nie chce ponieść mi plecaka.

Po godzinie miałam wrażenie, że przeszłam ten szlak razem z Gregiem. Byłam na krętych górskich ścieżkach, przystawałam w wioskach z wiekowymi kościołami, zostawiałam za sobą miasta z tajemniczymi zabytkowymi dzielnicami. Greg potrafił przekonać widza, że naprawdę był w tych miejscach.

Wspaniale umiał nawiązywać kontakt... chyba że akurat rozmawiał ze mną przez telefon.

Zatrzymałam kasetę i poszłam nastawić wodę w czajniku, żeby zrobić sobie kawę. Josie pozwoliła mi zjeść wszystko, co wyda mi się apetyczne. Wybrałam ser, krakersy, ostatni kawałek ciasta

owocowego, prawdopodobnie dzieło matki Josie, i żałośnie wyglądające jabłko z pomarszczoną skórką.

Wzięłam tacę i rozsiadłam się na kozetce. Wtedy przypomniałam sobie o magazynie telewizyjnym.

Były tam dwie strony pełne zdjęć i pominiętych w filmie szczegółów wędrowni Grega. Dowiedziałam się, że przygotowując, a potem kręcąc ten film, spędził wiele miesięcy w Hiszpanii.

Będąc tam, nawiązał interesujące znajomości, w tym z angielskimi emigrantami, którzy z tego czy innego powodu postanowili przeżyć resztę dni w tym kraju.

Na drugiej stronie była wydzielona kolumna z informacjami o Gregu Randallu. W dzieciństwie i wczesnej młodości uczył się w szkołach jedynie dorywczo, za to studiował błyskotliwie, zebrał bowiem wszystkie możliwe nagrody uniwersyteckie. Potem zaczął karierę w telewizji. Moją uwagę przykuła jednak fotografia.

Przedstawiała Grega ze starszą kobietą w ogrodzie. Ich podobieństwo było uderzające. Kobieta była smukła, ciemnowłosa i wciąż piękna. Podpis brzmiał: „Greg Randall z matką, była piosenkarką pop, Pippą Randall”.

Następowało kilka akapitów poświęconych Pippie, która teraz wróciła do swego prawdziwego imienia Philippa. Po krótkotrwałych sukcesach na listach przebojów piosenkarka jeszcze przez wiele lat objężdżała kluby i sceny na północy kraju.

Znalazła w końcu miejsce dla siebie w Krainie Jezior, gdzie założyła centrum rzemiosła i galerię sztuki. O ojcu Grega w tekście nie wspomiano.

Byłam za bardzo poruszona, by dalej oglądać telewizję, czytać albo robić cokolwiek wymagającego uwagi. Dziwnie czułam się w tym ciasnym, przytulnym mieszkanku, które kiedyś stało się dla mnie azylem. Nie wiem dlaczego, ale nie czułam się tu już jak w domu.

Ale Dune House też nie był moim domem, jeszcze nie. Testament babki skazał mnie na przebywanie w otchłani, która nie jest

ani piekłem, ani niebem. Wiedziałam, że muszę tam pokutować, póki nie przypomnę sobie przeszłości i nie wezmę na siebie odpowiedzialności za to, co robię.

Jedyną pociechą pozostała dla mnie muzyka, ale że byłam zbyt rozstrojona, by zastanawiać się nad wyborem, włożyłam do odtwarzacza pierwszych pięć płyt, które wpadły mi w rękę, i nastawiłam przełącznik na odtwarzanie ciągłe.

Potem siedziałam w wannie, a tymczasem w mieszkaniu słychać było kolejno Enyę, *Cztery pory roku* Vivaldiego, Simona i Garfunkela, Harry'ego Connicka juniora i na zakończenie Requiem Mozarta. A potem położyłam się do łóżka.

Coś mnie przebudziło. Usiadłam i odsunęłam pościel na bok. Mimo ciemności wiedziałam, że nie jestem w Londynie. Byłam w swojej sypialni w Dune House. Usłyszałam jakiś dziwny dźwięk na dole. Musiałam zejść i sprawdzić, co to takiego.

Wydawało mi się to dziwne, nie przypominałam sobie bowiem powrotu do Seatoncliffe, a gdy wyszłam na podest schodów, wewnętrzny głos powiedział mi, że śnię.

Wkrótce, ku mojemu przerażeniu, okazało się jednak, że nie mogę się zbudzić. Musiałam odegrać to, co było mi przeznaczone. Dźwięk na dole powtórzył się wyraźniej. Słyszałam jęk, coraz bardziej natarczywy.

Na podeście panowały egipskie ciemności. Próbowałam wymacać wyłącznik, ale mi się nie udało. Przesuwałam dłonią po ścianie w górę i w dół, w prawo i w lewo, potem to samo z drugiej strony drzwi, ale wyłącznika po prostu nie było.

Ogarnęła mnie panika. Usłyszałam własny oddech. Jęczenie rozbrzmiewało coraz głośniejsze. Centymetr za centymetrem zbliżałam się do pierwszego stopnia. Ciemność przede mną zdawała się pulsować ciemnoczerwonym blaskiem.

Wyczułam nogą pierwszy stopień i znieruchomiałam. Linka

oplatała mi kostki nóg. Gdy próbowałam się uwolnić, pętla zacisnęła się mocniej, nastąpiło gwałtowne szarpnięcie.

Rzuciłam się na bok, do poręczy, ale było za późno. Poleciałam w dół, na leb, na szyję. Otworzyłam usta do krzyku, ale nie wydobyłam z siebie głosu.

Zatrzymałam się na półpiętrze. Linka wciąż oplątywała mi nogi, a głowę miałam odchyloną do tyłu w taki sposób, że zwisała nad pierwszym stopniem następnego odcinka schodów.

Poniżej przez cały czas coś jęczało. Spojrzałam w stronę sieni. Czerwone światło spływało teraz w dół z jakiegoś miejsca nade mną, jakby rzucał je punktowy reflektor teatralny. W czerwonej plamie u podnóża schodów leżało ludzkie ciało.

To była moja babka. Spojrzała do góry i uniosła ku mnie ramiona. Ja również wyciągnęłam do niej rękę, ale nie mogłam jej dotknąć. I nie mogłam się ruszyć z miejsca.

Następnego ranka, w niedzielę, Josie była senna, ale szczęśliwa. Nie zadałyśmy sobie trudu, żeby ubrać się do śniadania. Rozmawiałyśmy, co zrobić z mieszkaniem.

Zaproponowałam, że przez pewien czas będę jeszcze płacić swoją część czynszu, póki wszystko ostatecznie się nie wyjaśni, ale powiedziałam też Josie, żeby już się rozglądała za nową współlokatorką, jeśli chce.

- O mnie się nie martw - odparła. - Nie wydaje mi się, żebym miała kłopot ze znalezieniem kogoś. - Lekko się zarumieniła.

- Ach, rozumiem.

- Nie rób takiej zaniepokojonej miny. To jest na poważnie, oboje tak myślimy.

- Przecież dopiero co się poznaliście.

- To prawda, ale czasami to się po prostu wie, nie sądzisz?

- Tak. - Nie mogłam temu zaprzeczyć. Wstałam, podeszłam do Josie i uściskałam ją. - Mam nadzieję, że wiesz co robisz.

Odsunęła się i spojrzała mi w oczy.

- Ja wiem, ale co z tobą? Ośmielę się twierdzić, że Greg Randall jest bardziej ryzykownym wyborem niż mój Matthew.

Cóż mogłam na to powiedzieć? Miała rację. Poza tym, z zachowania mojej zazwyczaj rozsądnej przyjaciółki wnosiłam, że Matthew już się zdeklarował. Ja natomiast nie miałam zielonego pojęcia, na jakim gruncie stoję z Gregiem.

Wolałabym, żeby Josie nie potrafiła tak sprawnie czytać mi w myślach. Ale przynajmniej mogłam ją zapewnić, że wrócę do Dune House i spadku po babce Frances, nawet gdyby się okazało, że Grega już nigdy więcej nie zobaczę. Była to szczerza prawda.

- Chodźmy gdzieś! - zaproponowała nagle Josie. - Popatrz, jaki piękny dzień. - Wskazała małą okno. We wpadających przez nie promieniach słońca kąpały się zlew i ława.

Josie wsadziła brudne talerze do miski i zalała je płynem do zmywania naczyń, odkręcając kran z gorącą wodą.

- Znajdziemy jakiś pub z ogródkiem i coś zjemy. Ja zapraszam.

Tym razem przyszła moja kolej na odmowę.

- Przepraszam cię, ale umówiłam się na lunch. Muszę się już zbierać.

- Ale z kim...? Przecież nie z Gregiem? Niby mówiłaś, że jest w Londynie, ale...

- Nie, nie z Gregiem. Umówiłam się z niejaką Jane Frears. Przyjaciółką mojej matki. Kiedy porządkowałam papiery po babce, znalazłam listy tej kobiety.

W rozmowie poprzedniego dnia nie wspomniałam Josie o tych listach, bo sprawa wydawała mi się zbyt osobista. Nie wspomniałam jej też o lękach mojej biednej matki w ostatnich miesiącach życia i możliwych konsekwencjach tych lęków.

Powiedziałam jej tylko, że matka prawdopodobnie miała wypadek i utonęła. A ja - na co wszystko wskazywało - byłam świadkiem tego wypadku i bardzo głęboko go przeżyłam. Stąd utrata pamięci.

Josie zmarszczyła czoło.

- Ale te listy są sprzed wielu lat...

- Wiem. Liczyłam się z tym, że pani Frears mogła się tymczasem przeprowadzić. Ale znalazłam notes babki, a w nim ten sam adres co na listach. Nie był zmieniany ani przekreślony. Wystarczyło dowiedzieć się w informacji o nowy numer telefoniczny. Umówiliśmy się.

- To cudowne, że znalazłaś przyjaciółkę matki, prawda? Twój telefon musiał ją bardzo rozemocjonować!

„Rozemocjonować” nie było właściwym słowem. Gdy się przedstawiłam, miałam wrażenie, że Jane Frears jest raczej wstrząśnięta. I jeszcze taka... jakby miała złe przeczucia.

Ale po chwili wydawała się już szczerze zadowolona, że dzwonię, i zgodziła się ze mną spotkać. Tyle mogłam powiedzieć Josie, tak by nie minąć się z prawdą.

Jane Frears była w wieku, w którym prawdopodobnie byłaby dziś moja matka, czyli miała około pięćdziesięciu lat. Była mała i pulchna, a choć wciąż jeszcze zachowała ślady urody, to wydała mi się dość przegrana.

Jej długa spódnica w kwiaty była wprawdzie czysta, ale sprawiała takie wrażenie, jakby kolory wyblakły w praniu. Bluzka i rozpinany sweter były różowe, ale w różnych odcieniach.

Nagle poczułam się bardzo niestosownie ubrana, w obcisłym lnianym kostiumie i białych skórzanych czółenkach, w których chodziłam do pracy u Patricka Collingsa. Zestawiłam to z kasztanową jedwabną bluzką, a włosy zebrałam w koczek na karku. Znów przypięłam sobie perłowe klipsy.

Przed wyjściem bardzo starannie pracowałam nad swoim wyglądem, miałam bowiem dziwne poczucie, że nie wolno mi zawieść matki. Chciałam, żeby była ze mnie dumna, choć zdawałam sobie sprawę, że to obłąkańcze pragnienie.

W pierwszej chwili pani Frears nie była w stanie ukryć szoku. Otworzywszy drzwi, chwyciła za futrynę, żeby nie upaść. Wpatrywała się we mnie z otwartymi ustami, wreszcie jedną pulchną

dłonią puściła futrynę i zaczęła manipulować przy kołnierzyku

- Przepraszam, ale pani jest taka podobna do Helen - brzmiały jej pierwsze słowa. - Mama była od pani niższa, ale tak samo piękna. Och, proszę, niech pani wejdzie.

Powitalny uśmiech wydał mi się dość przygaszony, a kobieta - zmęczona i zniszczona przez życie. Zastanowiło mnie, czy jest to skutek wychowywania kochanych, lecz niechcianych dzieci.

Idąc długim, dość ciemnym korytarzem do saloniku, nie zauważyłam śladów dzieci. Musiały już być dorosłe, prawdopodobnie wyfrunęły z rodzinnego gniazda.

Śladu męża również nie było, ale po lekturze listów to mnie nie zdziwiło. Znałam przyczynę.

Salonik był jasny, ale i tam tkaniny spłowiwały. Przez lata rachityczne miejskie słońce odebrało im kolory. W ogóle mieszkanie miało dość zaniedbany wygląd, podobnie jak zdziczały ogródek, który dostrzegłam przez okno.

Pani Frears pokazała mi miejsce w jednym z foteli. Przed pustym kominkiem stał wysłużony elektryczny grzejnik. Miałam wrażenie, że gdyby się go włączyło, w powietrzu uniósłby się zapach palonego kurzu.

W pobliżu stał barek na kółkach, pełen talerzyków z kanapkami i ciastkami. Gospodyni wskazała mi go nerwowym gestem.

- Pomyślałam, że lepiej zrobić kanapki. Mamy porozmawiać, więc taka przekąska jest chyba lepsza niż coś bardziej zobowiązującego. Nie sądzi pani?

- Oczywiście. Bardzo dziękuję za poczęstunek.

- Mam na imię Jane.

Przez chwilę gospodyni była zajęta nalewaniem kawy z dzbanka i zapelnianiem mojego talerzyka. Wnet jednak mogliśmy zacząć rozmowę.

- Przykro mi z powodu śmierci pani babki - powiedziała.

- Właściwie prawie jej nie znałam.

- Cóż, rodzina zawsze jest rodziną, więc należą się wyrazy współczucia.

- No, tak.

Należą się, oj, należą, powinnam powiedzieć. Wyrazy współczucia z powodu tylu zmarnowanych lat. A wszystko przez to, że stało się coś strasznego i mój ojciec czuł się zmuszony wywieźć mnie z domu i postarać się, żebym o tym czymś zapomniała.

- Więc Frances wciąż jeszcze miała mój adres w notesie?

- Tak, ale...

- Bardzo żałuję, że zerwałam z nią kontakt. W zasadzie nie ma dla mnie usprawiedliwienia. Takie jest życie...

- Czy pani długo przyjaźniła się z moją matką, Jane?

- Od czasów szkolnych. Chodziłyśmy razem do szkoły dla sekretarek w Newcastle i dostałyśmy pierwszą pracę w tej samej agencji reklamowej w Londynie. I obu nam zmieniło to życie.

- W jaki sposób?

- No, pani mama spotkała swojego przyszłego męża, a pani ojca. Współpracował z agencją jako grafik. A ja poznałam Rogera, jednego z współwłaścicieli agencji. Helen zakochała się w Davidzie, szybko wzięli ślub i zaraz potem namówiła go do wyjazdu do Seatoncliffe. To było jeszcze przed pani urodzeniem.

- Czy mój ojciec chciał tam jechać?

- Nie jestem tego taka pewna. Ale za nią pojechałby na koniec świata. To nie ulega wątpliwości.

- A co z jego pracą?

- Udało mu się zatrzymać niektórych klientów, znalazł też sobie nowych, pani mama była jednak przekonana, że marnuje swój wielki talent. Chciała, żeby został „prawdziwym artystą”, jak to nazywała.

- A co on na to?

- Zgadzał się z nią. Ale miał na utrzymaniu rodzinę, więc wiedział, co powinno być na pierwszym miejscu.

- I matka w końcu namówiła go do rzucenia pracy?

- Gdy Helen mieszkała w Londynie, pani babka czuła się samotna, bo bardzo tęskniła do córki. Dlatego nie miała nic

przeciwko temu, żeby wziąć was na utrzymanie, gdyby miało to oznaczać, że przeniesiecie się do Seatoncliffe. David ustąpił Helen, tak jak zwykle... Ale osobiście sędzę, że od tego zaczęły się ich kłopoty...

- Tak, wiem.

- Skąd? Przecież była pani wtedy za mała, żeby cokolwiek pamiętać. A wkrótce po śmierci Helen pani babka napisała do mnie w liście, że nie pamięta pani prawie nic z tamtego okresu.

Wyjęłam z torebki trzy listy i podałam je pani Frears.

- Znalazłam to.

Przyglądałam się, jak czyta listy, które wysłała do mojej matki przed czternastoma laty. Przypomniała mi się bijąca z nich energia i wydało mi się bardzo dziwne, że napisała je ta sama szara, smutna kobieta, która siedzi w tej chwili przede mną.

Gdy włożyła trzeci z listów do koperty, przez chwilę wpatrywała się we wszystkie, trzymając je przed sobą. Zaciskała na nich palce z taką siłą, jakby chciała je podrzeć.

- Nie! Niech pani tego nie robi! - zawołałam i wyciągnęłam rękę po listy. Niechętnie podała mi je z powrotem.

- Bethany, czy pani... czy pani przypomniała sobie cokolwiek z tamtych dni?

- Tak, trochę. Ale byłabym bardzo wdzięczna, gdyby mi pani wyjaśniła kilka spraw.

- Spróbuję, chociaż nie wiem, od czego zacząć. Lepiej niech pani po prostu spyta o wszystko, co chce pani wiedzieć.

- Moja matka, jak wynika z listów, źle się czuła. Zresztą to sobie sama przypomniałam. Zdaje się, że miała wysokie ciśnienie...

- Tak, cierpiała na toksemię. Przez to bardzo łatwo wpadała w złość, miała mdłości i bóle głowy, puchły jej nogi, szczególnie w kostkach...

- I palce.

- Tak. A skąd pani wie? Rzeczywiście, nawet musiały przestać nosić obrączkę i pierścionek zaręczynowy. Chyba potem już ich nigdy nie włożyła. Nie wiem, co się z nimi stało.

- Czy jej stan był ciężki?
- Na pewno groziło jej, że będzie ciężki. Bez właściwego leczenia i bez dbania o siebie człowiek z toksemią może chorować bardzo ciężko. A Helen pogarszała swój stan, bo nie słuchała żadnych zaleceń.

- Na przykład nie chciała odpoczywać?
- W pewnym momencie lekarz zagroził jej, że weźmie ją do szpitala. Ale obiecała mu, że będzie się oszczędzać. - Pani Frears urwała i z bezbrzeżnie smutną miną pokręciła głową.

- Ale nie odpoczywała, ponieważ wbiła sobie do głowy, że mój ojciec ma romans, tak? - podsunęłam.

- Nie mogłam w to uwierzyć. Oni byli taką kochającą się parą! Powtarzałam to Helen w wielu listach, ale ona i tak zaczęła się za nim włóczyć, szukała go, jak tylko nie obskakiwał jej w domu.

- Nie obskakiwał jej?

Pani Frears spłonęła rumieńcem.

- Bethany, kochałam pani mamę, ale ona bywała bardzo wymagająca. Aż do tego lata pani ojciec był prawie jak święty! Myślałam, że po prostu potrzebuje chwili oddechu, jakiejś odskoczni.

- Ale doszła pani do przekonania, że podejrzenia mojej matki są uzasadnione?

Przez dłuższą chwilę milczała, przyglądając mi się z wielką uwagą. W końcu powiedziała:

- Przykro mi, Bethany, ale tak. Tak w końcu uznałam, podobnie jak pani babka.

- Dlaczego? Czy dlatego, że matka zobaczyła go z... z kimś? Sama pani pisała, że matka miewa kłopoty ze wzrokiem...

- Nie było z jej wzrokiem aż tak źle, żeby nie potrafiła poznać własnego męża...

- Wiem, był z kobietą w ruinach klasztoru.

- Obejmowali się, a w każdym razie tak twierdziła Helen.

- Mogła się mylić.

- Ale pani też ich widziała, Bethany.

Niebo zasnęło się chmurami, wszystko wyglądało szaro i ponuro. Od starej, wyblakłej tapety wiało melancholią. Nie byłam właściwie zmęczona, ale zapadłam w rodzaj letargu, siedziałam bezwładnie, nie mając siły się ruszyć.

Słowa Jane Frears mną wstrząsnęły. W każdej chwili spodziewałam się nowego filmu z przeszłości. Ale moja wyobraźnia trwała w bezruchu, nie odezwał się w niej żaden głos, nie pojawił żaden obraz. Siedziałam więc i starałam się zrozumieć znaczenie tego, co właśnie usłyszałam.

Jane Frears patrzyła na mnie z niepokojem.

- Czy nie sądzi pani, Bethany, że lepiej nie rozgrzebywać przeszłości? - spytała. - Musiał być jakiś ważny powód, skoro pani wszystko zapomniała.

- O tym jestem przekonana, ale wtedy miałam zaledwie siedem lat. Dorastałam z dziurą w pamięci. Nie miałam żadnych wspomnień z pierwszych siedmiu lat życia, ani dobrych, ani złych. Nie jestem tym samym człowiekiem, którym byłabym, gdyby to się nie stało, i dlatego chcę odzyskać swoją przeszłość. Chcę z powrotem mieć matkę. Nie rozumie mnie pani?

- Oczywiście, że rozumiem, kochana. - Westchnęła. - Nie mogę pani odmówić tego prawa, chociaż to znaczy, że będę musiała opowiedzieć o różnych bolesnych sprawach.

- Więc co stało się tego dnia, gdy podobno zobaczyłam ojca z... z... Czy oni byli w ruinach klasztoru, tak jak powiedziała pani moja matka?

- Ależ nie. Pani wcale nie widziała ich tego dnia, tylko kilka dni później. Nie bardzo nawet wiem gdzie. Helen zatelefonowała do mnie i mi o tym opowiedziała. Wtedy ostatni raz z nią rozmawiałam...

- Co powiedziała?

- To zabawne, była całkiem spokojna, prawie taka jak dawniej. Powiedziała tylko, że teraz będę musiała jej uwierzyć.

- Dlaczego?

- Podobno bawiłyście się na dworze, w czasie gdy Helen odpoczywała. Pani kuzynka wróciła do domu sama. Nie chciała powiedzieć, gdzie pani jest, ale wyglądała tak, jakby biegła. Była zawstydzona, nie chciała patrzeć w oczy, zupełnie jakby dowiedziała się czegoś, czego nie powinna. Takie były słowa pani mamy.

Bez żadnego znaku ostrzegawczego usłyszałam głos ojca:

- Bethany, poczekaj, muszę z tobą porozmawiać!

No, nareszcie coś mi się przypomniało. I zaraz rozległ się mój głos:

- Nie, nie, idź sobie. Nie chcę słuchać!

Spojrzałam na Jane Frears; ona, oczywiście, nie słyszała tych głosów. Ciągnęła, jakby nigdy nic:

- Sara wróciła przez ogrodowe drzwi, więc Helen posłała pani szukać w ogrodzie. Z letniego domku doleciał ją pani płacz. Zanim tam doszła, usłyszała głos ojca, który próbował panią pocieszyć...

Przypomniałam sobie jego słowa. Błagał mnie prawie tak, jakby sam miał się rozpląkać:

- Nie płacz, Bethany, proszę cię, nie płacz...

- Widziałam cię. Widziałam, jak ją całujesz. Sara też was widziała. Sara mówi, że już nas nie kochasz!

- Ależ nie, myli się! Bardzo cię kocham, Bethany! I mamę też kocham...

- To dlaczego to robiłeś?

- Nie wiem, jak ci wytłumaczyć...

- Nie wolno ci robić czegoś takiego.

- Wiem, wiem...

- Nie możesz kochać mamy, jeśli całujesz kogoś innego. Tak mówi Sara. I mówi jeszcze, że nas zostawisz...

- Zapomnij o tym, co mówi Sara. Nie zostawię cię!

- To dlaczego... dlaczego... dlaczego... dlaczego...?

Coś ścisnęło mnie w gardle, gdy przypomniałam sobie ten dziecięcy szloch.

Tym razem jednak słyszałam tylko głosy. Obrazu nie było, prawdopodobnie sprawiłby mi zbyt wielki ból. Wraz z głosami doleciały mnie ciepły, żywiczny zapach letniego domku i ledwie zauważalna woń różanych i lawendowych perfum, płynąca z ogrodu.

Zaraz jednak głosy i zapachy oddaliły się...

Wlepiłam wzrok w Jane Frears. Moje przebłyski pamięci były tak realistyczne, że trudno mi było zrozumieć, dlaczego nikt poza

mną nie widzi tego ani nie słyszy. Jane Frears nawet nie zdawała sobie sprawy, że dzieje się coś niezwykłego.

- I co zrobiła moja matka? - spytałam. - Czy...?

- Kiedy usłyszała już dość, wróciła do domu. Wiedziała, że z ojcem jest pani bezpieczna, a nie chciała urządzać sceny przy dziecku, żeby nie miała pani wyrzutów sumienia. Powiedziała mi, że było jej wstyd.

- Wstyd? Dlaczego?

- Do tamtego dnia zdawało jej się, że ojciec panią w to wszystko wciągnął. Że kazał ją szpiegować i donosić, co robi...

Niby już to wiedziałam, ale bardzo mnie zabolalo, że matka wspomniła o tym obcej osobie.

- Ona to pani powiedziała?

- Bethany, niech pani pamięta, że mama była chora. Nie zawsze zachowywała się rozsądnie. Nie wolno jej za to winić!

- Nie winię jej.

- Tego dnia dowiedziała się, że była w błędzie. Dlatego chciała utrzymać panią jak najdalej od całej tej historii.

- Czy powtórzyła babce, co podsłuchała?

- Nie wiem, ale nie sądzę, by to zrobiła. Inaczej Frances nie zostawiłaby jej samej ani na chwilę.

Przypomniałam już sobie o matce dość, by wiedzieć z niezbitą pewnością, że nie zdradziła się przed babką ani słowem. Babka najprawdopodobniej wysłałaby ją prosto do kliniki dla przyszłych matek, a z ojcem rozmówiłaby się sama.

- Ale parę dni później, kiedy babki nie było w domu, matka znowu poszła śledzić ojca?

- Oczywiście.

- I znalazła go? Znalazła ojca z... z kobietą, z którą się spotykał?

- Nie wiem. Tego nie wie nikt oprócz pani ojca. I może jeszcze oprócz pani.

- Dlaczego? Co się stało?

- Któregoś popołudnia Helen wyszła z domu. To wiadomo. Kiedy babka wróciła od pani Bradfield, zastała pusty dom. Nikogo nie było. Po pewnym czasie wrócił ojciec, niosąc panią na rękach.

Och, Bethany! To musiało być straszne! Była pani przemoczona, jakby wyciągnął panią z wody. Powiedział, że pani mama wpadła do morza...

- Na pewno były poszukiwania?

- Oczywiście. Zaalarmowano straż graniczną i służby ratunkowe. Akcja trwała, dopóki była szansa na uratowanie jej żywej, a nawet dłużej. Ale ciała nie znaleziono.

- Skąd pani to wszystko wie? Pojechała pani wtedy do Setoncliffe?

- Nie. Zatelefonowałam do Dune House tego wieczoru, żeby dowiedzieć się o Helen. Babka była bliska obłędu, ale wciąż miała nadzieję, że straż przybrzeżną ją uratuje.

- Czy powiedziała coś o moim ojcu? I o mnie?

- Wtedy nie. Ale potem przysłała mi długi list. Wyjaśniła w nim wszystko mniej więcej tak, jak teraz pani opowiedziałam.

- Czy napisała, w jaki sposób matka wpadła do morza?

- Nie. Tylko to, że zdarzył się potworny wypadek i że nikogo nie należy za to winić.

Zmarszczyłam czoło. Dlaczego babka napisała do Jane Frears, że nikogo nie należy winić? Mnie się przecież przypominało co innego. Widocznie jednak brakowało mi jeszcze jakiegoś ogniwa.

- Czy napisała też... czy kiedykolwiek potwierdziła, że to z ciotką Deirdre spotykał się mój ojciec?

- Nie. Musimy chyba poprzestać na przypuszczeniu, że pani mama się nie myliła. Ta kobieta musiała mieć coś na sumieniu, skoro tego lata wciąż wykradała się z domu i zostawiała panią i Sarę na łasce losu!

- A czy nie wymieniłam imienia Deirdre, kiedy matka podsłuchiła mnie i ojca w letnim domku?

- Helen mi tego nie powiedziała. Chciała mi tylko dowieść, że miała rację.

- A jak pani sądzi?

- Wciąż trudno mi uwierzyć, że pani ojciec mógłby czuć pociąg do Deirdre. Spotkałam ją w życiu raz, może dwa, zanim

jeszcze wyjechałyśmy z pani mamą do Londynu, ale to mi w zupełności wystarczyło.

- Z kim wobec tego spotykał się ojciec?

- To właśnie jest zagadka, moja kochana. Pani mama widziała go ze szczupłą, ciemnowłosą kobietą. Nie bardzo potrafię sobie wyobrazić, że mógłby to być ktoś inny.

Wrzesień w Londynie jest cieplejszy niż na wybrzeżu Northumbrii. Zauważyłam tę różnicę poprzedniego dnia, natychmiast po wyjściu z pociągu na dworcu King's Cross. Teraz jednak, gdy niebo się zachmurzyło, w saloniku Jane Frears zrobiło się chłodno.

Kobieta widocznie zauważyła, że drzę, bo zaproponowała mi świeżą kawę. Nie włączyła jednak grzejnika, zresztą wtyczka nawet nie tkwiła w kontakcie. Stary przewód, jeszcze z tekstylną izolacją, był cały postrzępiony. Zaczęłam się zastanawiać, czy pani Frears ma kogoś do naprawy takich rzeczy.

- Proszę. Może pani jeszcze coś zje?

- Nie, dziękuję.

Znów usiadła w fotelu.

- Czy choć trochę pani pomogłam? Co do mnie, nadal nie jestem przekonana, czy należy wyciągać takie sprawy z przeszłości. Czy to w ogóle ma znaczenie po tylu latach? Pani mama, pani ojciec, pani babka... nikt z nich już nie żyje.

- Ale ja żyję, więc to chyba naturalne, że chcę poznać swoją rolę w tym wszystkim.

Nie chciałam jej mówić więcej, a powód, który wymieniłam, wydał cię całkiem naturalny, choć może nieco makabryczny. Cóż dziwnego w tym, że próbuję się dowiedzieć, co zniszczyło życie moich rodziców?

Nie było sensu przypominać jej, że Sara i Deirdre wciąż żyją, więc sprawa wcale nie jest zamknięta. Traktowała mnie z wielką życzliwością, po co miałam ją niepotrzebnie martwić? Czułam, że dość ma własnych kłopotów.

Trzymała oburącz filiżankę kawy, jakby chciała rozgrzać

dłonie, i spoglądała zadumany wrokiem w trudne do określenia miejsce.

- Nigdy potem już nie byłam w Seatoncliffe. Bardzo chciałam jechać na nabożeństwo żałobne po śmierci pani mamy, ale nie miałam z kim zostawić dzieci. Roger nie mógł mi pomóc.

- Przykro mi. Musiało pani być bardzo ciężko samotnie wychowywać dzieci.

- Samotnie? Co pani chce przez to powiedzieć?

- Och, przepraszam bardzo, ale w jednym z listów pisała pani coś takiego o mężczyznach... No, że pani sytuacja jest tego najsmutniejszym przykładem... Myślałam, że pani mąż, Roger, zachował się w ten sam sposób, co mój ojciec.

Jane Frears gorzko się zaśmiała.

- Nie, kochana. Było całkiem odwrotnie. Napisałam też, że pani mama była jedyną moją znajomą, która nie wini mnie za to, co się stało, prawda?

- Tak, ale...

- Bo widzi pani, Roger był żonaty, a ze mną tylko się spotykał. Gdy jego żona, Justine, dowiedziała się o naszym romansie, wróciła do swojej rodziny do Francji, tam urodziła dziecko i już została. Dwaj chłopcy, którzy byli w wieku szkolnym, zostali pod opieką Rogera. Jeździli potem do matki na wakacje.

- Ale... ale on się z panią ożenił?

- Oczywiście. Potrzebował przecież opiekunki do dzieci i gosposi. Ja byłam tańsza. A rozwód kosztował go piękny dom, który musiał sprzedać. Potem musiałłożyć na edukację całej trójki dzieci, a to znaczyło, że nie będziemy mogli mieć swoich. Nie było go stać na utrzymanie drugiej rodziny.

Spostrzegła moją zasępioną minę i uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Ale byłam szczęśliwa. Wtedy wydawało mi się, że mam wszystko, czego chcę. Kochałam go i nawet pokochałam tych jego okropnych chłopaków. Razem przeprowadziliśmy ich przez szkołę i uniwersytet, a potem Roger zmarł.

- Och, współczuję pani.
- Chłopców teraz już nie widuję. Cały swój wolny czas spędzają z rodziną we Francji, z matką i siostrą. To chyba naturalne. Ale niech mi pani nie współczuje. Pani mama by tego nie robiła. Prawdopodobnie powiedziałyby, że mam to, o co się prosiłam.
- Zauważyła, że to mną wstrząsnęło, i uśmiechnęła się.
- Ale wcale nie powiedziałyby tego złośliwie.

Gdy otworzyłam drzwi mieszkania, w nozdrza uderzył mnie smakowity zapach. Na stole były świece, świeże kwiaty, kieliszki i nakrycia dla dwóch osób.

W odróżnieniu od jadalni, która wyglądała, jakby pozowała do zdjęcia w magazynie, kuchenka przedstawiała totalny chaos.

Zlew był pełen obierzyn. Najrozmaitsze naczynia i sztucce leżały porozrzucane na blacie. Na palnikach stały wszystkie posiadane przez nas patelnie i złowrogo grzechotały pokrywkami. Josie, z zaczerwioną twarzą i triumfalną miną, uwijała się w kłębach pary.

- Cześć! Najwyższy czas!
- Co pichcisz?
- Pieczonego kurczaka. Nie czujesz? Z nadzieniem i pieczonymi ziemniakami. Wszystko mam w piekarniku. A tutaj - wskazała patelnie - jest wybór świeżych warzyw. Innymi słowy wszystko, co było w sklepiku na rogu.
- Dokończę za ciebie, chcesz? Przygotujesz się tymczasem do kolacji. A potem mogę zejść ze sceny, jeśli sobie życzysz.
- Coś ty?
- No, skoro zaprosiłaś Matthew...
- Nie zaprosiłam Matthew. To jest dla nas.
- Ale dlaczego?
- Bo nie wiem, kiedy będziemy miały drugą taką okazję. Może nawet już nigdy...
- Josie, przecież zostaniemy...
- Mam nadzieję. Ale na wszelki wypadek przygotowałam tę

uczę na cześć naszej przyjaźni. Jedzenie już prawie gotowe. Otwórz wino, a ja wyłożę wszystko na talerze.

- Dobra. Gdzie jest butelka?

- W lodówce, obok musów czekoladowych. Wino jest białe z bąbelkami, w ślicznej butelce z zakrętką, więc korkociąg ci niepotrzebny.

Śliczne butelki były w istocie dwie. Okazało się jednak, że podczas kolacji bez trudu wykończyliśmy z Josie jedną, a i w drugiej niewiele zostało.

Wydrapawszy resztki musu z plastikowych kubeczków, ustawiliśmy brudne naczynia na blacie, a resztkę wina wzięliśmy ze sobą do części mieszkalnej. Innymi słowy, na wygniecioną sofę przed telewizorem.

Josie naląła wina do kieliszków i ostrożnie odstawiła butelkę na stolik. Spojrzała na mnie z uroczystą miną.

- Czy myślałaś o autohipnozie? - spytała.

Wyrzeczyłam na nią oczy. Czyżbym straciła jasność myślenia? O czym rozmawialiśmy, zanim sprzątnęliśmy ze stołu? Nie, to nie miało nic wspólnego z hipnozą. Zgodnie uznaliśmy, że póki nie polubimy zlewu, zostawimy niepomyte naczynia.

- Przepraszam, ale nie nadążam - odparłam w końcu. Tym razem Josie postarała się wyrazić myśl jasno i dobitnie.

- Au-to-hip-no-za. Czy myślałaś o autohipnozie?

- Szczerze mówiąc, nie. - Miałam nadzieję, że coś się samo wyjaśni.

- Może powinnaś spróbować?

- Niewątpliwie masz rację. - Obie skinęłyśmy głowami. - Tylko powiedz mi, Josie, po co.

- Po to, żeby przypomnieć sobie więcej.

- Ach, rozumiem.

- To musi być bardzo irytujące, kiedy niespodziewanie włącza ci się stary film. Nigdy nie wiesz, kiedy coś nagle do ciebie wróci. Może w ten sposób trochę zapanujesz nad wyobraźnią.

- Ale jak mam to zrobić?

- Stanąć przed lustrem i wyobrazić sobie, że masz kropkę na czole. Patrzysz na siebie, koncentrując się na kropce, i wyobrażasz sobie, że idziesz tunelem.

- To wszystko? - spytałam po chwili.

- Nie, ale tylko tyle pamiętam. Czytałam o tym artykuł w magazynie, który pacjent zostawił na oddziale. Nie próbowałam na sobie, bo autohipnoza nie była mi do niczego potrzebna. Ale magazyn pewnie wciąż leży w szpitalu. Wyślę ci go, jeśli chcesz.

- Dobra.

Oparłam się o poduszki i zamknęłam oczy. Zgoda nic mnie nie kosztowała. Nie musiałam poddawać się autohipnozie w tej właśnie chwili, więc nie powiedziałam Josie, że nie jestem pewna, czy w ogóle mam na to ochotę. Z jednej strony bardzo chciałam poznać prawdę, z drugiej jednak bałam się tego, co odkryję.

Nie mogłam zapomnieć burzliwej sceny, która rozegrała się, gdy ojciec wniósł mnie do domu.

Nie wolno jej winić. Ale tobie nie wybaczę nigdy!

A potem głos ojca, mówiącego do mnie:

To nie była twoja wina. Spróbuj teraz zapomnieć... zapomnieć... zapomnieć...

Mogło to znaczyć chyba tylko jedno. Od dłuższego czasu podejrzewałam, że jestem w jakiś sposób odpowiedzialna za śmierć matki.

Tydzień po wyjeździe do Seatoncliffe znów opuszczałam Londyn. I znów byłam na dworcu King' s Cross, tylko że tym razem Josie nie mogła mnie odprowadzić. Nie świeciło też słońce; padał deszcz.

Im dalej byłam na północy, tym pogoda była gorsza. Deszcz spływał strugami po szybach i w ogóle nie było widać nic za oknem.

W pociągu paliły się światła, przez co świat na zewnątrz wydawał się jeszcze bardziej mroczny. Ale ja i moi współtowarzysze podróży, zamknęci w ciepłym, wygodnym przedziale, moglibyśmy

jechać wszędzie, nie dbając o kraj, kontynent, strefę czasową.

Łatwo było mi sobie wyobrazić, że nie tylko jadę do Seatonscliffe, lecz również podróżuję w czasie, wracam do takiego domu, jaki miałam przed owym fatalnym latem.

Wkrótce przerwałam jednak tę zabawę, nie czułam się bowiem pewnie. Zaczęłam sobie przypominać różne wspaniałe filmy, których akcja toczy się w pociągu, szczególnie zaś czarno-białe starocie, które godzinami oglądałyśmy z Josie w telewizji w porze, gdy wszyscy rozsądni ludzie dawno już śpią.

Pędzący pociąg stanowi dla reżysera znakomite tło akcji, toteż natychmiast zaczęły mi się cisnąć przed oczy dziesiątki scen z thrillerów, komedii, westernów i romansów.

Może to nagle zaatakowany przez bandytów Szanghaj Ekspres, który gna przez wstrząsane rewolucją Chiny? Czy byłabym w stanie tak szlachetnie poświęcić się dla ratowania kochanka, jak zrobiła to Marlena Dietrich?

Albo gdybym na przykład była Margaret Lockwood, Brytyjką do szpiku kości, piękną i dzielną, to czy zdołałabym przekonać Michaela Redgrave'a, że starsza pani naprawdę zniknęła?

Może jedna ze stacyjek, przez które przetoczył się z hukiem nasz pociąg, była tą samą, na której w kłębach pary z lokomotywy Celia Johnson i Trevor Howard pożegnali się na zawsze w *Sportkanii*?

Za Doncaster deszcz nieco zelżał, ale wciąż miałam poczucie odgradzenia od realnego świata. Przyglądałam się samochodom zabawkom, przesuwanym się po krętych drogach i chlapiącym na żywopłoty. Malutkie zwierzęta domowe cierpliwie stały na grząskich pastwiskach. Od czasu do czasu przejeżdżaliśmy nad rzeką albo kanałem, w którym woda miała ten sam stalowoszary kolor, co niebo.

Na początku podróży kupiłam u przechodzącego kelnera kawę z kawałkiem ciasta, natomiast za Darlington poszłam do bufetu po kartę telefoniczną. Zadzwoniłam do firmy Hussaina i podałam

przybliżoną godzinę mojego przyjazdu do Newcastle. Imran czekał na mnie przy wyjściu z hali dworca.

- Miło znowu panią widzieć. Ale jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, proszę się pośpieszyć. Parking tutaj jest okropny.

Deszcz już przestał padać, ale płyty przed stacją wciąż lśniły wilgocią. Samochód stał tuż przed wyjściem. Imran w zadumie spojrział na dwie moje walizy i załadował je do bagażnika. Uśmiechnął się.

- No, to jedziemy. Zawiozę panią do domu.

Betty nie powitała mnie ciepło.

- O, wróciła pani. - Tyle tylko powiedziała, gdy weszłam do kuchni.

- A co? Spodziewała się pani, że nie wrócę?

- Nawet nie wiedziałam, że pani wyjeżdża. Musiałam się dowiedzieć od takiej Mandy O'Connor.

- Mandy? Jak...? Kiedy pani się z nią widziała?

- W sobotę rano. Czekałam w kawiarni na autobus do miasta. Przyniosła mi herbatę i zaczęła pogaduszki. Koniecznie chciała mi opowiedzieć, jaka pani jest sympatyczna. - Betty powinna jeszcze pogardliwie fuknąć, ale choć tego nie zrobiła, atmosfera w kuchni była gęsta. - W każdym razie pani przyjaciółka, Mandy O'Connor, była przekonana, że wiem o pani wyjeździe, więc jej nie wyprowadziłam z błędu. Ale powiem pani, że mnie to zabolalo.

Wiedziałam, że zachowałam się nieładnie.

- Bardzo przepraszam, Betty. Powinnam do pani zadzwonić przed wyjazdem do Londynu. Więcej... więcej czegoś takiego nie zrobię.

Moje przeprosiny i potulna mina trochę ją ugłaskały.

- No, już dobrze. Jadła pani lunch?

- Małą przekąskę w pociągu.

Tym razem jednak fuknęła.

- Niech pani pójdzie zdjąć płaszcz, a potem podzielimy się tym, co stoi na kuchni. Miałam zamiar wstawić to potem do lodówki, w razie gdyby pani nie dojechała.

Po lunchu zaparzyłyśmy sobie herbatę. Spytałam Betty, czy są dla mnie jakieś wiadomości. Miałam nadzieję, że tymczasem odezwał się Greg. Ale nie.

Rano telefonowała jednak sekretarka z biura notarialnego. Prosiła, żeby mi powtórzyć, że pana Simpsona nie będzie do końca tygodnia, ale gdybym chciała się z nim spotkać w przyszłym tygodniu, to służy w każdej chwili.

Pan notariusz najwidoczniej doszedł do wniosku, że już podjęłam jakąś decyzję w sprawie swojej przyszłości, i, oczywiście, miał rację. Prawdę mówiąc, żałowałam, że będę musiała czekać cały tydzień, aż zakomunikuję mu, że zostaję.

- Aha, i ta Mandy O'Connor też dzwoniła dzisiaj rano. Powiedziała, żeby pani wpadła do Gondoli, bo chętnie by się z panią dziś spotkała.

Zaskoczyło mnie to wezwanie, ale bardziej przejęłam się tym, że Betty, którą polubiłam, odnosi się bardzo lekceważąco do Mandy, którą też bardzo lubię. Betty zachowywała się wobec mnie tak, jak wobec nastoletniej córki, która dostała się w złe towarzystwo.

Nie miałam nic przeciwko jej matkowaniu, nawet mi to schlebowało, ale nie byłam już nastolatką i miałam dość mądrości życiowej, by dobrać sobie przyjaciół według własnego uznania.

- Betty - zaczęłam niepewnie - Mandy jest bardzo miła. Nie wiem, co pani ma przeciwko niej...

- Boże, Bethany - odparła. - Nie mam nic przeciwko Mandy O'Connor. To nie jej wina, że matce nie wolno w domu nawet pisać, a ojciec jest ladaco. Ona jest stanowczo za dobra dla swojej rodziny. Rozzłościło mnie tylko, że jej powiedziała pani o swoim powrocie, a mnie nie!

- Nic jej nie powiedziałam!

- To skąd wiedziała?

- Czy jest pani pewna, że Mandy wiedziała o moim powrocie?
- Nie pamiętam dokładnie jej słów, ale to było coś takiego: „Niech pani powie Bethany, jak wróci do domu...”. Na pewno „jak”, a nie „gdyby”.

Nagle wydało mi się, że rozwiązałam zagadkę.

- Betty, czy kierowcy Hussaina bywają w Gondoli?
- Przesiadują tam bez ustanku.
- No, to jesteśmy w domu. Z pociągu telefonowałam do Hussaina, żeby zamówić taksówkę. Stąd wie Mandy.

Warto było poczekać, żeby zobaczyć promienny uśmiech Betty.

- Pewnie tak było. Ta kawiarenka to straszny magiel.

Sama już się o tym przekonałam. W Gondoli omawiano prędzej czy później wszystkie wydarzenia z życia Seatoncliffe. Zwykle zresztą prędzej.

Odkąd w 1632 roku w Londynie założono pierwszą kawiarnię, były to miejsca, gdzie plotkowano bez umiaru. Gondola nawiązywała więc do bardzo chlubnej tradycji.

Siądź tam z Ruth. Za chwilę zaczynam przerwę.

W kawiarni był ruch, Mandy sprawiała wrażenie spiętej. Niosła akurat tacę z kawami i jakimiś przekąskami, mimo to skinęła głową wskazując stolik, stojący częściowo za przepierzeniem, w pobliżu wejścia do kuchni. Kartonik, oparty o zgrabną butelkę, ostrzegł: „Tylko dla personelu”.

- Nie przejmuj się, pani Alvini nie będzie miała nic przeciwko temu. - Szybko odeszła obsłużyć gości.

Zawahałam się, bo druga kelnerka była pochłonięta czytaniem jakiegoś poważnie wyglądającego tomiska, prawdopodobnie podręcznika. Ale gdy mój cień padł na książkę, podniosła głowę i uśmiechnęła się.

- Niech pani siada. Mną się proszę nie przejmować. Mandy zaraz zacznie przerwę, a ja sobie stąd pójdę.

Czekając, obserwowałam ludzi siedzących przy innych

stolikach. Zza przepierzenia byłam dla nich prawie niewidoczna.

Staralam się nie podsłuchiwać rozmowy, prowadzonej po drugiej stronie zasłony, zwłaszcza gdy zorientowałam się, że mężczyzna i kobieta się kłócą. Mimo to zanim dziewczyna zerwała się od stolika i wybiegła na dwór, usłyszałam dość, by uznać, że to nie jej wina. Przypuszczałam, że jeśli partner nie przyjdzie do niej wkrótce z przeprosinami i zgrabnym wytłumaczeniem, to raczej nie ma co liczyć na dalszy ciąg tej znajomości.

Ruth znów podniosła głowę znad książki i uśmiechnęła się do mnie.

- Nic co ludzkie nie jest nam obce. Powiedziano to co prawda przy innej okazji, ale tu się dużo można nasłuchać.

- Pani studiuje? - Wskazałam jej książkę.

- Wieczorowo. To jest podręcznik psychologii, ale praca w Gondoli jest lepsza niż sto książek z opisami przypadków.

Zamknęła książkę i włożyła ją do pojemnej torby. Mandy zjawiała się tymczasem obok mnie, ubrana do wyjścia.

Postawiła na stoliku dwie kawy i usiadła na krześle, które zwolniła Ruth.

- Proszę bardzo, cappuccino dla ciebie, na koszt firmy. - Wciąż wydawała mi się nieco spięta.

- Dziękuję. Duży ruch dzisiaj, co?

- Tak. - Westchnęła i na chwilę zamknęła oczy.

- Chciałaś się ze mną spotkać? - zagaiłam po chwili.

- Owszem. - Znowu westchnęła. - To znaczy, że pani Doran przekazała ci wiadomość?

- Oczywiście, dlatego tu przyszedłam. Czy coś się stało, Mandy?

Nie odpowiedziała od razu. Położyła łokcie na stole i wsparła podbródek na złączonych dłoniach, po czym wlepiła we mnie wzrok, jakby chciała mnie oszacować. Piękne turkusowe oczy miała szeroko otwarte. Patrzyła z taką powagą, że zupełnie nie potrafiłam sobie wyobrazić, na jakie wyznanie zbiera odwagę.

Musi mieć kłopot, pomyślałam. Duży kłopot. Już wcześniej

postanowiłam, że jeśli Mandy zwróci się do mnie z jakąś prośbą, zrobię wszystko, by jej pomóc. Ale gdy w końcu się odezwała, całkowicie wytrąciła mnie z równowagi.

- Widziałas ostatnio Grega Randalla?

- Co?

- Już ci zwracałam uwagę, że nie mówi się „co”. - Uśmiechnęła się nieznacznie, ale natychmiast spoważniała. - Kiedy przyszłaś tu z nim pierwszy raz, nie wiedziałam, kto to jest, ale dzisiaj rano przypomniałam sobie, dlaczego wydał mi się znajomy. A Sara powiedziała coś, co potwierdziło mój domysł.

- Mandy... co ty mi chcesz powiedzieć?

- Chwileczkę. Czy widziałas go ostatnio?

- Ale...

- Bądź taka dobra i odpowiedz.

- Nie widziałam go, odkąd kilka dni temu wyjechał do Londynu. Powiedział, że skontaktuje się ze mną po powrocie.

- No, więc wrócił. Był tutaj dziś rano.

- O. - Nie bardzo wiedziałam, jak zareagować. Greg nie zostawił wiadomości w Dune House, ale wcale nie musiał tego robić, miał czas. Dlaczego Mandy się do tego wtrąca?

- Między wami to coś poważnego? Jesteście ze sobą?

Pierwsze pytanie Mandy było śliskie. Ponieważ drugie było łatwiejsze, zrobiłam unik.

- Nie jesteśmy. Tydzień temu spotkaliśmy się pierwszy raz w życiu. Odnosiłaś całkiem niewłaściwe wrażenie, ale nie chciałam cię rozczarować i powiedzieć, że wcale nie pokłóciłam się z kochankiem, bo tak sympatycznie się wobec mnie zachowałaś...

- Czyli nie jesteście... no... kochankami?

- Co to, to nie.

- Popatrz, popatrz. Jeśli naprawdę poznaliście się dopiero przed tygodniem i tak cię ponosi z powodu głupiej sprzeczki, to aż strach pomyśleć, co by było, gdybyś poszła na całość.

- Mandy, po pierwsze nie było żadnej głupiej sprzeczki, a po drugie wcale mnie nie ponosi z powodu Grega. Od tej pory wcale

nie... - Urwałam, zobaczyłam bowiem szeroki uśmiech Mandy.

- Tylko żartowałam - powiedziała. - Ale jeśli mówisz prawdę, to mi trochę ulżyło. - Nagle zmarszczyła czoło. - Przynajmniej tak mi się zdaje.

Przypomniałam sobie, że wciąż nie wiem, co ją tak zaniepokoiło.

- Mandy, powiedz mi wreszcie, co się stało. Dlaczego chciałaś się ze mną spotkać?

- No, bo jak zobaczyłam ich razem i usłyszałam, o czym mówią, to się wściekłam. Nie wiedziałam, że wy dwoje dopiero co się poznaliście. Myślałam, że Sara po cichu podrywa ci chłopaka...

Coś musiało się zmienić w mojej twarzy, może drgnął mi jakiś mięsień, bo dziewczyna nagle przerwała.

- Czy jesteś absolutnie pewna, że on.... że ty z nim...?

- Absolutnie. Jemu zależy tylko na zrobieniu programu o klasztorze Seaton. A ruiny klasztoru są na moim terenie.

- Taaak.

Wciąż miała opory, więc musiałam ją dodatkowo zachęcić:

- Czy oni wyglądali... no, czy wyglądali tak, jakby byli...?

- Nie chodzi o to, jak wyglądali, tylko, co mówili. - Mandy wydawała się zakłopotana. - Pewnie zauważyłaś, że kiedy tutaj siedzisz, to słyszysz rozmowę przy sąsiednim stoliku.

- Mhm.

- Tam jest zaciszny kąt, idealne miejsce, jak chcesz usiąść tak, żeby nikt ci nie przeszkadzał. Ludzie zwykle nie zwracają uwagi na to, że za przepierzeniem wszystko słychać. Ruth twierdzi, że to jest chwyt psychologiczny. Przegroda daje ludziom fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Mandy upiła łyk kawy. Już przestała się obawiać, że rozkrwawi mi serce, więc przestała też się śpieszyć.

- No, więc co słyszałaś? - ponagliłam.

- Siedziałam, jak wiesz, tutaj, kiedy przyszli, Sara pierwsza, on kilka minut później. Widocznie byli umówieni. Zdziwiłam się, ale początkowo wcale mnie to nie zaniepokoiło, bo pomyślałam,

że może to ty ich ze sobą poznałaś. - Spojrzała na mnie pytająco.

- Nie. Nawet nie wiedziałam, że się znają.

Mandy pokiwała głową.

- Jeśli słusznie podejrzewam, to muszą się znać od dość dawna.

- A co podejrzewasz?

- Posłuchaj, to pewnie sama do tego dojdiesz. No, więc poczekali, aż Ruth ich obsłuży, i dopiero wtedy zaczęli rozmawiać. Greg poprosił o kawę z ekspresu, a Sara o słabą herbatę z mlekiem. Nawet domyślałam się...

- Mandy! Nie musisz zdręzczać mnie szczegółami. Powiedz mi po prostu, co cię tak zaniepokoiło.

- Przepraszam! No, więc jak Ruth podała im napoje, Sara od razu przeszła do rzeczy. Czy powiedziałaś już Bethany? - spytała. A on na to: „Nie”. Ma się rozumieć, że nastawiłam uszu.

Mandy pochyliła się ku mnie. Nie wiem, czy świadomie, ale zaczęła całkiem zgrabnie naśladować głosy Sary i Grega. Miała aktorski talent. Gdybym nie była taka rozstrojona, bez wątpienia świetnie bym się bawiła.

Mandy opowiadała dalej:

- A Sara wtedy: „Dlaczego jej nie powiedziałaś?”. - Zrobiła pauzę dla lepszego efektu.

Nie miała pojęcia, jakie męki przeżywam.

- No i co... Co Greg jej odpowiedział? - zdołałam w końcu wykrztusić.

- Nie odpowiedział wprost, więc jej wysokość spytała: „Czego się boisz?”. A on jej na to, że niczego się nie boi, ale, jego zdaniem, lepiej będzie dla ciebie, jeśli jeszcze przez pewien czas pozostaniesz w niewiedzy. No, więc Sara zarzuciła mu, że się trzęsie o swój drogocenny program. Chciał jej przerwać, ale mu nie dała. Powiedziała, że właściwie jej to pasuje, możesz jeszcze przez pewien czas nie wiedzieć. A potem... czekaj, niech sobie przypomnę dokładnie jej słowa... Powiedziała: „Na razie nie mam zamiaru

nic Bethany mówić, ale jeśli zaczniesz zadawać pytania, to mogę być zmuszona”. - Mandy urwała, czekając na reakcję.

Bardzo się starałam, żeby moje słowa zabrzmiały całkiem normalnie.

- I to wszystko? - spytałam. - Czy któreś z nich jeszcze coś mówiło?

- Niewiele. Greg zażyczył sobie, żeby go ostrzegła, w razie gdyby postanowiła ci coś powiedzieć, a ona odparła, że się zastanowi.

- Czy powiedział jej, jak... jak można się z nim skontaktować?

- Tak. O to też go spytała, a on odparł, że nie zamierza się wyprawiać z Bay.

- Z Bay?

- To jest nowy hotel, stoi obok tego szpanerskiego domu nad zatoką. W każdym razie Sarze wydało się zabawne, że Greg wynajął pokój w tym hotelu. Twierdziła, że to musi być zrzędzenie losu. Z tego zupełnie nic nie rozumiałam. Może to była jakaś aluzja do miejsca schadzek, jak sądzisz?

- Nie mam pojęcia. - Greg bardzo uważał, żeby nie powiedzieć mi, gdzie mieszka. Czy dlatego, że odwiedzała go tam Sara?

- Niedługo potem wyszli - zakończyła relację Mandy. - Ale nie razem, najpierw jedno, potem drugie. - Nagle spojrzała na mnie bardzo dziwnie. - Wiesz co? Jakoś nie umiem się tym nie przejmować.

- Dlaczego?

- Bo nie podoba mi się, że tak wlepiasz wzrok w punkt przed sobą. Zdenerwowałaś się, prawda?

- Nie. Próbuję się domyślić, co by to wszystko mogło znaczyć.

- To nie jest trudne, Bethany. Pewnie powiesz, że mam kosmate myśli, ale dla mnie to może znaczyć tylko jedno.

- Co?

- Nie wygłupiaj się, przecież to jasne. Greg jest ojcem dziecka Sary.

- To śmieszne. Przecież nawet nie wiesz na pewno, że ona jest w ciąży.

- A o czym innym mogłabyś jeszcze nie wiedzieć?

- Nie mam pojęcia.

Niespodziewanie przypomniałam sobie artykuł z magazynu telewizyjnego Josie. Zaczęłam w myślach rozważać, co by było, gdyby było.

Greg przebywał w Hiszpanii kilka miesięcy, przygotowując film o pielgrzymce. Sara mieszkała w Hiszpanii z matką. Może się spotkali. Ale jeśli tak, to rozwinęło się z tego coś więcej niż zwykła znajomość.

A jeśli Greg przyjechał do Seatoncliffe za Sarą? Albo ona wróciła do kraju, bo dowiedziała się, że Greg zamierza zrobić film o tutejszym klasztorze? Ale to, kto za kim przyjechał, było bez znaczenia.

A jeśli Mandy miała rację, i Sara istotnie spodziewa się dziecka Grega?

Na tym skończyłam gdybanie. Rozum podpowiadał mi, że wszystko układa się w zbyt logiczną całość, a serce gwałtownie protestowało, niemal krzychało, że nie mogłam się tak strasznie pomylić. W tej chwili jednak zdawało mi się, że zwycięzcą w tej grze może zostać wyłącznie Sara.

- Mandy, czy mogłabym dostać jeszcze filiżankę kawy?

- Jasne. Jeszcze raz cappuccino?

- Nie, tym razem poproszę czarną. Czarną i mocną.

Mandy odeszła, a ja starałam się za wszelką cenę opanować. Nie chciałam, żeby zauważyła, jak wstrząsnęły mną wiadomości o Gregu.

Skłamałam na samym początku rozmowy i teraz nie miałam już sposobu, żeby jej powiedzieć, że chyba się w nim zakochałam.

Z Gondoli poszłam do kościoła pod wezwaniem świętego Pawła, żeby odszukać tablicę pamiątkową ku czci matki. Jeszcze z Dune House zatelefonowałam do Laury Bradfield; powiedziała mi, że w porze wieczornego nabożeństwa świątynia będzie otwarta. Zamierzałam dyskretnie tam zajrzeć, zanim zacznie się nabożeństwo.

Pierwsze drzwi prowadziły do kamiennego przedsionka, w którym wisiały na ścianach tablice z ogłoszeniami. Przez wewnętrzne drzwi wchodziło się prosto do nawy. W kościele paliło

się światło o ciepłym odcieniu, pachniało pastą do podłóg i kwiatami.

Chuda, drobna kobieta w powyciąganym rozpinanym swetrze kładła na ławkach książeczki do nabożeństwa i teksty pieśni, druga kobieta siedziała z tyłu w milczeniu, z głową schyloną jak do modlitwy.

Ku mojej konsternacji, drzwi, gdy tylko je puściłam, zatrzaśnięły się z hukiem. Obie kobiety spojrzały w moją stronę. Ta chuda uśmiechnęła się i wróciła do swych zajęć. Drugą okazała się Laura Bradfield. Wstała i podeszła do mnie.

- Nie musiała pani przychodzić - powiedziałam. - Nie chciałam pani fatygować.

- To dla mnie nie kłopot, kochana - rzekła swym charakterystycznym, ochrypłym głosem. - Być może i tak przyszląbym na nabożeństwo. Zostanie pani?

- Eee... nie. Chyba nie.

Z ojcem nigdy nie chodziliśmy do kościoła. Ostatnio byłam w kościele na jego pogrzebie. Na szczęście wszystkimi formalnościami zajęła się wtedy Josie wespół z przedsiębiorcą pogrzebowym.

Byłam zbyt zasmucona, żeby zastanawiać się, czy ojciec miał jakiegokolwiek przekonania religijne. Po prostu poddałam się ogólnie obowiązującym zwyczajom.

- Może pani wie, czy... czy moja matka chodziła do kościoła.

- Od czasu do czasu.

- A moja babka?

Pani Bradfield uśmiechnęła się, jakbym opowiedziała jej dowcip.

- Pani babka i ja zaczęłyśmy chodzić bardziej regularnie. odkąd przybyło nam lat. Ale niech się pani nie martwi, Bethany. Zarówno pani babka, jak i matka chciałyby, żeby w tej sprawie decydowała pani sama. Chodźmy, kochana. Tablica pamiątkowa jest tam.

Była bardzo zwyczajna. Wryto na niej jedynie słowa: „Ku pamięci Helen Louise Templeton”, a poniżej daty krótkiego życia

mojej matki. Nie było wzmianki o krewnych w żałobie ani o tym, że utonąła.

- Pani babka chciała, żeby tablica była jak najprostsza. Taką miała naturę. Poza tym sądzę, że nie chciała, żeby coś jej przypominało o tym, jak... jak ona...

- Rozumiem.

Laura Bradfield ujęła moje dłonie.

- Zostanie tu pani, Bethany?

- Chyba tak. A właściwie na pewno.

- To dobrze. Ale... - Wyrazista twarz byłej aktorki spochmurnała.

- Co się stało?

- Bethany, kochana, wyjdźmy na chwilę na dwór. Chcę pani coś powiedzieć, a obawiam się, że może to wzbudzić u mnie bardzo nienabożne myśli.

Gdy otworzyłyśmy drzwi, spostrzegłyśmy w sieni pierwszych wiernych, którzy przyszedli na nabożeństwo. Zaskoczył nas silny podmuch chłodnego wiatru. Gałęzie drzew otaczających dziedzińiec chwiały się i uderzały o siebie.

- Nie będę pani długo zatrzymywać - obiecała pani Bradfield.

- Chcę tylko spytać, na ile pani pamięta swoją ciotkę Deirdre.

- Prawie wcale. A dlaczego pani pyta?

- Chyba powinna pani wiedzieć, że Deirdre zawsze miała dziwne przekonanie, że prawowitym dziedzicem Dune House jest jej teść, a nie pani dziadek. Nie bardzo rozeznają się w historii pani rodziny, w każdym razie, zdaniem Deirdre, dom powinien przejść na własność jej lajdackiego małżonka Raymonda, a potem naturalnie na własność Sary.

Nie zdradziłam się przed panią Bradfield, że to już wiem. Za bardzo skomplikowałabym sprawę. Czekałam więc po prostu, co usłyszę dalej.

- Nie wiem, jak mam to powiedzieć, ale nie ufam tym dwóm. Kochana, pewnie zabrzmiałoby to okropnie melodramatycznie, ale gdyby pani chciała, to chętnie z panią zamieszkał, dopóki Blair Simpson nie załatwi spraw spadkowych.

- Och... bardzo jest pani uprzejma. - Poza tym odważna i skłonna do brawury, pomyślałam.

Zastanowiło mnie, czy w razie czego Laura Bradfield i ja byłybyśmy w stanie stawić opór ciotce Deirdre, Sarze i nieznanemu mi człowiekowi, który niewątpliwie wspierał kuzynkę w jej niegodziwych planach.

Niestety, nie wydawało mi się to realne. Obiecałam więc pani Bradfield, że będziemy w kontakcie i że dam jej znać, gdyby mogła mi w jakikolwiek sposób pomóc.

Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie zamierzała mi powiedzieć o ciotce Deirdre czegoś zupełnie innego. Doszłam jednak do wniosku, że jeśli nawet wiedziała coś o romansie ojca z ciotką, to uznała, że nie warto tego teraz rozgrzebywać.

Nie miałam pojęcia, w jakich porach kursuje miejscowy autobus ani gdzie się zatrzymuje. Do końcowego przystanku na nabrzeżu musiałabym zaś iść tak daleko, że równie dobrze mogłam po prostu wrócić piechotą do Dune House.

Wiał chłodny wiatr, więc szłam bardzo szybko, gdy nagle potknęłam się o jeden z kolorowych kamieni brukowych, zdobitych rynek, i bezwładnie poleciałam prosto ku drzwiom sklepu.

- Au! - Poczułam znajomy ból w prawej kostce. Przypomniłam mi się kapiący ironią głos panny Gibson, mojej nauczycielki wu-efu: „Bethany, gdybyś chodziła normalnie, to nie przewracałabyś się bez przerwy i nie robiła z siebie pośmiewiska”. Ciekawe, ilu nauczycieli ludzie nienawidzą potem do końca życia za takie uwagi.

- Żyjesz, dziewczyno? - Skoczył ku mnie dobrze zbudowany młodzieniec w spłowiałych dżinsach, szarej bluzie, z baseballową czapczką nałożoną daszkiem do tyłu. Jego miękkie, miejscowy akcent kłócił się z groźnym wyglądem.

- Chyba tak.

- Daj rękę. Pomogę ci wstać.

Gdy się jakoś pozbierałam i zaczęłam mu dziękować, spostrzegłam, że szeroko się uśmiecha. Popatrzyłam na spódnicę. Nie była rozdarta i wydała mi się czysta.

- Co jest nie tak? - spytałam.

- Och, przepraszam, nie powinienem się śmiać, ale wybrała pani znakomite miejsce na takiego szczupaka. Mój tata wtacza się tu i wytacza regularnie.

Zerknęłam przez ramię i, ku swemu przerażeniu, przekonałam się, że omal nie wpadłam prosto do sklepu z alkoholem. Mój samarytanin śmiał się teraz już całkiem otwarcie. Było w tym śmiechu coś takiego, że przyjrzałam mu się dokładniej. Piękne turkusowe oczy przypominały mi inne oczy, które spoglądały na mnie całkiem niedawno.

- Czy pana tata, to znaczy ojciec, nie nazywa się przypadkiem O'Connor?

Natychmiast przestał się śmiać i spojrzał na mnie tak, jakby chciał się bronić.

- Przypadkiem nazywa się. Czy pani go zna?

- Nie, ale przyjaźnię się z pana siostrą, Mandy.

Uśmiech wrócił mu na twarz.

- Naprawdę? - Dokładnie zmierzył mnie wzrokiem. - Proszę jej powiedzieć, żeby zapraszała panią jak najczęściej. - Patrzył na mnie bardzo wymownie, ale bynajmniej nie napastliwie.

- Dziękuję za zaproszenie. Na pewno powtórzę Mandy.

- Skoro pani jest cała i zdrowa, to idę dalej.

Wyczułam, że otwierają się drzwi za moimi plecami.

- Co się stało? Czy Joseph O'Connor ci się narzuca?

Obróciłam się i zobaczyłam Paula Mitchella. Był w jasnoniebieskim kaszmirowym swetrze, włożonym na białą koszulę, oraz ciemnoszarych szerokich spodniach. Barwy swetra i koszuli podkreślały jego opaleniznę, niestety, jednak Paul miał też brzydkie worki pod oczami, w tej chwili dość szklistymi.

- Wcale mi się nie narzuca. Potknęłam się i upadłam, a on pomógł mi wstać. - Paul się uśmiechnął. - Zanim cokolwiek

powiesz, muszę dodać, że mogły to być również każde inne drzwi. Nie zamierzałam wchodzić do tego sklepu.

Paul trzymał pod pachą grubą torbę z szarego papieru. Gdy nią poruszył, usłyszałam brzęk butelek. Nie mogłam na nie nie spojrzeć, ale też nie zamierzałam nic na ten temat mówić.

Paul i tak jednak poczuł się w obowiązku wytłumaczyć.

- To nie to, co sprzedajemy u nas w barze. Kupiłem wino dla ojca.

- Myślałam... to znaczy słyszałam, że twój ojciec jest w szpitalu...

- Gdzie to słyszałaś, Bethany?

- Och, nie wiem... - Musiałam coś szybko wymyślić, nie mogłam przecież sprowadzić na biedną Liz Davison oskarżenia o rozsiewanie plotek. - Dokładnie nie pamiętam. Chyba wpadło mi coś w ucho, jak siedziałam nad kawą w Gondoli. Tam wszyscy mówią o wszystkich.

Paul znów przelotnie się uśmiechnął.

- To prawda. - Po uśmiechu nie było już śladu. - Zastanawiam się, co jeszcze słyszałaś od przyjazdu do Seatoncliffe, Bethany. - Wpatrywał się we mnie bardzo natarczywie.

Rynek był opustoszały, a przez szklane drzwi za plecami Paula zobaczyłam, jak ekspedientka wychodzi zza lady i chowa się na zapleczu. W powietrzu między nami coś wisiało.

- Nie bardzo rozumiem, co masz na myśli. - Nieznacznie się cofnęłam.

Westchnął.

- To możliwe. - Zamilkł. - Zdecydowałaś, że tu zostaniesz, prawda? - Głos miał matowy.

- Tak.

- Rozumiem. - Zachował się tak, jakby nagle postanowił pogodzić się z nieuniknionym losem, bez względu na konsekwencje. Napięcie między nami zelżało.

Nagle Paul uniósł rękę i musnął wierzchem dłoni mój policzek. Gest wypadł bardzo poufale, ale nie wydał mi się niebezpieczny. Paul patrzył na mnie zadumany wzrokiem.

- Bethany...

- Słucham, Paul.
- Wracamy daleko w przeszłość, co?
- Owszem, ale ja nie pamiętam wszystkiego. Myślałam, że o tym wiesz.
- Byłaś jeszcze dzieckiem... Sara była...
- ...starsza.
- Tak. - Westchnął. - Właśnie tak. Sara była starsza... bardziej w moim wieku. Gdyby tylko...
- Nie ma sensu bawić się w gdybanie, Paul. To nigdy nie prowadzi do niczego dobrego.
- Wiem, ale człowiek może trochę pomarzyć, prawda? - Znow się uśmiechał i był taki jak zwykle, choć nie mogłam powstrzymać się od wrażenia, że za jego słowami coś się kryje.
- Podwiózłbym cię do domu - powiedział - ale idę z wizytą do ojca. On naprawdę jest w szpitalu. - Poklepał szarą torbę. - I ma w szafce mnóstwo miejsca na te butelki.

Odszedł w stronę pacholków, wyznaczających granice przestrzeni dla pieszych. W ulicze dochodzącej do rynku parkowało kilka samochodów. Stałam dość daleko, ale wydało mi się, że jeden z nich, kasztanowy, przypomina jaguara. Do niego właśnie wsiadł Paul.

Zanim doszłam do drogi na klifach, fatalnie utykałam, a do tego przeklinałam swój brak zapobiegliwości. Przekonałam się już przecież, jaka pogoda bywa w Northumbrii, a mimo to nie miałam dość rozsądku, by wziąć parasolkę. Nie byłam pewna, czy pada deszcz, czy tylko wiatr niesie krople morskiej wody z fal rozpryskujących się przy brzegu, wiedziałam jednak, że do domu dotrę całkiem przemoczona.

Nie zapadł jeszcze zmrok, ale widoczność była bardzo zła, więc samochód, który nadjechał z tyłu, miał włączone światła. Nie usłyszałam go, znow wiatr zagłuszył odgłosy pracy silnika, nagle jednak zobaczyłam przed sobą na drodze własny cień. W snopie światła tańczyły kropelki wody.

Oskoczyłam na bok, żeby znaleźć się jak najdalej od krawędzi

klifu. Okazało się jednak, że nie mam wiele miejsca na uniki. Wzdłuż drogi biegł wąski rów, a dalej piętrzył się mur, niegdyś ograniczający posiadłości klasztoru, a obecnie majątku Templetonów.

Rów był dość głęboki, zarośnięty wysoką, mokrą trawą, która moczyła mi nogi i dół spódnicy. Nie chciałam doń zeskoczyć, zostałam więc na drodze, odchylona pod bardzo niewygodnym kątem od pionu. Plecami opierałam się o mur. Czułam, jak grubo ciosane kamienie wgniatają mi się w dłonie.

Byłam przerażona. Dobrze pamiętałam, co się stało, gdy poprzednim razem zaskoczył mnie od tyłu pojazd. Miałam ochotę mocno zacisnąć powieki i poczekać, aż samochód mnie minie; o zgrozo, usłyszałam jednak, że zwalnia.

Zmusiłam się, by spojrzeć w tamtą stronę. Ten, kto nadjeżdżał, musiał świetnie mnie widzieć w świetle reflektorów, ja natomiast nie widziałam prawie nic, bo mnie oślepił. I tak zresztą stałam jak zahipnotyzowana.

Czego i kogo się spodziewałam? Nie miałam nawet czasu się nad tym zastanowić, obok przystanął bowiem ciemnozielony wóz terenowy. Kierowca wychylił się ze środka i zawołał:

- Witaj, Bethany. Wyglądasz jak przestraszony królik.
- Duncan!

Tak mi ulżyło, że ugięły się pode mną kolana. Zaczęłam się osuwać po murze tak nagle, że omal nie wpadłam do rowu.

Na szczęście Duncan zdążył wysiąść z samochodu i objąć mnie w tali. Nie miałam innego wyjścia, jak zarzucić mu ręce na szyję i pozwolić się unieść w powietrze. Postawił mnie na ziemi dopiero przed maską samochodu.

Silnik wciąż pracował, jego rytmiczne pomrukiwanie było jednak bardzo ciche w porównaniu z bolesnym łomotaniem mojego serca.

Duncan uśmiechnął się do mnie z dość zdziwioną miną.

- Co z tobą, dziewczyno? Chowasz się po rowach, jakbyś myślała, że chcę cię rozjechać.
- Och, Duncan, gdybyś wiedział...!

- Co? Gdybym co wiedział? Czyżbyś naprawdę sądziła, że chcę cię rozjechać? - Spowaźniał.

Przypomniało mi się, jak zmienne bywają jego nastroje.

- Nie... wcale nie!

- Ale...

- Duncan, proszę cię, nie mówmy o tym. Po prostu trochę poniosła mnie wyobraźnia.

Przyjrzał mi się w wielkim skupieniu, potem potrząsnął głową, jakbym była tylko głupią kobietą, której zrozumienie wykracza poza możliwości rozumnego mężczyzny.

- Nie możemy tutaj sterczeć. Odwiozę cię do domu.

- W kogo się teraz wcielasz? W opiekuna czy uwodziciela?

Wydał mi się bardzo zaskoczony.

- O co ci chodzi?

- Zauważyłam, że robisz użytek ze swojego szkockiego akcentu tylko wtedy, kiedy chcesz omamić jakąś biedną kobietę.

Wybuchnął śmiechem.

- Nie żartuj - powiedział tak, jak potrafi tylko Szkot. Kazał mi się trochę odsunąć od rowu i podjechał samochodem tak, żebym mogła wygodnie wsiąść.

Kilka minut później byliśmy w Dune House. Podczas drogi milczeliśmy, a Duncanowi najwyraźniej to odpowiadało. Odprowadził mnie do samych drzwi.

- No, to jesteśmy. Schowaj się i zmień od razu te mokre rzeczy.

- Chcesz wejść na chwilę? Poczęstuję cię kawą... mogę nawet zaproponować coś do jedzenia. - Wiedziała, że Betty zapełniła zamrażarkę posiłkami domowej roboty, które wystarczało tylko odgrzać.

Uchyliłam drzwi i odwróciłam się, czekając na odpowiedź. Ze zdziwieniem zobaczyłam, że Duncan nachyliła się nad kierownicą i z całej siły zaciska na niej dłoń. Wolno zwrócił głowę w moją stronę.

- To wielka pokusa, Bethany. - Te słowa jakby zawisły w powietrzu. Zaraz jednak Duncan odchylił się do tyłu, wyprostował

ramiona i westchnął. - Ale nie, dziękuję. Zamierzałem wieczorem popracować. Miałem w planie kilka zdjęć.

- Zdjęć? Przecież zaraz zrobi się ciemno...

- W podczerwieni. Mam aparat ze specjalnym wyzwalaczem. Migawkę uruchamia wiązka promieni.

- Jak to?

- Kiedy stworzenie, na które czatuję, wejdzie w zasięg wiązki promieni, aparat robi zdjęcie. Od czasu do czasu muszę sprawdzać całą tę maszynię.

- Czy to nie jest czysta gra przypadku? Skąd możesz wiedzieć, że będziesz miał na zdjęciu to, o co ci chodzi?

- Zwykle mam - odpowiedział ze śmiertelną powagą.

Po jego odjeździe uprzytomniłam sobie, że nie powiedział mi, na jakie stworzenie tak metodycznie się zasadza. Postanowiłam spytać go przy następnym spotkaniu, czy mogę obejrzeć zdjęcia.

Na kuchennym stole znalazłam liścik napisany równym, wyraźnym pismem Betty:

Tui przed moim wyjściem przypomniał się Greg Randall. Powiedziałam, że nie wiem, o której pani wróci, więc jeszcze będzie próbował. Do zobaczenia w środę.

Betty D.

Zmiałam karteczkę i z poczuciem zawodu cisnęłam do kosza na śmieci. Trafiła w pokrywkę i odbita kulka spadła na podłogę. Zostawiłam ją w spokoju.

Czy Betty chciała napisać, że Greg telefonował, czy też był tu osobiście? Szczerze mówiąc, wolałabym, żeby zapowiadał swoje telefony i wizyty z większą precyzją. Albo żeby zostawił swój numer telefonu.

On jednak nadal bardzo uważał, żebym nie dowiedziała się, gdzie mieszka. Zdawało mi się, że już wiem dlaczego. Wprawdzie wystarczyłoby sprawdzić w książce telefonicznej numer hotelu Bay, ale ta świadomość w niczym mi nie pomagała. Przecież miałam tego nie wiedzieć.

Betty zostawiła mi na kuchence garnek z zupą. Zapaliłam więc gaz i postawiłam naczynie na małym ogniu, po czym poszłam na górę się przebrać. Wyciągnęłam z szafy dzinsy i luźną żółtą koszulkę. Wiedziałam, że jest mi w niej do twarzy. Chciałam wyglądać zwyczajnie, ale pociągająco, na wypadek gdyby ktoś przyszedł.

Zaspokoiwszy w samotności potrzeby żołądka, przez chwilę chodziłam od pokoju do pokoju, nie mogąc sobie znaleźć miejsca. W pewnej chwili pomyślałam, żeby zajrzeć do garażu. Jeszcze tam nie byłam, a miałam przeczucie, że to ważne i powinnam to zrobić. Zrezygnowałam jednak z tego zamiaru, bo mogłabym wtedy nie usłyszeć dzwonka do drzwi.

Początkowo sądziłam, że w domu w ogóle nie ma telewizora, Betty pokazała mi jednak staroświecko wyglądający mebel w salonie, podobny do kredensu, który okazał się jednym wielkim oszustwem. Po otwarciu drzwi ukazywał się bowiem wielki ekran, a poniżej była półka na odtwarzacz wideo.

Na półce obok stało kilka rzędów kaset w oprawkach, udających książkowe. Niewątpliwie moja babka bez trudu znalazłaby wspólny język z Josie. W zbiorze było wiele przyrodniczych filmów dokumentalnych, musicale z Hollywoodu i klasyczne seriale BBC, na przykład *Duma i uprzedzenie*.

Jedyna krytyczna uwaga, jaka padłaby z ust Josie, dotyczyłaby całkowitego braku programów Grega Randalla. Odstawiłam wyjęte kasety z powrotem na miejsce, zła, że nie mogę przestać o nim myśleć.

Zaczęłam przełączać pilotem kanały, aż wreszcie doszłam do wniosku, że mam do wyboru obejrzeć wiadomości o dziesiątej albo iść do łóżka. Wybrałam to drugie. Uznałam, że Greg już raczej nie przyjdzie.

Coś ciągnęło mnie do kamiennych trumien.

Zamierzałam wprawdzie od razu się położyć, ale gdy weszłam na piętro, światło księżycy, padające na podest, zwiabiło mnie do

okna. Okno wychodziło na tyły domu. Po niebie goniły chmury, a za ogrodowym murem sylwetka ruin klasztoru rysowała się to srebrno, to szaro.

Jakiś wysoki, podłużny kształt oddzielił się od ruin i kierował ku pozbawionej dachu kaplicy, zaraz jednak znikł mi z oczu. Pewnie coś mi się przywidziało.

Przemknęło mi jednak przez myśl, że może to Greg przygląda się wieczornemu oświetleniu kaplicy w poszukiwaniu upiornych efektów, które mógłby wykorzystać. Przecież sam powiedział mi, że prawdopodobnie sfilmuje te ruiny w świetle księżyca. Może właśnie po to chciał się ze mną tego dnia zobaczyć.

Powinłam się nie wtrącać, ale nie mogłam. Wzięłam z pokoju rozpinany sweter i zbiegłam na dół, prosto do drzwi prowadzących do ogrodu. Szybko przebiegłam przez ogród, w którym wiatr szarpał nieprzycięte pędy pnących róż.

Stara klasztorna brama była uchylona. Ciężar nie pozwalał jej kołysać się na wietrze, ale zawiasy skrzypiały. Nie pamiętałam, czy przechodząc przez nią ostatnim razem, zostawiłam ją otwartą, ale nie wydawało mi się to ważne.

Bóg jeden wie, czemu wbiłam sobie do głowy, że zobaczyłam cień Grega. Byłam jednak o tym święcie przekonana i chciałam go zobaczyć.

Zastanawiałam się, czy rzucę mu w twarz to, czego się dowiedziałam. Sądziłam, że raczej nie. Tylko roześmiałyby się z pogardą, że słucham plotek. Postanowiłam więc, że po prostu z nim pobędę, i w ten sposób się dowiem. Nie zadając ani jednego pytania, dowiem się, czy Greg kocha Sarę.

Wiatr był coraz silniejszy i przy wiewał coraz więcej świetlistych chmur. Ich cienie pędziły po niekoszonej trawie przede mną, jakby prowadziły mnie do celu.

Zmieniające się wzory ze światła i cienia myliły wzrok. Przez chwilę zdawało mi się, że widzę wielkiego, skąpanego w księżycowej poświacie psa, który biegnie przede mną. Benjy? A może złudzenie optyczne? Tak czy owak, to coś znikło, zanim doszłam do kaplicy.

Drzwi były szeroko otwarte. Przystanąłam na chwilę, żeby wyrównać oddech, po czym weszłam do środka.

- Halo? - zawołałam, ale nikt nie odpowiedział.

Stałam na środku kaplicy, czekając, aż oczy przyzwyczają mi się do półmroku. Po chwili rozejrzałam się. Kaplica była pusta.

Nadal jednak we wnętrzu panował jakiś smutek. Promieniował od trumien. Były oświetlone przez księżyc tylko w części. Przyglądałam się zimnym szarym kamieniom.

Greg powiedział mi, że to nie mogą być trumny Edrica i Alvevy, ale to przecież nieważne, skoro legenda połączyła z nimi kochanków, a ludzie wierzą w to od stuleci.

Zaczął padać deszcz. Zobaczyłam pierwsze nieregularne ślady kropeł rozpryskujących się na kamieniach trumien. Wzór stawał się coraz gęściejszy.

Wiatr, który od pewnego czasu wiał coraz silniej, uderzył nagle prawie z siłą huraganu. Słyszałam, jak świszczę na otwartej przestrzeni i jak uderza w kamienne bryły ruin.

Nagle rozległ się jeszcze inny odgłos. Drzwi za moimi plecami z hukiem się zatrzasnęły. Deszcz stawał się z każdą sekundą coraz bardziej ulewny. Podbiegłam do wyjścia. Chwyciłam za stare metalowe kółko, obróciłam je i popchnęłam drzwi. Nawet nie drgnęły.

Sądziłam, że zatrzasnął je podmuch wiatru, popchnęłam więc mocniej, jednocześnie obracając kółko i napierając na drzwi całym ciałem. Skutek był jednak tylko taki, że rozboleły mnie ramiona. Wysilałam się na próżno. Drzwi nie chciały ustąpić.

Górna część drzwi odchylała się odrobinę za każdym pchnięciem, ale dół nie chciał puścić, zupełnie jakby się zaklinował albo został zastawiony z drugiej strony czymś bardzo ciężkim. W końcu przestałam się męczyć.

Tymczasem rozszalała się wielka burza, taka jak przychodzi czasem w końcu lata. Miotalam się po zrujnowanej kaplicy, usiłując znaleźć schronienie przed zacinającym deszczem i wichurą. Niestety, bez powodzenia.

Sprawdziłam otwory okienne. W żadnym nie było szyb, ale albo były za wąskie, żebym mogła precyzyjnie się na drugą stronę,

albo miały gzyms odrobinę za wysoko, żebym go dosięgła. Rozejrzałam się z nadzieją, że wypatrzę coś, na czym mogłabym stanąć, ale na próżno.

Zastanawiałam się nawet, czy nie udałoby mi się zawlec pod okno części strzaskanego wieka trumny, ale nawet najmniejszy jego kawałek był dla mnie o wiele za ciężki. Nie miałam siły ruszyć go z miejsca.

Z rozpaczą spjrzałam na trumny. Raz czy dwa przemknęła mi przez głowę szalona myśl, żeby w tej większej się ukryć, ale obie szybko wypełniały się wodą.

Potem zaczęłam się zastanawiać, czy ktoś nie przyjdzie wylać wody z trumien, a przy okazji wyciągnąć mnie z pułapki. Tylko jak długo wytrzymam?

Było mi potwornie zimno. Trzęsłam się, szczekałam zębami i miałam gęsią skórkę. Ubranie, oczywiście, całkiem mi przemokło, a dzinsy chyba podwoiły swoją wagę.

Zaczęłam chodzić w kółko, starając się trzymać jak najbliżej ścian, żeby choć trochę osłoniły mnie przed wiatrem. Mokre dzinsy obcierały mi nogi, a kontuzjowana kostka wściekle bolała przy każdym kroku. Wkrótce straciłam poczucie czasu.

Czy tkwiłam tam już godzinę, czy dwie? A może więcej? Może zbliżał się ranek i wkrótce miało zaświtać? Jak długo może trwać burza? Chyba wreszcie niedługo ustanie...

Ruszaj się, myślałam. Burza w końcu minie, a ty musisz bez przerwy się ruszać. Nie wolno ci się skulić w kącie i zasnąć. A spać chciało mi się coraz bardziej.

Nagle, o dziwo, uspokoiłam się. Poczułam, że wszystko będzie dobrze, tylko muszę gdzieś się położyć i zdrzemnąć, żeby nie stracić energii. Rano zbudzę się z nowymi siłami i będę mogła krzyczeć, póki ktoś mnie nie usłyszy i nie usunie przeszkody, którą zwałił tam wiatr.

W miarę jak się uspokajałam, cichł również wiatr. Ulewa przeszła w siąpiwicę. Utwierdziło mnie to w przekonaniu, że postępuję słusznie. Przestałam panikować i dzięki temu zagrożenie zmalało. Siłą woli zapanowałam nad pogodą!

To dobrze, pomyślałam, teraz mogę pospać. Ułożę się gdzieś obok drzwi, żeby nie mieć daleko, jak się zbudzę...

Prawdopodobnie ta decyzja uratowała mi życie. Leżałam już na kamiennej podłodze, tak blisko drzwi, jak tylko mogłam, gdy nagle usłyszałam dziwny, świszczący odgłos, jakby pociąganie nosem. Dochodził z zewnątrz. Uniosłam się i zamieniłam w słuch.

Zrobiło mi się wesoło i wybuchnęłam śmiechem. Wydawało mi się to bardzo zabawne: fu, fu, fu w szparze pod drzwiami. Spróbowałam coś tam dojrzeć. Większość szpary była zacieniona przez jakiś nieruchomy kształt, ale przy jednym jej końcu coś się poruszało. Chyba pysk.

Najwyraźniej odwiedziło mnie zwierzę, pomyślałam i pogrąlowałam sobie, że tak szybko odgadłam, co wydaje dziwny dźwięk. Ale jakie zwierzę? Królik? Nie, nie wydawało mi się, żeby królik mógł tak głośno niuchać. Poza tym nos nie był owłosiony i wcale nie miał króliczego kształtu.

No, więc co? Co mogło włóczyć się o tej porze po wydmach? Lis? Pies? Benjy?

- Benjy! Benjy! Benjy! - Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że krzyczę, póki nie usłyszałam echa własnego głosu, odbijającego się od ścian kaplicy. Jednocześnie Benjy zaczął szczekać.

Ten młody głuptas z pewnością pomyślał, że to jakaś nowa wspaniała zabawa. Im głośniej krzyczałam, tym głośniej szczekał. Coraz mocniej drapał w drzwi. Wreszcie zaczął wyć jak wilk.

- Przestań tak wściekle ujadać, Benjy!

Czy to ja powiedziałam? Nie, chyba nie kazałabym mu przestać. Przywarłam mocniej do drzwi, nasłuchując. Głosy... dwa głosy, ale słów nie rozumiałam.

Wreszcie usłyszałam tuż przy drzwiach:

- Bethany, jesteś tam?

- Tak, jestem! Nie mogę stąd wyjść. Wiatr zawalił czymś drzwi.

- Nie martw się. Odsuniemy. Z drogi, ty psia zarazo!

Jak oni go nazywają?! - pomyślałam. Muszę im koniecznie powiedzieć, jakim wspinałym psem jest Benjy.

Usłyszałam zgrzyty i łoskoty, którym towarzyszyło sapanie i jęki, aż wreszcie drzwi się otworzyły. Stańło w nich dwoje ludzi.

- Rany boskie, Bethany! Wyglądasz jeszcze gorzej niż wtedy, jak cię poznałam - powiedziała Mandy.

Jej towarzysz powiedział „Jejku!”, a Benjy wpadł jak burza do kaplicy. Skoczył na mnie i zaczął z entuzjazmem lizać po twarzy. Zachwiałam się i na pewno bym upadła, gdyby Mandy nie odgoniła psa i nie wsparła mnie ramieniem.

- Ahmed, nie stój jak słup! Pomóż mi przetransportować Bethany do domu.

Mandy O'Connor i Ahmed Hussain. To prawie cud, że się tu pojawili akurat w chwili, gdy ich potrzebowałam.

- Możesz ją zanieść? - spytała go Mandy.

- Przykro mi, ale nie sądzę. Panna Lyall jest wyższa ode mnie.

- Hmm, ode mnie też. Musimy spleść ręce, zrobimy krzeselko.

- Nie trudźcie się, mogę przejść ten kawałek - powiedziałam i zrobiłam pierwszy krok, ale kostka odmówiła mi posłuszeństwa i znów Mandy musiała mnie złapać, żebym nie upadła.

- Chodź tu, Ahmed - poleciała. Złap najpierw za swój nadgarstek, potem drugą ręką za mój, a ja zrobię to samo i po sprawie.

Ustawili mnie przed sobą.

- No, siad na pupę, Bethany, tylko grzecznie. Obejmij nas ramionami. Znakomicie. To teraz się trzymaj, idziemy do domu. -

Ruszyliśmy przez mokrą trawę, wymijając wiekowe groby. Benjy obskakiwał nas ze wszystkich stron i czekał, dziko podniecony.

- Zamknij się wreszcie, ty głupie psisko! - krzyknęła Mandy.

- Szczekasz i szczekasz, umarłego byś zbudził! - Nagle zachichotała. - A jest tu dookoła kogo budzić.

Jeszcze zanim przekroczyliśmy bramę ogrodu Dune House, usłyszałam, że Mandy i Ahmed ciężko dyszą. Kilka kroków dalej Mandy lekko się zachwiała.

- Chodźmy do letniego domku - sapnęła. - Musimy ją wnieść do letniego domku. Ostrożnie, schodki.! Dobrze... och, nie, za-trzymaj go!

Za późno. Benjy wpadł do środka pierwszy.

Ahmed szerzej otworzył drzwi ramieniem, nagle jednak moją uwagę zajęła niespodziewana myśl. Kilka kawałków łamigłówki znalazło swoje miejsce. Poczekalam, aż wybawcy mnie usadzą, i spytałam:

- Mandy, czy nie zgubiłaś kolczyka?

Spojrzała na mnie dziwnie, a potem powiedziała:

- Zamknij się, Bethany! Musimy cię wyłuskać z tych mokrych szmat.

- Nie rządz się tak. Jesteś zupełnie jak Josie.

- A kto to taki? - Ale wcale nie interesowała jej odpowiedź. Zdecydowanym ruchem ściągnęła ze mnie przemoczony sweter i zaczęła mi rozpinać guziki bluzki.

- Przestań. - Próbowałam odepchnąć jej ręce, całkiem bez sensu, ale Mandy mi nie pozwoliła.

- Nie ma czasu na udawanie skromności, skarbie. Muszę wy-trzeć cię do sucha. Zresztą Ahmed i tak już stąd idzie.

- Idę? Nie potrzebujesz pomocy, żeby zanieść pannę Lyall do domu?

- Potrzebuję, ale nie od ciebie. Jeśli zaraz nie pokażesz się w domu, to twoi rodzice dostaną szału. Lepiej wróć, póki czas, tylko najpierw pobiegnij do Dune House i zatelefonuj do mojego brata. Nie bój się, on o nas wie, a nikt inny nie podniesie słuchawki. Powiedz mu, żeby tu mi giem przyjechał.

- Mam potem do was wrócić?

- Tylko gdyby były kłopoty. A jeśli nie, to jedź prosto do do-mu, żeby ojciec nie skonfiskował ci kluczyków do samochodu.

Ahmed posłusznie się oddalił, zauważyłam jednak uśmiech, jaki wymienili przed rozstaniem.

Wkrótce Mandy rozebrała mnie do naga. Cisnęła moje prze-moczone lachy do kąta i zaczęła mnie bardzo delikatnie masować czymś, co wyglądało jak serweta. Potem owinęła mnie, a właściwie opatuliliła jak niemowlaka, w dwa stare pledy, które leżały na fotelu.

- Siadaj w tym zawoju, tylko ostrożnie. Nie przewróć się!
- Dobrze, panno Gibson. Postaram się nie zrobić z siebie po-śmiewiska.

Mandy spojrzała na mnie współczująco, a ja posłusznie opa-dłam na fotel. Przykłęka obok mnie.

- Nogi do góry! Połóż stopy na tej poduszce. Dokładnie zawi-nęła mi stopy w dolną część pledu i podeszła do stolika. W butelce po winie stała dopalająca się świeca. Płomień zaczął niepewnie migotać. W pustym słoiczku obok stało kilka trociczek, od któ-rych w letnim domku unosił się słodkawy, korzenny aromat.

W migotliwym świetle wszystko zaczyna się kołysać. Próbow-ałam zobaczyć, jaką minę ma Mandy, ale płomyk rozbłyskiwał zbyt krótko. Ale mimo iż nie widziałam jej twarzy, wydawała mi się zatroskana. Dlaczego? Przecież już mi nic nie groziło. Może cho-dziło jej o co innego.

Naląła mi jakiegoś gorącego płynu z termosu. Odwróciła się i spostrzegła, że jej się przyglądam. Pomyślała chyba, że moją uwa-gę zwróciły resztki kolacji na stole.

- Wiem, wiem - powiedziała. - Zupełnie jakby dzieci bawiły się w dom. A teraz napij się, to jest tylko zwykła herbata, gorąca i słodka, taka jaką lubi Ahmed. Zresztą jeśli masz obniżoną tempe-raturę ciała, to i tak nie wolno ci pić alkoholu.

- A mam?

- Nie wiem, ale nie zamierzam ryzykować.

Posłusznie popijałam herbatę, przypominając sobie dzieciaki, które kiedyś bawiły się tutaj w dom: Bethany... Sara... Cygus... Mandy ułożyła parę poduch na podłodze i usiadła obok mnie.

Benjy, który do tej pory ukrywał się pod stołem, wypełził ze swej kryjówki i usiadł przy niej.

- Ech, ty głupi pchlarzu, uważaj, gdzie pakujesz łapy - zaprotestowała, ale zaczęła głaskać psa po łbie.

- Długo się tu spotykacie? - spytałam.

- Masz coś przeciwko temu?

- Nic a nic.

- Bywamy tu, odkąd Ahmed przyjechał na lato do rodziny. Powiedziała nam o tym miejscu Liz Davison. Znalazła je któregoś dnia, goniąc za tym włochatym draniem. Twoja kuzynka Sara nie zawsze porządnie zamyka bramę.

- Sara?

- Ona też czasem zakrada się do domku. Miałam ci o tym powiedzieć, ale sądziłam, że już się sama domyśliłaś.

- Tak, to prawda. Ale powiedz mi... ty i Ahmed?

- Ahmed jest dobrym synem, który szanuje rodziców. Wie, jak bardzo ich zmartwi, gdy powie, że zamierzamy się pobrać... chociaż myślę, że jego brat już się tego domyślił... W każdym razie nie chcemy się nikomu rzucać w oczy. Nie dlatego, żeby oszukiwać, bardziej z uprzejmości.

- Z uprzejmości?

- Oboje wiemy, że już się nie rozmyślimy, postanowiliśmy więc poczekać z niepokojeniem rodziny Hussainów, aż Ahmed skończy studia.

- Ile mu jeszcze zostało?

- Dwa lata. W przyszłym miesiącu wraca na uniwersytet. Mamy nadzieję, że gdy zdobędzie dyplom i dostanie dobrą pracę, rodzina okaże mu szacunek i uzna jego wybór. A jeśli nie... no cóż...

- A co z tobą, Mandy?

- Och, mama i tata będą zachwyceni. Ahmed jest dobrą partią. Nie powiedziałam im tylko dlatego, że mama natychmiast roztrąbiłaby to po całym miasteczku.

- Pytałam, co z twoim wykształceniem?

- Hmm... Tylko nie wpadaj w kaznodziejski ton, Bethany. Myślę o tym. Ciepłej ci już?

- Troszeczkę. Ale powiedz mi, skąd wiedziałaś, że jestem w kaplicy. Chyba nie usłyszałaś z takiej odległości szczekania Benjy'ego?

- Widzieliśmy, że wychodzisz z domu. Byliśmy tutaj, jak zapaliłaś światło w tym pokoju, z którego prowadzą drzwi do ogrodu. Potem przemknęłaś przez ogród jak obłąkany duch...

- Duch?

- To przez tę koszulę. Przy księżycu widać ją na wiele mil. Tak ci się śpieszyło, że nawet nie zdążyliśmy zdmuchnąć świecy. Ale mimo to nas nie zauważyłaś, pognałaś w stronę ruin klasztoru...

Urwała, jakby chciała usłyszeć ode mnie jakieś wyjaśnienie, ale ponieważ milczałam, opowiadała dalej:

- Myśleliśmy, że może z kimś się umówiłaś. Przypuszczam, że masz ochotę powiedzieć to i owo temu dwulicowemu panu...

- Mandy, już ci mówiłam, że co do tego grubo się mylisz!

- Dobrze, dobrze. Więc tak sobie tylko pomyślałam, z sensem czy bez sensu, w każdym razie początkowo się tobą nie przejmovaliśmy. Bądź co bądź, mieliśmy tu wspaniałą orientalną potrawkę z kurczaka i masę przystawek. Ale przez całą kolację jednym uchem nasłuchiwałam, czy nie wracasz.

- To ładnie, że się o mnie zatroszczyłaś... - Ziewnęłam.

- Nie śpij, Bethany. Jak przyszła burza, zaczęłam się martwić. Ahmed sądził, że spotkaliście się z Gregiem na tym małym parkingu przy ruinach i gdzieś pojechaliście. Miało to sens, ale i tak się martwiłam.

- Wcale nie umówiłam się z Gregiem. Nie umówiłam się z nikim...

Znów spojrzała na mnie pytająco, ale wnet skwitowała moje milczenie wzruszeniem ramion.

- Tymczasem deszcz prawie przestał padać, więc namówiłam Ahmeda, żebyśmy rozejrzeli się po okolicy. Jak tylko wyszliśmy z ogrodu, usłyszeliśmy wycie Benjy'ego.

- Poczciwa psina...

Płomień świecy raz jeszcze rozbłysnął i zgasł na dobre. Teraz nasze schronienie oświetlał jedynie księżyc, którego blask sączył

się przez zakurzone szyby. Znowu ziewnęłam, powieki zaczęły mi opadać.

- Ej, przesun się trochę - poprosiła.

Podniosłam głowę. Nie zauważyłam, jak Mandy wstaje. Teraz spoglądała na mnie z góry.

- Po co? - spytałam.

- Chcę usiąść w fotelu.

- Och, przepraszam. Jestem okropna, że ci tego nie zaproponowałam. Kolej na ciebie... - Zaczęłam się gramolić z fotela.

- Przestań, głupia, bo plecy się odwiną.

- Ale...

- Usiądę obok ciebie... przytulimy się, dopóki Joe tu nie dojedzie... Nie jestem przekonana, czy się dostatecznie rozgrzałaś, więc służę własnym ciałem.

- Mandy... Nie wiedziałam, że tak bardzo...

- Daj spokój, Bethany. Połóż mi głowę na ramieniu.

Nagle obie zaczęłyśmy nerwowo chichotać, bo Benjy, widząc nową zabawę, zaczął drapać się na fotel na trzeciego. Mandy próbowała go zepchnąć, ale kiedy zorientowała się, że pies już wyszeł, pozwoliła mu zostać u mnie na kolanach. Nie ma to jak kudłate ogrzewanie.

Widocznie nadpłynęły chmury, bo nagle w letnim domku zrobiło się całkiem ciemno. To śmieszne, że w ciemności natychmiast zaczyna się mówić szeptem. I my też zaczęłyśmy.

Mandy zapytała mnie o moją pracę, potem powiedziała, że wzięła posadę w Gondoli, bo gdy skończyła szkołę, nie było żadnej innej, ale ostatnio zastanawia się nad uzupełnieniem wykształcenia. Zapisła się na kurs przygotowawczy w college'u w Newcastle.

- A potem? - spytałam.

- Potem zobaczymy - odrzekła.

Benjy zasnął i tylko od czasu do czasu włączał się do rozmowy cichym pochrapywaniem. Nagle uniósł głowę i obrócił ją ku drzwiom. Warknął.

Drzwi się otworzyły. Do domku wpadł promień światła latarki.

- Mandy? Jesteś tutaj? Co się dzieje?

Benjy zsunął mi się z kolan, wciąż powarkując. Dziewczyna wstała i chwyciła psa za obrozę.

- Dobry piesek, nie rób zamieszania. To jest swój. Czemu tak późno, Joe?

Brat Mandy nie protestował usłyszawszy, że na wyjaśnienia musi poczekać. Bez trudu wziął mnie na ręce i przeniósł przez ogród do domu. Zatrzymał się dopiero na pięterku, następnie, zgodnie z moją instrukcją, wszedł do sypialni i ułożył mnie na łóżku. Jak na swój wygląd, był zadziwiająco delikatny.

Potem Mandy wysłała brata na parter, żeby sprawdził, czy wszystkie okna i drzwi są dobrze pozamykane. W czasie gdy go nie było, przebrała mnie w piżamę i kazała mi się położyć.

- Zejdę na dół, zamienić kilka słów z Joe - powiedziała. - To nie potrwa długo. Benjy dotrzyma ci towarzystwa.

Pies wyciągnął się w nogach łóżka. Na różowej narzucie pełno było śladów jego łap. Nie za bardzo mi się to podobało, ale ciekawa byłam, co powie na to Betty.

Mandy wkrótce wróciła z dwoma kubkami herbaty.

- Po co to wszystko? - spytałam.

- Co takiego?

- No, sprawdzanie drzwi i okien.

- Chciałam mieć pewność, że będziemy w nocy bezpieczne.

- My?

- Zostaję na noc. Joe uspokoi mamę.

- Nie musisz. Już się czuję dobrze... Tak mi się zdaje...

Mandy uśmiechnęła się.

- Sama muszę się o tym przekonać. Ale martwi mnie co innego.

- Co?

Przestała się uśmiechać. Znowu zrobiła tę samą zaniepokojoną minę, którą zauważyłam u niej, gdy byliśmy w letnim domku.

- Nie wiem, Bethany, po co tak popędziłaś do tej kapielicy...?

- Zawiesiła głos z nadzieją, że może odpowiem. Zaraz jednak westchnęła. - Mniejsza o to. Może kiedyś będziesz mi chciała powiedzieć. W każdym razie wiem na pewno, że siedziałaś tam zamknięta nie przez zbieg okoliczności. Drzwi były zaparte solidnym głazem.

- Widocznie wiatr...

- Mogę się mylić, ale nie sądzę, żeby wiatr był w stanie poruszyć taki kamień. Musieliśmy się z Ahmedem dobrze napocić, żeby go odtoczyć.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Ktoś ten kamień tam zwałił. Ktoś, kto nie chciał, żebyś wyszła z kaplicy żywa.

Niebo było niebieskie i bezchmurne, a w powietrzu unosiły się aromaty splukanych deszczem traw i polnych kwiatów. Benjy'ego zajmowały bardziej przyziemne zapachy, prawdopodobnie pozostawione przez króliki, myszy i nornice. Z nosem przy ziemi przedzierał się przez wysokie trawy, w pośpiechu omijając stare groby. W ogóle nie sprawiał wrażenia, jakby zamierzał kiedykolwiek wrócić do domu, to znaczy do przyczepy.

Mandy została u mnie na noc. Była przekonana, że ktoś dybie na moje życie i że tym kimś jest Sara. Motyw miała oczywisty: chce zdobyć dla siebie Dune House.

Nie powiedziałam Mandy o innych niepokojących wypadkach, bo obawiałam się, że zleciłaby bratu stałą opiekę nade mną, instynktownie zaś wyczuwałam, że to tylko przedłużyłoby sprawę. Nie wiem dlaczego, ale spodziewałam się lada chwila dramatycznego rozwiązania.

Obiecałam jej jednak, że będę na siebie uważać. Wkrótce potem poszliśmy spać. Mandy pożyczyła ode mnie dres, bo chciała być przygotowana na wszelkie okoliczności, uparła się też, że będzie spała obok mnie, żeby móc sprawdzić, czy nie mam sensacji po silnym przemarznięciu.

Mimo że położyliśmy się bardzo późno, wstałyśmy wcześnie. Zjadłyśmy razem śniadanie, dopuściwszy do towarzystwa Benjy'ego, któremu na szczęście smakowały i płatki kukurydziane, i inne kąski podrzucane w trakcie posiłku. Potem Mandy poszła do pracy. Przed wyjściem wymogła na mnie obietnicę, że później do niej zadzwonię albo wpadnę.

Rano czułam się dobrze, chociaż nogi wciąż miałam poobcierane przez mokre dżinsy, a siniaki na ramionach świadczyły o nocnych zmaganiach z drzwiami kaplicy. Wziąwszy prysznic, włożyłam lekką plisowaną spódniczkę i luźną granatową bluzę z bawełnianej dzianiny. Potem wzięłam sportowe obuwie, zawołałam Benjy'ego i wyszłam na dwór.

Po burzy zrobiło się dużo cieplej. Od wielu dni nie było tak ładnej pogody, aż nie mogłam uwierzyć, że poprzedniego wieczoru omal nie umarłam z zimna. Zdaniem Mandy, przy lodowatym wietrze i deszczu przemarzłabym tak doszczętnie, że gdyby ona i Ahmed mnie nie znaleźli, to w końcu skuliłabym się gdzieś w kącie, zasnęła i więcej nie obudziła.

Twierdziła też, że nawet silny wiatr nie przywiałby głazu tej wielkości, tego jednak nie byłam pewna. Wydawało mi się, że był w stanie unieść nawet kawałki gruzu.

Postanowiłam przekonać się na własne oczy. Zostawiłam więc Benjy'ego, który z zapalem polował, robiąc przy tym tak wiele hałasu, że żadne rozsądne stworzenie nie pozwoliłoby mu się złąpać, i poszłam pod kaplicę.

Przed drzwiami, w miejscu gdzie trawa rosła rzadko, zobaczyłam

niewielką błotnistą kałużę. Trawa po obu jej stronach była zgnieciona, a gdy przyjrzałam się dokładniej, uznałam, że widzę ślad po kamieniu, który odtoczono za róg kaplicy, w stronę klasztornych ruin.

Tak przynamniej wyglądało to w moich oczach, zastanawiałam się jednak, czy nie widzę śladów dlatego, że, moim zdaniem, powinny tam być. Nie wiadomo, czy posterunkowi Robson i McKenzie też by je zobaczyli.

Mimo wszystko łudziłam się niedorzeczną nadzieją, że Mandy jest w błędzie. Przyjrzałam się fasadzie kaplicy, wypatrując świeżego uszkodzenia frontonu, ale kaplica nie miała frontonu. Była o wiele za stara na wyrafinowane ozdoby architektoniczne. Z wyglądzanej przez wiatr i deszcze ściany z pewnością nie odpadł ostatnio ani jeden kawałek.

Stwierdziłam też, że huragan nie mógłby spowodować przemieszczenia głazu spomiędzy grobów. Zresztą musiałyby zostać po tym jakieś ślady, tymczasem nie było nawet głazu.

Wyglądało więc na to, że przytoczono go celowo, a wczesnym rankiem odtoczono z powrotem. Ktoś z zimną krwią usunął dowód zamachu na moje życie. Gdyby zamach się udał, uznano by, że spotkał mnie wypadek: podczas burzy głupio się zachowałam, szukając schronienia w kaplicy, zamiast biec do domu...

Weszłam do środka. Słońce wpadało przez otwory okienne, a po deszczu zostało już tylko kilka niewielkich kałuż w zagłębieniach kamiennej posadzki. Nad trumnami unosiła się mgiełka z parującej wody.

Panował tu tak absolutny spokój, że nawet myśl o tym, jak przerażona byłam poprzedniego wieczoru, nie przejęła mnie dreszczem.

Kto inny przeżył poważny wstrząs. Musiał się zdumieć, gdy zastał rano otwarte drzwi i przekonał się, że ofiara uciekła. Jego ofiara. Mandy uważała, że Sara nie poradziłaby sobie z tym głazem, albo więc miała kogoś do pomocy, albo współnik załatwił wszystko sam.

Mój „wypadek w kaplicy” nie mógł być zaplanowany. Ktoś wykorzystał okazję, podobnie jak wtedy na drodze.

Pierwszy raz zaatakowano mnie przy świetle dziennym, drugi w nocy, Mandy twierdziła jednak, że w cytrynowej koszuli, którą miałam na sobie wieczorem, było mnie widać jak na dłoni. Łatwo mógł mnie zauważyć ktoś, kto akurat przechodził... kto chodził po okolicy regularnie... na przykład z psem...

Jak na zawołanie, Benjy zaczął szczekać. Usłyszałam męski głos.

- Cześć, piesku. - Szczekanie było coraz głośniejsze. zorientowałam się więc, że mężczyzna z psem idą w moją stronę.

Teraz nagle ogarnęło mnie przerażenie. Rozejrzałam się szybko po kaplicy, choć odruch był wyjątkowo głupi. Dobrze wiedziałam, że nie ma stąd innego wyjścia jak przez drzwi. Zaczęłam się powoli cofać, aż w końcu poczułam za plecami ścianę. Odwróciłam głowę ku drzwiom. Do kaplicy wpadł w podskokach Benjy, a za nim wszedł Greg.

Zrobiłam mały kroczek przed siebie i uśmiechnęłam się z ulgą, Greg potraktował to jak powitanie i szybko zbliżył się do mnie.

- Witaj. Właśnie zamierzałem cię odwiedzić, więc bardzo się cieszę z tego spotkania.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Przecież mieliśmy umowę, że się zobaczymy po powrocie z Londynu.

- To ty tak powiedziałaś.

- O co ci chodzi, Bethany? Co cię nagle tak zmroziło? Przyślągbym, że jak wszedłem, to się ucieszyłaś na mój widok.

- To ty powiedziałaś, że się zobaczymy po powrocie z Londynu. Nie ja.

- Nie rozumiem... Och, już wiem. Powiedziałaś mi przez telefon, że też jedziesz do Londynu. Liczyłaś pewnie, że tam się zobaczymy... O to ci chodzi, prawda?

Nie mogłam zaprzeczyć, stałam więc bez słowa, bardzo starając się nie wyglądać jak nadąsane dziecko.

- Bethany, skarbie... - Podszedł jeszcze kilka kroków i wziął mnie w ramiona. - Przepraszam cię. Zawsze byłem samotnikiem. Trudno mi się dostosować do ludzi... Jeśli nie wierzysz, spytaj mojej matki. - Musnął moje wargi, jakby chciał skosztować ich smaku. - Pracowałem... Zapomniałem o bożym świecie, ale przecież powinienem był wiedzieć...

Tym razem pocałował mnie naprawdę. Poczułam za plecami zimną ścianę. Odsunęłam się od niej, przywierając do Grega. W końcu wydało mi się, że nie ma już miejsca, w którym nasze ciała by się nie stykały.

Poczułam, że drzę, ale ten dreszcz nie miał nic wspólnego z fałdą tęsknoty i pragnienia, która nagle mnie załapała. W moim wnętrzu odzywało się coś zupełnie innego. Wreszcie konflikt uczuć stał się zbyt gwałtowny. Cofnęłam się, na ile mogłam.

- Greg, nie...

- Co ty? Płaczesz? - Czułe pocałował mnie w załzawiony policzek. - Czy cię skrzywdziłem?

- Nie... ale musimy o czymś porozmawiać.

Zrobił krok do tyłu i przez chwilę mi się przyglądał, żywo czymś zaniepokojony.

- Co się stało, Bethany?

- Sara nie chce, żebyś mi o czymś powiedział. O czym?

- Skąd... skąd...?

Tak zdębiał, że aż się uśmiechnęłam, choć bałam się tego, co za chwilę usłyszę.

- Moja przyjaciółka podsłuchiwała przedwczoraj waszą rozmowę w Gondoli.

- Rozumiem. - Minę miał wisielczą.

- Greg?

- Nie tutaj. Chodźmy gdzieś, gdzie można spokojnie usiąść. Mam samochód na parkingu...

- Nie, nie w publicznym miejscu. Chodźmy do domu.

Skinął głową, więc opuściliśmy kaplicę i poszliśmy w stronę Dune House, który stał się już moim domem. Nie miałam zamiaru

z niego zrezygnować, bez względu na to, jak ułożą się sprawy między nami.

Nagle Greg otoczył mnie ramieniem i dalej szliśmy razem, jakby było to całkiem naturalne. Zdziwiłam się, ale zabrakło mi siły woli, żeby się od niego odsunąć. Wydawało mi się, że pasujemy do siebie, mimo że dzieliło nas wiele nierozwiązanych problemów.

Benjy, bynajmniej niewołany, wypadł zniecacka kilka kroków przed nami i stanął, czekając, aż do niego podejdziemy.

Greg się roześmiał.

- Chyba niechcący postarałem się o psa.
- To jest Benjy. Nie pusz się z jego powodu, bo on ma bardzo zmienną naturę.
- Znasz go?
- Tak, to jest pies... z kempingu. Pewnie będę musiała go tam później odprowadzić.

Dziwiło mnie, że Liz Davison jeszcze nie szuka Benjy'ego. Na ile się orientowałam, włóczył się samopas już kilkanaście godzin. Przy kaplicy zjawił się chyba około północy i pewnie to jego widziałam wcześniej w świetle księżyca. Chwilowo jednak miałam inne zmartwienia na głowie.

Poszliśmy do kuchni. Zaparzyłam kawę, a Greg przeszukał spiżarnię i znalazł blachę, na której leżało kilka bułeczek z rodzynkami, dzieło Betty. Potem usiedliśmy naprzeciwko siebie przy stole.

- Prawie od razu zdałem sobie sprawę, że pamiętasz niewiele, a może nawet prawie nic z... - zawahał się, zrobił bardzo tęgą minę - ... z tamtego lata.

Nie tego się spodziewałam. Ale może zamierzał dojść do sedna określną drogą.

- Mówisz o lecie tego roku, w którym zmarła moja matka?
- Tak.
- Byłeś tu wtedy, prawda? Razem z matką mieszkaliście na kempingu.
- Tak. Wtedy dużo podróżowaliśmy. Moja matka była

piosenkarką, dostała angaż na cały sezon w letnim teatrze w Seatoncliffe. Teraz ten teatr już jest nieczynny...

Nie wiem, co mnie do tego skłoniło, ale spytałam:

- A twój ojciec?

- Zdaje się, że nie był nam potrzebny. - Uśmiechnął się kwaśno. - Moja matka nie chciała być związana małżeństwem. W swoim czasie nawet mu nie powiedziała, że jest w ciąży.

- Przykro mi.

- Nie ma powodu. Mieliliśmy bardzo ciekawe życie. W końcu zresztą poznałem ojca. Nawet znaleźliśmy wspólny język. Kiedyś grywał na klawiszach w różnych zespołach, teraz ustatkował się, ma żonę i dzieci, uczy muzyki. Ale wiesz, Bethany, wtedy...

- Znałam cię wtedy? - przerwałam mu. - Czy byliśmy przyjaciółmi?

- Nie. - Powiedział to z nagłym chłodem w głosie, nieznacznie wykrzywając wargi. - Najczęściej byłem zdany na samego siebie. Po kempingu kręciły się wprawdzie inne dzieciaki, ale dużo młodsze ode mnie. Mniej więcej w tym samym wieku był tylko Paul Mitchell, syn właściciela, ale on był za bardzo zajęty... no, swoimi przyjaciółmi. Mną się nie interesował.

- Był zajęty Sarą. Zobaczyliśmy go któregoś dnia, bawiąc się na plaży. Był śniady, opalony, przystojny. Sarę zafascynował...

Greg spojrział na mnie z wielką uwagą.

- Pamiętasz to?

- Właśnie sobie przypominałam.

Mieszkaś w przyczepie? To na pewno jesteś Cyganem!

- Nie jestem!

- Jesteś. Będę cię nazywać Cygus!

Paul nienawidził tego przezwiska, ale zamiast wypiąć się na nas, został wiernym niewolnikiem Sary.

Bethany! Wróć!

- Co?

Greg patrzył na mnie trochę rozbawiony, a trochę zatroskany.

- Wydawało mi się, że jesteś bardzo daleko.

- Bo widzisz, odkąd tu przyjechałam, przypominają mi się różne rzeczy... strzępki przeszłości... pewnie dlatego, że wszystko tu się zaczęło... w Londynie mogłabym sobie tego nie przypomnieć.

- Czy twój ojciec nic ci nie opowiedział? W ogóle nic?

- Nie.

- Tak sądziła Sara. Podobno jak tylko się spotkałyście, zauważyła, że w ogóle nie wiesz, co się zdarzyło tamtego lata...

- Nie tylko wtedy - przerwałam mu. - Udało mi się zapomnieć wszystko z pierwszych siedmiu lat życia!

Greg spojrział na mnie współczująco, ale gdy uznał, że ten wybuch nie będzie miał następstw, podjął wątek:

- Zdaniem Sary, twój ojciec postępował tak, żeby cię chronić, gdy więc usłyszała, że cię poznałem, powiedziała, że lepiej zostawić wszystko bez zmian.

- Ale dlaczego? Dlaczego, u diabła, Sara miałaby chcieć, żeby było mi źlej? - Musiało to zabrzmieć bardzo gorzko, bo Greg spojrział na mnie zdezorientowany. Przysięgłabym, że szczerze.

- Z życzliwości? - podsunął.

- Niemożliwe.

- Wobec tego naprawdę nie wiem.

- Ale wciąż jeszcze nie wyjaśniłeś mi, w jaki sposób zeszlście się wczoraj z Sarą w kawiarni.

- Poznała mnie prawie natychmiast, gdy przyjechałem do Setoncliffe. Zobaczyła, jak idę do hotelu, bo jej matka mieszka w sąsiednim budynku. Kiedy usłyszała, że jesteśmy ze sobą w kontakcie, odszukała mnie.

- Jak cię poznała?

- Poza tym że urosłem, no i, mam nadzieję, przybyło mi trochę

na wadze, nie zmieniłem się bardzo przez te czternaście lat.

- Powiedziałeś przecież, że nas wtedy nie znałeś.

- Powiedziałem, że nie znałem ciebie. Z Sarą czasem się stykaliśmy. Miała zwyczaj włóczyć się po kempingu z Paulem, no i wiedziała... wiedziała...

- Co wiedziała?

Nagle wyciągnął rękę nad stołem i ujął moje dłonie.

- Wiedziała, że mam związek z tym, co stało się w dniu, w którym utonąła twoja matka.

Oczywiście, nie mogło być inaczej. Greg wiedział coś, co mogłoby mnie zranić, podobnie jak znała tę tajemnicę Sara, a być może i inni ludzie.

- Wolę, żebyś mi powiedział. To lepsze niż domyślanie się.

- Zgoda. - Mocniej ścisnął mi dłonie. - Ale mogę ci powiedzieć tylko tyle, ile widziałem. Byłyście z matką na wyspie... - Urwał. Patrzył mi w oczy, jakby oczekiwał reakcji, ale nic z tego, co mówił, nie budziło u mnie skojarzeń. Widział kobietę rozmawiającą z dzieckiem na wyspie, podobno moją matkę i mnie. Chciałam mu wierzyć, ale czułam się tak, jakby opowiadał mi o zupełnie obcych ludziach.

- I nagle ty... twoja matka przewróciła się i wpadła do morza...

- Bethany!

Natychmiast cofnęłam ręce i wstałam z krzesła.

- Co się stało? - spytał Greg, zrywając się z miejsca. - Przypominasz sobie coś? Pamiętasz, jak matka wpadła do wody?

- Nie... nie... - Pokręciłam głową. - Nic takiego...

Ale przez ułamek sekundy miałam wrażenie, że Greg nie powiedział mi całej prawdy.

Czas znowu zaczął się cofać. Słyszałam mewy, czułam słony zapach w powietrzu, widziałam... widziałam...

Ale coś się zacięło w tym mechanizmie i wkrótce wróciłam do rzeczywistości. Prawda, której przez chwilę byłam bliska, odpłynęła w dal. Bezradnie spojrzałam na Grega.

Obszedł stół i wziął mnie za ramiona.

- Widziałem jeszcze, jak biegniesz, i straciłem cię z oczu. Twoja matka była w morzu, ty gdzieś na wyspie, a ja wiedziałem, że wkrótce zacznie się przypliw. Musiałem sprowadzić pomoc. Pobiegłem po twojego ojca.

- Po mojego ojca? Ale jak? Czy pobiegłeś do Dune House?

- Nie. Chyba musisz się tego w końcu dowiedzieć. Twój ojciec był w naszej przyczepie.

- W waszej...?

- Z moją matką.

- Z twoją matką...

Nareszcie coś się wyjaśniło. Mój ojciec miał romans z matką Grega.

- Chyba znowu usiądę - powiedziałam.

Greg zrobił mi jeszcze kawy, a Benjy podszedł i położył mi łeb na kolanach. Popatrzył na mnie z uczuciem i nagle usłyszałam, że szepczę:

- Cieszę się przynajmniej, że to nie była ciotka Deirdre.

- Słucham? - Greg stał nade mną z kawą.

- Och, nieważne. - Westchnęłam. - Proszę cię, powiedz mi, co się stało potem.

- Moja matka pobiegła zadzwonić na policję, a twój ojciec pognał prosto na wyspę... Przyglądałem się temu z brzegu... Przypliw już zaczynał zalewać groble...

Greg przysiadł na krawędzi stołu, tuż obok mnie, ale nie chciałam na niego patrzeć, wzrok miałam wbity w kawę.

- Po twojej matce nie było już śladu, ale wezwano straż przybrzeżną i służby ratownicze z helikopterami. A twój ojciec znalazł ciebie. Byłaś w jaskini, na drugim końcu wyspy. Przewróciłaś się i noga uwięzła ci w szczelinie między skałami.

- Moja prawa stopa...

Bethany! Gdzie jesteś?

- Tutaj, tato, tutaj!

Nie mogłam się poruszyć, nie mogłam uciec, mewy wrzeszczały przeraźliwie, a fale rozbijały się coraz bliżej...

Przybływ zbliżał się bardzo szybko. Twój ojciec zdążył po ciebie w ostatniej chwili. Z powrotem musiał już biec.

- Powiedział mi, że już jestem bezpieczna i że mam teraz zapomnieć...

- To prawda. A po tym, co od ciebie usłyszałem, sędzę, że resztę życia poświęcił na to, żeby ułatwić ci zapomnienie.

- A... a twoja matka?

- Wiedziała, że tego dnia wszystko się skończyło. Śmierć twojej matki zawsze byłaby między nimi. Nie znieśliby poczucia winy.

- Winy?

- Twój ojciec był z moją matką, wtedy gdy powinien się opiekować Helen.

- No tak, rozumiem. Więc wyjazd ze mną i te starania, żebym wszystko zapomniała, były formą zadośćuczynienia.

- Można tak na to spojrzeć.

Przez chwilę wpatrywałam się w stół, bezmyślnie targając za uszy Benjy'ego. Dlaczego wciąż miałam poczucie, że Greg jeszcze wszystkiego mi nie zdradził? Za dużo się wahał podczas opowiadania. Czy po prostu bał się powiedzieć, że w chwili tragedii byłam razem z matką, czy też było coś jeszcze, na wyjawienie czego nie mógł się zdobyć?

Nagle znów ujął moje dłonie.

- Bethany...

- Słucham.

- Jeśli kiedykolwiek przypomnisz sobie wszystko, co się wtedy zdarzyło, to chcę, żebyś wiedziała, że się zmieniłaś... że wszyscy się zmieniliśmy po tym wypadku. Nikt z nas nie pozostał tym samym człowiekiem.

- Dziwne, że mi to mówisz. O co ci chodzi?

- Tylko o to, że mogłabyś mieć poczucie winy.

- Ale dlaczego?

Greg namyślał się przez chwilę, jakby szukał odpowiednich słów, a potem rzekł:

- Przede wszystkim, dlatego że byłaś wtedy na wyspie, poza tym, dlatego że przeżyłaś, a twoja matka nie... z ludźmi tak jest, wiesz...

- Rozumiem. - Ale tak naprawdę nie całkiem rozumiałam.

- Czy... czy chcesz mnie o coś zapytać?

- Tak. Czy kiedy postanowiłeś tu przyjechać, żeby przygotować program o klasztorze, to wiedziałeś, że zastaniesz Sarę w Seatoncliffe?

Tego pytania zupełnie się nie spodziewał. Spojrzał na mnie ze zdumioną, a może nawet wstrząśniętą miną.

- Nie, bo skąd? Tamto zdarzyło się już bardzo dawno.

- Więc co cię tutaj ściągnęło?

- Już znasz odpowiedź. Opowiedziałem ci przecież, jak znalazłem stary manuskrypt w katedralnej bibliotece. To był czysty przypadek.

Czy spodziewałeś się spotkać kogoś znajomego?

- Co do ciebie, wiedziałem, że wyjechałaś razem z ojcem. Poza tym jako dziecko miałem bardzo mgliste wyobrażenie o tutejszych rodzinnych układach. Liczyłem się więc z tym, że i twoja babka się stąd wyprowadziła.

- Ale babka niedawno zmarła.

- Tego dowiedziałem się dopiero na miejscu.

- I prawie natychmiast spotkałeś mnie i Sarę, i Paula...

- Paula jeszcze nie spotkałem, ale niewykluczone, że wkrótce będę musiał.

- Po co?

- Jak zaczniemy pracę nad filmem, jego przyczepy przydadzą się na mieszkania dla ekipy. Dla takich zatwardziałych grzeszników jak my drogie hotele są poza zasięgiem. Z góry zapowiedziałem ekipie, że budżetem nie mogę konkurować z BBC.

Celowo starał się rozładować atmosferę. Byłam mu za to wdzięczna.

- Skoro mowa o zatwardziałych grzesznikach, to czas, żebyśmy

odprowadzili tego czworonoga do jego prawowitego pana. Benjy należy do Paula Mitchella. Chcesz iść ze mną?

- Chętnie bym poszedł, ale umówiłem się w Newcastle w sprawie studia. I muszę sprawdzić, czy na uniwersytecie ktoś nie prowadzi badań, o których dotąd nie wiem. - Spojrzał na zegarek. - O, właśnie. Na mnie najwyższy czas.

- Ojej.

Chyba musiałam zrobić bardzo rozczarowaną minę, bo nagle uśmiechnął się od ucha do ucha.

- A może pojedziesz ze mną? Spędzimy razem ten dzień. Pokażę ci przygotowania do pracy ekipy filmowej. Możemy nawet wygospodarować sobie przerwę i znaleźć jakąś miłą knajpkę na nabrzeżu, gdzie dają dobrze zjeść.

- Chętnie bym pojechała, ale muszę odprowadzić Benjy'ego. Trochę się o niego martwię, nie mogę go zostawić własnemu losowi.

- Zgoda. Wobec tego zadzwonię do ciebie zaraz po powrocie, nawet jeśli będzie bardzo późno.

Benjy i ja odprowadzaliśmy go do drzwi. Przy stoliku w sieni przystanął i nabazgrał coś na małej kartce.

- Proszę, to jest mój numer telefonu. Zatrzymałem się w hotelu Bay... O, co ja takiego zrobiłem, że na to zasłużyłem? - spytał, gdy go pocałowałam.

- Kiedyś może ci powiem.

Słońce stało wysoko, niebo było błękitne i bezchmurne. Postanowiłam iść na przelaj, przez teren za klasztorem, i wyjść na drogę prowadzącą na kemping, żeby uniknąć chodzenia po klifach.

Wzięłam Benjy'ego na zaimprovizowaną smycz z paska od sukienki, przewleczonego przez zaczep obroży. Psu bardzo się to nie spodobało. Zależało mi na tym, żeby ten młodociany przestępca nie uciekł, on jednak potraktował to jak zamach na swoją godność. Albo ciągnął mnie naprzód z taką siłą, że omal nie wyrwał mi ramienia, albo znienacka przystawał i spoglądał na mnie z

wielkim wyrzutem, a ja musiałam wtedy gwałtownie hamować, żeby nie upaść.

- Psa trzeba wychować - mówiłam wtedy, starając się mieć surową minę. Natychmiast jednak psułam efekt tej reprimendy, bo gdy przekrzywił łeb, jakby próbował mnie zrozumieć, nie mogłam powstrzymać śmiechu.

Żałowałam, że nie poszedł ze mną Greg, z drugiej jednak strony czułam, że muszę rozmówić się z Pauliem sama. Na pewno przeżył ciężki zawód i dumal teraz, w jaki sposób wydostałam się z kaplicy. Chciałam zobaczyć, jak zareaguje na mój widok.

Nie miałam pojęcia, co właściwie powiem. Zamierzałam jednak dać mu do zrozumienia, że „mam coś na niego”; brzmiało to jak wyrażenie z tandetnego filmu kryminalnego. Oprócz tego chciałam mu jednak powiedzieć, że powiadomiłam policję o wypadku na klifach, a posterunkowy McKenzie wpisał sprawę do komputerowego rejestru. I że zaprzyjaźnieni policjanci obiecali mieć na mnie oko.

Co innego mogłam zrobić? Nie sądziłam, by starczyło mi odwagi na postawienie pytania wprost: „Czy ty i Sara próbujecie mnie zabić?”

W biały dzień wydawało się to czystą abstrakcją. Zamiast martwić się ostatnimi wydarzeniami i bać o siebie, rozkoszowałam się słonecznym ciepłem. Prawdę mówiąc, było mi cudownie. Wydawało mi się, że doszliśmy z Gregiem do porozumienia. A wszystko z powodu kilku cyfr nabazgranych na karteczce.

Nie było żadnych ostrzegawczych sygnałów. Nie było niepokojącej muzyki, jak w filmie. Nie było wycia syren, pewnie ucichły na długo przed moim przyjściem.

Na ostatnim odcinku drogi, tuż przed kempingiem, zwolniłam kroku. Zobaczyłam ludzi kręcących się wokół basenu. Ludzi w mundurach. Basen był otoczony biało-niebieską taśmą, tak jak widuje się w telewizyjnych migawkach z miejsca wypadku, akcji terrorystycznej albo zbrodni.

W tym wydzielonym obszarze mężczyzna o wyglądzie lekarza

klęczał przy noszach. Nie widziałam jednak, kto na nich leży, ponieważ tłoczyli się tam również inni ludzie. Miałam nadzieję że żadnemu z dzieci, które widziałam niedawno w basenie, nie stało się nic poważnego, ale sytuacja nie wyglądała dobrze.

Przy drugim końcu basenu, już za taśmą, zgromadził się tłum gapiów. Dwaj mężczyźni, policjant i pracownik kempingu, ubrany w charakterystyczną jaskrawoczerwoną bluzę, odpowiadali na pytania ludzi, a jednocześnie usiłowali ich namówić do cofnięcia się o kilka kroków.

Postawna kobieta o farbowanych włosach i z mnóstwem biżuterii kłóciła się z policjantem. Słyszałam jej zgrzytliwy głos, chociaż nie rozróżniałam słów. Przy każdym energicznym geście, trzęsła bransoletami na ramionach.

Jeden z policjantów, stojących bliżej mnie, odwrócił się i zobaczył, że nadchodzę. Ruszył w moją stronę, jakby chciał mnie zatrzymać, ale przeszkodziła mu w tym Liz Davison.

- Nie! - zawołała. - To jest jego znajoma... o, niech pan spojrzy, idzie z Benjy!

Policjant zawahał się, a tymczasem dopadła mnie Liz. Twarz miała spuchniętą od płaczu.

- Liz, co się stało, na Boga?

- Paul... - wyszlochała. - Nie żyje. Znaleźli jego ciało w basenie.

Liz, czy wiesz, co się stało?

Siedzieliśmy w przyczepie Liz Davison, pijąc herbatę z wielkich kubków. Benjy usadowił się pod stołem i na szczęście zasnął. Słońce wpadało przez duże, zaokrąglone okna, jakby na przekór naszemu nastrojowi. Grzało nas jednak, mogliśmy więc spokojnie porozmawiać. Liz trochę się uspokoiła.

Opowiedziała mi, że wczesnym rankiem zbudził ją łomotaniem do drzwi Steven, młody człowiek odpowiedzialny za czyszczenie basenu. Ledwie mógł zbudować jakieś sensowne zdanie,

na szczęście jednak wykazał dość rozsądku, by najpierw zatelefonować na policję. Zanim Liz zjawiała się przy basenie, byli już tam moi znajomi, Mac i Rob, i właśnie wzywali posiłki przez radiotelefon.

Wkrótce potem na kempingu zaroilo się od policjantów, umundurowanych i w cywilu. Była też ekipa medyczna.

- Muszą zdecydować, czy to był wypadek, czy nie - tłumaczyła mi Liz. - Tymczasem uważają, że raczej wypadek, ale potrzebują jeszcze wyników sekcji... Och, Bethany, gdybym na niego poczekała, może by tego nie zrobił!

- Przykro mi, Liz, ale nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz.

Znów wybuchnęła płaczem i przez dłuższą chwilę nie była w stanie nic z siebie wydusić.

- Czego nie zrobiłby Paul? - spytałam w końcu.

- Nie wypiłby za dużo. Ta zarozumiała krowa tak mu namąciła w głowie, że siedział w barze i przez parę godzin nic nie robił, tylko zalewał robaka.

- Czy chcesz powiedzieć, że Paul wpadł do basenu i utonął, bo był pijany?

- Tak musiało być. Wracał do swojej przyczepy... Czy wiesz, że nawet nie zamknął za sobą baru? To cud, że nic nie zginęło... No i jak szedł, to potknął się o tę przeklętą tyczkę i wpadł do wody.

- Tyczkę?

- Tak, tę z siatką na końcu. Steven wyciąga nią śmiecie z basenu. Zawsze mu mówię, żeby nie rzucał jej gdzie popadnie.

- Czekaaj, czekaaj, Liz. Nie powiedziałaś mi jeszcze, kto wczoraj tak zdenerwował Paula.

- Sara.

Wiedziałaam to z góry. Któż by jak nie ona? Ale żeby wyjaśnić incydent z kaplicą, musiałam dowiedzieć się więcej. Nalałam Liz następny kubek herbaty.

- Co ona mu powiedziała?

- No... przyszedłam w środku... Chciałam powiedzieć Paulowi

dobranoc i zapytać o zdrowie ojca... - Urwała i zmarszczyła czoło.

- Co się stało?

- Nic takiego... Tylko że zwykle Paul zaraz po przyjściu ze szpitala zaglądał do mnie i mówił mi, co słyhać u ojca, a wczoraj tego nie zrobił.

- Czy to znaczy, że nie wiesz, o której godzinie wrócił na kemping?

- To wiem. Pracowałam na drugiej zmianie i właśnie zamykałam recepcję, kiedy zobaczyłam jego samochód. Ale do mnie nie zajrzał.

- Czyli potem mógł jeszcze wyjść z kempingu, na przykład na spacer z Benjym?

- Chyba tak. Poszłam do siebie, ale byłam niespokojna. Paul raczej nie zapominał powiedzieć mi dobranoc, to było do niego niepodobne. No, i w końcu poszłam... - zawahała się, sprawiała wrażenie zmieszanej - ...poszłam do jego przyczepy. Nie było go. Ale wracając, zauważyłam uchylone drzwi baru.

- Więc weszłaś, ale przystanęłaś, kiedy usłyszałaś jego klótnię z Sarą. Liz, czy to było, zanim zaczął padać deszcz, czy deszcz już padał?

- Już po najgorszej burzy, więc na pewno minęła północ. Ale czy to ma jakieś znaczenie?

- Właściwie nie. Próbuję tylko wyobrazić sobie okoliczności... zrozumieć, dlaczego zwyczajnie nie położył się spać... domyślić się, w jakim był nastroju, wiesz...

Biedna Liz uwierzyła w to kłamstwo.

- Rozumiem. Myślisz, że mógł być przygnębiony... że martwił się ojcem?

- Na przykład.

- Nie, nie chodziło o ojca. To miało coś wspólnego z Sarą. Chciałam mu tylko powiedzieć dobranoc. Stałam przy wewnętrznych drzwiach w barze, bo usłyszałam, że krzyczy. Powinam natychmiast zawrócić, ale nigdy dotąd nie słyszałam, żeby podniósł na nią głos, więc...więc...

- Zostałaś posłuchać. Nie przejmuj się, Liz. To zupełnie

naturalna ciekawość. - Omal nie dodałam: „zwłaszcza kiedy ktoś jest zakochany”, ale w porę ugryzłam się w język. Tylko by się znowu rozpląkała. - Więc o co się kłócili?

- Nie miało to za wiele sensu. Ale jedno jest pewne. Ojcem dziecka, którego spodziewa się Sara, nie jest Paul. Och, przepraszam, pewnie nawet nie wiedziałaś, że Sara jest w ciąży.

Liz źle zinterpretowała moją zszokowaną minę, a ja nie miałam zamiaru zdradzać jej, że Mandy już mnie wtajemniczyła. Spytałam więc:

- Jesteś tego pewna?

- Tak. A Paul dopiero co się dowiedział. Ojciec powiedział mi o tym w szpitalu.

- A skąd wiedział ojciec Paula?

Zadając to pytania, już znałam odpowiedź. Miałam wreszcie informację, której szukałam od tylu dni. A mimo to jeszcze nie wszystko do siebie pasowało.

Widząc, jak kłóci się z policjantami, nie poznałam jej, bo lata zrobiły swoje. Szczupła, elegancka kobieta miała teraz nadwagę i ubierała się bardzo niegustownie. Tylko głos pozostał ten sam. Gdybym się skupiła, usłyszałabym jej zrzędlivy, wysoki głos, niesiony przez echo dawnych lat.

- Powiedziała mu żona. Przecież jest matką Sary. Musiała się domyślić prawdy jeszcze przede mną.

A więc ciotka poślubiła ojca Paula. To się zgadzało z informacją, że Deirdre wróciła z Hiszpanii, bo jej mąż trafił do szpitala.

Zaczęło mi świtać jeszcze coś innego związanego z przeszłością, nie mogłam jednak sobie wyraźnie uświadomić, co to takiego.

- Właśnie dlatego Paul był zły. Bo ojciec powiedział mi o Sarze, nie rozumiesz? - Liz położyła dłonie na stoliku i pochyliła się ku mnie.

- Rozumiem, rozumiem. Paul zawsze kochał Sarę, w dzieciństwie też.

- Tego nie wiem, w każdym razie Paul nagle wykrzyknął:

„Jaki ze mnie był głupiec. To on... Poznałaś go w Hiszpanii, prawda?”. Chyba takich słów użył.

- W Hiszpanii?

- Tak. Sara milczała, a Paul powiedział, że teraz rozumie, dlaczego tak się śpieszyła do Anglii. - Liz zmarszczyła czoło. - Z tego, co mówił potem, już nic nie rozumiałam. Aha, było coś o tobie...

- O mnie?

- Tak. Paul powiedział, że wprawdzie zawsze ją krył, ale skoro Bethany wróciła, to on się postara, żeby im to nie uszło na sucho. Nie mam pojęcia, o co mu chodziło. Może miało to jakiś związek z tym, że jesteście z Sarą kuzynkami...

Nie musiałam nic wyjaśniać, bo Liz nagle urwała i wytrzeszczyła oczy. Patrzyła w okno za moimi plecami. Skuliła się i kurczowo zacisnęła palce na krawędzi stołu. Odwróciwszy się, zobaczyłam ambulans, wyjeżdżający z kempingu, a za nim wóz policyjny. Przez moment siedzieliśmy w milczeniu, potem Liz westchnęła i wyprostowała się.

- Liz, przepraszam, że tak cię wypytuję, ale czy to już wszystko? - spytałam po chwili. - Czy już nic więcej sobie nie przypominasz z wczorajszego wieczoru?

- Jeszcze coś. Paul powiedział jej, że traci czas... Traci czas, bo on nie będzie mówił, że spędzili tę noc razem, więc niech Sara lepiej zrezygnuje z tego, co zaplanowała. Wtedy już nie krzyczał, wydawał mi się bardzo pijany. Dłużej nie podsłuchiwałam, poszłam do siebie.

Biedny Paul. Byłam w grubym błędzie sądząc, że to on pomaga Sarze organizować zamachy na moją osobę. Co więcej, odmową współudziału prawie na pewno wydał na siebie wyrok śmierci.

Sara musiała przyjść do niego po alibi, na wypadek gdyby moja spodziewana śmierć w kaplicy wzbudziła podejrzenia. Paul się nie zgodził, nie wiedział jednak, że już jestem uwięziona w pułapce.

Co wobec tego zrobiła Sara? Paul już ledwie trzymał się na nogach. Czy czekała na niego w pobliżu, aż będzie szedł do siebie, i

przewróciła go albo pchnęła tak, żeby wpadł do basenu?

Upozorowała nieszczęśliwy wypadek, podobnie jak przy okazji śmierci mojej babki. Staruszkę, wywabioną z łóżka w środku nocy, łatwo było zepchnąć ze schodów. Nie miałam pojęcia, jak to się stało, ale nie wątpiłam, że wyobraźnia mogła Sarze podsunąć jakiś szatański plan.

Ale Paul był młodszy i silniejszy. Nawet jeśli zataczał się po pijanemu, Sara prawdopodobnie potrzebowałaby pomocy. Czyjej? Bałam się odpowiedzi na to pytanie. Mógł być to tylko jeden człowiek, ten, który konspirował z nią już wcześniej. Człowiek, którego spotkała w Hiszpanii: Greg Randall.

- Bethany? Dobrze się czujesz? - Liz wpatrywała się we mnie z uwagą. Na twarzy miała jeszcze czerwone plamy od niedawnego płaczu, a w jej niebieskich, pełnych życzliwości oczach czaił się popłoch. - Zbladłaś jak ściana. - Nagle głośno zaczerpnęła tchu i przytknęła dłoń do ust.

- Och, przepraszam cię! Przecież znaliście się z Paulem jeszcze z dzieciństwa. Tyle lat... Powinnam pomyśleć, że będziesz wstrząśnięta!

Na szczęście nie musiałam wyjaśniać prawdziwej przyczyny mojego wstrząsu. Liz przyjęła za pewnik, że poruszyła mnie śmierć człowieka, którego lubiłam. I wtedy uświadomiłam sobie, że ja go naprawdę lubiłam. Gdy jeszcze byliśmy mali, Ignęłam do niego i choć byłam wtedy dzieckiem, oburzał mnie sposób, w jaki traktowała go Sara.

Ale po powrocie do Seatoncliffe moja sympatia do Paula nie odżyła. Przeszkodziło w tym podejrzenie, że to on jest współnikiem Sary. Oj, wiele miała na sumieniu ta moja kuzynka.

Liz była wyraźnie zmartwiona i wystraszona.

- Bethany, tak mi przykro. Myślałam tylko o swoich uczuciach...

- Nie przejmuj się, Liz. Masz święte prawo go żałować. - Powinnam jeszcze dodać, że ja nie czuję żalu, ale nie potrafiłabym

jej tego wyjaśnić. - Wiesz, chciałabym cię jeszcze o jedno spytać.

- Proszę bardzo, pytaj.

- Co z Benjym? Czy pies był w przyczepie, kiedy zajrzałaś do Paula wczoraj wieczorem?

- Nie, bo szczekałby, jak pukałam do drzwi. Sądziłam, że jest z Paulem. Po zamknięciu baru często brał tam psa ze sobą. A dziś rano, kiedy... kiedy znaleziono Paula w basenie, zupełnie zapomniałam o tym biedaku. Przypomniało mi się, dopiero jak zobaczyłam was razem.

- To znaczy, że pies musiał wieczorem uciec.

- Chyba tak. Och, Bethany, gdyby Benjy umiał mówić... Mógłby nam powiedzieć, co się naprawdę stało.

W tej chwili labrador przebudził się warcząc. Początkowo myślałam, że zareagował na dźwięk swojego imienia, zaraz jednak rozległo się energiczne stukanie do drzwi. Zanim Liz zdołała odpowiedzieć, drzwi się otworzyły i do przyczepy wtargnęła ciotka Deirdre.

Zobaczyła nas obie, ale odezwała się wyłącznie do Liz:

- Ach, więc tutaj jesteś. Wracaj do recepcji, tłum ludzi czeka w kolejce z różnymi pytaniami. Nie mogę się wszystkim zajmować.

Liz zerwała się na równe nogi.

- Przepraszam, pani Mitchell. Oczywiście, już tam idę, ale...

- Ale co?

- Czy... czy ktoś powiedział ojcu Paula?

- To nie twoja sprawa, ale wybieram się do szpitala, jak tylko policja zrobi tu swoje. Będzie jeszcze mnóstwo czasu, żeby mu powiedzieć.

- Tak, oczywiście... Proszę przekazać panu Mitchellowi moje wyrazy współczucia.

Ciotka Deirdre nie odpowiedziała. Odsunęła się od drzwi.

- Idźże już.

Liz zdążyła jeszcze pochylić się do mnie i szepnąć:

- Nie musisz od razu wychodzić. Odpocznij tutaj, póki się

lepiej nie poczujesz. Zrób sobie jeszcze herbatę, jeśli masz ochotę.

- Uśmiechnęła się życzliwie.

- Dziękuję, Liz. Chętnie.

Po jej wyjściu ciotka Deirdre pozostała w przyczepie. Spojrzała na mnie beznamiętnie i już niemal utwierdziłam się w przekonaniu, że mnie nie poznała, gdy usłyszałam:

- Cóż, Bethany. Jednak wróciłaś, by domagać się spadku Templetonów.

Nie zabrzmiało to jak pytanie, więc nie trudziłam się, żeby odpowiedzieć. Na twarzy ciotki pojawił się wyraz skrajnej irytacji.

- Jeśli zostaniesz, to bez wątpienia będziemy cię czasami widywać. Chwilowo nie zanosz się na to, żebyśmy mogły wrócić do Hiszpanii. Nawet jak Mitch wyjdzie wreszcie ze szpitala, to nie ruszymy się stąd, póki nie znajdziemy kogoś do zajęcia się tym interesem.

W życiu tyle do mnie nie powiedziała. Gdy byłam mała, nie traciła czasu na rozmowy z dziećmi.

Zresztą nawet teraz właściwie nie próbowała nawiązać rozmowy; po prostu głośno myślała. Była całkowicie pochłonięta własnymi sprawami, jak zawsze. Nie przywitała się ze mną i, co jeszcze bardziej mnie zszokowało, nie wspomniała ani słowem o tym, że przykro jej z powodu Paula, który był bądź co bądź jej pasierbem.

Biedny Paul. Dopiero później dowiedziałam się, że Deirdre nie traktowała go najlepiej.

Tymczasem w ogóle się nie odzywałam. Co mogłabym powiedzieć? Jako dziecko nigdy jej nie lubiłam. W tej zaś chwili wreszcie uzmysłowiłam sobie, że jej nienawidzę. To sprawiło mi ulgę.

Po odejściu Deirdre nie miałam już ochoty na herbatę, czułam jednak głęboką wdzięczność dla Liz, że pozwoliła mi posiedzieć w przyczepie.

Czy Greg gra na dwa fronty? Czy kocha Sarę, a mnie uwodzi, by w ten sposób zwabić mnie w zasadzkę?

Miałam tylko jego słowo na to, że przyjechał do Seatoncliffe

zaledwie kilka dni przede mną. Mógł przecież utrzymywać kontakty z Sarą, odkąd wrócił z Hiszpanii. Pomysł z programem o klasztorze Seaton wydawał mi się czymś więcej niż tylko szczęśliwym zbiegiem okoliczności.

Prawdę mówiąc, wdziękom Sary mógł ulec właściwie każdy; w to nie wątpiłam. Sara była piękna i miała mnóstwo seksapilu, nawet jeszcze jako nastolatka. Paul stał się jej niewolnikiem od pierwszego dnia, gdy spotkali się na plaży.

Ale jeśli Greg też uległ jej czarowi...? Czy był człowiekiem, który z miłości pozwoliby się wciągnąć do udziału w zbrodni?

Jęknęłam, przypomniałam sobie bowiem nasz pocałunek. Z pewnością zorientowałabym się...

Benjy znowu warknął, ale tym razem wstał i podszedł do drzwi. Zaczął jednak machać ogonem, zanim jeszcze dotarł do celu. Rozległo się nieśmiałe pukanie. Zaraz potem drzwi się otworzyły i ukazał się w nich wysoki, patykowaty nastolatek. Poznałam chłopaka; to on czyścił basen, kiedy byłam na kempingu po raz pierwszy.

- Panna Lyall?

- Tak. A ty na pewno jesteś Steven. Szukasz Liz?

- Nie. Przysłała mnie tutaj z wiadomością. Chodzi o Benjy'ego. Liz pyta, czy nie mogłaby go pani wziąć, póki nie znajdzie psu jakiegoś miejsca. Pani Mitchell mogłaby się go po prostu pozbyć... wie pani, co mam na myśli...?

- Chyba tak. Nie martw się. Wezmę Benjy'ego do siebie. Aha, Steven, i powiedz Liz, że może mnie odwiedzać w Dune House, kiedy tylko ma ochotę.

- W porządku. - Steven był już w połowie schodków na zewnątrz, gdy zawrócił i wsunął głowę przez uchylone drzwi.

- Panno Lyall?

- Słucham.

- Nie zostawiłem tej tyczki z siatką przy basenie. Odstawiłem ją do szopy, tak jak powinienem. Chciałbym, żeby Liz mi uwierzyła.

- Ja ci wierzę, Steven. Jeśli ci to pomoże, spróbuję przekonać Liz, zgoda?

- Dziękuję. Aha, Liz powiedziała, żeby wychodząc, mocno zatrasnęła pani drzwi. Ona ma klucze.

Wciąż nie miałam porządnej smyczy dla Benjy'ego, z powrotem musiałam go więc również prowadzić na pasku. Przeszliśmy przez tereny klasztoru, tym razem jednak pies nie sprawiał mi najmniejszych kłopotów. Widocznie wyczuł, w jakim jestem nastroju, i starał się pomóc.

Weszłam przez bramę w ogrodowym murze, pamiętałam bowiem, że poprzedniego wieczoru zostawiłam w letnim domku mokre ubranie.

Tym razem głosy rozległy się całkiem znieścacka, gdyeszłam na schodki prowadzące na ganek. Były dwa: Sary i mój. Otworzyłam drzwi do przeszłości...

Idziesz czy nie, Bethany? Cygus czeka przy grobli.

- Ale mamy nie chodzić na wyspę. To jest niebezpieczne. A co będzie, jak nagle rozpocznie się przyływ?

- Powiedziałam ci, że Cygus wypisał kalendarz przyływów z gazety. Mamy mnóstwo czasu!

Chciałam iść, ale jak sięgałam pamięcią, wyspa zawsze była dla mnie terenem zakaznym, chyba że szłam tam z kimś z rodziców. Tego lata zaś żadne z nich nie miało dla mnie czasu.

Sara widocznie odczytała moje myśli, bo nagle przestała naciskać i zaczęła mnie namawiać, niemal kusić.

- Popatrz, nikt nigdy nie chce z nami nigdzie iść. Twoja matka bez przerwy odpoczywa, a twojego ojca i mojej matki nigdy nie ma. Cygus jest już prawie dorosły, będziemy z nim bezpieczni. Obiecał pokazać nam jaskinię... Wiesz, on myśli, że tam mogła być kiedyś kryjówka przemytników...

Skapitulowałam.

- No, dobrze...

Wybiegłyśmy z letniego domku i pognałyśmy za bramę. Na klifach i potem, na stromej ścieżce na wydmach, przez cały czas miałyśmy uczucie, że zaraz ktoś nas zatrzyma i zawróci.

Byłyśmy podniecone, śmiałyśmy się - dwie konspiratorki, prawie przyjaciółki. Dopiero gdy bez tchu dopadłyśmy grobli, przekonaliśmy się, że Paula nigdzie w pobliżu nie widać.

Ale Sara nie dała się zbić z tropu.

- Cygus na pewno czeka na wyspie. Powiedział, że jak się będziemy spóźniać, to pójdzie sam. Chciał mieć dużo czasu na zbada-
nie jaskini.

Sara nie była wcale taka dzielna, za jaką chciała uchodzić. Gdy ruszyłyśmy wąską groblą ku wyspie, wydawała mi się nie mniej zaniepokojona niż ja. Morze było spokojne, ale po obu stronach grobli fale pluskały przy skałach. Raz po raz obie spoglądałyśmy z niepokojem w ich stronę, żeby sprawdzić, czy się nie zbliżają.

Bardzo nam ulżyło, gdy na południowym cyplu wyspy ukazał się Paul. Biegł do nas. Spostrzegłszy, że go zauważyłyśmy, zwolnił kroku.

Gdy wreszcie znalazł się przy nas, był jakiś nieswój.

- Tam właściwie nie ma nic ciekawego - powiedział. - Możemy od razu wrócić.

Sara się zdumiała.

- Wrócić? Ale dlaczego?

- Jaskinia jak jaskinia.

- Nigdy nie widziałam jaskini na wyspie. Ja nie wracam. Chodź, Bethany! - Sara zręcznie wyminęła Paula i ruszyła ku skałom.

Paul obrócił się za nią, a potem bezradnie spojrział na mnie. Wzruszył ramionami.

- Poczekał tutaj - powiedział i rzucił się w pościg za Sarą.

Przez chwilę stałam przyglądając się, jak wielki ptak szybuje z rozpostartymi skrzydłami, by nagle je złożyć i dać nura po zdo-
bycz. Potem wolno ruszyłam po skałach, okalających wyspę.

Myślałam, że wyjdę naprzeciwko Paulowi i Sarze, ale zobaczyłam ich dopiero po drugiej stronie wyspy. Wyglądali tak, jakby przykucnęli za wielkim głazem niedaleko wejścia do jaskini.

Tak wydało mi się w pierwszej chwili, ale gdy podeszłam, stwierdziłam, że Paul widocznie złapał Sarę i pociągnął ją na ziemię, bo mu się wyrywała.

Instynktownie zaprzagnęłam jej pomoc, Bóg jeden wie dlaczego. Popędziłam w ich stronę, krzycząc:

- Puść ją!

Na chwilę odwróciłam jego uwagę. To wystarczyło Sarze. Wyrywała mu się i pobiegła dalej. Paul próbował ją gonić, ja biegłam na końcu.

Właśnie zanurzyłam się w mroku jaskini, gdy usłyszałam krzyk Sary:

- Nie! Nie! Nie!

Paul wybuchnął szlochem.

- Mówiłem ci, żebyś tu nie szła!

Przyzwyczajwszy się do ciemności, zobaczyłam to samo, co oni. Matka Sary i ojciec Paula leżeli nadzy na kocu, rozłożonym na skałach. Odskoczyli od siebie; twarze mieli osłupiałe i wstrząśnięte.

Ciotka Deirdre szarpnęła za koc, gorączkowo usiłując zakryć nagość. Pan Mitchell chwycił swoje porozrzucane rzeczy. Był opalonym, dobrze zbudowanym, przystojnym mężczyzną, ale rysy twarzy wykrzywiała mu wściekłość.

- Przestań się mazać i zabierz stąd te dzieciaki! - ryknął na syna.

I wtedy stało się coś jeszcze gorszego. Wszyscy obróciliśmy się ku wejściu do jaskini, bo zabrzmiał stamtąd nowy głos:

- Davidzie, jesteś tam? Jesteś z Deirdre? Nakryłam was w końcu, co?

Zamarliśmy. Nagle Sara odwróciła się i rzuciła ku wejściu jaskini jak oszalała.

- Wynoś się! - krzyknęła.

Moja matka cofnęła się przestraszona. Chwyciła się za brzuch,

usłyszałam jej bolesne syknięcie. Sara nie zwróciła na to uwagi, pchnęła ją.

- Przestań! - krzyknęłam i skoczyłam do nich, ale stopa mi się omsknęła i uwięzła między skałami; upadłam. Zatkaną mnie, po policzkach płynęły mi łzy, ale jakoś wykręciłam ciało, żeby wiedzieć, co się dzieje.

Sara zbliżała się do mojej matki, matka cofała się i cofała, aż wreszcie stanęła na samej krawędzi skały. Nawet ze swojego potrząsku widziałam, że twarz ma czerwoną, a usta wyginają jej się w niesamowitym uśmiechu. Zaczęła wykonywać nieskoordynowane ruchy rękami i nogami, jak źle animowana lalka.

- Nie rób tego! - krzyknęła Sara, ale matka nie zwróciła na to uwagi. - Przestań! Boję się, jak to robisz!

Matka nadal ignorowała Sarę. Zawołała:

- Deirdre... Deirdre...

Czy było to wołanie o pomoc? Sara pomyślała inaczej.

- Nie powiesz tego! - wrzasnęła. - Nikt nie może wiedzieć!

Pchnęła moją matkę.

Zapamiętałam jeszcze rozdzierający krzyk...

Siedziałam skulona na podłodze w kącie letniego domku, po-
jękując z bólu i przerażenia. Wróciłam do rzeczywistości, gdy
poczułam, że ani chwili dłużej nie zniosę naporu wspomnień.
Benjy usiadł obok mnie, wpatrzony w moją twarz, jakby próbował
zrozumieć, dlaczego wydaję takie dziwne dźwięki.

Co zobaczyła moja matka w jaskini? Według słów Jane Frears,
mgła czasem zasnuwała jej oczy. Niewątpliwie jednak zobaczyła
Deirdre, bo w ostatniej chwili wołała ją na pomoc. Ale czy widzia-
ła też, że z Deirdre był Mitch, a nie mój ojciec?

Miałam nadzieję, że tak. Och, jak bardzo chciałam, żeby tak było. Wtedy przynajmniej miałaby przed śmiercią chwilę ulgi, że ojciec jednak jej nie zdradza.

Gdyby przeżyła, w końcu pewnie poznałaby prawdę. Ale w tej sytuacji było dla niej lepiej, że uwierzyła pozorom.

Dla mnie jednak rozliczenia z przeszłością bynajmniej się nie skończyły. Wiedziałam, że będę musiała jeszcze raz cofnąć się w czasie, żeby przeżyć ostatnią scenę do końca.

- Nie zostawiaj mnie, Benjy - szepnęłam psu do ucha i objęłam go za szyję. Przynajmniej będzie ze mną jakieś współczujące żywe stworzenie.

Najpierw wróciły dźwięki... krzyk mew i gniewne głosy.

Chryste! Co ona zrobiła?! - krzyknął ojciec Paula, który w innej sytuacji wyglądałby komicznie, próbując biec w opadających spodniach.

Sara zawróciła i zatrzymała go u wejścia do jaskini.

- Zostaw ją - powiedziała. - To jej wina.

- Nie ma co się martwić o Helen. Ona dobrze pływa - zawtórowała jej Deirdre.

Obróciłam głowę i zobaczyłam, że wygładza wciągane rajstopy z takim spokojem, jakby nic się nie stało. - Powinieneś raczej pomyśleć, co będzie z nami, jak ona wylezie z wody i naopowiada wszystkim, co widziała.

- Ty głupia babo! - krzyknął na nią kochanek. - Jak ma wyleźć? Jest w ósmym miesiącu, a pływ właśnie zmienia kierunek. To najbardziej niebezpieczna chwila.

Ojciec Paula obficie się pocił. Otarł twarz dołem koszuli, po czym bez zapinania wsunął koszulę w spodnie.

- Deirdre, nie umiem pływać. Ty umiesz?

- Nie.

- No, to musimy sprowadzić pomoc.

- Jesteś pewien?

- Co ty mówisz?

Zmierzyli się wzrokiem.

Na mnie nikt nie zwracał uwagi. Leżałam u ich stóp i zwijając się z bólu, próbowałam uwolnić prawą stopę ze skalnej szczeliny. Matki nie widziałam, pozostała mi tylko nadzieja, że popłynęła do brzegu.

Obróciłam się w stronę Paula. Kulił się przy wejściu do jaskini, z twarzą ukrytą w dłoniach. Wydawało mi się, że płacze.

- Paul! - zawołałam. - Chodź tu, pomóż mi!

Podniósł głowę i spojrzał na mnie, ale ani drgnął.

- Proszę cię! Coś mnie trzyma za stopę. Chcę stąd iść. Chcę do mamy!

Tym wreszcie zwróciłam ich uwagę. Ciotka Deirdre, pan Mitchell i Sara spojrzeli na mnie tak, jakby dopiero w tej chwili przypomnieli sobie o moim istnieniu. W milczeniu przyglądali się, jak Paul zbliża się do mnie na czworakach.

Zdawało mi się, że minęły wieki, zanim ujął moją kostkę. Wsunął palce w szczelinę.

- Nie wiem, jak tyś to zrobiła, Bethany - mruknął. - Nijak nie można mszyc tej twojej stopy. Czekać, spróbujemy w ten sposób.

Krzyknęłam z bólu.

- Zostaw, Paul - poleciła mu ciotka Deirdre.

- Ale...

- Złamiesz jej nogę, jeśli będziesz tak robił jak teraz. Musimy sprowadzić pomoc.

- To idźcie. Ja zostanę z Bethany.

- Nie bądź głupi, Paul - powiedziała Sara. - Nadchodzi przyływ. Utoniesz, jeśli tu zostaniesz!

- Cicho siedź, ty głupia, mała wydro! - syknął pan Mitchell, ale było za późno. Paul wpadł w histerię.

Inni powoli zbliżali się do wyjścia z jaskini, a on stał i krzyczał wniebogłoso:

- Nie zostawiajcie jej!

- Zamknij się! Nie mamy wyboru.

To był głos Deirdre. Podeszła do Mitcha i coś zaczęła mu szeptać; skinął głową. Odwrócił się z nienacka i pięścią uderzył syna w

szczękę. Paul zaczął się osuwać na skałę. Ojciec złapał go i przeczucił sobie przez ramię.

Słyszałam ich cichą rozmowę, gdy opuszczali jaskinię. Prawdopodobnie już się namawiali, jak przedstawić wypadki, żeby im to nie zaszkodziło. Odchodzili, chociaż zostawiali mnie na pewną śmierć.

W tle słyszałam coraz głośniejszy szum morza. Wielkie masy zimnej szarej wody przetaczały się bliżej i bliżej...

Mewy wydzierają się przeraźliwie. Zaczęłam krzyczeć...

Zanim ojciec mnie odnalazł, musiałam chyba być bliska obłądu. Woda podeszła już prawie do mojego potrzasku. Ojciec przykląkł i zaczął kojąco do mnie przemawiać. Jednocześnie wcisnął dłonie w szczelinę i jakoś zsunął mi but.

Dzięki temu mogłam nieco obrócić nogę, a to z kolei pomogło mi się wyswobodzić, chociaż z bólu omal nie zemdlałam. Ojciec wziął mnie na ręce. Zdążyłam jeszcze zobaczyć jego podrapane, zakrwawione dłonie i powieki mi opadły.

Gdy biegł już brzegiem wyspy, w stronę grobli, znienacka otworzyłam oczy i zaczęłam wzywać matkę.

- Cicho, Bethany - powiedział. - Już wszystko dobrze. Spróbuj teraz zapomnieć...

- Ale to twoja wina... ona szukała ciebie, nie mnie... Nie był w stanie mi odpowiedzieć. Oboje płakaliśmy.

Razem z tymi łzami wróciło do mnie całe dzieciństwo. Przypomniałam sobie najstraszniejsze chwile i oto wszystkie brakujące kawałki mojego życia znalazły się na swoim miejscu. Wreszcie poczułam, że jestem znów sobą.

Oplotłam ramionami kolana i siedząc w kącie letniego domku, wyplakiwałam wszystkie emocje. Benjy zaskomlał, a potem oparł się na tylnych łapach i zaczął mnie lizać po twarzy.

Rozbawiona tą psią czułością, wybuchnęłam śmiechem, i tak znalazła mnie Mandy. Skulona w kącie, na przemian śmiałam się

i płakałam, a jednocześnie próbowałam się opędzić od Benjy'ego, który próbował mnie pocieszyć.

- Hm... Dobrze jest wypłakać smutki, ale nie sądziłam, że aż tak go lubiłaś - powiedziała.

- O czym ty mówisz? - Zerwałam się i zaczęłam ocierać lzy wierzchem dłoni.

- O Paulu Mitchellu. Całe miasto mówi o tym potwornym wypadku. Myślisz, że to było samobójstwo?

Wprawdzie dobrze wiedziałam, co myślę, ale chwilowo nie było sensu się z tym zdradzać.

- Musimy poczekać, co powie policja.

- Masz rację. Ale nie dotrzymałaś obietnicy, to znaczy, ani nie przysłaś do Gondoli, ani nie zadzwoniłaś, więc pomyślałam, że jesteś w złej formie, i prosto z pracy przyjechałam tutaj. I sądząc po twoim wyglądzie, dobrze zrobiłam.

Mandy pozbierała mokre części garderoby, po które przysłałam, i ruszyliśmy do domu. Byłam zadowolona, że mogę jej oddać pałeczkę dyrygenta. Mandy rzuciła ciuchy na stertę w pralni i zajęła się przygotowywaniem przekąski.

- Moją specjalnością jest jajecznicza na grzance. Może być?

- Jasne, pod warunkiem że zrobisz też trochę dla Benjy'ego. - Uświadomiłam sobie, że będę musiała kupić karmę dla psów, miskę i wszystkie inne akcesoria, podejrzewałam bowiem, że Benjy został mieszkańcem Dune House na stałe.

Na szczęście Mandy nie liczyła na moją chęć do rozmowy, siedziałam więc rozleniwiona i czekałam, aż danie będzie gotowe.

Myślami wróciłam do tej chwili sprzed czternastu lat, gdy wszyscy odeszli z wyspy, zostawiając mnie własnemu losowi. Po-tem niezmiennie zachowywali pozory, że nigdy tam nie byli.

Z pewnością wpadli w straszny popłoch, gdy się zorientowali, że ojciec zdążył na czas, by mnie uratować. Ale mieli szczęście, że szok wymazał mi wszystkie te przejścia z pamięci. Gdybym od razu mogła opowiedzieć, co się wtedy stało, życie nas wszystkich ułożyłoby się całkiem inaczej.

Ciekawe, co dorośli zamierzali powiedzieć Paulowi, w razie gdybym nie przeżyła? Trudno zgadnąć; tak czy owak przeżyłam, więc Paul bez mrugnienia okiem krył Sarę, bo nawet wtedy nie wyzwolił się spod jej uroku. Niewątpliwie wytłumaczył sobie, że ciotka Helen zginęła w wypadku, a Sary nie można za to karać.

A gdybym i ja wtedy utonęła? Deirdre i Sara prawdopodobnie odziedziczyłyby w końcu Dune House, chyba że Paul by coś powiedział. Chciałam wierzyć, że nie milczałby przez tyle lat.

Biedak. Przyjazdem do Seatoncliffe zmusiałam go do przyznania przed sobą tego, o czym od dawna wiedział. Że Sara była zdolna do popełnienia zbrodni. Widziałam to w jego oczach pierwszego dnia, gdy uratował mnie na klifach. Lęk odbijał się w nich nie dlatego, że mogłabym podejrzewać go o próbę morderstwa, lecz dlatego że to on podejrzewał Sarę.

Po niewielkiej przekąsce wzięłyśmy kawę do salonu. Mandy uparła się, że dotrzyma mi towarzystwa do późna. W gruncie rzeczy byłam jej za to wdzięczna, bo gdy zadzwonił telefon, a wiedziałam, że zadzwoni, mogłam poprosić ją, żeby odebrała.

- Jeśli odezwie się Greg Randall, to nie chcę z nim rozmawiać - zapowiedziałam.

- Jak mam cię wytłumaczyć?

- Wszystko jedno. Ale niech nie waży się dzwonić drugi raz.

Mandy nie zaprotestowała, choć zleciłam jej paskudną misję. Gdy wróciła do pokoju, spojrzałam na nią pytająco, ale ona tylko wzruszyła ramionami i powiedziała:

- Nie pytaj. Nie lubię kłamać.

Byłam bardzo zadowolona, że Mandy miała dość wycucia, by nie analizować mojego nastroju. Nie zniósłabym pytań o Grega. Nie dojrzałam jeszcze do tego, żeby powiedzieć komukolwiek, że człowiek, w którym się zakochałam, próbował mnie zabić.

Śniłam o Edricu i Alvevie. Ona przywiązała go do skały, a on błagał ją, żeby odeszła i zostawiła go własnemu losowi. Mówił, że tylko jego należy ukarać za złamanie ślubów, bo ona przecież nigdy nie chciała ich złożyć.

Nie zostawiła go. Przywiązawszy się do niego konopnym sznurkiem, przypomniała mu, że nie mają po co żyć, jeśli nie będą razem.

Gdy nadszedł przyływ i woda zalala jaskinię, w której się tajemnie spotykali, ich łzy zmieszały się ze słoną wodą, a długie włosy Alvevy unosiły się na falach wokół głowy.

Ale gdy na nią patrzyłam, zarys jej twarzy zaczął się zmieniać. Przez moment widziałam swoją młodą twarz, potem twarz matki. A potem zostało tylko morze.

Następnego ranka znalazłam obrazy ojca. Zbudziłam się bardzo wcześnie, tak wcześnie, że Benjy, który spał w nogach łóżka, ledwie uniósł głowę i popatrzył na mnie sennym wzrokiem, gdy wkładałam dzinsy i bladoróżowy sweter.

Dodałam w myśli do listy koniecznych zakupów kosz dla psa, po czym sama zeszłam na dół i dalej, do garażu.

Garaż był niegdyś stajnią i wciąż miał piéterko, gdzie spali masztalerze. Teraz była tam zwyczajna graciarnia, w której składowano stare narzędzia i sprzęt ogrodniczy. I prace mojego ojca.

Były luźno owinięte w papier pakowy albo w grube, surowe płótno. Sądząc po sposobie magazynowania, nikt się o nie nie troszczył. Ciekawe, kto je tam położył. Zrozpaczony ojciec, gdy przestały mieć dla niego znaczenie? A może babka, która nie chciała ich mieć w domu, ale nie była w stanie zniszczyć?

Jeszcze nie czułam się na siłach, by je obejrzeć. Wciąż nie bardzo wiedziałam, jakie uczucia żywię wobec ojca. Przez całe życie go kochałam i ten straszny dzień nic w tym nie zmienił.

Ale ojciec zdradził matkę. Nigdy nie dowiem się, dlaczego, pewne jest jednak, że zapłacił za to wysoką cenę.

Mogłam tylko się domyślać powodów, dla których porzucił artystyczną karierę. Matka była zapewne jego pierwszym natchnieniem i to ona zachęcała go do tworzenia. Może po jej śmierci uznał, że nie zasługuje na sukces, zwłaszcza że czuł się za tę śmierć odpowiedzialny?

Postanowiłam tymczasem nie ruszać obrazów i szkiców. Wiedziałam, że w swoim czasie będę mogła się nimi zająć. Poproszę wtedy o radę mojego byłego szefa, Patricka Collingsa. On na pewno ma przyjaciół, którzy będą wiedzieli, co zrobić z tą spuścizną.

Betty jeszcze nie przyjechała; było za wcześnie. Odłożyłam więc śniadanie na późniejszą porę i wybrałam się z Benjym na spacer.

Czyżby pies szukał swojego pana? Biegał po klifach tam i z powrotem, tropiąc znajome zapachy, aż w końcu dotarł do szczytu schodów, które pokazał mi Paul, i popędził na plażę.

Poszłam za nim swoim tempem. Świeciło słońce, morze było spokojne, ale w powietrzu unosiła się wilgoć. Długie wstęgi pary unosiły się nad wodą, przesuwały nad faliście wygładzonym piaskiem i wędrowały w moją stronę. Przy brzegu pluskały niewielkie fale.

Starłam się, jak mogłam, czerpać radość z porannego spaceru po pustej plaży. Wprawdzie wiedziałam, że jest to tylko gra na zwłokę, bo w końcu muszę coś zrobić z chaosem uczuć, w jaki wpędza mnie osoba Grega, ale co z tego? Uznałam, że należy mi się chwila niczym niezakłóconego spokoju.

Benjy przyprowadził mnie w miejsce, gdzie zaczynała się grobla. Przystanął i spojrzał na mnie, jakby pytał o pozwolenie, a potem nie czekając na moją reakcję, puścił się biegiem ku wyspie.

- Benjy! Wracaj! - krzyknęłam poirytowana. Całkiem mnie zlekceważył.

Spojrzałam na linię brzegu i na fale, usiłując ocenić stan morza. Uprzytomniłam sobie, że nie mam zielonego pojęcia, czy jest przyplływ, czy odplływ. Ale nie mogłam pozwolić, żeby morze

odcięło temu głupiemu psu drogę z wyspy na brzeg. Gdyby próbował dopłynąć do brzegu, mógłby utonąć. Musiałam po niego iść.

Zanim dotarłam na wyspę, po Benjym nie było śladu. Wydało mi się, że mignął mi na trawiastym zboczu, gdy biegł ku najwyższemu punktowi wyspy. Wspięłam się tam więc, ale bez skutku. Psa nie zobaczyłam, za to zauważyłam mnóstwo króliczych bobków, które mogły stanowić dla niego atrakcję.

Nawet jednak jeśli przez chwilę tam był, musiał zbiec na dół, bo ze szczytu wreszcie go dostrzegłam. Kręcił się po skałkach, po drugiej stronie wyspy.

- Benjy! Ty niedobry psie!

Tym zwróciłam wreszcie jego uwagę. Pewnie nikt jeszcze tak się na niego nie rozzłościł. W każdym razie poczekał, aż ślizgając się i potykając zejść na sam dół i stanę obok niego.

Byliśmy przy samym wejściu do jaskini.

Słońce odbijające się od sadzawek, powstałych wśród skał, rzucało drżące cienie na ściany jaskini. Wszedłszy do środka, przekonałam się, że wcale nie jest taka duża, jak mi się wydawało.

W nocnych koszmarach jawiła mi się zimna i ciemna, w tej chwili była jednak rozświetlona i bardzo zaciszna, idealne miejsce na schadzkę. Zastanowiło mnie, ile par kochanków spotykało się tutaj przez stulecia, wkrótce jednak obraz aktu Deirdre i Mitcha niemiło zakończył te rozmyślania.

A więc aluzje Paula dotyczyły dawnego skandalu. Deirdre

uciekła z Mitchem, a w tym czasie jej mąż, Raymond, popełnił samobójstwo. Być może czternaście lat temu te zdarzenia podziały jak katalizator.

Spojrzałam na ziemię, usiłując rozpoznać miejsce, w którym uwięzła mi stopa, ale przy pływy zdążyły pokryć większą część dna jaskini drobnym piaskiem.

W głębi było widać ślady osunięcia się skały w zamierzchłej przeszłości. Osypisko kamieni wyglądało tak, jakby za nim mógł się ciągnąć mroczny korytarz. To na pewno stąd wzięły początek opowieści o drugiej jaskini i tajnym podmorskim przejściu.

Nic dziwnego, że dzieci obdarzone wyobraźnią chętnie przechodziły tu myśzkować. Natomiast Benjy w ogóle nie chciał wejść do jaskini. Położył się u wejścia, podejrzanie spokojny.

Może psy łatwiej niż ludzie potrafią wyczuć smutek lub zło, może czują ślady minionych zdarzeń. Tak czy owak, Benjy za nic nie chciał wejść, mimo że go wołałam.

Nagle zaskoczył mnie cichym warknięciem. U wejścia do jaskini pojawił się cień, a po chwili stanął tam wysoki, dobrze zbudowany człowiek. Za plecami miał słońce, początkowo zauważyłam więc tylko, że jest w dżinsach i kremowym swetrze.

Mimo woli głośno zaczerpnęłam tchu. Serce zaczęło mi łomotać. Tymczasem mężczyzna schylił głowę i wszedł do jaskini. Słońce oświetliło jego wyrazistą twarz i złociste włosy.

- Witaj, Duncan.
- Och, jaki piękny powitalny uśmiech - powiedział i znów przemknęło mi przez myśl, że jest bardzo atrakcyjny.
- Rozumiem, że przyszedłeś wyratować mnie z opresji.
- Z opresji?
- Zapomniałeś? Powiedziałeś mi kiedyś, że ratowanie kobiet z opresji należy do twoich obowiązków.
- Potwierdzam. Jeśli wyjrzysz na zewnątrz - odsunął się, że-bym mogła zobaczyć przedpole jaskini - zauważysz, że pływ już się zmienił. Niedługo jaskinia będzie pod wodą.

- Wierzę ci na słowo. Nie jestem ekspertem.

Uśmiech znikł mu z twarzy. Czulałam się tak, jakby mnie pouczał.

- A właściwie to skąd wiedziałeś, że tu jestem? - spytałam.

- Nie udawaj, że nie wiesz! Byliśmy... byłem na wydmach i usłyszałem, jak wołasz psa. Wyszedłem na grzbiet zobaczyć, kto robi tyle hałasu, i zobaczyłem cię na grobli.

- Wcześniej się zerwałeś.

- Normalnie. Późno chodzę spać, wcześniej wstaję. Taka praca.

Coś mi tym przypomniał.

- Jak udały się te zdjęcia, o których ostatnio mówiłeś?

- Jeszcze nie wywołałem filmu, ale nie wiązę z nim wielkich nadziei. Była fatalna pogoda.

Z ulgą stwierdziłam, że znów się uśmiecha. Wydawało mi się więc naturalne, że zrobił krok w moją stronę. Nagle jednak pies podniósł głowę i zawarczał. Roześmiałam się.

- Spokojnie, Benjy. Duncan jest swój.

Przypomniał mi się duży jasny pies, biegnący przez wysoką trawę w księżycowym świetle.

- Jak wywołasz film, może się okazać, że masz świetne zdjęcia Benjy'ego.

- Po co to mówisz?

- No, bo Benjy biegał po dworze tego wieczoru... - Zawahałam się. Spozstrzegłam, że Duncan uważnie mi się przygląda. - Co się stało?

- A ty, Bethany? Czy ty też wychodziłaś w tę burzę?

W tej chwili zrozumiałam.

Spojrzałam mu w oczy. Oczy świętego, czy grzesznika? Jego dom przypominał celę eremity, ale przez cały czas, gdy u niego byłam, czulałam wyraźną aurę zmysłowości. Spłonęłam rumieńcem, przypomniałam sobie bowiem, że wyobraziłam sobie nawet, jak Duncan mnie obejmuje.

Prawie od samego początku wyczuwałam u niego obsesyjną osobowość. Do tej pory wydawało mi się, że kieruje nim namiętność do pracy... do ochrony środowiska. Teraz wiedziałam już, że

przede wszystkim żyje namiętnością do mojej kuzynki Sary.

Przypomniałam sobie te wspaniałe fotografie, barwami i światłem zdradzające, że nie zrobiono ich na Wyspach Brytyjskich. I karafki... Duncan lubił wino, to wiedziałam, ale te karafki ze złotawego szkła, z długimi rurkami do picia... Takie pamiątki przywozi się z wakacji na Costa Brava.

On jednak nie był tam na wakacjach, lecz na wyprawie. Szukał tematów do fotografowania. To jego poznała Sara w Hiszpanii.

Duncan wyraźnie zrozumiał, że wszystko odgadłam. Stał oparty o ścianę jaskini, ale przyglądał mi się bardzo uważnie. Wiedziałam, że to on potrafił mnie samochodem na klifach i on zamknął mnie w kaplicy podczas burzy.

Nagle przypomniałam sobie, jak omal nie przysypała mnie wydma. Czy wtedy się potknęłam, czy też Duncan mnie popchnął? I co by się stało, gdyby akurat nie przechodził tamtędy mój znajomy policjant, McKenzie?

Spojrzałam na niego smutno. Jak człowiek z taką twarzą może być zły? Uśmiechał się tym samym zajmującym uśmiechem co zawsze, a mimo to zamarłam. Przeraził mnie wyraz jego oczu. Normalny człowiek nie patrzy w ten sposób.

- Pływy w tej okolicy są bardzo silne... - zaczął Duncan, jakby udzielał objaśnień studentom. - Fala przyływu nadchodzi z południa na północ z prędkością około dwóch węzłów...

- Po co mi to mówisz, Duncan?

- Każdy człowiek, zmyty przez fale z tej wyspy, prawdopodobnie w końcu gdzieś wypłynie. Oczywiście niektórych ciał nigdy się nie odnajduje...

- Przestań! Proszę cię, przestań!

- Tu, w pobliżu są podziemne jaskinie. Jeśli ciało utknie w jednej z nich, może wypłynąć dopiero po dwudziestu czterech godzinach...

- Przestań! Przestań! Przestań! - Zatkałam sobie uszy, ale wciąż słyszałam jego głos.

- A może się zdarzyć i tak, że gdzieś się zaczepi... - Urwał. Opuściłam dłonie i popatrzyłam na niego. Kręcił głową zupełnie tak, jakbym była głupim dzieciakiem.

- Nie powinnaś przychodzić na wyspę, nie znając rytmu pły-wów, Bethany. - Schylił się po odłamek skały. Chciałam się wycofać, ale zaszedł mi drogę do wyjścia.

- Głupio zrobiłaś, że wspięłaś się na te skały. Trawa musiała być mokra, bo poślizgnęłaś się i rozbiłaś sobie głowę. Leżałaś nieprzytomna, kiedy zaczął się przypływ i...

- Przestań! Jesteś szalony! Nic takiego się nie stało!

Nagle za jego plecami rozległ się hałas. Duncan odwrócił głowę.

- Co tu robisz? - powiedział. - Przecież kazałem ci wrócić do domu i poczekać na mnie.

Odsunął się i ujrzałam moją kuzynkę. Zastanawiałam się, jak długo stała przed jaskinią. Podejrzewałam, że od pewnego czasu podsłuchuje, bo sprawiała wrażenie mocno zniecierpliwionej.

Była w dżinsach, tak jak ja, i w obcisłej białej koszuli. Jedynymi oznakami ciąży, jakie u niej zauważyłam, były wyjątkowo pełne piersi i nieco podkrążone oczy.

- Nie powinnaś tutaj przychodzić. Zaraz zaczniesz się przypływ - powiedział Duncan. - Nie chcę, żebyś musiała biec.

- No, to się pośpiesz.

Duncan był nienormalny, ale Sary nic nie usprawiedliwiał. Była wcieleniem zła.

- Co się stało, Saro? - zawołałam do niej. - Nie wierzysz mi? Czy to on nie może sobie ze mną poradzić?

Popęłniłam poważny błąd. Zamiast ich skłócić, zwróciłam na siebie uwagę Duncan. Zobaczyłam, jak unosi dłoń z odłamkiem skały. Już opuszczał ją w nad moją głowę, gdy od ziemi oderwał się płowy kształt.

Całkiem zapomniałam o Benjym. Skoczył jak piłka i chwycił mojego napastnika zębami za ramię. Duncan zaklął, puścił kamień i potrząsając ramieniem, chciał się uwolnić. Ale Benjy nie puszczał, tylko głucho warczał.

Duncan zamachnął się gwałtownie i uderzył psem o ścianę jaskini. Zwierzę z łoskotem opadło na ziemię.

- Och, nie! - Rzuciłam się na kolana i przytuliłam Benjy'ego. Oczywiście miał zamknięte, ale serce na szczęście było mu mocno.

Usłyszałam krzyk Sary.

- Na miłość boską, Duncan, idzie przyływ!

Wtedy uświadomiłam sobie, że Duncan, który zatrzymał się za mną, znów schylił się po kamień. Wykonałam półobrót i zobaczyłam nad sobą rękę gotową do uderzenia, a jednocześnie usłyszałam krzyk Sary. Nie miałam czasu pomyśleć, co się dzieje, musiałam się jakoś ratować.

Chciałam się uchylić, ale nie mogłam wystawić na uderzenie Benjy'ego, więc tylko zakryłam kark i tył głowy rękami, i czekałam na cios.

I nagle usłyszałam czyjś głos:

- Dość tego!

Duncanowi kamień wyleciał z dłoni. Wraz z przeciwnikiem upadli na ziemię i wytoczyli się z jaskini. Gdy wypęzłam na zewnątrz, już się podnosili.

- Nic ci się nie stało, Bethany?

To był Greg.

Bacznie przyglądał się Duncanowi; ten jednak w tej chwili pamiętał tylko o istnieniu Sary.

- Ty głupcze! - krzyknęła do niego. - I co teraz będzie?

- Sara, nie... nie denerwuj się... Zaszkodzisz dziecku...

Sara wydała z siebie nerwowy szloch, odwróciła się i puściła biegiem. Duncan pobiegł za nią.

Przez chwilę patrzyliśmy ich śladem, potem spojrzeliśmy sobie w oczy. Wiedziałam, że głupio się uśmieciam, ale Greg robił to samo.

- Chętnie bym tu jeszcze pobył - powiedział - ale Sara miała rację. Nadchodzi przyływ. Jeśli nie chcesz spędzić tu ze mną kilku godzin sam na sam, to lepiej jak najszybciej uciekajmy.

- To ruszajmy. - Wydało mi się, że poczuł się urażony. Podeszłam do niego i pocałowałam. Oderwałam się dopiero wtedy, gdy zorientowałam się, że czas nagli.

- Nie chodzi o to, że nie chcę zostać z tobą na bezludnej wyspie, ale musimy szybko zawieźć do weterynarza mojego drugiego bohatera.

Greg wszedł do jaskini i delikatnie podniósł psa z ziemi. Zanim obeszlśmy wyspę, fale już zaczynały zalewać groble.

- O czym myślisz? - spytał Greg.

Pogłaskałam Benjy'ego po miękkim łbie.

- Że musimy się śpieszyć.

- Dobrze, tylko się mnie trzymaj.

Usłuchałam. Fale przewalały się przez groble z obu stron, a my ostrożnie posuwaliśmy się naprzód. Zdziwiło mnie, że, jak dotąd, ani razu nie poczułam bólu w kostce.

Moi prześladowcy byli już prawie w połowie drogi na ląd. Duncan trzymał Sarę za ramię, ale ona chciała mu się wyrwać. W końcu jej się udało.

- Naturalnie wiesz, że będziesz musiała mi wyjaśnić, co tu się stało - powiedział Greg.

Z wyjaśnieniami trzeba jednak było poczekać, bo Sarę zaskoczyła wielka fala. Zbiła ją z nóg i porwała ze sobą. Duncan krzyknął i skoczył za dziewczyną do morza.

Patrzyliśmy bezradnie na dwie głowy, unoszące się wśród fal. Wyglądało na to, że nie posuwają się w żadną stronę. Pierwszy raz tego dnia zwróciłam uwagę na wrzaski ptaków.

Spojrzelśmy w stronę brzegu i drogi na klifach. Nikt oprócz nas nie widział, co się stało.

Greg westchnął.

- Musimy wezwać pomoc.

Poszukiwania trwały przez resztę dnia, aż do późnej nocy. Rano podjęto je ponownie. Przyleciał helikopter RAF-u, a z Blyth przyplłynął statek. Ale ciało Duncana i Sary nie znaleziono.

Z Dune House Greg zatelefonował do straży przybrzeżnej. Był ze mną przez cały czas, póki akcja ratownicza się nie skończyła. Zaproponował też, że pójdzie zawiadomić ciotkę Deirdre, powiedziałam

mu jednak, że można zostawić ten obowiązek policji.

Zaraz potem zatelefonowałam do lecznicy weterynaryjnej i wezwałam pomoc dla Benjy'ego. Najadłam się przez to wstydu, bo gdy przyjechała pani weterynarz, pies wybiegł na jej powitanie jak szalony. Na szczęście była bardzo miła i w ogóle nie miała do mnie pretensji. Dokładnie zbadła pacjenta i powiedziała, że właściwie nic mu nie jest, ale gdyby coś mnie niepokoiło, to mogę go przywieźć do lecznicy bez względu na porę.

- Słono by to kosztowało - mruknęła Betty Doran, gdy odprowadziła panią weterynarz do drzwi. - Czy pani zdaje sobie sprawę, jakie to będą wydatki? - Miała na myśli koszt utrzymania psa, widziałam jednak, że w gruncie rzeczy nie ma nic przeciwko Benjy'emu.

Betty powiedzieliśmy tylko, że zdarzył się wypadek, gdy wracaliśmy z wyspy na ląd. Nie sądziłam, bym kiedykolwiek chciała opowiedzieć jej całej historię. Ale Gregowi musiałam.

Trwała jeszcze akcja ratownicza, gdy usiedliśmy w salonie, w głębi domu. W miarę jak dzień dogasał, robiło się coraz zimniej, więc napaliliśmy w kominku. Rzuciliśmy kilka poduch na podłogę i rozsiedliśmy się po obu stronach ognia, oparci plecami o fotele.

Betty przyniosła nam tacę z jedzeniem i, nie wiadomo skąd, wyczarowała butelkę wina. Przypomniałam sobie wizję, jaką miałam pierwszego wieczoru w Dune House, i aż nie mogłam uwierzyć, że oto moje marzenie wkrótce się spełni.

Tymczasem jednak mieliśmy sobie wiele do powiedzenia. Przez długie godziny raz po raz przeszkadzał nam loskot helikoptera, mimo to opowiedziałam Gregowi wszystko z jednym, jedynym wyjątkiem, który najbardziej mnie zawstydział.

Gdy skończyłam i spojrzałam mu w oczy, zobaczyłam, że po-dejrzanie lśnią.

- Och, Bethany - jęknął. - Czy kiedyś mi wybaczysz?
- Co miałabym ci wybaczyć? Uratowałeś mi życie!

- Nie chodzi o dzisiaj... Mówiłem o dniu śmierci twojej matki... Widziałem wtedy... Zdawało mi się, że widzę...

Nagle pojęłam, w czym rzecz. Przypomniałam sobie, co powiedział mi poprzedniego dnia.

- Myślałeś, że widzisz, jak wpycham matkę do morza.

- Tak. Teraz wiem, że to była Sara, ale przez te wszystkie lata sądziłem... Możesz sobie wyobrazić, co czułem, gdy cię spotkałem w Seatoncliffe. Pamiętałem tamten dzień bardzo wyraźnie. Widziałem rozszalone dziecko, rozmyślnie wpychające matkę do morza. A mimo to... mimo to zakochałem się w tobie. Wytłumaczyłem sobie, że się zmieniałaś... Przez cały czas byłem dla ciebie bardzo niesprawiedliwy.

Nic dziwnego, że początkowo tak trudno mi było go rozgryźć. Zdawało mi się, że swymi zmiennymi nastrojami chce mi dokuć, a on przez cały czas zmagał się ze sobą.

Nagle zastanowiło mnie coś innego.

- Greg, co powiedziałaś mojemu ojcu?

Od razu zrozumiał, o co mi chodzi.

- Skłamałem. Powiedziałem, że to był wypadek. Nie mógłbym powiedzieć mu tego, co wydawało mi się prawdą. Nie zdobyłbym się na takie okrucieństwo.

Przynajmniej ojciec nie musiał żyć z przekonaniem, że zabiłam własną matkę.

- Wiesz, dzisiaj znowu popełniłem tę samą omyłkę. - Greg uśmiechnął się kwaśno. - Byłem na klifach i zobaczyłem na grobli Sarę. Zdawało mi się, że to ty, więc poszedłem za tobą. Dzięki Bogu.

- Nie rozumiem tylko, dlaczego tak wcześnie byłeś na nogach.

- Szukałem cię. Najpierw wpadłem do Dune House, ale pani Doran powiedziała mi, że gdzieś spacerujesz.

Zaczerwieniłam się. Przypomniałam sobie, o co poprosiłam Mandy poprzedniego wieczoru.

- Dobrze się stało, że skorzystałem z rady twojej przyjaciółki - powiedział Greg. Tym mnie zaskoczył.

- Z jakiej rady?

- Jak zadzwoniłem, przedstawiła się i powiedziała, że nie podejdiesz do telefonu, bo bijesz się z myślami i nie jesteś w odpowiednim nastroju, ale, jej zdaniem, powinienem spokojnie poczekać i po prostu przyjść następnego dnia rano. Tak zrobiłem.

- Nie wiem, co mam powiedzieć.

- Nie mów nic. Ale gdybyś kiedyś potrzebowała rady, na twoim miejscu, zwróciłbym się do Mandy O'Connor. To bardzo rozsądna dziewczyna.

- Owszem.

Nagle Greg uniósł się lekko i przesunął w moją stronę. Otoczył mnie ramieniem i chciał przyciągnąć do siebie, ale mu nie pozwoliłam.

- Greg, jest coś, co musisz mi wybaczyć.

- Co takiego?

I wtedy powiedziałam mu, dlaczego czuję się taka zawstydzona. Że przez pewien czas widziałam w nim kochanka Sary i jej współnika. Skończyłam i wtedy zapadło milczenie. Długie, coraz dłuższe. Ogarnęła mnie rozpacz.

Wszystko popsułam. Mój brak zaufania zniszczył coś, zanim naprawdę się zaczęło. Ale nagle Greg znów mnie objął i przytulił.

- Czy jest ci przykro, że tak długo uważałem cię za zabójczynię matki? - spytał.

- Nie. Miałaś prawo się pomylić... w takich okolicznościach...

- No, właśnie. Ważne są okoliczności, zachowania innych ludzi... Czy wiesz, o ile lepiej byłoby, gdyby twój ojciec pomógł ci przypomnieć sobie, co się wtedy stało?

- On na pewno chciał mnie chronić.

- Tamten wypadek zmienił życie wszystkich ludzi, którzy brali w nim udział. Twojej babki, twoich rodziców, mojej matki... Wiesz, moja matka łudziła się chyba, że zdoła ułożyć sobie życie z twoim ojcem.

- Kosztem mojej matki!

- Nie będziemy się o to sprzeczać, Bethany. Ani teraz, ani w

przyszłości. Ale postaramy się, żeby nasze dzieci miały dużo lepiej.

- Słucham?
- Powiedziałem wyraźnie.

I wtedy przytuliłam się do niego mocniej. Właśnie troszkę się odsunęłam, żeby zaczerpnąć tchu, gdy na palcach weszła do salonu Betty.

- Idę do domu - powiedziała. - Rano wrócę, ale wygląda na to, że tymczasem nie potrzebują państwo mojej opieki.

Greg uśmiechnął się do niej.

- To prawda. Możemy zaopiekować się sobą sami.

Później wyprowadziliśmy Benjy'ego do ogrodu. Było chłodno i pachnąco. Staliśmy przez chwilę wśród traw, wpatrując się w gwiazdy.

- Jak skończę przygotowywać program o klasztorze, pomogę ci doprowadzić ogród do porządku, oczywiście jeśli chcesz - powiedział Greg.

- Bardzo chcę - odparłam i wróciliśmy z naszym psem do domu.